

Nikos Kazantzakis

Grek Zorba

(Przełożył Nikos Chadzinikolau)

1.

Po raz pierwszy spotkałem go w Pireusie. Udałem się do portu, aby wsiąść na statek płynący na Krete. Zbliżał się świt. Padał deszcz. Dał silny sirokko, bryzgi morza docierały aż do małej kafejki. Oszklone, drzwi były zamknięte, w powietrzu unosiła się woń szaławii i odstręczający fetor ludzkich ciał. Było zimno, szyby zasnuła para oddechów. Kilku marynarzy w brązowych bluzach z koziej wełny, którzy czuwali całą noc, piło kawę lub szaławie i spoglądało na morze przez zamglone szyby.

Ryby ogłuszone uderzeniami sztormu schroniły się w głębinach, gdzie wody były spokojne, i oczekiwały, aż spokój wróci na powierzchnię. Również stłoczeni w kafejkach rybacy czekali na zakończenie tego zamętu, aby ryby znów nabrały odwagi i wypłynęły po przynętę. Sole, skorpiony, selachie powracały z nocnych eskapad. Dniało.

Oszklone drzwi otworzyły się, wszedł robotnik portowy, krępy, ogorzały, z gołą głową, bosi i zabłocony.

— O, Kostandi — zawołał stary wilk morski w obszernym niebieskim płaszczu.
— Co porabiasz?

Kostandi splunął.

— Co mam robić? — odparł posepnie. — Dzień dobry, kafejko. Dobry wieczór, chato. Dzień dobry, kafejko. Dobry wieczór, chato. Oto moje życie. Pracy ani na lekarstwo.

Jedni wybuchnęli śmiechem, inni klnąc kiwali głowami.

— Świat jest dożywotnim więzieniem — zawyrokował jakiś wąsał, który odbywał studia filozoficzne w teatrze grozy Karagiozisa. — Przeklętym dożywotnim więzieniem.

Blade, zielononiebieskie światło przeniknęło przez brudne szyby, wdarło się do kafejki, kładło się na rękach, nosach i czołach. Przeskoczyło na kominek i oświetliło butelki. Światło elektryczne zbladło, znużony i senny właściciel kafejki wyciągnął rękę i zgasił je.

Na chwilę zapanowała cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na brudne niebo za oknami. Ryk fal docierał aż tu, w kafejce zabulgotały nargile.

Stary wilk morski westchnął.

— Och, co też może dziać się z kapitanem Lemonisem? Niech Bóg ma go w swojej opiece! Rzucił morzu wściekle spojrzenie.

– Tfu, ty fabrykancie wdów! – wrzasnął i przygryzł szpakowate wąsy.

Siedziałem w kącie. Było mi zimno. Zamówilem jeszcze jedną szalwię. Chciało mi się spać. Walczyłem ze snem, zmęczeniem i pustką poranka. Przez zamglone szyby patrzyłem na budzący się port, wsłuchiwałem się w wycie syren okrętowych, krzyki tragarzy i wioślarzy. Wpatrywałem się w ten widok, a tajemna nić, którą uprządy morze, deszcz i mój odjazd, gęstą siecią oplątywała moje serce.

Oczy błędziły po czarnym kadłubie wielkiego statku, który zaledwie majaczył w mroku. Wciąż padało, potoki deszczu zacierały granicę między niebem i błotem.

Kiedy tak wpatrywałem się w czarną sylwetkę statku, mrok i deszcz, mój smutek zaczął przybierać realny kształt. Wracały wspomnienia. W wilgotnym powietrzu coraz wyraźniej rysowała się postać mojego drogiego przyjaciela, zrodzona z deszczu i tęsknoty. Kiedy to było? W ubiegłym roku? W innym życiu? Wczoraj? Kiedy to przyszedłem do tego portu, by go pożegnać? Pamiętam jeszcze ten deszcz, zimno, ten świt. Wtedy także było mi ciężko na sercu. Jakże gorzkie jest powolne rozstawanie się z ukochanymi istotami. O ileż łatwiej dokonać jednego cięcia i pozostać w samotności, która jest naturalnym stanem człowieka. Ale wówczas, w ten deszczowy świt, nie mogłem oderwać się od przyjaciela (potem zrozumiałem, niestety za późno, dlaczego). Wszedłem z nim na statek i usiadłem w jego kabine między rozrzuconymi walizkami. Kiedy zajęty był czym innym, patrzyłem na niego długo i uparcie, jakbym chciał utrwalić w pamięci każdy jego rys — błyszczące, niebieskozielone oczy, krągłą młodzieńczą twarz, spojrzenie wytworne i wyniosłe, a nade wszystko jego arystokratyczne ręce o długich, smukłych palcach. W pewnej chwili zauważył, że wpatruję się w niego długim zachłannym spojrzeniem. Odwrócił się z tą kpiącą miną, którą zwykle pokrywał wzruszenie. Spojrzał na mnie. Zrozumiał. I żeby rozproszyć smutek pożegnania, zapytał drwiąco:

– Długo?

– Co długo?

– Czy długo zamierzasz żuć papier i nurzać się w atramencie? Dlaczego nie jedziesz ze mną? Daleko stąd, na Kaukazie, tysiącom naszych współplemieńców grozi niebezpieczeństwo. Spieszmy im na ratunek.

Zaśmiał się, jakby drwiąc z tej wzniosłej misji.

– Być może, niewiele im pomożemy — dodał — ale próbując ocalić innych, ocalimy siebie. Czyż nie są to prawdy, które głosisz, mistrzu? “Jedynym sposobem ocalenia siebie jest walka o ocalenie innych...” Naprzód więc, kaznodziejo. Dlaczego

nie ruszasz ze mną, ty, który tak pięknie nauczasz?

Nie odpowiedziałem. Święta ziemia Wschodu, matka bogów, jęk przykutego do skały Prometeusza... Przykute do tych samych skał, woła nas nasze plemię. Znów zagrożone, wzywa pomocy swych synów. Tymczasem ja słucham biernie, jakby ból był tylko snem, a życie porywającą tragedią, podczas której jedynie prostak lub naiwny głupiec rzuca się z łoża na scenę, by wziąć udział w akcji. Nie czekając na odpowiedź, mój przyjaciel wstał. Syrena okrętowa zawyła po raz trzeci. Kryjąc wzruszenie pod maską drwiny, wyciągnął rękę.

— Do widzenia, gryzipiórku.

Głos mu zadrzał. Wiedział, jaki to wstyd nie móc zapanować nad swoimi uczuciami. Łzy, czułe słowa, nieopanowane gesty, poufałość — wszystko to uważał za słabość niegodną mężczyzny. My, którzy byliśmy sobie wzajem tak bliscy, nie używaliśmy nigdy czułych słów. Żartowaliśmy, nie szczędząc pazurów na podobieństwo dzikich zwierząt. On inteligentny, ironiczny, dobrze ułożony, ja — podobny barbarzyńcy. On opanowany, w łagodnym uśmiechu wyrażający wszystkie drgnienia duszy, ja gwałtowny, ni stąd, ni zowąd wybuchający dzikim śmiechem.

Próbowałem i ja ukryć wzruszenie pod twardym słowem, ale było mi wstyd. Nie, może nie tyle wstydzilem się, co nie potrafiłem się na to zdobyć. Chwyciłem jego dłoń. Trzymałem ją kurczowo w swojej. Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Wzruszony? — zapytał, starając się uśmiechnąć.

— Tak — odpowiedziałem spokojnie.

— Dlaczego? Co zdecydowaliśmy? Czyż nie uzgodniliśmy tego dawno? Co mówią twoi ukochani Japończycy? *Fundosin. Ataraxia*. Olimpijski spokój. Twarz jak uśmiechnięta, nieruchoma maska. Co dzieje się pod tą maską — to nasza sprawa.

— Tak — powiedziałem znowu, usiłując nie skompromitować się nadmierną afektacją. Nie byłem pewien, czy mój głos nie zadrży.

Na pokładzie rozległ się gong, wypędzając odprowadzających z kabin. Mżyło. Powietrze wypełniły patetyczne słowa pożegnania, przysięgi, długie pocałunki, pośpiesznie rzucane, zadyszane polecenia... Matki rzuciły się do synów, żony do mężów, przyjaciele do przyjaciół. Jakby rozstawali się na zawsze, jakby ta mała rozłąka kazała im myśleć o innej — tej wielkiej. Nagle w wilgotnym powietrzu od rufy aż do dziobu rozbrzmiał łagodny dźwięk gongu jak żałobny dzwon. Zadrzałem.

Przyjaciel pochylił się do mnie.

— Słuchaj — szepnął. — Czyżbyś miał złe przeczucia?

- Tak – powtórzyłem raz jeszcze.
- Wierzysz w takie bzdury?
- Nie – odrzekłem z przekonaniem.
- A więc?

Nie było "a więc". Nie wierzyłem, ale bałem się.

Przyjaciel oparł lekko lewą dłoń na moim kolanie, jak to miał zwyczaj czynić ustępując mi w dyskusji. Nakłaniałem go do podjęcia jakiejś decyzji – nie chciał słuchać, protestował, odmawiał, ale w końcu ulegał, dotykał wtedy mego kolana, jakby chciał powiedzieć: "W imię przyjaźni zrobię, co chcesz..."

Powieki jego drgnęły kilkakrotnie. Znow przenikał mnie wzrokiem. Zrozumiał, jak bardzo jestem zgnębiony, i zawahał się przed użyciem naszej ulubionej broni – uśmiechu, ironii, drwiny...

– Dobrze – powiedział. – Daj rękę. Gdyby któryś z nas znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

Urwał zawstydzony. My, którzy od lat drwiliśmy z metafizycznych "wzlotów" i wrzucaliśmy do jednego worka wegetarianów, spirytystów, teozofów i ektoplazmę...

– Więc? – zapytałem, usiłując odgadnąć.

– Potraktujmy to jak grę, chcesz? – powiedział spieszenie, pragnąc wybrnąć z ryzykownego zdania, które rozpoczął. – Gdyby któryś znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, niech pomyśli o drugim z taką mocą, aby wezwanie dosięgło go, gdziekolwiek by się znajdował... Zgoda?

Spróbował się uśmiechnąć, lecz wargi jego nie drgnęły, jakby były zlodowaciałe.

– Zgoda – powiedziałem.

Obawiając się, że zbyt szybko uzewnętrznił swoje wzruszenie, przyjaciel mój dodał pośpieszenie:

- Oczywiście nie wierzę absolutnie w telepatię ani w te wszystkie...
- Nie szkodzi – wyszeptałem. – Niech tak będzie...
- Dobrze więc, niech będzie. Gramy. Zgoda?
- Zgoda – odpowiedziałem.

Były to nasze ostatnie słowa. W milczeniu uścisnęliśmy sobie dłonie, nasze palce splotły się, zwały gwałtownie i nagle rozłączyły się. Odszedłem szybko, nie oglądając się, jakby mnie ktoś gonił. W pewnej chwili chciałem odwrócić głowę, by po raz ostatni spojrzeć na przyjaciela, ale wstrzymałem się, nakazując sobie: "Nie

odwracaj się! Idź!"

Dusza ludzka, uwięziona w cielesnym bagnie, jest surowa i niedoskonała. Jej odczucia są jeszcze prymitywne, zwierzęce. Nie może przewidzieć niczego w sposób jasny i pewny. Gdyby była do tego zdolna, jakże inaczej wyglądałoby nasze rozstanie.

Było coraz jaśniej. Nakładały się na siebie dwa światy. Widziałem teraz coraz wyraźniej drogą twarz przyjaciela, który samotny i nieruchomy pozostał na deszczu i wietrze. Drzwi kawiarni otworzyły się. Rozległ się ryk morza. Szeroko rozstawiając nogi, wszedł krępy marynarz z obwisłymi wąsami. Zabrzmiały rozradowane głosy:

— Witaj, kapitanie Lemonisie!

Skuliłem się w kącie, aby znów pogрузić się w zadumie, ale twarz przyjaciela rozplynęła się już w deszczu.

Było coraz jaśniej. Kapitan Lemonis, ponury i milczący, wyjął bursztynowe paciorki i zaczął przesuwając je w rękę. Usiłowałem nie patrzeć, nie słuchać, aby choć na chwilę zatrzymać wizję, która się rozwiewała. Gdybym mógł wskrzesić w sobie tę wściekłość — pomieszaną ze wstydem — która wezbrała we mnie, kiedy przyjaciel nazwał mnie gryzipiórką. Od tej pory, dobrze to pamiętam, słowo to stało się uosobieniem obrzydzenia do życia, jakie prowadziłem. Jak mogło się zdarzyć, że ja, który tak ukochałem życie, na długo zagrzebałem się w stosie ksiąg i szerniałych papierów. W owym dniu rozłąki mój przyjaciel pomógł mi ujrzeć to jasno. Poczulem ulgę. Znając już imię mego nieszczęścia, może będę mógł skuteczniej z nim walczyć. Nie było już bezcielesne i nieuchwytnie, przybrało nazwę i kształt.

Słowo to drażyło mnie bezustannie. Szukałem pretekstu, by cisnąć papiery i rzucić się do akcji. Mierziło mnie to nędzne godło na mojej tarczy. I oto przed miesiącem znalazłem wymarzoną okazję. Wydzierżawiłem na wybrzeżu Krety, od strony Morza Libijskiego, jakąś opuszczoną kopalnię węgla brunatnego i miałem teraz żyć wśród prostych ludzi, robotników, chłopów, z dala od rasy gryzipiórków.

Wielce przejęty gotowałem się do wyjazdu, jakby wyjazd ten miał w sobie jakieś ukryte znaczenie. Zdecydowałem się zmienić styl życia. "Duszo moja — mówiłem sobie — dotąd widziałaś jedynie cień i tym się zadowalałaś, teraz oblokę cię w ciało".

Wreszcie byłem gotów. W przeddzień, grzebiąc w papierach, znalazłem nie dokończony rękopis. Wziąłem go i oglądałem niezdecydowany. Od dwóch lat w głębi mojej duszy jak ziarno kiełkowało wielkie pragnienie. Budda. Czułem nieustannie, jak

rozrasta się i zżera moje wnętrzości. Rosło, poruszało się, zaczęło uderzać stopą w moją pierś, chcąc wydostać się na zewnątrz. Nie miałem odwagi zniszczyć go. Nie mogłem. Było już zresztą za późno na takie duchowe poronienie.

Nagle, gdy tak stałem niezdecydowany z rękopisem w ręku, objawił mi się pełen ironicznej czułości uśmiech mego przyjaciela. "Zabiorę — powiedziałem dotknięty do żywego — zabiorę go. Nie uśmiechaj się". Owinąłem rękopis troskliwie jak niemowlę w pieluszki i zabrałem.

Głos kapitana Lemonisa brzmiał ciężko i ochryple. Nastawiłem ucha, opowiadał o duszkach wodnych, które podczas burzy wdrapały się na maszty jego łodzi i lizały je.

— Są miękkie i śliskie — mówił — ale gdy się ich dotyka, ręka zaczyna płonąć. Kiedy podkręciłem sobie węża, w ciemności świeciłem jak diabeł. Więc jak wam już mówiłem, woda dostała się do łodzi i zalała ładunek węgla, który nadmiernie obciążył łódź, tak że zaczęła się przechylać. Ale Bóg miał nas w swojej pieczy, zesłał grom. Pokrywa luku otworzyła się gwałtownie i morze uniosło węgiel. Łódź stała się lżejsza i wyprostowała się. Byliśmy uratowani. To wszystko.

Wyjąłem z kieszeni małe wydanie Dantego — towarzysza podróży. Zapaliłem fajkę, oparłem się o ścianę i rozsiadłem wygodnie. Przez chwilę wahałem się. Do jakich strof sięgnąć? Do palącej smoły piekła czy do odradzających płomieni czyśca? Czy też mam udać się prosto przed siebie na najwznioślejsze szczyty ludzkiej nadziei? Do mnie należy wybór. Trzymałem kieszonkowe wydanie Dantego i rozkoszowałem się swoją wolnością. Strofy, które wybiorę o świcie, użyczą swojego rytmu całemu dniu. Chcąc podjąć decyzję, pozwoliłem owładnąć sobą tej wizji, lecz nie na długo. Nagle zaniepokojony uniosłem głowę. Nie wiem, dlaczego doznałem wrażenia, jakby dwoje oczu wierciło mi otwory w czaszce. Spojrzałem szybko za siebie w stronę oszklonych drzwi. Szalona nadzieja błyskawicą przeszła mózg: "Znowu zobaczę przyjaciela". Byłem gotów przyjąć cud, lecz cud nie nastąpił. Jakiś nieznajomy, lat około sześćdziesięciu, bardzo wysoki i chudy, przylepiwszy nos do szyby spoglądał na mnie szeroko rozwartymi oczami. Trzymał pod pachą mały, płaski tobolek.

Największe wrażenie zrobiło na mnie jego zachłanne, uporczywe spojrzenie, jego oczy, smutne, niespokojne, drwiące i pełne ognia. Przynajmniej takie wydały mi się przez chwilę.

Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, nieznajomy — jakby przekonany, że jestem tym, kogo szuka — wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. Szybkim,

zwinnym krokiem lawirował pomiędzy stolikami, aż stanął przede mną.

— W podróż? — zapytał. — Dokąd Bóg prowadzi?

— Na Kretę. Dlaczego pytasz?

— Zabierzesz mnie z sobą?

Spojrzałem na niego uważnie. Zapadnięte policzki, mocna szczęka, wystające kości policzkowe, szpakowate kędzierzawe włosy, błyszczące, przenikliwe oczy.

— Po co? Co z tobą zrobię?

Wzruszył ramionami.

— Po co!? Po co!? — wykrzykiwał z pogardą. — Czyż nic nie można zrobić bez celu? Tak sobie, bo ci się tak podoba. Więc dobrze, weź mnie — powiedzmy — jako kucharza. Umieję gotować zupy, o jakich ci się nie śniło...

Roześmiałem się. Podobał mi się jego bezceremonialny sposób bycia i to, co mówił. Zupy też. "Nie byłoby źle — pomyślałem — zabrać z sobą tego starego dryblasza na dalekie puste wybrzeże. Zupy, gawędy..." Wyglądało na to, że niemało tłukł się po świecie, coś w rodzaju Sindbada Żeglarza. Podobał mi się.

— O czym myślisz? — spytał obcesowo, potrząsając wielką głową. — Porównujesz szale wagi? Ważysz wszystko z dokładnością grama? A więc zdecyduj się, przyjacielu. Puść się na otwarte wody.

Stał nade mną chudy i tak ogromny, że zmęczyło mnie zadzieranie głowy, gdy z nim rozmawiałem. Zamknąłem Dantego.

— Siadaj — powiedziałem. — Napijesz się szalwii?

Usiadł, ostrożnie położył tobolek na krześle obok.

— Szalwii? — spytał pogardliwie. — Kelner, jeden rum!

Sączył rum małymi łyżkami, długo smakując go w ustach, a potem przełykając powoli, aby rozgrzać się od wnętrza. "Zmysłowiec — pomyślałem — znawca..."

— Jaki masz zawód? — zapytałem.

— Wszystkie zawody. Pracuję nogami, rękoma, mózgiem — wszystkim. Tego by jeszcze brakowało, żebym wybierał.

— Gdzie pracowałeś ostatnio?

— W kopalni. Jeśli cię to interesuje, jestem niezłym górnikiem, wiem coś niecoś o metalach, potrafię znaleźć cenne żyły w ziemi, buduję sztolnie, zjeżdżam do szybu, Niczego się nie boję. Pracowałem dobrze. Byłem majstrem, nie miałem powodu się skarżyć, ale diabeł pomieszał wszystko swoim ogonem. W ubiegłą sobotę ogarnął mnie wesoły nastrój, bez zastanowienia poszedłem do właściciela, który

akurat przyjechał na inspekcję, i stłukłem go na kwaśne jabłko.

— Dlaczego? Co ci zrobił?

— Mnie? Nic. Doprawdy nic, wierz mi. Po raz pierwszy widziałem pocziwinę. Biedak poczęstował nas nawet papierosami.

— A więc?

— E, ciągle pytasz. To naszło na mnie, mój stary. Znasz historyjkę o młynarce? Czego spodziewasz się po tylku młynarki, ortografii? Tyłek młynarki nie jest od myślenia.

Czytałem wiele określeń dotyczących umysłu ludzkiego, ale to wydało się niezwykle i podobało mi się. Spojrzałem na mego nowego towarzysza z żywym zainteresowaniem. Twarz pokryta bruzdami, zżarta deszczem i wiatrem, była jak stoczone przez robaki drzewo. Podobne wrażenie sponiewieranego, umęczonego drzewa zrobiła na mnie kilka lat później twarz Panaita Istratiego.

— Co masz w tobołku? Jedzenie? Ubranie? Narzędzia?

Mój towarzysz wzruszył ramionami śmiejąc się.

— Za przeproszeniem — powiedział — wydajesz się zupełnie rozsądny.

Pieścił zawiniątko swymi długimi, twardymi palcami.

— Nie — rzucił — to jest *santuri*.

— *Santuri*. Umiesz grać na *santuri*?

— Kiedy mnie przycisnie bieda, chodzę po kafejkach grając na *santuri*. Śpiewam stare, macedońskie ballady zbójckie. Potem zdejmuję czapkę — ten oto beret — i chodzę wokoło, a ona napęlnia się forszą.

— Jak się nazywasz?

— Aleksy Zorba. Nazywają mnie też "Piekarska Szufła", bo jestem długi i chudy i mam czaszkę spłaszczoną jak placek. Nazywają mnie jeszcze "Passa Tempo", ponieważ swego czasu sprzedawałem palone ziarna dyni. Mówią też o mnie "Zaraza", gdyż podobno, jak się tylko gdzieś pojawię i zacznę swoje sztuczki, wszystko wokół schodzi na psy. Mam jeszcze inne przydomki, ale o tym kiedy indziej...

— Jak nauczyłeś się grać?

— Miałem dwadzieścia lat. Na festynie w mojej wiosce u stóp Olimpu usłyszałem po raz pierwszy dźwięk *santuri*. Z zachwytu zapało mi dech, przez trzy dni nie mogłem niczego przełknąć. "Co ci jest?" — zapytał mnie pewnego wieczoru ojciec, niech spoczywa w pokoju. — "Chcę się nauczyć grać na *santuri*". "Jak ci nie wstyd. Nie jesteś Cyganem. Chyba nie chcesz powiedzieć, że zamierzasz zostać

grajkiem?" "Chcę się nauczyć grać na *santuri*..." Miałem kilka groszy zaoszczędzonych na wypadek ożenku. Widzisz, byłem jeszcze szczeniakiem o gorącej krwi, chciało się żenić durnemu koźlakowi. Wydałem więc wszystko, co miałem, i kupiłem *santuri*. Widzisz, to właśnie. Uciekłem potem do Salonik, gdzie odszukałem Turka, niejakiego Retsep-efendi, nauczyciela gry na *santuri*. Rzuciłem mu się do stóp. "Czego chcesz, mój mały Greku?" — spytał. "Chcę się nauczyć grać na *santuri*". "Dobrze, ale dlaczego rzucasz mi się do stóp?" "Bo nie mam ani grosza, by ci zapłacić". "Czyżbyś miał bzika na punkcie *santuri*?" "Tak jest". "Zostań więc, mój chłopcze, nie chcę zapłaty". Byłem tam rok i uczyłem się u niego. Niech Bóg ma w opiece jego prochy — bo już chyba nie żyje. Jeśli Bóg pozwala psom wejść do swego raju, niech otworzy jego bramy przed Retsep-efendim. Od czasu, gdy nauczyłem się grać na *santuri*, stałem się innym człowiekiem. Kiedy dręczy mnie smutek lub doskwiera mi bieda, gram na *santuri* i to mnie pociesza. Kiedy gram, można do mnie mówić, nie słyszę, a: jeśli nawet słyszę, nie mogę mówić. Gdybym nawet chciał — nie mogę.

— Ale dlaczego, Zorbo?

— Och, nie wiesz? Namiętność.

Drzwi otwarły się. Do kafejki znowu wtargnął szum morza. Nogi i ręce lodowaciały. Jeszcze głębiej zapadłem w swój kąt i otuliłem się płaszczem. Rozkoszowałem się niebiańską szczęśliwością tej chwili. "Dokąd iść? — pomyślałem. — Dobrze mi tu. Oby ta chwila trwała wiecznie".

Spoglądałem na dziwnego faceta naprzeciwko mnie. Utkwił we mnie małe, okrągłe, czarne niby smoła oczy z czerwonymi żyłkami na białkach. Czułem, jak przenikają mnie badawczo, nienasycone.

— A więc? — spytałem. — A potem?

Zorba znowu wzruszył kościstymi ramionami.

— Zostaw już to — powiedział. — Dasz mi papierosa?

Dałem mu. Wyjął z kieszeni kamień do zapalniczki i knot, zapalił. Z zadowoleniem przymknął oczy.

— Czy jesteś żonaty?

— Czyż nie jestem mężczyzną? — powiedział rozdrażniony. — Jestem mężczyzną — to znaczy ślepcem. Jak wszyscy przede mną tak i ja zwałem się do dołu na łeb, na szyję. Ożeniłem się. Zacząłem się staczać. Zostałem głową rodziny, wybudowałem dom, miałem dzieci — same kłopoty. Ale niech będzie błogosławione *santuri*.

– Grałeś sobie, aby odpędzić troski?

– Ach, mój stary, widać, że nie grasz na żadnym instrumencie. Co za bzdury opowiadasz? W domu są same zmartwienia. Żona, dzieci. Co będzie się jadło, co włoży się na grzbiet? Co będzie z nami dalej? Piekło. Nie, *santuri* wymaga radosnego nastroju, dla *santuri* trzeba być czystym. Jak mogą być w nastroju do gry na *santuri*, kiedy żona gada jak najęta. Spróbuj grać na *santuri*, kiedy dzieci są głodne i wrzeszczą jak opętane. Aby grać na *santuri*, trzeba zapomnieć o wszystkim, rozumiesz?

Pojąłem, że Zorba jest człowiekiem, którego daremnie tak długo szukałem. Żywe serce, szerokie żarłoczne usta, wielka prosta dusza, zrosnięta jeszcze z matką-ziemią.

Ten robotnik najprostszymi z ludzkich słów wyjaśnił mi znaczenie takich pojęć, jak sztuka, miłość, piękno, czystość, namiętność. Patrzyłem na jego muskularne ręce, pokryte odciskami, popękane i zniekształcone, które umiały się obchodzić z kilofem i z *santuri*. Ręce te, troskliwie i czule, jakby rozbierały kobietę, otwarły worek i wyjęły stamtąd stare *santuri* wypolerowane w ciągu wielu lat, z mnóstwem strun, ozdobione mosiądzem. Grube palce pieściły je powoli, namiętnie, jakby pieściły kobietę. Potem otuliły je na nowo, jak się otula ciało ukochanej istoty, aby uchronić je przed zaziębieniem.

– Oto moje *santuri* — wyszeptał, kładąc je ostrożnie na krześle.

Marynarze, śmiejąc się głośno, tręcali się kieliszkami. Jakiś stary wilk morski przyjaźnie poklepał kapitana Lemonisa po ramieniu.

– Miałeś porządnego stracha, kapitanie, przyznaj się. Bóg jeden wie, ile świec obiecałeś świętemu Mikołajowi.

Kapitan zmarszczył krzaczaste brwi.

– Klnę się na morze, chłopaki, gdy śmierć zajrzała mi w oczy, nie pomyślałem ani o Matce Boskiej, ani o świętym Mikołaju. Zwróciłem się ku Salaminie. Pomyślałem o żonie i zawołałem: “Ach, moja poczciwa Katarzyno, gdybym mógł być teraz w twoim łóżku!”

Marynarze znowu zarechotali. Kapitan Lemonis śmiał się również.

– Patrzcie, jakim dziwnym zwierzęciem jest człowiek — powiedział. — Archanioł śmierci wznosi swój miecz nad jego głową, a jego myśl jest tam, nie gdzie indziej, lecz właśnie tam. Niech go diabli porwą, starego rozpustnika.

Klasnął w ręce.

– Kolejka dla chłopców! — zawołał do kelnera.

Zorba słuchał, nastawiając wielkie uszy. Odwrócił się, spojrzął na marynarzy, potem na mnie.

— Gdzie jest to "tam"? — zapytał. — Co ten typ plecie?

Nagle zrozumiał i podskoczył.

— Brawo, przyjacielu! — zawołał z zachwytem. — Ci marynarze wiedzą, w czym rzecz. Pewnie dlatego, że dzień i noc wodzą się za łby ze śmiercią.

Podniósł do góry swoją wielką pięść.

— Dobrze — powiedział — to inna materia. Przejdźmy do naszej: mam zostać czy odejść? Decyduj.

— Zorbo — powiedziałem, z trudem hamując chęć rzucenia mu się w ramiona. — Zgoda, Zorbo, idziesz ze mną. Mam kopalnię na Krecie, będziesz nadzorował robotników. Wieczorem rozciągniemy się obaj na piasku — nie mam żony ani dzieci, ani psa — będziemy jedli i pili. A potem zagrasz na *santuri*.

— ... Jeśli będę w nastroju, słyszysz? Jeśli będę miał nastrój. Będę pracował dla ciebie, ile zechcesz, jestem twoim człowiekiem. Ale *santuri* to zupełnie inna sprawa. To dzikie zwierzę, które musi mieć wolność. Jeśli będę w nastroju — zagram. Nawet zaśpiewam. A nawet zatańczę *zebekiko* i *sirtaki*. Lecz mówię szczerze — muszę mieć natchnienie. Stawiamy sprawę jasno. Jeśli spróbujesz mnie zmuszać — wszystko skończone. Musisz wiedzieć, że w tych sprawach jestem mężczyzną.

— Mężczyzną? Co chcesz przez to powiedzieć?

— No, wolnym.

— Jeszcze jeden rum! — zawołałem.

— Dwa razy rum! — krzyknął Zorba. — Ty też wypijesz jednego, musimy się trącić. Szałwia i rum nie stanowią dobrej pary. Poza tym musisz wypić, aby oblać naszą umowę.

Trąciliśmy się szklaneczkami. Było już całkiem jasno. Statek zahuczał. Przewoźnik, który zaniósł moje walizki na pokład, skinął na mnie.

— Chodźmy — powiedziałem wstając. — Niech nas Bóg wspomaga!

— ... I diabeł — uzupełnił spokojnie Zorba.

Pochylił się, wziął pod pachę *santuri*, pchnął drzwi i ruszył przodem.

2.

Morze, słodycz jesieni, wyspy skąpane w świetle, przezroczysty welon drobniutkiej mżawki, powlekający nieśmiertelną nagość Grecji. Myślałem, jak szczęśliwy jest człowiek, któremu przed śmiercią dane było żeglować po Morzu Egejskim.

Wiele rozkoszy kryje w sobie ten świat — kobiety, owoce, idee. Ale pruć to morze w czas cichej jesieni, szepecąc imię każdej wyspy — to rozkosz, która zdolna jest przenieść serce człowieka wprost do rajów. Nigdzie tak łagodnie i łatwo nie przechodzi się od rzeczywistości do marzenia. Zacierają się granice, a maszty najstarszych okrętów obrastają owocami jak pędy winogron. Można powiedzieć, że tu, w Grecji, cud rodzi się na zawołanie.

Koło południa deszcz ustał, słońce wyjrzało spoza chmur łagodne, ciepłe, orzeźwiające i świeże i pieściło promieniami ukochane wody i lądy. Stałem na dziobie i upajałem się tym cudem, który objawiał się w krąg jak okiem sięgnąć.

Na statku panoszyli się Grecy, diablo złośliwi, o chciwych oczach, umysłowości przekupniów; intrygi i kłótnie, rozstrojone pianino, przyzwoite kobiety i złośliwe jędze, atmosfera prowincjonalnej nędzy. Ogarniało człowieka pragnienie, aby uchwycić ten statek z dwóch końców, zanurzyć go w morzu i potrząsnąć nim mocno, oczyścić go z wszelkiego robactwa, które go plugawi — ludzi, szczurów, pluskiew — aby wypłynął znowu na fale pusty i wymyty.

Chwilami brała mnie litość. Litość buddyjska, zimna jak wniosek sylogizmu metafizycznego. Litość nie tylko dla ludzi, lecz dla całego świata, który walczy, krzyczy, płacze, żywi jakieś nadzieje i nie widzi, że wszystko to jest mirażem nicości. Litowałem się nad Grekami i nad statkiem, i nad morzem, i nad sobą, i nad kopalnią węgla brunatnego, i nad swoim nie dokończonym rękopisem "Buddy", i nad tymi wszystkimi złudnymi kombinacjami światła i cienia, które nagle mącą i zanieczyszczają czyste powietrze.

Spoglądałem na ściągniętą, woskowożółtą twarz Zorby. Siedział na zwoju lin na dziobie. Wąchał cytrynę, nastawiał swoje wielkie uszy i wsłuchiwał się w kłótnie pasażerów, spośród których jedni byli zwolennikami króla, inni Wenizelosa. Kiwał swoją wielką głową i splotował.

— Stare bajdy! — mruknął z pogardą. — Oni nie mają wstydu.

— Co za stare bajdy, Zorbo?

— No wszystko: królowie, demokracje, głosowania, posłowie — zawracanie głowy.

Dla Zorby współczesne wydarzenia były jedynie kupą staroci, tak bardzo je wyprzedzał. Telegraf, statek parowy, kolej żelazna, powszechna moralność, religia — wszystko to było dla niego zapewne jak sterane, zardzewiałe karabiny. Jego dusza posuwała się naprzód znacznie szybciej niż nasz świat.

Trzeszczały liny masztów, wybrzeże wirowało, kobiety zżółkły jak cytryny. Złożyły broń — szminki, gorsety, spinki, grzebienie. Wargi im zbieleły, paznokcie zsiniały. Stare sroki traciły cudze piórka — wstążeczki, sztuczne rzęsy, sztuczne pieprzyła. Wstrząsane torsjami, budziły niesmak i litość.

Zżółkł i pozieleniał także Zorba. Jego błyszczące oczy zmatowiały. Dopiero pod wieczór jego spojrzenie ożywiło się. Wyciągnął rękę i wskazał dwa ogromne delfiny, które skakały, chcąc wyprzedzić statek.

— Delfiny! — zawołał radośnie.

Wtedy dopiero zauważyłem, że wskazujący palec jego lewej ręki jest ucięty prawie do połowy. Wzdrygnąłem się i zrobiło mi się niedobrze.

— Co się stało z twoim palcem? — zawołałem.

— Nic — odparł trochę dotknięty, że nie dość ucieszył mnie widok delfinów.

— Czy to maszyna ci go ucięła? — nalegałem.

— Jaka tam maszyna? Sam sobie uciałem.

— Sam? Dlaczego?

— Nie zrozumiesz tego, szefie — powiedział, wzruszając ramionami. — Mówiłem ci, że próbowałem wszystkich zawodów. Swego czasu byłem garncarzem. Kochałem tę pracę do szaleństwa. Wyobrażasz sobie, co to znaczy wziąć do ręki kawał gliny i zrobić z niej wszystko, co ci się spodoba? Trrr! Koło furkoce, glina kręci się jak szalona, a ty stoisz nad nią i mówisz: "Zrobię dzban, zrobię talerz, zrobię świecznik i diabli wiedzą, co jeszcze". Oto co znaczy być człowiekiem: wolność.

Zapomniał o morzu, nie gryzł już cytryny, oczy odzyskały blask.

— Tak, ale co z palcem? — dopytywałem się.

— Och, przeszkadzał mi, wkręcał się w koło, odstawał i psuł najdoskonalsze kształty. Pewnego dnia chwyciłem więc siekierę...

— I nie bolało cię?

— Jak to nie bolało? Nie jestem z drewna. Jestem człowiekiem. Bolało mnie,

oczywiście. Ale — powtarzam — przeszkadzał mi, więc go obciąłem.

Słońce zaszło, morze uspokoiło się nieco, rozproszyły się chmury. Na niebie zajaśniała pierwsza gwiazda. Spoglądałem na morze, na niebo, pogrążyłem się w zadumie... Kochać tak bardzo, aby schwycić siekiere, uderzyć i cierpieć... Ale ukryłem wzruszenie.

— Nie najlepszy to sposób, Zorbo — powiedziałem z uśmiechem. — Przypomina mi to ascetę z legendy, którym tak wstrząsnął widok kobiety, że złapał siekiere...

— Idiota! — przerwał mi Zorba, odgadując dalszy ciąg. — Ten mały szczegół nigdy nie przeszkadza.

— Jak to? — upierałem się. — Nawet bardzo przeszkadza.

— W czym?

— Abyś wszedł do królestwa niebieskiego.

Zorba popatrzył na mnie ironicznie, z ukosa.

— Ależ, idioto, toż to jest właśnie klucz do rajy!

Podniósł głowę, spojrzał na mnie uważnie, jakby chciał zbadać, co myślę o przyszłym życiu, o królestwie niebieskim, o kobietach, o księżach. Niewiele widać osiągnął, bo potrząsnął nieufnie swoją szpakowatą głową.

— Kastraci nie wejdą do rajy — stwierdził i zamilkł.

Położyłem się w swojej kabinie, wziąłem do ręki jakąś książkę. Znowu Budda ovladnął moimi myślami. Czytałem "Dialog Buddy i pasterza", który w ostatnich latach dawał mi poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

"Pasterz: — Posilek mój jest gotów, wydoilem moje owce, zarygnowałem drzwi mojej lepianki, rozpalilem ogień, a ty, niebo, możesz spływać deszczem, ile zechcesz.

Budda: — Nie trzeba mi strawy ni mleka, lepianką moją są wiatry, ogień mój zgasł, a ty, niebo, możesz spływać deszczem, ile zechcesz.

Pasterz: — Mam woły, mam krowy, odziedziczyłem po ojcu pastwiska i byka, który pokrywa moje krowy, a ty, niebo, możesz spływać deszczem, ile zechcesz.

Budda: — Nie mam pastwisk, nie mam wołów ni krów, nie mam nic, nie boję się niczego, a ty, niebo, możesz spływać deszczem, ile zechcesz.

Pasterz: — Mam przy sobie łagodną i wierną pastuszkę. Od wielu lat jest moją żoną. Szczęśliwy jestem radością, którą obdarza mnie co noc, a ty, niebo, możesz spływać deszczem, ile zechcesz.

Budda: —Jestem wolny, a moje serce jest mi posłuszne. Od lat ćwiczę je, aby obdarzało mnie radością, a ty, niebo, możesz służyć deszczem, ile zechcesz".

Te dwa głosy towarzyszyły mi nawet wtedy, gdy już zapadłem w sen. Znowu zerwał się wiatr i fale uderzały o przezroczyste, grube szkło okienka mojej kajuty. Niby smuga dymu unosiłem się między snem a jawą. Wybuchła gwałtowna burza. Wody pokryły pastwiska, pochłonęły krowy, woły i byka. Wiatr zerwał poszycie chaty, ogień zgasł, kobieta krzyknęła i martwa osunęła się w błoto, a pasterz oplakiwał ją w głos. Nie rozumiałem słów, ale słyszałem ten krzyk, i wciąż coraz głębiej zapadałem w sen jak ryba, która ześlizguje się w morskie głębiny.

Kiedy obudziłem się o świcie, z prawej strony rozciągała się wielka, wspaniała wyspa, wyniosła i dzika. Bładoróżowe szczyty górskie uśmiechały się spoza mgieł do jesiennego słońca. Wokół nas szafirowe morze kłębiło się wciąż niespokojnie.

Zorba, otulony w brązowy koc, zachłannie wpatrywał się w Kretę. Jego spojrzenie raz po raz przenosiło się z gór ku dolinom, biegło wzdłuż brzegu, jakby ten brzeg i ten ląd był mu już dobrze znany i jakby teraz cieszył się, że znów może błądzić po nim myślami.

Zbliżyłem się i dotknąłem jego ramienia.

— Zapewne nie pierwszy raz jesteś na Krecie, Zorbo — powiedziałem. — Patrzysz na nią jak stary przyjaciel.

Zorba ziewnął jakby znudzony. Wyczułem, że nie ma ochoty do rozmowy. Uśmiechnąłem się.

— Nudzi cię rozmowa, prawda?

— Nie, szefie, nie nudzi; trudno mi mówić.

— Trudno? Dlaczego?

Nie od razu odpowiedział. Nieustannie wodził wzrokiem po wybrzeżu. Spędził noc na pokładzie, rosa zwilżyła jego kręcone, szpakowate włosy. Wschodzące słońce wydobyło głębokie bruzdy na policzkach, podbródki i na szyi.

Grube, obwisłe jak u kozła wargi poruszyły się w końcu.

— Trudno mi z rana otwierać gębę. Bardzo trudno. Wybacz mi.

Zamilkł i znowu utkwiał w Krecie swoje małe okrągłe oczka.

Gong wezwał na pierwsze śniadanie. Z kajut poczęły wyłaniać się zmięte, zielonożółte twarze. Kobiety z rozsypującymi się włosami chwiejnym krokiem wlokły się od stołu do stołu. Cuchnęły torsjami i wodą kwiatową, spojrzenia miały zamglone,

przerażone i głupie.

Siedzący naprzeciwko Zorba zmysłowo, wschodnim zwyczajem, wachał swoją kawę. Smarował chleb masłem i miodem i jadł. Twarz jego rozpogadzała się i uspokajała, linia ust łagodniała. Przyglądałem się ukradkiem, jak powoli wyzwalał się z pancerza snu, a oczy nabierały blasku.

Zapalił papierosa, zaciągnął się z rozkoszą i przez owłosione nozdrza wypuścił kłęb błękitnego dymu. Podwinąwszy prawą nogę usadowił się wygodnie na wschodnią modłę; teraz mógł już mówić.

— Czy pierwszy raz przybywam na Krete? — zaczął, spod półprzymkniętych powiek spoglądając przez okienko na górę Idę, która znikła za nami w oddali. — Nie, nie pierwszy. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku byłem już dorosłym mężczyzną. Moje wąsy i włosy miały swój naturalny kolor, czarny jak skrzydło kruka. Miałem wszystkie trzydzieści dwa zęby i gdy się upiłem, pochłaniałem najpierw zakąski, a potem talerz, na którym leżały. Właśnie wtedy diabli nadali wybuch powstania na Krecie.

Byłem wówczas domokrażnym kupcem w Macedonii. Wędrowałem od wioski do wioski, sprzedając różne drobiazgi, i zamiast pieniędzy brałem ser, wełnę, masło, króliki, kukurydzę, a potem odsprzedawałem to wszystko za podwójną cenę. Obojętne, gdzie zastawała mnie noc, wiedziałem, u kogo zanoć — w każdej wiosce znajdzie się zawsze jakaś wdowa o czułym sercu, niech jej Bóg błogosławi. Dawałem jej kłębek nici, grzebień lub chustę, oczywiście czarną, z uwagi na żałobę, i kładłem się z nią do łóżka. Niewiele to kosztowało.

Tak, szefie, niewiele mnie to kosztowało i bawiłem się świetnie. Ale jak już powiedziałem, diabeł pomieszał szyki i Kreta znów chwyciła za broń. “Do diabła z nią — powiedziałem. — Ta Kreta nigdy nie da nam spokoju?” Rzuciłem nici i grzebień, chwyciłem karabin i dołączyłem do powstańców na Krecie.

Zorba zamilkł. Byliśmy w okrągłej zatoce, spokojnej i piaszczystej. Fale kładły się łagodnie, nie rozbijając się, lecz opadając cieniutką pianą wzdłuż wybrzeża. Chmury rozproszyły się, rozbłysło słońce, pogoda wygładziła ostre kontury wyspy.

Zorba odwrócił głowę, spojrzał na mnie drwiąco.

— Nie wyobrażaj sobie, szefie, że zacznę ci teraz opowiadać, ile tureckich głów obciąłem i ile tureckich uszu włożyłem do spirytusu — zgodnie z kretańskim zwyczajem... Nic z tego. Nie mam ochoty, wstydzę się. Co za barbarzyństwo — myślę dopiero teraz, kiedy nabrałem rozumu. Co za barbarzyństwo rzucać się na człowieka, który nie

zrobił ci nic złego, gryźć go, obcinać nos, obrywać uszy, rozpruwać brzuch, i to wszystko — wzywając Boga na pomoc. To znaczy chcemy, żeby i on obcinał nosy, uszy i rozpruwał brzuchy? Ale widzisz, wtedy miałem gorącą krew. Czyż mogłem przystawać, aby zadać sobie pytania: "Dlaczego? Po co?" Mądre, sprawiedliwe myśli przychodzą wraz ze starością i spokojem. Kiedy się jest bezzębnym starcem, łatwo mówić: "Hańba, chłopcy, nie wolno gryźć!" Ale gdy się ma wszystkie trzydzieści dwa zęby... Tak, szefie, młody człowiek jest jak dzika bestia, która pożera ludzi.

Pokiwał głową.

— Pożera przecież kury i świnię, ale nie jest syta, jeśli nie pożre człowieka. — Zgniółł papierosa na podstawce i dorzucił:

— Nie jest syta. Co o tym sądzisz, uczony mężu? I nie czekając na odpowiedź, ciągnął, mierząc mnie wzrokiem.

— Zresztą, co ty możesz powiedzieć? O ile wiem, wasza wysokość nigdy nie była głodna, nie zabijała, nie kradła, nie cudzołożyła. Cóż ty możesz wiedzieć o świecie? Niewinny umysł, niepokalane ciało... — mrucał z wyraźną pogardą.

Wstyd mi było moich wydelikacyonnych rąk, bladej twarzy i życia nie skalanego krwią ani błotem.

— Dobrze — powiedział Zorba, przesuując ciężką dłońią po stole, jakby ścierał coś gąbką. — Dobrze. Chciałem cię jednak o coś zapytać. Przewertowałeś stosy ksiąg, może wiesz...

— Mów, Zorbo, co?

— Jest w tym wszystkim coś bardzo dziwnego, szefie, coś, co nie mieści mi się w głowie. Te wszystkie łajdactwa, grabieże, mordy, których dopuściliśmy się my, partyzanci, utorowały drogę na Kretę księciu Jerzemu. Wolności.

Spoglądał na mnie zdumiony, z wytrzeszczonymi oczami.

— To niepojęte — mrucał. — Zupełnie niepojęte. Żeby zapanowała na świecie wolność, trzeba było tylu zbrodni i morderstw? Gdybym ci uprzytomnił wszystkie mordy i bezeceństwa, jakich się dopuściliśmy, włosy powstałyby ci na głowie. A jednak jaki skutek? Wolność. Bóg zamiast spalić nas piorunem dał nam wolność. Nic nie rozumiem...

Patrzył na mnie, jakby wzywając pomocy. Widać bardzo gnębiła go ta myśl, nie mógł sobie z nią poradzić.

— Czy ty to rozumiesz, szefie? — zapytał z lękiem.

Co tu można rozumieć? Co powiedzieć? Albo to, co nazywamy Bogiem, nie

istnieje, albo to, co nazywamy mordem i podłością, jest konieczne w walce o wyzwolenie świata...

Próbowałem znaleźć dla Zorby prostsze wyjaśnienie.

— W jaki sposób w gnoju i błocie kiełkuje i wyrasta kwiat? Pomyśl, Zorbo, człowiek to gnój i błoto, a wolność to kwiat.

— A ziarno? — krzyknął Zorba, tłukąc pięścią w stół. — Aby wyrósł kwiat, musi być ziarno. Kto zasiał je w naszych ohydnych trzewiach? Dlaczego kwiat nie wyrasta z ziarna zasianego w glebie dobroci i uczciwości? Dlaczego łaknie krwi i nieczystości?

Potrząsnąłem głową.

— Nie wiem — powiedziałem.

— A kto wie?

— Nikt.

— A zatem — krzyknął Zorba z rozpaczą, tocząc dookoła dzikim wzrokiem — na co mi statki, maszyny i krawaty?

Grupka zmaltretowanych przez morze pasażerów, pijących kawę przy sąsiednim stole, ożywiła się. Wyczuli awanturę i nastawili uszu.

Zorba niezadowolony ściszył głos.

— Mówmy o czym innym — powiedział. — Kiedy o tym myślę, mam ochotę tłuc wszystko, co mi wpada w rękę — krzesło, lampę — a własną głowę rozbić o ścianę. Tylko co mi z tego przyjdzie? Zapłacę za rozbite naczynia, pójdę do doktora, który obandażuje mi głowę. A jeśli dobry Bóg istnieje, tym gorzej, przepadłem z kretesem. Patrzy na mnie z nieba i pokłada się ze śmiechu.

Machnął gwałtownie ręką, jakby chciał odpędzić dokuczliwą muchę.

— Zresztą — rzekł znudzony — chciałem ci tylko powiedzieć, że gdy nadpłynął królewski okręt obwieszony sztandarami, kiedy działa wystrzeliły na wiwat i stopa księcia dotknęła Krety... Czy widziałeś kiedyś lud, który szaleje upojony wolnością? Nie? A więc, mój biedny szefie, urodziłeś się ślepcem i ślepcem umrzesz. Gdybym miał żyć tysiąc lat i gdyby pozostał ze mnie tylko strzęp żywego ciała, nigdy nie zapomnę tego, co widziałem owego dnia. I gdyby człowiek mógł wybierać swój raj według własnego gustu — a tak być powinno, tak właśnie wyobrażam sobie raj — powiedziałbym do Stwórcy: "Panie, spraw, aby rajem moim była Kreta, spowita w mirty i sztandary, i aby wiecznie trwała owa chwila, kiedy książę Jerzy postawił stopę na ziemi kreteńskiej... Niczego więcej nie pragnę".

Zorba znowu umilkł. Podkreślił wąża, nalał pełną szklanekę zimnej wody i wypił

duszkciem.

— Co się działo na Krecie? Opowiedz, Zorbo.

— Co tu dużo gadać? — rzekł zirytowany. — Mówię ci, dziwny jest ten świat, a człowiek na nim to wielka bestia. Wielka bestia i wielki bóg. Pewien łajdak spośród powstańców, którzy wraz ze mną wyszli z Macedonii, złodziej i rzeźmieszek zwany Jorga, wstrętna świnia, cóż, i on płakał. “Dlaczego płaczesz, łotrze Giorgarosie? — zapytałem go wylewając potoki łez. — Czego płaczesz, wieprzu?” A on rzuca mi się w ramiona i zaczyna mnie całować, szlochając jak małe dziecko. Potem ten podły skąpiec wyciąga sakiewkę, wysypuje na kolana złote monety, zrabowane na Turkach, i rzuca je garściami w powietrze. Rozumiesz, szefie, co to jest wolność?

Podniosłem się i wyszedłem na pokład, gdzie owionął mnie ostry morski wiatr.

“Oto jest wolność — pomyślałem. — Niewolnik namiętności zbierania złotych monet nagle przewycięża tę namiętność i rozrzuca swój skarb na cztery wiatry”.

Wyzwolić się z jednej namiętności, aby poddać się innej, szlachetniejszej... Ale czyż to również nie jest forma niewoli? Poświęcać się dla idei, dla rodzaju ludzkiego, dla Boga? A może im dalej znajduje się pan, tym dłuższy sznur na szyi niewolnika. Możemy wtedy bawić się i dokazywać na szerszej arenie i umrzeć nie naciągnięwszy sznura do końca. Czy nie to właśnie nazywamy wolnością?

Pod wieczór przybiliśmy do piaszczystych wybrzeży. Białe, miękkie piasek, kwitnące jeszcze wawrzyny, róże i figowce, drzewa świętojańskie, nieco dalej na prawo — niewysoka, naga i spopieliała góra, bez jednego drzewa, przypominająca twarz leżącej kobiety, pod której podbródkiem przebiegają brunatne, ciemne żyły węgla.

Wiał jesienny wiatr. Strzępiaste chmury przesuwają się powoli, łagodzą kontury ziemi, przesłaniając ją mrokiem. Inne, groźne, ukazywały się na niebie. Słońce nikło i pojawiało się, oblicze ziemi jaśniało i ciemniało jak żyjąca wzburzona twarz.

Zatrzymałem się chwilę na piasku i rozejrzałem się. Przedemną rozciągała się święta pustka, smutna i urzekająca jak pustynia. Buddyjska pieśń oderwała się od ziemi i przeniknęła mnie do głębi: “Kiedyż wreszcie odejdę w pustkę samotny, bez towarzyszy, bez radości i bez smutku, jedynie ze świętym przeświadczeniem, że wszystko jest tylko snem? Kiedyż.— odziany w łachmany, pozbawiony pragnień — skryję się radosny w górach? Kiedyż widząc, że moje ciało nie jest niczym, jak tylko

chorobą, zbrodnią, starością, śmiercią — pełen radości i wyzwolony od lęku — skryję się w lesie? Kiedy? Kiedy? Kiedy?"

Zbliżył się Zorba ze swoim *santuri*.

— A oto kopalnia — powiedziałem, by ukryć wzruszenie, i wyciągnąłem rękę w stronę pagórka podobnego do kobiecej twarzy.

Ale Zorba nie odwracając się zmarszczył brwi:

— Później, szefie — powiedział. — To nie jest odpowiednia chwila. Najpierw niech ziemia się zatrzyma, ona się jeszcze porusza, psiakrew, ona wciąż jeszcze kręci się, przekłeta, kołysze się jak pokład statku. Chodźmy szybko do wsi — ruszył wielkimi krokami.

Dwaj mali, boski chłopcy, opaleni jak fellachowie, podbiegli do naszych walizek. Niebieskooki, gruby celnik palił nargile w baraku, gdzie mieścił się urząd celny. Zerknął na nas z ukosa, obrzucił nasze bagaże lekceważącym wzrokiem. Poruszył się na krześle, jakby chciał wstać, ale siadł na powrót. Powoli podniósł cybuch:

— Witajcie — powiedział sennie.

Jeden z chłopców zbliżył się do mnie i mrugnął czarnymi jak oliwki oczami:

— On nie jest Kreteńczykiem — powiedział drwiąco. — Dlatego taki leń.

— Kreteńczycy nie są leniwi? — zapytałem.

— Są... ale inaczej... — odrzekł mały.

— Daleko stąd do wioski?

— Na odległość strzału. O, tam, w wąwozie za ogrodami. Piękna wieś, panie, pełno tam wszystkiego: chleb świętojański, groch, oliwki, winnice. A tam na piaskach rosną najwcześniejsze na Krecie ogórki, pomidory, oberżyny, melony. Afrykański wiatr przyspiesza ich dojrzewanie. Jeśli położysz się nocą na plantacji, usłyszysz, jak trzeszczą dojrzewając.

Zorba szedł przodem, jeszcze kręciło mu się w głowie. Splunął.

— Odwagi, Zorbo! — zawołałem. — Wyszliśmy na czyste wody. Nie ma się czego bać.

Przyspieszyliśmy kroku. Ziemia była pomieszana z piaskiem i muszelkami, czasami trafiał się jakiś tamaryszek, dzika figa, gorzkie dziewanny, kępy sitowia. Chmury opadały coraz niżej, wiatr ucichł. Było duszno.

Mijaliśmy wielkie drzewo figowe o podwójnym, skręconym pniu, który zaczynał już próchnieć od starości. Jeden z chłopców zatrzymał się i ruchem głowy wskazał stare drzewo.

– Figowiec Panienki – powiedział.

Poderwało mnie. Na kreteńskiej ziemi każdy kamień, każde drzewo ma swoją tragiczną historię.

– Panienki? Dlaczego?

– W dawnych czasach, jeszcze gdy żył mój dziadek, córka szlachcica zakochała się w młodym pastuszką. Stary hrabia nie chciał słyszeć o małżeństwie. Panienka płakała, szlochała, błagała, ale stary nie ustępował. Pewnego wieczoru młodzi zniknęli. Szukano ich dzień, dwa, trzy, tydzień, nie znaleziono. Było lato, ludzie zaczęli odczuwać jakiś odór, idąc za tym odrażającym zapachem znaleziono pod tym drzewem rozkładające się ciała, splecione w uścisku. Gdyby nie ten smród, nie znaleziono by ich – chłopak wybuchnął śmiechem.

Docierały odgłosy ze wsi: szczekanie psów, przeraźliwy jazgot kobiet, pianie kogutów na zmianę pogody. W powietrzu unosiła się woń fermentujących winogron, z których wyrabiano wódkę.

– Oto i wioska! – krzyknęli chłopcy i ruszyli naprzód.

Okrążyliśmy piaszczyste wzgórze i naszym oczom ukazała się mała wioska, jakby przyczepiona do zbocza. Bielone wapnem, niskie domy tuliły się do siebie. Otwarte okna wyglądały jak ciemne otwory bielejących wśród skał czaszek.

Zbliżyłem się do Zorby.

– Uważaj, Zorbo – powiedziałem cichutko – teraz gdy wchodzimy do wsi, zachowuj się przyzwoicie. Musimy wyglądać jak poważni ludzie interesu: ja – szef, a ty – majster. Kreteńczycy nie żartują. Gdy tylko spojrzą na ciebie, od razu widzą, czy wszystko jest w porządku, a jeśli nie, przykleją ci etykietkę, której się już nie pozbędziesz. A ty biegniesz jak kot z pęcherzem.

Zorba szarpał wąsa i pogrążył się w zadumie.

– Słuchaj, szefie – powiedział wreszcie. – Jeśli w okolicy znajdzie się jakaś wdowa, możesz się nie obawiać, ale jeśli nie...

Kiedy wchodziliśmy do wsi, podbiegła do nas odziana w łachmany żebraczka, ogorzała, pomarszczona, z małym, czarnym, sztywnym wąsem.

– Hej, kumie! – krzyknęła do Zorby. – Kumie, masz ty duszę?

Zorba przystanął.

– Mam – odparł z powagą.

– W takim razie daj pięć drachm – wyciągnęła rękę.

Zorba wyjął z kieszeni zniszczoną, skórzaną sakiewkę.

— Masz — powiedział; uśmiech złagodził gorzki wyraz jego ust. Rozejrzał się wokół.

— Tu, widać, taniocha, szefie, pięć drachm za duszę.

Rzuciły się na nas wsiowe kundły, kobiety wychylały się za parapety okien, dzieci biegły za nami z piskiem. Jedne naśladowały szczekanie psów, inne głosy klaksonów samochodów, jeszcze inne biegły przed nami, spoglądając zachwyconymi oczami.

Dotarliśmy do wiejskiego rynku. Dwie ogromne białe topole otoczone były grubo ciosanymi pniami, które służyły za ławeczki. Naprzeciwko kawiarenka, nad którą wisiał duży wyblakły szyld: "Kawiarnia i masarnia «Cnota»".

— Dlaczego się śmiejesz, szefie? — spytał Zorba.

Ale nie zdążyłem odpowiedzieć, w drzwiach kawiarni-masarni stanęło kilku dryblasów w granatowych szarawarach, przewiązanych czerwonymi pasami.

— Witajcie, przyjaciele! — zawołali. — Wejdźcie na kieliszek rakiji. Jeszcze ciepła, prosto z kotła.

Zorba mlasnął.

— Co ty na to, szefie? — zwrócił się do mnie, przymrużywszy oko. Wypijemy jednego?

Wypiliśmy po jednym, poczuliśmy we wnętrzu żar. Właściciel kawiarni-masarni, kościsty, energiczny, dobrze trzymający się staruszek, przyniósł krzesła.

Zapytałem, gdzie moglibyśmy zamieszkać.

— Idźcie do *madame* Hortensji — krzyknął ktoś.

— Francuzka? — zdziwiłem się.

— Diabli wiedzą skąd, z drugiego końca świata. Ta miała życie! Z niejednego pieca chleb jadła, a na starość osiadła tutaj i otworzyła gospodę.

— Sprzedaje nawet cukierki! — rzucił jakiś chłopiec.

— Pudruje się i maluje! — krzyknął drugi. — Nosi wstążkę na szyi... Ma też papugę...

— Wdowa? — zapytał Zorba. — Jest wdową?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Wdowa? — zapytał raz jeszcze, przelękając ślinę.

Gospodarz pogładził dłonią gęstą, szpakowatą brodę:

— Ile włosów mieści się w tej brodzie, przyjacielu? Ile? Ona jest wdową po tylu mężach. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparł Zorba, oblizując się.

— Z ciebie też może zrobić wdowca, uważaj, przyjacielu! — krzyknął jakiś staruszek, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wypiliśmy następną kolejkę, a właściciel zjawił się z tacą. Przyniósł jęczmienny chleb, owczy ser i gruszki.

— Dajcie im spokój! — krzyknął. — Nie pójda do żadnej *madame* Hortensji. Przenocują u mnie.

— Wezmę ich do siebie, Kontomanoliosie! — oznajmił staruszek. — Nie mam dzieci, dom duży, starczy miejsca.

— Wybacz, wuju Anagnostisie — zawołał właściciel, pochylając się do ucha starego. — Ja byłem pierwszy.

— Weź jednego — powiedział wuj Anagnostis. — Ze mną pójdzie stary.

— Co za stary? — Zorba był dotknięty do żywego.

— Nie rozłączymy się — odezwałem się i dałem znak Zorbie, żeby się uspokoił. Nie rozłączymy się, pójdziemy do pani Hortensji.

— Witajcie, Witajcie!

Między topolami ukazała się malutka, tłuściutka kobiecina z wypłowiałymi, lnianymi włosami. Szła na krzywych nogach, kołyszącym krokiem, z otwartymi ramionami. Jej podbródek zdobił szczeciniasty pieprzyk. Szyję otaczała czerwona aksamitka, a na zwiędłych policzkach widniały placki fioletowego pudru. Figlarny kosmyk włosów opadał na czoło, co czyniło ją podobną do starej Sary Bernhardt w "Orlątku".

— Bardzo nam miło poznać panią, pani Hortensjo — powiedziałem i opanowany nagłą wesołością schyliłem się, aby pocałować jej rękę.

Życie wydało mi się nagle jak czarodziejska baśń albo jak scena z "Burzy" Szekspira. Wylądowaliśmy więc przemoczeni do nitki przez nawałnicę, którą szalała w naszej wyobraźni. Badamy przedziwne wybrzeża, z powagą pozdrawiamy tubylców. Pani Hortensja wydawała się królową wyspy, czymś w rodzaju białej, lśniącej foki, którą przed tysiącem lat morze wyrzuciło na to piaszczyste wybrzeże, nieco zużyta, na pół wyliniała. Za nią tłoczyły się pomarszczone, owłosione, roześmiane twarze tłumu, który jak wielogłowy Kanibal spoglądał na nią z dumą i pogardą zarazem.

Zorba niby przebrany księżę wpatrywał się w nią, jak w dawną towarzyszkę, starą fregatę, która walczyła na dalekich morzach, zwyciężała i była zwyciężana. Teraz

zniszczona, z porozbijanymi drzwiami kajut, połamanymi masztami, z porwanymi żaglami, poryta szczelinami zamaskowanymi kremem i pudrem, ukryła się na tym wybrzeżu, trwając w oczekiwaniu. Zapewne oczekiwała Zorby, kapitana o twarzy pokrytej tysiącem blizn. Cieszyłem się ze spotkania tych dwojga aktorów w scenerii surowego, jakby namalowanego kilkoma śmiałymi pociągnięciami pędzla, kreteńskiego krajobrazu. .

— Dwa łóżka, pani Hortensjo — skłoniłem się przed starą amantką. — Dwa łóżka bez pluskiew...

— Pluskiew nie ma! Pluskiew nie ma! — krzyknęła, rzucając wyzywające spojrzenie wiekowej fordanserki.

— Są! Są! — wołał z drwiną stugębny Kanibal.

— Nie ma! Nie ma! — złościła się primadonna, tupiąc tłusciutką, małą nóżką w grubej, niebieskiej pończosze.

Miała stare, sfatygowane pantofelki, ozdobione kokieterijną jedwabną kokardką.

— Idź do diabła, primadonno! — srożył się jeszcze Kanibal.

Ale dama Hortensja, pełna godności, szła przodem, wskazując nam drogę. Pachniała pudrem i tanim mydłem.

Zorba szedł za nią i pożerał ją wzrokiem.

— Spójrz no, szefie — szepnął — jak ta dziewczka się kryguje. Człap, człap — kołysze tyłkiem jak owca tłustym ogonem...

Spadło kilka kropel deszczu, niebo pociemniało. Sine błyskawice przecięły góry. Dziewczęta w białych pelerynkach z koziej skóry spędzały spiesznie kozy i owce z pastwisk. Kobiety pochylone przy piecach rozpały ogień.

Zorba zagryzał nerwowo wąsa, nie odrywając wzroku od ruchliwego kuperka naszej damy.

— Hm! — mruknął nagle, wzdychając. — To pieskie życie nigdy nie ma dość niespodzianek.

3.

Hotelik pani Hortensji składał się ze starych kabin kąpielowych, położonych ciasno obok siebie. W pierwszej mieścił się sklepik. Można tam było kupić cukierki, papierosy, fistaszki, knoty do lamp, elementarze, świece i kadzidło. W czterech następnych były sypialnie, z tyłu, w podwórzu, znajdowała się kuchnia, pralnia, kurnik i królikarnia. Dookoła z drobnego piasku wyrastały grube bambusy i opuncje. Wszystko pachniało morzem, gnojem i moczem. Lecz od czasu do czasu, gdy przechodziła pani Hortensja, w powietrzu unosiły się inne wonie — jakby ktoś rozlał pod nosem miskę wody fryzjerskiej.

Gdy tylko łózka były gotowe, położyliśmy się i spaliśmy do rana. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale byłem lekki i wypoczęty, jakbym wyszedł z morza.

Była niedziela. Nazajutrz mieli przyjść robotnicy z pobliskich wiosek i rozpocząć pracę w kopalni. Miałem więc czas, by wyjść i zbadać, na jaki ład wyrzucił mnie los. Zaledwie nastał świt, opuściłem hotel, przeszedłem ogród i ruszyłem wzdłuż wybrzeża, aby jak najprędzej zawrzeć znajomość z wodą, ziemią i powietrzem tych stron. Zbierałem dzikie zioła. Moje dłonie pachniały cząbrem, szafwią i miętą.

Wszedłem na wzniesienie i rozejrzałem się. Surowy krajobraz, skomponowany z granitu i twardych skał wapiennych. Ciemne pnie drzew świętojańskich, srebrzyste oliwki, figowce i winne krzewy. W zacisznych dolinkach sady pomarańczowe, cytrusowe i krzewy niespliku. Tuż przy brzegu — warzywniki. Na południu ogromna przestrzeń — morze, ciągle jeszcze wzburzone i złe, jakby specjalnie pędzące swe wody od Afryki, aby uderzyć nimi w brzegi Kręty. Tuż, tuż widniała niziutka piaszczysta wysępka, jaśniejąca różanym rumieńcem w pierwszych promieniach słońca.

Ten kreteński krajobraz przypominał mi dobrą prozę: wypracowaną, oszczędną, wolną od zbędnych ozdorników, pełną dynamizmu i powściągliwą. Jak ona wyrażał istotę rzeczy najprostszymi środkami, wolny od wszelkiej kokieterii, od najmniejszej sztuczności, po męsku surowy. Ale wśród jego ostrych kształtów można było odnaleźć nieoczekiwaną czułość i zmysłowość. W cichych dolinach upajały wonią drzewa pomarańczowe i cytrynowe, a dalej z nieskończoności morza jak z niewyczerpanego źródła emanowała poezja.

— Kreta, Kreta... — szeptałem z biciem serca.

Zszedłem ze wzgórzka i znalazłem się nad samą wodą. Zobaczyłem dwoje

rozszczebiotanych dziewcząt w śnieżnobiałych chusteczkach i wysokich żółtych butach; unosząc spódnice szły na mszę do klasztoru, z oddali jaśniejącego bielą na wybrzeżu. -

Przystanąłem. Dostrzegły mnie i śmiech umilkł. Na widok nieznanego twarze przybrały kamienny wyraz, ciała przyjęły pozycję obronną, a palce nerwowo wpiły się w ciasno zapięte na piersiach bluzki. Krew tętniła na alarm. We wszystkich okolicach Krety, sąsiadujących z Afryką, przez całe wieki korsarze dokonywali napadów, porywali owce, kobiety i dzieci. Wiązali je czerwonymi pasami, wrzucali pod pokłady statków i odpływali, aby sprzedać je w Algierii, Aleksandrii, Bejrucie. Wody tych wybrzeży, zdobnych w czarne warkocze, od wieków rozbrzmiewały płaczem. Patrzyłem na zbliżające się przestraszone dziewczęta, tulące się do siebie, jakby chciały stworzyć nieprzebytą barierę. Był to odruch, kiedyś niezbędny, zachowany do dziś, mimo że przyczyna znikła. Dawno miniona konieczność nadal dyktowała im rytm kroków.

Kiedy mijaly mnie, odsunąłem się spokojnie, z uśmiechem. Nagle jakby odczuły, że niebezpieczeństwo dawno minęło, zbudziły się w naszej bezpiecznej epoce, twarze ich pojaśniały, rozluźniły swój sztywny i czystymi, radosnymi głosami powiedziały mi chórem: "Dzień dobry". W tej samej chwili dzwony z odległego klasztoru wypełniły powietrze wesołym, rozedrganym, radosnym dźwiękiem.

Słońce stało wysoko na czystym niebie. Wcisnąłem się między skały, skuliłem jak mewa i podziwiałem morze. Czuję, że ciało moje staje się silne, świeże i posłuszne. Myśl, podążając za falą, stawała się jak fala lekka i bez oporu poddawała się rytmowi morza.

Serce moje ogromniało. Obiegły mnie ponure głosy, władcze i błagalne. Wiedziałem, kto mnie woła. Gdy tylko przez chwilę zostawałem sam, jęczał we mnie lęk straszliwych przeczuć, obłędna groza, czekająca na wyzwolenie.

Szybko otworzyłem Dantego, towarzysza podróży, by zagłuszyć w sobie i odpędzić straszliwego demona. Przerzucałem stronicę, czytałem luźne wiersze, tercyny, przypominałem sobie całe pieśni. Z tych płonących kart z wyciem powstawali potępińcy, nieco dalej zranione dusze usiłowały wspiąć się na urwistą górę, jeszcze dalej dusze błogosławione błądziły po szmaragdowych łąkach niby pełne jasności świetliki. Błąkałem się po wszystkich kręgach tego straszliwego gmachu przeznaczenia. Jak po własnym domu krążyłem swobodnie po piekle, czyścicu, raj. Cierpiałem, karmiłem się nadzieją, kosztowałem szczęśliwości, pozwalając się unosić

tym przecudnym strofom.

Zamknąłem Dantego, spojrzałem daleko w morze. Mewa, muskając brzuszkami wodę, wznosiła się i opadała wraz z falami, oddana im, radująca się swoim oddaniem. Na wybrzeżu zjawiał się opalony i bosy chłopak, śpiewał miłosną pieśń. Być może rozumiał jej bolesną treść, bo chwilami głos jego brzmiał chrypliwie jak głos koguta.

Strofy Dantego od wieków rozbrzmiewają w ojczyźnie poety. Jak pieśni miłosne sposobią chłopców i dziewczęta do miłości, tak płomienne strofy florentyńczyka sposobily włoskich młodzieńców do walki o wyzwolenie. Z pokolenia na pokolenie wszyscy obcowali z duchem poety, przemieniając niewolę w wolność.

Usłyszałem śmiech za plecami i runąłem z dantejskich szczytów. Odwróciłem się i zobaczyłem Zorbę śmiejącego się pełną gębą.

— Co to za zwyczaje, szefie? — krzyknął. — Szukam cię od kilku godzin! Ale skąd mogłem wiedzieć, gdzie się zaszłyś?

Stałem nieruchomo w milczeniu, a on wołał dalej:

— Południe minęło, kura ugotowana, pewnie rozlazła się zupełnie, biedaczka! Słyszysz?

— Słyszę, ale nie jestem głodny.

— Nie jesteś głodny! — zawołał, klepiąc się po udach. — Od rana nie miałeś niczego w ustach. O ciało też trzeba się troszczyć i mieć nad nim litość. Nakarm je, szefie, nakarm, widzisz, to jest twój osiołek. Jeżeli nie dasz mu jeść, zostawi cię na środku drogi.

Od lat miałem w pogardzie przyjemności cielesne i gdyby to było możliwe, jadłbym w ukryciu, jakby to było coś wstydlivego. Ale teraz, aby ustrzec się przed urąganiem Zorby, powiedziałem:

— Dobrze, idę.

Ruszyliśmy do wsi. Godziny spędzone wśród skał minęły z szybkością błyskawicy niby godziny miłości. Czuję jeszcze na sobie płomienny oddech florentyńczyka.

— Myślisz o kopalni? — spytał Zorba ostrożnie.

— A o czymże mam myśleć? — odpowiedziałem ze śmiechem. — Jutro przystępujemy do pracy, muszę zrobić obliczenia.

Zorba zerknął na mnie z ukosa i zamilkł. Zrozumiałem, że raz jeszcze taksuje

mnie, nie wie, w co ma wierzyć, a w co nie.

— No i co wynika z twoich rachunków?

— Że po trzech miesiącach powinniśmy wydobywać dziesięć ton węgla dziennie, aby koszty się zamortyzowały.

Zorba przyglądał mi się wciąż, teraz z niepokojem. Po chwili rzekł:

— Po kiego diabła poszedłeś rachować nad morze? Wybacz, szefie, że cię pytam, ale doprawdy nie rozumiem. Co do mnie, kiedy zmagam się z cyframi, chciałbym skryć się w mysią dziurę, żeby nic nie widzieć. Wystarczy, żebym podniósł oczy i dojrzał morze, drzewo albo kobietę, nawet starą, a świńskie cyfry uciekają, jakby im wyrosły skrzydła.

— To twoja wina, Zorbo — rzekłem, chcąc go podrażnić. — Nie masz siły, żeby się skupić.

— Czy ja wiem, szefie? To zależy, jak się na to patrzy. Bywają wypadki, że nawet mądry Salomon... Słuchaj, kiedyś przechodziłem przez wioskę. Jakiś dziewięćdziesięcioletni dziadunio sadził drzewo migdałowe. "Hej, dziadku! — wołam. — Sadzisz drzewo migdałowe?" A on, zgarbiony, odwrócił się i powiedział: "Tak, mój synu, ja postępuję tak, jakbym nigdy nie miał umrzeć!" "A ja — odparłem — postępuję tak, jakbym miał umrzeć w każdej chwili". Kto z nas dwóch miał rację, szefie? — Spojrzał na mnie triumfalnie. — Tu cię mam! — powiedział.

Milczałem. Na szczyt mogą prowadzić dwie równie strome i ryzykowne ścieżki. Działać tak, jakby śmierć nie istniała, i działać, myśląc w każdej chwili o śmierci, to chyba to samo, ale gdy Zorba mnie o to zapytał, nie wiedziałem.

— A wiec? — drwił. — Nie martw się, szefie, tu nie dojdiesz końca. Mówmy o czym innym. W tej chwili myślę o kurze i pilawie z cynamonem i mój mózg dymi jak pilaw. Najpierw coś zjedzmy, a potem zobaczymy. Wszystko w swoim czasie. Teraz mamy przed sobą pilaw, myślmę więc o pilawie. Jutro będzie węgiel — będziemy myśleć o węglu. Bez półśrodków, rozumiesz?

Wchodziliśmy do wsi. Na progach siedziały kobiety, gawędząc, starcy wsparci na laskach trwali w milczeniu. Pod roslým, pełnym owoców drzewem granatu pomarszczona staruszka iskała głowę wnuczka.

Przed kafejką stał wyprostowany starzec o wielkopańskim wyglądzie, o surowej i skupionej twarzy z orlim nosem. Był to Mavrantonis, dawny wójt, od którego wydzierżawiłem kopalnię. Wczoraj przychodził do pani Hortensji, chcąc zabrać nas do siebie.

— To wstyd — powiedział — abyście mieszkali tutaj, jakby nie było we wsi nikogo, kto by was przyjął.

Był poważny i oszczędny w słowach. Odmówiliśmy. Poczul się dotknięty, ale nie nalegał.

— Spełniłem swój obowiązek — powiedział odchodząc — a wy postąpicie, jak będziecie uważali.

Za chwilę przysłał nam dwie gomółki sera, kosz granatów, miskę rodzynek i fig oraz kwaterkę wódki.

— Pozdrowienia od *kapetana* Mavrantonisa — powiedział służący, zdejmując to wszystko z osła. — Polecił mi przekazać, że niewiele tego, ale z całego serca.

Podziękowaliśmy teraz wiejskiemu dostojnikowi, nie szczędząc serdecznych słów.

— Obyście żyli długo — odrzekł kładąc rękę na sercu i zamilkł.

— Nie lubi dużo gadać, mruk — szepnął Zorba.

— Dumny — poprawiłem. — Podoba mi się.

Ruszyliśmy. Nozdrza Zorby poruszały się radośnie. Pani Hortensja, ujrawszy nas w progu, wydała radosny okrzyk i weszła do kuchni.

Zorba wyniósł stół na dwór i postawił pod bezlistną winoroślą, pokroił duże kromki chleba, przyniósł wino, rozstawił talerze i nakrył. Spoglądając na mnie bystro, wskazał stół. Były tam trzy nakrycia.

— Rozumiesz, szefie? — szepnął.

— Rozumiem, stary rozpustniku!

— Dobry rosół robi się ze starych kur — rzekł oblizując się. — Wiem coś o tym.

Ruszał się zwinnie, oczy jego rzucały iskry, nucił jakiś stary szlagier.

— To jest życie, szefie. Bawić się i jeść kury! Widzisz, w tej chwili postępuję tak, jakbym za chwilę miał umrzeć. Spieszę się, abym zdążył zjeść kure, zanim wyciągnę kopyta.

— Proszę do stołu! — zawołała pani Hortensja.

Przyniosła garnek i postawiła przed nami. Nagle stanęła zaskoczona, zauważyła trzy nakrycia. Zaczerwieniła się z radości. Spojrzała na Zorbę i jej małe, niebieskie oczka ożywiły się.

— Ma ogień pod spódnicą — powiedział cicho Zorba, po czym z największą uprzejmością zwrócił się do damy:

— Piękna nimfo tych wód, jesteśmy rozbitkami, których morze wyrzuciło na

brzeg w twoim królestwie, zechciej, syreno, podzielić z nami posiłek.

Stara śpiewaczka kabaretowa otworzyła szeroko ramiona i ścisnęła je, jakby chciała objąć nas obu. Pochyliła się z wdziękiem, musnęła dłonią Zorbę, potem mnie — i szczebiocząc pobiegła do swego pokoju. Po chwili wyszła krygując się i trzepocząc w swej najlepszej toalecie — w sukni z zielonego wytartego aksamitu, ozdobionej pożółkłymi, sfatygowanymi pajetkami. Stanik rozwierał się, a wycięcie spinała róża z wyblakłego jedwabiu. W rękach niosła klatkę z papugą, którą zaczepiła naprzeciwko o kratę z winoroślą.

Posadziliśmy ją w środku, miała więc Zorbę po prawej stronie, a mnie po lewej.

Wszyscy rzuciliśmy się na jedzenie. Minęła spora chwila, zanim ktoś wyrzekł słowo. Zamieszkujące w nas zwierzę pożywiało się i poilo winem. Jedzenie i napój szybko zamieniały się w krew. Świat wydawał się coraz piękniejszy, siedząca obok kobieta z każdą minutą stawała się młodsza, zmarszczki znikwały z jej twarzy. Wisząca przed nami papuga w zielonym fraku z żółtą kamizelką wysunęła łebek, by się nam przyjrzeć. Czasem wydawała się krasnoludkiem, to znów duchem starej śpiewaczki w jej zielono-żółtej toalecie. Winorośl nad naszymi głowami nagle pokryła się wielkimi liśćmi i czarnymi owocami.

Zorba, tocząc dokoła wzrokiem, otworzył szeroko ramiona, jakby chciał objąć cały świat.

— Co się dzieje, szefie? — zawołał zdumiony. — Wystarczy wypić szklaneczkę wina i świat stoi na głowie. Ech, szefie, życie to dziwna historia. Na Boga, czy to winogrona wiszą nad naszymi głowami, czy aniołowie? Nie wiem. A może nie ma niczego: ani kury, ani syreny, ani Krety? Mów, szefie, mów, bo zwariuję!

Zorba był w wyśmienitym humorze. Skończył już z kurą i spoglądał łapczywie na panią Hortensję. Pożerał ją wzrokiem, jego spojrzenie wędrowało po jej ciele, wślizgiwało się między pełne piersi, jakby dotykając ich. Oczka naszej damy także błyszczwały; lubiła wino i wychyliła niejedną szklaneczkę. Psozny bożek wina przeniósł ją w dawne dobre czasy. Znowu stała się świeża, wesoła i czuła. Wstała, żeby zamknąć furtkę, aby nie widzieli jej wieśniacy — "barbarzyńcy" — jak ich nazywała. Zapaliła papierosa i przez mały, zadarty z francuska nosek zaczęła wypuszczać kłęby dymu.

W takich chwilach kobieta otwiera całą duszę, przestają działać wszelkie hamulce, a dobre słowo staje się równie wszechmocne jak złoto lub miłość.

Zapaliłem więc fajkę i wyrzekłem to słowo:

— Pani Hortensjo, przypomina mi pani Sarę Bernhardt... kiedy była młoda. Nie

spodziewałem się znaleźć w tej dzikiej okolicy takiej elegancji, wdzięku, takiej piękności i wytworności. Czy to Szekspir kazał ci zejść między barbarzyńców?

— Szekspir? — zapytała, otwierając szeroko wyblakłe oczęta. — Co za Szekspir?

Myśl jej w mgnieniu oka obiegła wszystkie teatry, w których bywała, kawiarnie, kabarety i tawerny od Paryża aż do Bejrutu i dalej — wzdłuż wybrzeży Anatolii. Nagle przypomniała sobie. To była Aleksandria, wielka sala, z krytymi aksamitem krzesłami, wypełniona tłumem mężczyzn i kobiet o nagich plecach. Perfumy, kwiaty. Kurtyna rozsunała się i na scenie ukazał się groźny Murzyn...

— Co za Szekspir? — zapytała raz jeszcze, dumna, że sobie przypomniała. — Czy to ten, którego nazywają Otello?

— Ten sam. Cóż za Szekspir, szlachetna damo, rzucił cię między te dzikie skały?

Spojrzała wokół siebie. Drzwi były zamknięte, papuga drzemała, króliki uprawiały miłość. Byliśmy sami. Hortensja wzruszona zaczęła otwierać swoje serce jak stary kufer pełen pikantnych wspomnień, listów, starych toalet...

Greckim władała nie najlepiej, połykała słowa, plątała głoski i sylaby, admirała zmieniała w "mirała", rewolucję nazywała "ewolucją", ale rozumieliśmy ją doskonale. Chwilami z trudem powstrzymywaliśmy się od śmiechu, chwilami znów — byliśmy już nieźle wstawieni — wylewaliśmy potoki łez.

— Otóż — opowiadała stara syrena, siedząc na swoim woniejącym podwórzu — macie przed sobą nie fordanserkę, o, nie! Byłam sławną aktorką, nosiłam jedwabne halki, zdobione prawdziwą koronką. Ale miłość...

Westchnęła głęboko i przypaliła od Zorby następnego papierosa.

— Pokochałam mirała. Na Krecie właśnie wrzała ewolucja i floty wielkich mocarstw stały w portach. Po kilku dniach i ja tam zakotwiczylam. Co za potęga! Szkoda, że nie widzieliście tych czterech miralów: angielskiego, francuskiego, włoskiego i rosyjskiego — kąpiących od złota, w lakierkach i pióropuszech. Jak koguty, wspaniałe koguty, osiemdziesiąt do stu kilogramów wagi każdy! I co za brody! Wijące się, jedwabiste: kruczoczarna, jasna, szpakowata, kasztanowa. A jakie zapachy! Każdy miał swój własny zapach — po tym odróżniałam ich nocą. Anglia pachnie wodą kolońską, Francja fiołkami, Rosja piżmem, Włochy, ach, Włochy upajały paczulą. Co za brody, mój Boże, co za brody!

Często zbieraliśmy się na miralskim okręcie i mówiliśmy o ewolucji. Wszyscy mieli rozpięte mundury, a moja jedwabna koszulka przyklejała się do ciała, bo obleli ją szampanem. Było lato. Mówiliśmy więc o ewolucji, prowadziliśmy poważne

rozmowy, a ja chwytalam ich za brody i blagalam, aby nie strzelali do tych biednych drogich Kre-teńczyków. Obserwowalismy ich przez lornetki na skalach Chanii. Maleńcy jak mrówki, w niebieskich spodniach i żółtych butach. Krzyczeli, krzyczeli, wznosząc sztandary...

Trzciny ogradzające podwórze zaszeleściły. Stara bojowniczką zamilkła, przerażona. Wśród liści błysnęły złośliwe oczka. Wiejska dzieciarnia wywęszyła naszą uczkę i podglądała nas.

Nasza śpiewaczka próbowała wstać, ale na próżno, zbyt dużo zjadła i wypila, usiadła więc oblana potem. Zorba podniósł kamień, dzieci uciekły z piskiem.

— Mów dalej, piękna, mów, mój skarbie! — powiedział Zorba, przysuwając krzesło coraz bliżej.

— Powiedziałam więc włoskiemu mirałowi, wobec którego byłam najśmielsza, powiedziałam łapiąc go za brodę: "Mój Canavaro — tak się nazywał — mój kochany Cana-varo, nie robić bum! bum! Nie robić bum! bum!"

Ileż to razy ta, z którą tu dziś rozmawiacie, ratowała życie Kreteńczyków! Ileż razy armaty stały gotowe do strzału, a ja czepiałam się brody mirala i nie pozwalałam mu robić bum! bum! A kto podziękował mi za to? Co do odznaczeń...

Panią Hortensję rozgniewała ludzka niewdzięczność. Uderzyła w stół swoją małą, miękką piastką. Zorba wyciągnął swoje doświadczony ręce ku jej rozchyłonym kolanom i ścisnął je, wołając z udanym wyrzutem:

— Moja Bubulino, błagam cię, nie rób bum! bum!

— Precz z łapami! — krzyknęła nasza cnotliwa dama. — Za kogo mnie masz, stary? — rzuciła mu tęskne spojrzenie.

— Jest jeszcze dobry Bóg — mówił stary chytrus. — Nie martw się, droga Bubulino! My też jesteśmy przy tobie, nie bój się.

Stara syrena wzniosła ku niebu wyblakłe błękitne oczęta i dojrzała swoją zieloną papugę, drzemiącą w klatce.

— Mój Canavaro, mój drogi Canavaro — gruchała miłośnicie.

Papuga poznała głos swej pani, otworzyła ślepią, uczepliła się prętów klatki i zaczęła wrzeszczeć ochryplym głosem tonącego człowieka:

— Canavaro! Canavaro!

— Obecny! — krzyknął Zorba, znów wyciągając rękę ku zasłużonym kolanom, jakby chciał objąć je w posiadanie.

Stara śpiewaczka lekko poruszyła się na krześle i znowu otworzyła

pomarszczone usta: — Ja też walczyłam dzielnie, pierś w pierś. Ale nadeszły złe dni. Kreta została wyzwolona, statki otrzymały rozkaz odwrotu. “Co będzie ze mną — wołałam chwytając się czterech bród. — Czy mnie tu zostawicie? Przywykłam do dostatków, szampana i kurczaków, przywykłam do przystojnych marynarzy, którzy mi salutują. Co pocznę jako poczwórna wdowa, moi wspaniałomyślni mirałowie?”

Ale śmiali się — ach, ci mężczyźni! — obrzucili mnie angielskimi funtami, włoskimi lirami, napoleonami i rublami. Ukryłam je w pończochach, w staniku, w sandałkach. Ostatniej nocy, kiedy płakałam i szlochałam, mirałowie zlitowali się nade mną, napełnili wannę szampanem, zanurzyli mnie w niej — stosunki były bardzo intymne — i na moją cześć wypili szampana, w którym się kąpałam. Upili się, a potem zgasły światła...

Rano pachniałam szampanem, wodą kolońską, piżmem, fiołkami i paczulą. Trzymałam na kolanach wszystkie cztery mocarstwa — Anglię, Rosję, Francję i Włochy — i tak oto się zabawiałam...

Pani Hortensja rozkładała szeroko krótkie, pulchne rączki, unosiła i opuszczała, jakby kołysała dziecko.

— Tak oto, tak oto! A nad ranem zaczęła się kanonada na moją cześć, przysięgam na honor. Przybyła biała łódź z dwunastoma wioślarzami, by mnie zabrać i wysadzić na ląd...

Chwyliła chusteczkę i zaczęła szlochać, niepokieszona.

— Moja Bubulino! — zawołał roznamiętniony Zorba. — Zamknij oczy... Zamknij oczy, skarbie. To ja, Canavaro!

— Precz z łapami! — pisnęła znów nasza cnotliwa dama. — Spójrz na swoją gębę! Gdzie są złote epolety, gdzie trójgraniasty kapelusz i pachnąca broda?

Łagodnie ścisnęła rękę Zorby i rozplakała się na nowo.

Zrobiło się chłodniej. Umilkliśmy na chwilę. Za trzcunami wzdychało morze, wreszcie spokojne i łagodne. Ucichł wiatr, zaszło słońce. Przeleciały nad nami dwa kruki, łopot ich skrzydeł przypominał trzask rozdieranej jedwabnej tkaniny — jedwabnej koszuli naszej śpiewaczki.

Zmierzch opadł na podwórko złotym pyłem. Loczek pani Hortensji rozbłysnął płomieniem i powiewał w wieczornym wietrzyku, jakby chcąc wzlecieć i przenieść płomień na głowy sąsiadów. Jej półnaga pierś, rozchylone, zniekształcone wiekiem kolana, zmarszczki na szyi, rozdeptane pantofle rozbłysły złotem.

Nasza stara syrena drżała. Przymykając oczka, zaczerwienione od łez i wina,

spoglądała to na mnie, to na Zorbę, który suchymi ustami kozła dotykał niemal jej piersi. Było coraz ciemniej. Patrzyła na nas obu pytającym wzrokiem, jak gdyby usiłując odgadnąć, który z nas jest Canavaro.

— Bubulino moja — gruchał namiętnie Zorba, przyciskając się do niej kolanem. — Nie martw się, nie ma Boga ani diabła. Podnieś maleńką główkę, oprzyj policzek na dłoni i zaśpiewaj nam piosenkę. Precz ze śmiercią!

Zorba płaonął cały. Lewą ręką podkręcał wąsa, prawą obejmował pijaną śpiewaczkę. Mówił zdyszczanym głosem, oczy miał zamglone. Zapewne widział teraz przed sobą nie tę starą wymalowaną mumię, ale cały "babski ród", jak zwykle mówił o kobietach. Znikały wszelkie cechy osobiste, zacierały się rysy twarzy: młoda czy stara, piękna czy brzydka — to już były tylko szczegóły bez znaczenia. W każdej kobiecej postaci ożywała surowa, święta tajemnica twarzy Afrodyty.

Tę właśnie twarz widział Zorba, do niej przemawiał, jej pragnął, a pani Hortensja była już tylko złudną przejrzystą maską, którą Zorba zerwał, by ucałować te nieśmiertelne usta.

— Podnieś swoją śnieżną szyję, mój skarbie — przemawiał błagalnym i rwącym się głosem. — Podnieś śnieżną szyję i zaśpiewaj!

Stara śpiewaczka wsparła policzek na pulchnej, popękanej od prania dłoni; jej oczy były pełne tęsknoty. Wydała dziki żaloszny okrzyk i rozpoczęła swą ulubioną, tysiące razy powtarzaną piosenkę. Spoglądając na Zorbę przymkniętymi, powleczonymi mgłą oczami, dokonała ostatecznego wyboru.

*Ach, czemuż cię spotkałam
na drodze swego życia...*

Zorba poderwał się, pobiegł po swoje *santuri*, usiadł po turecku na ziemi, wydobył instrument z futerału, oparł na kolanie i wyciągnął swoje wielkie łapska.

— Och! Och! — ryknął. — Weź nóż i zarznij mnie, moja Bubulino!

Gdy zapadła noc i na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, zabrzmiał kusząco głos *santuri*, przybliżając Zorbę do celu. Dama Hortensja, nadziana kurą, ryżem, palonymi migdałami i winem, opadła ciężko na ramię Zorby i westchnęła. Przytuliła się czule do jego kościstych ramion, ziewnęła i znowu westchnęła.

Zorba dał mi znak i ściszył głos:

— Jest gotowa, szefie! Zostaw nas samych.

4.

Otworzyłem oczy o świcie i zobaczyłem Zorbę. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na brzegu łóżka i pogrążony w myślach palił, zaciągając się chciwie. Okrągłe źrenice utkwili w lufciku, który lśnił mleczną bielą w pierwszym blasku dnia. Miał podpuchnięte oczy, a jego obnażona, niezwykle długa i chuda szyja przypominała szyję drapieżnego ptaka.

Wczoraj wstałem wcześniej od stołu, żeby zostawić go sam na sam ze starą syreną. Odchodząc, powiedziałem:

— Baw się dobrze, Zorbo. Powodzenia!

— Dobrej nocy, szefie. Śpij dobrze. Już my tu sami załatwimy swoje sprawy.

Widać załatwili, bo wydawało mi się przez sen, że w sąsiednim pokoju słyszę jakieś zduszone głosy, po czym pokój zadrżał. Potem znowu zasnąłem. Długo po północy Zorba wszedł cichutko, by mnie nie obudzić, i wyciągnął się na łóżku.

Teraz, o świcie, siedział tu i patrzył w przestrzeń matowym wzrokiem. Zdawało się, że jest pogrążony w odrętwieniu, że skronie jego nie wyzwoliły się jeszcze ze snu. Spokojny i pełen zaufania, dawał się unosić mętnemu, gęstemu jak miód nurtowi. Wszechświat — lądy, wody, myśli, ludzie — płynął wolno ku dalekiemu morzu, a Zorba płynął wraz z nim, nie stawiając oporu, nie zadając pytań, szczęśliwy.

Wioska budziła się, mieszały się w jeden głosy kogutów, świń, osłów, ludzi. Chciałem wyskoczyć z łóżka i krzyknąć: "Hej, Zorba, dzisiaj do pracy!" Ale i ja też odczuwałem błogość milczącego pogrążenia się w narodzinach różowego świtu. W takich czarownych chwilach życie wydaje się lekkie jak mgła. Ziemia jak nietrwała kłębiasta chmura za każdym powiewem wiatru zmienia swoją postać.

Mnie także zachciało się zapalić. Wyciągnąłem rękę po fajkę. Spojrzałem na nią ze wzruszeniem. Była to wielka, cenna angielska fajka, prezent od przyjaciela o szarzielonych oczach i wysmukłych dłoniach. Od lat przebywał za granicą. Gdy tylko ukończył studia, wrócił do Grecji.

— Rzuć papierosy — radził mi. — Papierosa zapalasz, wypalasz połowę i porzucasz niby uliczną kobietę. To niegodne. Ozeń się lepiej z fajką, ona jest wierną żoną. Kiedy wrócisz do domu, ona będzie czekała na ciebie nietknięta. Zapalisz, spojrzysz na dym unoszący się w powietrzu i pomyślisz o mnie.

Było południe. Wychodziliśmy z berlińskiego muzeum, gdzie przyjaciel mój żegnał ulubiony obraz Rembrandta: "Wojownika" — w wysokim hełmie z brązu, z wychudłymi, zapadniętymi policzkami i stanowczym, bolesnym spojrzeniem.

— Jeśli kiedykolwiek w życiu dokonam czynu godnego człowieka — wyszeptał patrząc na nieruchomego wojownika — to będzie jego zasługa...

Staliśmy na dziedzińcu muzeum wsparci o kolumnę. Przed nami wznosił się posąg z brązu — naga amazonka, z niewysłowionym wdziękiem kłusująca na dzikim rumaku. Mała, szara ptaszyna, pliszka, przysiadła na chwilę na głowie amazonki i zwrócona ku nam poruszyła parę razy ogonkiem, zagwizdała szyderczo i odleciała.

Zadrzałem. Spojrzałem na przyjaciela.

— Słyszałeś tego ptaka? — spytałem. — Wydawało się, że chce nam coś powiedzieć.

Mój przyjaciel roześmiał się.

— To ptaszek, niech sobie śpiewa, to ptaszek, niech sobie mówi — odpowiedział mi słowami naszej popularnej ballady.

Dlaczego właśnie w chwili świtu na kreteńskim wybrzeżu to wspomnienie i ta ballada ożyły w mej pamięci i wypełniły moje serce goryczą?

Powoli nabiłem fajkę tytoniem i zapaliłem.

"Wszystko na tym świecie ma swój ukryty sens — pomyślałem. — Ludzie, zwierzęta, drzewa, gwiazdy są tylko hieroglifami. Biada temu, kto zechce je odczytać i odgadnąć ich znaczenie... Kiedy spoglądasz na nie, nie wiesz, co one znaczą, i myślisz, że to ludzie, zwierzęta, drzewa, gwiazdy. Dopiero po latach, kiedy jest już za późno, pojmiesz..."

Wojownik w hełmie z brązu, mój przyjaciel, oparty o kolumnę, pliszka, która chciała nam coś powiedzieć — wszystko to, myślę dziś — miało jakiś ukryty sens. Ale jaki?

Biegłem wzrokiem za smugą dymu, która zwijała się i rozplywała w półświatle. Moja dusza łączyła się z tą smugą i z wolna gubiła w błękitnym dymie. Przez długą chwilę, bez udziału rozumu, ale niezwykle wyraźnie przeżyłem powstanie, rozwój i koniec świata. Tak jakbym znów dał się pochłonąć Buddzie, ale tym razem bez oszukańczych słów i zwodniczych wybiegów rozumu. Ten dym stanowi kwintesencję jego nauki, te zanikające smugi to życie, które niecierpliwie zdąża do szczęśliwego końca w błękitnej nirwanie...

Westchnąłem cichutko i westchnienie to jakby przywróciło mnie do

rzeczywistości. Rozejrzałem się i zobaczyłem nędzny barak z desek, małe lustro na ścianie, w którym odbijały się pierwsze promienie słońca. Na drugim łóżku, odwrócony do mnie plecami, siedział Zorba i ćmił papierosa.

Od razu przypomniałem sobie wszystkie tragicomiczne wydarzenia wczorajszego dnia. Woń zwietrzałych fiołków, wody kolońskiej, piżma i paczuli, papugę, a raczej niemal ludzką istotę zamienioną w papugę, bijącą skrzydłami o pręty żelaznej klatki i wzywającą dawnego kochanka, starą barkę, która zapisała się w niejednej bitwie morskiej, teraz opuszczoną przez załogę...

Zorba, usłyszawszy westchnienie, potrząsnął głową.

— Żleśmy się zachowali — mruknął. — Żleśmy się zachowali, szefie. Ty się śmiałeś, ja też, a ona, biedaczka, zauważyła to. Odszedłeś, nie powiedziawszy jej miłego słowa, jakby była stuletnią staruszką. Wstyd, hańba! Nieładnie, szefie. Pozwól sobie powiedzieć, że mężczyźni tak nie postępują. W końcu to jest kobieta, słabe, wrażliwe stworzenie. Na szczęście ja zostałem, aby ją pocieszyć.

— Co ty wygadujesz, Zorbo? — spytałem rozbawiony. — Czy ty naprawdę sądzisz, że żadna kobieta nie myśli o niczym innym?

— O niczym innym, szefie. Wierz mi... Ja, który z niejednego pieca chleb jadłem, mam już niejaki doświadczenie. Kobieta nie myśli o niczym innym. To słabe stworzenie, mówię ci, i wrażliwe. Jeśli jej nie powiesz, że ją kochasz i pragniesz jej, zaczyna płakać. Może ona cię wcale nie chce, może jej się nie podobasz, może powie ci: "Nie" — to inna sprawa. Ale każdy, kto ją widzi, musi jej pożądać. Tego pragnie, biedactwo, mógłbyś więc i ty zrobić jej przyjemność.

Miałem babkę, miała chyba z osiemdziesiąt lat. Dzieje tej staruszki to prawdziwa bajka. Ale mniejsza o to... Dobiegała więc chyba osiemdziesiątki. Naprzeciw nas mieszkała dziewczyna, świeża jak kwiat. Na imię miała Krustalo. Co sobota wieczorem zbieraliśmy się, wyrostki z całej wsi, i szliśmy na kieliszek wina. Wino dodawało nam odwagi. Zakładaliśmy za uszy gałązki bazylii, mój kuzyn brał gitarę i szliśmy śpiewać serenady. Co za miłość! Co za namiętność! Beczeliliśmy jak kozły. Wszyscy jej pragnęliśmy, co sobota wieczór szliśmy całym stadem, aby mogła dokonać wyboru.

Uwierzysz, szefie? To przedziwne! Kobieta nosi w sobie ranę, która się nigdy nie zabliznia. Wszystkie rany się goją, ale ta — nie zważaj na to, co piszą w książkach — ta rana nigdy się nie goi. Nawet jeśli kobieta ma osiemdziesiąt lat. Ta rana zawsze pozostaje otwarta.

A więc co sobota stara przyciągała swoje legowisko do okna, wyciągała małe lusterko i grzebień i czesała resztki włosów, które jeszcze zostały. Rozglądała się, czy jej nikt nie obserwuje, a gdy ktoś nadchodził, przybierała minę niewiniątka, układała się spokojnie i udawała, że śpi. Ale jakże mogła spać! Czekwała na serenadę. W osiemdziesiątym roku życia! Widzisz, szefie, jaką tajemniczą istotą jest kobieta? Jeszcze dziś chce mi się płakać. Ale wtedy byłem szczeniakiem, niczego nie rozumiałem i chciało mi się śmiać. Pewnego dnia wpadłem w złość. Naurągała mi, że latam za dziewczętami, więc powiedziałem jej: "Po co smarujesz liściem orzecha wargi i fryzujesz się co sobota? Myślisz może, że dla ciebie śpiewamy serenady? To Krustalo budzi nasze pożądanie. Ty zalatujesz trupem!"

Nie wiem, czy mi uwierzysz, szefie. Tego dnia po raz pierwszy zrozumiałem, czym jest kobieta. Z oczu mojej babki spłynęły dwie łzy; skuliła się jak zbity pies, podbródek jej drżał. "Krustalo! — krzychałem, podchodząc bliżej, aby mnie dobrze słyszała. —Krustalo!" Młodzi są okrutni, nieludscy, nie mają rozumu. Babka wzniosła ku niebu wychudłe ramiona: "Przeklinam cię z głębi serca!" — zawołała. Od tego dnia zaczęła gasnąć, a po dwóch miesiącach niewiele jej już brakowało. W agonii zauważyła mnie, syknęła jak żmija i usiłowała chwycić mnie wychudłą ręką. "Ty mnie zabiłeś, Aleksy! Bądź przeklęty, obyś cierpiał tak jak ja!"

Zorba zaśmiał się.

— Przekleństwo starej nie chybiło! — powiedział, muskając lekko wąsa. — Mam już chyba sześćdziesiąt pięć lat, ale nawet gdybym dożył setki, nie spocznę. Zawsze będę nosił w kieszeni małe lusterko i uganiał się za babskim rodem.

Znowu się uśmiechnął i wyrzucając niedopałek przez lufcik przeciągnął się.

— Mam wiele wad, lecz ta mnie dobije!

Zeskoczył z łóżka:

— Dość gadania! Dziś pracujemy! Ubrał się byle jak, włożył buty i wyszedł.

Spuściwszy głowę na piersi. rozważyłem słowa Zorby i nagle przypomniałem sobie jakieś dalekie, pokryte śniegiem miasto. Zwiedzałem wystawę Rodina i zatrzymałem się przed ogromną ręką z brązu, "Ręką Boga". Dłoń była na pół zaciśnięta, a na tej dłoni mężczyzna i kobieta trwali w ekstazie, łącząc się w uścisku i w walce.

Podeszła dziewczyna i zatrzymała się obok, wstrząśnięta. Ona także spoglądała na odwieczny uścisk kobiety i mężczyzny — zarzewie niepokoju. Szczupła, elegancka,

miała gęste jasne włosy, mocny podbródek i wąskie wargi. Było w niej coś z męskiej stanowczości. Nienawidzę łatwych znajomości, ale nie wiem, co mną kierowało, kiedy zagadnąłem:

— O czym pani myśli?

— Żeby człowiek mógł uciec! — szepnęła z rozpaczą.

— Dokąd? Ręka Boga dosięgnie go wszędzie. Nie ma ratunku. Martwi to panią?

— Nie. Miłość może stać się największą radością na ziemi. Ale teraz, kiedy patrzę na tę rękę z brązu, chciałabym uciec.

— Woli pani wolność?

— Tak.

— Ale czyż nie jest prawdą, że tylko wtedy jesteśmy wolni, gdy jesteśmy posłuszni tej ręce z brązu? Czyżby słowo "Bóg" nie miało tego znaczenia, jakie przypisują mu masy?

Spojrzała na mnie zaniepokojona. Jej oczy nabrały metalicznej szarości, jej usta były suche i gorzkie.

— Nie rozumiem — powiedziała odchodząc.

Znikła. Dotąd nigdy nie zjawiała się w mych myślach. A jednak żyła w głębi mego serca i dzisiaj na tym pustym wybrzeżu znów wydostała się z wnętrza mojej istoty, blada i pełna żalu.

Zorba miał rację, źle się zachowałem. Ta ręka z brązu stanowiła doskonały pretekst, kontakt został nawiązany. Trzeba było kilku miłych słów, a moglibyśmy — powoli, bezwiednie — spokojni połączyć się na ręce Boga. Ale ja zbyt gwałtownie wrywałem się z ziemi do nieba i kobieta spłoszona pierzchnęła.

Na podwórzu pani Hortensji zapiał stary kogut. Przez okienko wdzierał się już biały dzień. Zerwałem się.

Nadchodzili pierwsi robotnicy, uzbrojeni w kilofy i oskardy. Słyszałem, jak Zorba wydaje polecenia. Od razu wziął się do roboty. Czuło się, że jest to człowiek, który lubi rozkazywać, ale i ponosić odpowiedzialność.

Spojrzałem przez lufcik i zobaczyłem go. Stał ogromny, górując nad trzydziestką szczupłych, opalonych, wyniszczonych mężczyzn. Ramię jego wyciągało się rozkazująco, mówił krótkimi, jasnymi słowami. W pewnej chwili złapał za kark jakiegoś młodzika, który stał nie opodal i mamrotał coś pod nosem.

— Masz coś do powiedzenia? — krzyknął. — Mów głośniej! Nie znoszę szeptanki! Do pracy trzeba mieć dobry nastrój. Jeśli go nie masz, zmykaj do kafejki!

Wtedy właśnie ukazała się rozczochrana pani Hortensja. Jej obrzmiałe policzki nie były umalowane, miała na sobie obszerną, brudną koszulę, powłóczyła rozdeptanymi pantoflami o długich nosach. Zakasłała ochryłym kaszlem starych śpiewaczek, podobnym do ryku osła. Stała, z dumą spojrzała na Zorbę. Oczy jej zaszyły mgłą, zakasłała znowu, żeby ją usłyszał, i przeszła koło niego, kręcąc tyłkiem. O mały włos zaczepiłaby go szerokim rękawem. On jednak nie odwrócił się nawet, aby na nią spojrzeć, wziął od jednego z robotników kawał jęczmiennego placka i garść oliwek.

— A więc, ludzie, w imię boże! — zawołał. — Przeżegnajcie się!

Wielkimi krokami pociągnął na czele kolumny prosto ku górze.

Nie będę opisywał pracy w kopalni. Do tego trzeba cierpliwości, której mi brak. Na wybrzeżu zbudowaliśmy barak z trzciny, wikliny i kanistrów po benzynie. Zorba zrywał się o świcie, chwycił kilof i szedł do kopalni, zanim przyszli robotnicy, kopał chodniki, docierając coraz niżej, a gdy znajdował żyłę lśniącego węgla brunatnego, tańczył z radości. Po kilku dniach żyła znikła, a Zorba rzucał się na ziemię i pokazywał niebu figę.

Wkładał serce w swoją pracę, już nawet mnie nie pytał o nic. Od pierwszych dni wziął na siebie całą odpowiedzialność. Na nim spoczywał ciężar decyzji i wykonania, ja miałem tylko pokrywać wydatki, co mi się bardzo podobało, gdyż doskonale zdawałem sobie sprawę, że te miesiące należą do najszczęśliwszych w moim życiu. A więc w ostatecznym rachunku miałem świadomość, że tanio kupowałem swoje szczęście.

Mój dziadek, a ojciec matki, mieszkający w jednej z wiosek na Krecie, co wieczór brał latarkę i obchodził całą wieś, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie zjawił się ktoś obcy. Przyprawdzał go do domu, karmił i poił obficie, po czym siadał na dywanie, zapalał długą turecką fajkę, zwracał się do swego gościa i jakby nadeszła chwila rewanżu, nakazywał mu:

— Opowiadaj!

— O czym mam opowiadać, ojczy Mustogiorgisie?

— Kim jesteś, skąd przybywasz, jakie kraje i wioski obejrzały twoje oczy.

Opowiadaj wszystko, wszystko. Jazda, mów!

I przybysz opowiadał, mieszając prawdę z kłamstwem, a mój dziadek słuchał paląc cybuch i wędrował z nim, siedząc spokojnie na dywanie. A jeśli gość mu się

podobał, mówił:

— Nie wyjeżdżaj, zostań do jutra. Masz jeszcze wiele do powiedzenia!

Dziadek mój nigdy nie opuszczał wioski. Nie był nawet w Kastellionie ani w mieście Rethymnon.

— Po co mam tam iść? — mówił. — Ludzie z tych miast, Bóg z nimi, przechodzą tędy. Oba miasta przybywają do mnie. Po cóż więc miałbym wędrować do nich?

Teraz ja, tu, na wybrzeżu Kreta, kontynuuję manię swojego dziadka. Ja też znalazłem gościa, jakbym go ze świecą szukał; nie pozwalał mu odejść, kosztuje o wiele więcej niż jeden posiłek, ale wart jest tego. Co wieczór czekam na niego po pracy, sadzam go naprzeciwko i posilamy się, a gdy przychodzi jego chwila rewanzu, mówię: "Opowiadaj!" Słucham go paląc fajkę. Ten gość zwiedził wiele lądów, przemierzył gruntownie duszę ludzką. Słucham go niestrudzenie: "Mów, Zorbo, mów!"

Wystarczy, by otworzył usta, a staje przede mną cała Macedonia, na niewielkiej przestrzeni między Zorbą a mną ukazują się jej góry, lasy, wody, partyzanci, pracowite kobiety i prości, ciężcy mężczyźni... Zjawia się też góra Athos z dwudziestu jeden klasztorami, arsenałami i wałkoniami o ciężkich tyłkach. Kończąc historię o mnichach, Zorba targa swój kołnierz i mówi śmiejąc się głośno:

— Niech cię Bóg strzeże, szefie, od rufy muła i dziobu mnicha!

Co wieczór Zorba oprowadza mnie po Grecji, Bułgarii, Konstantynopolu. Przymknąwszy oczy, widzę to wszystko. Zorba przemierzył kręty szlak Bałkanów, jego sokole oczy dostrzegły wszystko, co chwila rozszerzając się w zdumieniu. To, do czego przywykliśmy i co mijamy obojętnie, Zorbie wydaje się zagadką nie do rozwiązania. Na widok przechodzącej kobiety zatrzymuje się oszołomiony: "Co to za tajemnicze zjawisko? — pyta. — Czym jest kobieta i dlaczego potrafi nam tak zakręcić w głowie? Powiedz, proszę, co to wszystko znaczy". To samo zdumienie ogarnia go na widok mężczyzny, kwitnącego drzewa czy szklanki zimnej wody. Zorba codziennie dostrzega wszystko na nowo.

Wczoraj siedzieliśmy przed barakiem. Wypił szklanekę wina i zwrócił się do mnie w podnieceniu:

— Powiedz mi, szefie, co to znów znaczy — czerwona woda. Stary pień wypuszcza gałęzie, zwisają z nich jakieś kwaśne ozdóbki, a po pewnym czasie dojrzewają w słońcu, stają się słodkie jak miód; nazywamy je winogronami, zrywamy je, wyciskamy sok i wlewamy do beczek, gdzie fermentuje; otwieramy na świętego

Nikodema. Wino gotowe! Cud! Pijesz ten czerwony sok i dusza ci olbrzymieje, nie mieści się już w swojej starej skorupie, wyzywa Boga do walki. Powiedz, szefie, jak to się dzieje.

Nie odpowiedziałem. Słuchając Zorby, czułem, jak świat odzyskuje swoją pierwotną świeżość. Wszystkie sprawy powszednie i wyblakłe znowu nabierały blasku, który miały owego pierwszego dnia, kiedy wyszły z rąk Boga. Woda, kobieta, gwiazda, chleb — wszystko wracało do pierwotnego, tajemniczego źródła i boski żywioł znów wybuchał w powietrzu.

Oto dlaczego co wieczór, leżąc na nadbrzeżnym żwirze, oczekiwałem niecierpliwie Zorby. Obserwowałem, jak nagle wydostawał się z wnętrza ziemi i wysmarowany węglem i błotem niby ogromna mysz zbliżał się długimi, kołyszącymi krokami. Z daleka zgadywałem, jak tego dnia szła praca. Poznawałem po jego postawie, pochylonej lub podniesionej wysoko dużej głowie, po sposobie poruszania się jego długich rąk.

Początkowo chodziłem razem z nim. Obserwowałem robotników. Usiłowałem wstąpić na nową drogę życia: wzbudzić w sobie zainteresowanie dla spraw praktycznych, pokochać ludzkie tworzywo, które dostało się w moje ręce, zasmakować długo oczekiwanej radości i nie mieć już do czynienia z książkami, lecz z żywymi ludźmi. Snułem romantyczne plany, aby — jeśli kopalnia będzie dobrze szła — stworzyć rodzaj komuny, w której by wszyscy pracowali, gdzie wszystko byłoby wspólne, wszyscy jak bracia jedlibyśmy tę samą strawę i nosili to samo odzienie. Myśl moja tworzyła nową religię, dźwignię nowego życia.

Nie zdecydowałem się jeszcze ujawnić swoich planów Zorbie, którego i tak irytowało to, że przychodziłem, kręciłem się wśród robotników, zadawałem pytania, wtrącałem się, zawsze biorąc stronę robotników.

Marszczył brwi i mówił:

— Szefie, nie masz ochoty trochę pospacerować? Taka piękna pogoda!

Z początku upierałem się i nie słuchałem go. Pytałem, rozmawiałem, poznawałem życie robotników, wiedziałem, ile który ma dzieci, sióstr na wydaniu, kto ma niedołączonych rodziców, znałem ich kłopoty, choroby, zmartwienia.

— Nie wnikaj tak w ich życie, szefie — upominał mnie ze złością. — Twoje serce ulegnie, polubisz ich bardziej niż trzeba, niż wymaga interes, i cokolwiek zrobią, wybaczysz... A wtedy — biada im, całą robotę diabli wezmą. Biada im — wiedz o tym. Kiedy szef jest twardy, robotnicy szanują go, pracują, kiedy jest słaby — wchodzą mu

na głowę, leniuchują. Rozumiesz?

Któregoś wieczoru zaraz po powrocie z pracy rzucił przed barakiem swój kilof i powiedział wzburzony:

— Słuchaj, szefie, proszę cię, nie wtrącaj się już do niczego. Ja buduję, a ty wszystko psujesz. Co im dziś znowu naopowiadałeś? Socjalizm i inne bzdury! Jesteś mesjaszem czy kapitalistą? Musisz się na coś zdecydować.

Trudny wybór! Od wielu lat trawiło mnie naiwne pragnienie pogodzenia dwóch rzeczy przeciwstawnych, znalezienia syntezy, w której dokonałoby się pojednanie krańcowych przeciwieństw — osiągnięcie szczęścia doczesnego i królestwa niebieskiego. Tkwiło to we mnie od najwcześniejszego dzieciństwa. Jeszcze w szkole założyłem wraz z najbliższymi przyjaciółmi tajne Stowarzyszenie Przyjaciół. Zamknięci w pokoju przysięgliśmy poświęcić życie walce z niesprawiedliwością. Kiedy składaliśmy przysięgę, płakaliśmy rzewnymi łzami.

Chłopięce ideały! Ale biada temu, kto z nich kpi! Teraz, gdy widzę, czym stali się członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół, gdy patrzę na owych doktorków, kauzyperdów, sklepikarzy, politykierów, pismaków — serce mi się ściska. Twarda i surowa gleba, w której najszlachetniejsze ziarno nie kiełkuje, lecz ginie zduszone przez chwast i pokrzywy. Jeśli o mnie chodzi, chwała Bogu nie nabrałem jeszcze rozumu. Czuję się wciąż gotowy poprowadzić wyprawę Don Kichota.

Co niedziela stroiliśmy się jak kawalerowie w konkury, goliliśmy się, wkładaliśmy czyste białe koszule i pod wieczór szliśmy do pani Hortensji. Co tydzień zarzynała dla nas kurę i znów zasiadaliśmy w trójkę do jedzenia i picia. Zorba wyciągał długie łapy do gościnnego łona dobrej damy i brał ją w posiadanie. Gdy noc zapadała, wracaliśmy do swojego baraku; życie wydawało nam się proste i pełne dobrych intencji, stare, ale przyjazne i życzliwe jak dama Hortensja.

Pewnej niedzieli, gdy wracaliśmy z naszej wystawnej uczy, zdecydowałem się zwierzyć Zorbie swoje plany. Słuchał mnie zdumiony, nakazując sobie cierpliwość, tylko od czasu do czasu ze złością potrząsał wielką głową. Już po pierwszych słowach otrzeźwiał i odzyskał jasność myślenia, a gdy skończyłem, wyrwał nerwowo kilka włosów z wąsa.

— Za pozwoleniem, szefie — powiedział. — Wydaje mi się, że twój mózg jest rzadki jak ciasto na naleśniki. Ile ty masz lat?

— Trzydzieści pięć.

— No, w takim razie nigdy nie zgęstnieje — zawyrokował i wybuchnął

śmiechem.

Poczułem się dotknięty.

— Ty nie wierzysz w człowieka! — zawołałem.

— Nie gniewaj się, szefie. W nic nie wierzę. Gdybym wierzył w człowieka, musiałbym teraz wierzyć w Boga i diabła, a to jest cała historia. Wszystkie sprawy zazębiają się, szefie, i to właśnie stwarza mi tyle kłopotów.

Zamilkł. Zdjął czapkę, z pasją podrapał się po głowie, szarpnął znowu wąsy, jakby chciał je wyrwać, zamierzał jeszcze coś powiedzieć, lecz powstrzymał się. Spojrzał na mnie spod oka, raz, drugi — i wreszcie zdecydował się.

— Człowiek to zwierzę! — krzyknął, uderzając zaciekle laską o kamienie. — Wielkie zwierzę! Wasza wysokość nie wie tego, bo dla waszej wysokości wszystko było łatwe... Ale spytaj tylko mnie. Zwierzę, mówię ci. Jeśli jesteś dla niego bezwzględny — będzie cię szanował i bał się. Jeśli jesteś łagodny — wydrapie ci oczy.

Trzymaj się z daleka, szefie! Nie spoufalaj się z ludźmi, nie mów im, że wszyscy jesteśmy równi i mamy te same prawa, bo doczekasz się, że podepczą twoje prawa, obrabują cię z chleba i każą ci zdychać z głodu. Trzymaj się z daleka, szefie, jak pragnę twego dobra!

— A więc ty w nic nie wierzysz?! — krzyknąłem z rozpaczą.

— Nie. Ile razy mam ci powtarzać, że w nic nie wierzę? Nie wierzę w nic i nikomu, wierzę tylko Zorbie. Nie żeby Zorba był lepszy niż inni, wcale nie! W nim też siedzi zwierzę. Wierzę w Zorbę, bo on jest jedynym, nad którym mam władzę, jedynym, którego znam, wszyscy inni to są duchy. Patrzę jego oczami. Słucham jego uszami, trawię jego jelitami. Wszyscy poza nim to duchy. Kiedy umrę, wszystko umrze, cały świat Zorby pójdzie w diabły!

— Co za egoizm! — zauważyłem z ironią.

— Nic na to nie poradzę, szefie. Jest tak, jak jest. Jem bób — oddaję bób. Zorbą jestem i jak Zorba mówię.

Nie odezwałem się. Jego słowa spadły na mnie jak cięcie bicia. Podziwiałem, że można być tak silnym i do tego stopnia gardzić ludźmi, a jednocześnie pragnąć żyć i pracować z nimi. Ja na jego miejscu albo zostałbym pustelnikiem, albo przystroiłbym ludzi w fałszywe pióra, aby móc ich znieść.

Zorba odwrócił się i spojrzał na mnie. W świetle gwiazd dostrzegłem jego głowę uśmiechniętą od ucha do ucha.

— Uraziłem cię, szefie? — zapytał, zatrzymując się.

Przyszliśmy już do baraku. Zorba spoglądał na mnie z czułością i niepokojem.

Milczałem. Zdawałem sobie sprawę, że mój umysł akceptuje to, co mówił Zorba, ale serce buntowało się, chciało wyrwać się bestii i wejść na własną szeroką drogę.

— Nie chce mi się spać, Zorba — powiedziałem. Połóż się.

Gwiazdy migotały, morze wzdychało, muskając kamyczki. Świetliki zapalały pod brzuskami swoje miłosne, zielonożółte latarenki. Rosa osiadła na włosach nocy.

Położyłem się na plaży, pogrążony w ciszy, nie myśląc o niczym. Zespoliłem się z nocą i morzem; moja dusza niby świetlik z małą zielonożółtą latarenką osiadła na wilgotnej, czarnej ziemi — w oczekiwaniu.

Gwiazdy wędrowały po niebie, godziny mijały. Kiedy wstałem, czułem świadomość — nie wiem, skąd zrodzoną — podwójnego zadania, które miałem zrealizować na tym wybrzeżu:

a. Oderwać się od Buddy, pozbyć się swoich metafizycznych niepokojów, uwolnić duszę od próżnego lęku.

b. Poczynając od tej chwili, nawiązać bezpośredni, głęboki kontakt z ludźmi.

“Może nie jest jeszcze za późno” — powiedziałem sobie.

5.

— Wuj Anagnostis, dawny wójt, pozdrawia pana i zapytuje, czy nie zechciałby pan przybyć do jego domu na poczęstunek. Dzisiaj przybędzie do wsi weterynarz i będzie kastrował wieprze. Marulia, żona wójta, specjalnie dla pana przygotuje wieprzowe części. Ich wnuk Minas obchodzi dziś urodziny, będzie więc pan mógł złożyć mu życzenia.

Wielka to radość gościć w wieśniaczej chacie na Krecie. Wszystko dookoła jest patriarchalne: kominek, lampa naftowa, gliniane dzbany wzdłuż ścian, kilka krzeseł, stół, a na lewo od wejścia we wnęce — dzban ze świeżą wodą. Na drążkach wiszą rzędami pigwy, granaty i pachnące zioła — szalwia, mięta, papryka, rozmaryn, ruta. W głębi trzy czy cztery drewniane stopnie prowadzą na galerijkę, gdzie znajduje się łoże na kozłach, a nad nim ikony i paląca się wieczna lampka. Dom wydaje się pusty, a przecież jest w nim wszystko, co niezbędne. W gruncie rzeczy człowiek potrzebuje niewiele.

Pogoda była piękna. Jesienne słońce świeciło łagodnie. Siedzieliśmy przed domem pod uginającym się od owoców drzewem oliwkowym. Między jego srebrnymi liśćmi przeświecało z oddali morze — spokojne, zastygłe. Nad naszymi głowami przepływały od czasu do czasu leniwe obłoczki, przesłaniając i odsłaniając słońce. Zdawało się, że ziemia oddycha to radością, to smutkiem na przemian.

Z małej zagrody w głębi podwórka docierał bolesny, ogłuszający kwik kastrowanego wieprza. Od kominka płynęła drażniąca nozdrza woń przygotowywanej przez Marulię potrawy.

Mówiliśmy o odwiecznych sprawach: zbiorach, winnicach, deszczu. Musieliśmy krzyczeć, ponieważ stary wójt nie dosłyszał, miał — jak mówił — “dumne ucho”. Życie tego starego Kreteńczyka było proste jak drzewo rosnące w zacisznej dolinie. Urodził się, wyrósł, ożenił, spłodził dzieci, doczekał się wnuków. Kilkoro z nich zmarło, ale reszta żyje i zapewnia ciągłość rodu.

Stary Kreteńczyk wspominał dawne lata panowania tureckiego, powtarzał historie zasłyszane od ojca, opowiadał o cudach, które się wówczas działy, bo ludzie żyli w wierze i bojaźni bożej.

— Oto ja, wuj Anagnostis, którego widzicie przed sobą, przyszedłem na świat dzięki cudowi. Tak, to był cud. Jak wam opowiem tę historię, będziecie zdumieni.

“Boże bądź miłościw” — zawołacie i pójdziecie do klasztoru Najświętszej Panny, żeby zapalić świeczkę na jej cześć.

Przeżegnał się i ciągnął spokojnie swoim łagodnym głosem:

— W owych czasach we wsi naszej mieszkała bogata Turczynka, przeklęta niech będzie jej pamięć. Zaszła w ciążę i nadszedł czas porodu. Przez trzy dni i trzy noce ryczała jak jałówka, ale dziecka nie było. Jedna z jej przyjaciółek — też przeklętej pamięci — poradziła jej: “Tzafer-chanum, powinnaś prosić o pomoc Matkę-Marię”. Matką-Marią nazywali Turcy Najświętszą Marię Pannę — niech się święci jej imię! “Ja mam prosić o pomoc? — wyjęczała ta suka Tzafer. — Wolę umrzeć!” Ale bóle stawały się coraz silniejsze. Minął jeszcze jeden dzień i jeszcze jedna noc, Tzafer jęczała, ale nie urodziła. Co było robić? Nie mogła już znieść bólu i krzyknęła z całej siły: “Matko-Mario! Matko-Mario!” Wszystko na próżno! Bóle nie ustają, dziecka nie widać. “Nie słyszy cię — orzekła przyjaciółka.—Pewnie nie rozumie po turecku, wezwij ją chrześcijańskim imieniem: Najświętsza Mario Panno Greków!” Wtedy ta suka krzyknęła: “Najświętsza Mario Panno Greków!” Na próżno! Przyjaciółka powiedziała: “Nie wzywasz jej tak, jak powinnaś, i dlatego nie przychodzi”. Wtedy ta suka, widząc grożące jej niebezpieczeństwo, wydała przeciągły, potężny jęk: “Dziewico Przenajświętsza!” Dziecko wyśliznęło się z jej łona jak węgorz.

Było to w niedzielę, a następnej niedzieli moją matkę chwyciły bóle. Męczyła się biedaczka, aż wyła z bólu. “Dziewico Przenajświętsza! — wołała. — Dziewico Przenajświętsza!” Ale rozwiązanie nie przychodziło. Ojciec siedział na ziemi pośrodku podwórza, nie jadł, nie pił ze zmartwienia. Nie był zadowolony z Matki Boskiej. Bo przecież tylko raz wezwała ją ta suka Tzafer, a ona biegła na złamanie karku, żeby ją ratować. A teraz... Czwartego dnia ojciec nie wytrzymał; niewiele myśląc chwycił widły i ruszył do klasztoru Matki Boskiej Bolesnej, niech nas ma w swej opiece! Wszedł do środka tak wściekły, że nawet się nie przeżegnał, trzasnął drzwiami i stanął przed ikoną. “Spójrz, Przenajświętsza Dziewico! — zawołał. — Moja żona Krynica, znasz ją, prawda? Powinnaś ją znać, co sobota przynosi oliwę i pali wieczne lampki. Moja żona rodzi w bólach już trzy dni i trzy noce i wzywa cię na pomoc. Czyżbyś jej nie słyszała? Musiałabyś chyba ogłuchnąć! Oczywiście, gdyby to chodziło o jakąś sukę Tzafer, jedną z tych nieczystych Turczynek, biegłabyś na złamanie karku. Ale moja żona Krynica jest tylko chrześcijanką, więc udajesz, że jej nie słyszysz. O, gdybyś ty nie była Matką Boską, dałbym ci nauczkę tym kijem od widel!”

Powiedział to i nie skłoniwszy głowy odwrócił się plecami, zamierzając wyjść.

Ale Bóg jest wszechmocny — w tej chwili obraz zaczął trzeszczeć, jakby miał pęknąć. Trzeba wam wiedzieć, jeśli dotąd tego nie wiecie, że obrazy tak trzeszczą, kiedy ma się stać cud. Ojciec mój zrozumiał, wrócił, padł na kolana i przeżegnał się. “Zgrzeszyłem, Przenajświętsza Panno! Puść w niepamięć wszystko, co tu powiedziałem”.

Zaledwie wszedł do wioski, a oznajmiono mu dobrą nowinę: “Konstanty, twoja żona urodziła chłopca, niech się dobrze chowa!” To właśnie byłem ja, stary wuj Anagnostis. Ale urodziłem się z jednym uchem słabszym. Ojciec bluźnił, nazywając Matkę Boską głuchą. “Więc to tak? — powiedziała pewnie Najświętsza Panna. — Zobaczysz, uczynię twego syna głuchym. To oduczy cię bluźnić”.

Wuj Anagnostis przeżegnał się.

— W końcu to nic takiego. Chwała Bogu! Mogła przecież uczynić mnie ślepcem, kretynem, garbusem albo nawet — uchowaj Boże — mogła uczynić mnie kobietą! Dzięki jej za tę dobroć!

Nalał wina.

— Niech nas wiecznie ma w swojej opiece! — powiedział, podniósłszy szklankę.

— Twoje zdrowie, wuju Anagnostisie, żyj sto lat i doczekaj prawnuków!

Starzec wychylił duszkiem wino i otarł wąsy:

— Nie, synu — powiedział. — Starczy! Doczekałem się wnuków, starczy! Nie wolno pragnąć za wiele! Moja godzina już nadeszła. Jestem stary, przyjaciele, moje łądzwie są puste. Nie mogę już — choćbym bardzo chciał — spłodzić potomstwa. Po cóż więc żyć?

Znów nappełnił szklanki, zza szerokiego pasa wydobyl orzechy, suche figi owinięte w laurowe liście i podzielił między nas.

— Wszystko, co miałem, oddałem dzieciom — ciągnął. — Znalazłem się w nędzy, tak, w nędzy, ale nie narzekam. Bóg ma wszystko, co jest potrzebne.

— Bóg może ma wszystko, wuju Anagnostisie — krzyknął Zorba staremu do ucha. — Bóg ma wszystko, ale my nie mamy. Nie daje nam, stary skąpiec!

Wójt zmarszczył brwi.

— Ej, kumie, nie mów tak — gromił surowo. — Nie czepiaj się Boga. On też przecież, biedak, liczy na nas.

W tej chwili weszła żona Anagnostisa, cicha i pokorna, niosąc słynny przysmak w glinianej misie oraz wielki dzban wina. Postawiła to na stole i stała ze skrzyżowanymi rękami i spuszczonej oczami.

Brzydziłem się wziąć do ust choćby kęs tej potrawy, lecz z drugiej strony wstyd

mi było odmówić. Zorba zerkał na mnie spod oka i uśmiechał się złośliwie.

— To jest najwspanialsza potrawa, jakiej mógłbyś sobie zażyczyć, szefie — zachęcał mnie. — Nie bądź taki wybredny.

“Stary Anagnostis śmiał się.

— Prawdę mówi, prawdę, spróbuj, a przekonasz się. To smakuje jak mózdzek! Gdy książe Jerzy odwiedził klasztor, ten tam na górze, zgotowali mu królewską ucztę. Wszystkim podano mięso, tylko przed księciem stał głęboki talerz z zupą. Książe wziął łyżkę i pomieszał. “Fasola?” — pyta zdziwiony. “Jedz, wasza wysokość, powiedział przeor, jedz, a potem będziesz pytał”.

Książe spróbował jedną łyżkę, dwie, trzy, opróżnił talerz, oblizwał się. “Cóż to za wspaniała potrawa? — pyta. — Co za smaczna fasola! Smakuje jak mózdzek”. “To nie fasola, wasza wysokość — odpowiedział przeor ze śmiechem. — Nie, nie fasola. Wykastrowaliśmy na to wszystkie koguty w okolicy”.

Stary śmiejąc się wziął kawałek na widelec.

— Książęce danie! — powiedział. — Otwórz usta.

Otworzyłem usta, a on włożył w nie kęs. Znowu napełnił szklanki i wypiliśmy za zdrowie wnuka. Oczy dziadka błysnęły.

— Kim chciałbyś, żeby został twój wnuk, wuju Anagnostisie? — spytałem. — Powiedz, będziemy mu tego życzyć.

— Czegóż mógłbym chcieć, mój synu? Niech idzie prostą drogą, niech wyrośnie na porządnego człowieka, ojca rodziny. Niech się ożeni i ma dzieci i wnuki, a jedno z jego dzieci niech będzie podobne da mnie. Chciałbym, żeby patrząc na nie starsi mówili: “Patrz, jaki podobny do starego Anagnostisa, Panie świeć nad jego duszą, to był dobry człowiek”.

— Marulio — powiedział nie patrząc na żonę. — Napełnij dzbany winem.

W tej chwili pod mocnym pchnięciem otworzyła się furтка i na podwórko wpadł, kwicząc, prosiak.

— Biedne zwierzę — powiedział Zorba ze współczuciem. — Cierpi...

— Pewnie że cierpi — zaśmiał się stary Kreteńczyk. — Ty byś nie cierpiał, gdyby cię spotkało coś takiego?

Zorba odpukał w niemalowane drzewo.

— Oby ci jęzor skołowaciał, ty stary głuchelcu! — mamrotał przerażony.

Prosiak biegał przed nami tam i z powrotem i rzucał nam wściekle spojrzenia.

— Słowo daję, można by pomyśleć, że on wie, co my mamy na talerzach! —

wypite wino uderzyło już trochę do głowy wujowi Anagnostisowi.

Ale my jak kanibale siedzieliśmy spokojnie, zadowoleni, pojadając i popijając. Przez srebrne gałązki oliwne morze przeświecało różowym blaskiem zachodu.

Wieczorem opuściliśmy dom wójta. Zorba, który też był już trochę wstawiony, miał ochotę do rozmowy.

— O czym to mówiliśmy przedwczoraj, szefie? Chciałeś, zdaje się, oświecać lud, otwierać mu oczy! Zacznij od wuja Anagnostisa, otwórz mu oczy! Widziałeś, jak jego żona stoi przed nim i czeka na rozkazy niby tresowany pies? Idź więc i powiedz mu, że kobieta ma te same prawa co mężczyzna, że to okrucieństwo jeść tę potrawę, kiedy prosiak biega przed nami kwicząc, że to głupota cieszyć się ze skarbów boskich, kiedy ktoś umiera z głodu. Co przyjdzie wujowi Anagnostisowi z tych uczonych wywodów? Przyczynisz mu tylko zmartwień. A co zyska na tym jego żona? Wsadzisz tylko kij w mrowisko: zaczną się kłótnie rodzinne, kura zechce stać się kogutem i małżonkowie wezmą się za łby... Zostaw ludzi w spokoju, szefie, nie staraj się otwierać im oczu. Gdybyś im otworzył — cóż by zobaczyli? Własną nędzę! Niech więc mają oczy zamknięte... I niech dalej śnią!

Zamilkł na chwilę, podrapał się po głowie. Rozmyślał.

— Chyba że... — powiedział w końcu. — Chyba że...

— Chyba że co? Mów!

— Chyba że, gdy otworzą oczy, pokażesz im lepszy świat niż ciemności, w których poruszają się teraz... Pokażesz?

Nie wiedziałem. Wiedziałem dobrze, co należałoby zburzyć, ale nie wiedziałem, co trzeba zbudować na ruinach. "Nikt tego nie wie na pewno" — myślałem. Stary świat jest uchwytny, trwały, żyjemy na nim i walczymy z nim w każdej minucie — on istnieje. Świat przyszłości jeszcze nie narodził się, jest jeszcze nieuchwytny, płynny, zbudowany jest ze światła, z którego utkane są nasze marzenia; jest jak obłok unoszony przez gwałtowne wichry — miłość, nienawiść, wyobraźnię, los szczęścia, Boga. Nawet największy z proroków nie mógł zaofiarować ludziom nic więcej niż hasło, im mniej konkretne — tym większy prorok.

Zorba spojrzał na mnie drwiąco. Poczulem gniew.

— Mogę pokazać im lepszy świat — rzekłem.

— Możesz? Jaki on będzie?

— Nie zrozumiałbyś, gdybym ci powiedział.

— To znaczy, że nie możesz! — stwierdził Zorba, kręcąc głową. — Nie sądz, że taki ze mnie głupiec, szefie. Jeśli ktoś ci powiedział, że jestem głupi jak baran, wprowadził cię w błąd. Nie jestem wprawdzie bardziej wykształcony niż wuj Anagnostis, ale nie taki znowu głupi, o nie! Skoro więc ja nie rozumiem, to jak ma zrozumieć ten pocziwina i jego ciemna żona? I wszyscy inni Anagnostisowie na tym świecie? Czy czasem nie chcesz pokazać im nowych ciemności? Zostaw im stare, przywykli do nich. Dotąd jakoś sobie radzą, nawet całkiem nieźle, płodzą dzieci, mają wnuki. Bóg czyni ich głuchymi, ślepyimi, a oni wołają: "Boże, bądź pochwalony!" Czują się dobrze w swojej biedzie. Zostaw ich więc i nic nie mów.

Zamilkłem. Przechodziliśmy koło ogródka wdowy. Zorba przystanął na chwilę, westchnął, ale nic nie powiedział. Gdzieś padało, bo ożywczy zapach niósł się w powietrzu. Zablęsy pierwsze gwiazdy, nów świecił delikatny, zielonożłoty. Niebo tchnęło słodyczą.

"Ten człowiek — myślałem — nie chodził do żadnych szkół, jego umysł nie jest więc zdeformowany. Przeżył niejedno, ma otwartą głowę, a serce nie straciło pierwotnej odwagi. Wszystkie zawile problemy przecina jednym cięciem miecza jak jego rodak Aleksander Wielki. Nie grozi mu upadek, gdyż mocno całym ciałem opiera się o ziemię. Dzicy w Afryce czczą węża, ponieważ całym ciałem dotyka ziemi i dzięki temu zna wszystkie jej tajniki. Poznaje je brzuchem, ogonem i głową. Dotyka ziemi, łączy się z nią, stanowi jedność z macierzą. Taki jest właśnie Zorba. My, ludzie wykształceni, jesteśmy jak nierozumne ptaki na wietrze".

Gwiazd przybywało. Były wyniosłe, okrutne i bezlitosne dla ludzi.

Nie rozmawialiśmy już. Obaj spoglądaliśmy na niebo z trwogą. Co chwila zapalały się nowe gwiazdy, wschód płonął.

Dotarliśmy do baraku. Nie miałem najmniejszej ochoty na jedzenie, siadłem na nadbrzeżnej skale. Zorba rozpalil ogień, posilił się. W pewnej chwili zdawało się, że chce usiąść koło mnie, ale zmienił zdanie, położył się i zasnął.

Morze zastygło jak martwe. Ziemia pod pociskami gwiazd trwała w bezruchu i w milczeniu. Nie słyhać było nawet szczekania psa ani kwilenia nocnego ptaka. Panowała powszechna cisza, podstępna, groźna, skomponowana z tysięcy krzyków tak odległych lub tkwiących tak głęboko w nas, że nie możemy ich słyszeć. Czulem tylko, jak krew tętni mi w skroniach i na szyi.

"Pieśń tygrysa!" — pomyślałem i zadrzałem.

W Indiach, kiedy noc zapada, słyhać smutną, monotonną, cichą i powolną

pieśń niby echo ziewania dzikiego zwierza — pieśń tygrysa. Serce człowieka drży i szuka ucieczki, jakby w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Gdy myślałem o tej przerażającej melodii, pustka mego serca powoli zaczęła się wypełniać, uszom wracała zdolność słyszenia, cisza stawała się krzykiem. Jak gdyby dusza, zrodzona z tej samej melodii, opuściła ciało, aby jej wysłuchać.

Pochylony, zaczerpnąłem morskiej wody, zwilżyłem czoło i skronie. Odświeżyło mnie to. W głębi mojej istoty rozbrzmiewały groźne okrzyki, splątane, niecierpliwe — ryczący tygrys był we mnie. Aż nagle usłyszałem wyraźnie głos: "Budda! Budda!" Krzyknąłem, zrywając się.

Ruszyłem szybko brzegiem morza, jakby chcąc uciec. Od pewnego czasu, gdy jestem w nocy sam, otoczony głęboką ciszą, słyszę jego głos — najpierw smutny, błagalny jak lament, potem powoli przechodzi w gniew, staje się rozkazujący. Szamocze się w mej piersi jak dziecko, które chce opuścić łono matki.

Zbliżyła się północ. Na niebie gromadziły się czarne chmury, wielkie krople spadły mi na rękę. Nie zwracałem na to uwagi. Oblewał mnie żar, na skroniach czułem jakby dwa płomienie.

"Nadszedł czas — myślałem przejęty dreszczem. — Oplata mnie buddyjski krąg. Nadszedł czas, aby uwolnić się od tego nadprzyrodzonego ciężaru".

Wróciłem szybko do baraku i zapaliłem lampę. Kiedy zabłysło światło, Zorba zamrugał powiekami, otworzył oczy i spoglądał na mnie pochylonego nad papierem i piszącego. Mruknął coś, czego nie dosłyszałem, odwrócił się raptownie do ściany i znowu zapadł w sen.

Pisałem szybko, bez wytchnienia, śpieszyłem się. Budda w całej swojej postaci był we mnie. Widziałem, jak wysnuwa się z mojej duszy niby błękitna wstęga pokryta tajemnymi znakami. Wstęga ta odwijala się coraz szybciej, a ja starałem się ją uchwycić. Pisałem, pisałem, a wszystko wydawało się proste i łatwe. Nie pisałem, raczej przepisywałem. Cały świat stawał przede mną, jakby zrodzony z litości, rezygnacji i powietrza — pałac Buddy, haremowe piękności, złota karoca, trzy makabryczne fatalne spotkania: ze starcem, z chorym i ze śmiercią, ucieczka, asceza, wyzwolenie, zapowiedź zbawienia. Ziemia pokryła się żółtymi kwiatami, żebracy i królowie przywdziewali żółte szaty, kamienie, drzewa, ciała stawały się lżejsze. Dusza pogrążała się w niebycie. Czułem ból palców, ale nie chciałem, nie mogłem przerwać pisania. Nagle wizja zaczęła znikać, uchodzić, musiałem ją zatrzymać.

Rano Zorba zastał mnie śpiącego z głową spoczywającą na rękopisie.

6.

Kiedy się obudziłem, słońce było już wysoko. Palce zdrętwiały mi od pisania, tak że nie mogłem ich zacisnąć. Buddyjska nawałnica, która przeszła nade mną, pozostawiła zmęczenie i pustkę.

Schyliłem się, aby podnieść rozrzucone po podłodze kartki, nie miałem ani chęci, ani siły, aby do nich zajrzeć, jakby owa potężna fala natchnienia była tylko snem, którego nie chciałem uwieźć w okowach słów.

Mżył drobny deszczyk. Zorba przed wyjściem napalił w piecyku, siedziałem więc z podkurczonymi nogami, z rękami wyciągniętymi do ognia, bez posiłku, nieruchomo, wsłuchując się w łagodnie padające krople.

Nie myślałem o niczym. Umysł odpoczywał zwinięty w kłębek jak kret — słyszałem najłżejsze odgłosy, poruszenia i szmery ziemi. Słyszałem krople padającego deszczu i kiełkowanie nasion. Czułem, że niebo i ziemia łączą się z sobą, jak niegdyś, w odległej epoce, kiedy splecione w uścisku niby mężczyzna z kobietą płodziły potomstwo. Słyszałem szum morza, które ryczało i spragnione lizało brzeg jak dzika bestia.

Byłem szczęśliwy, zdawałem sobie z tego sprawę. Rzadko szczęście odczuwamy wtedy, kiedy jest naszym udziałem. Dopiero gdy przeminie, spoglądamy wstecz i nagle pojmujemy — niekiedy ze zdumieniem — jak bardzo byliśmy szczęśliwi. A ja na tym kreteńskim wybrzeżu przeżywałem szczęście i wiedziałem, że jestem szczęśliwy.

Ciemnobłękitne morze sięgało wybrzeży Afryki. Od dalekich rozpalonych piasków wiał często gorący południowy wiatr. Rano morze pachniało arbuzem, w południe było nieruchome i pokryte lekką mgiełką, jego delikatne falowanie przywodziło na myśl ledwo zarysowane kobiece piersi, wieczorem wzdychało i miało kolor róż, oberżyny, wina.

Po południu bawiłem się piaskiem, nabierałem w dłonie te drobniutkie, jasne ziarenka i pozwalałem, aby prześlizgiwały się między palcami, ciepłe i delikatne. Dłoń moja była jak klepsydra, przez którą przepływa, ginąc, życie. A ja spoglądałam w morze i słucham Zorby, i szczęście rozsadza mi skronie.

Pamiętam, jak pewnego dnia, w wigilię Nowego Roku, ja i moja czteroletnia siostrzenica Alka oglądaliśmy sklep z zabawkami. Nagle dziewczynka odwróciła się do mnie i powiedziała:

— Wuju Wilkołaku (tak mnie nazywała), jestem tak szczęśliwa, że wyrastają mi rogi!

Przeraziłem się. Jakimże cudem jest życie i jak bardzo podobne są do siebie wszystkie dusze, kiedy zapuściwszy korzenie w głąb, spotkają się i staną się jednością. W owej chwili przypomniałem sobie hebanową głowę Buddy, którą widziałem w dalekim muzeum. Był to Budda wyzwolony, pogrążony w najwyższej radości po siedmiu latach konania. Żyły na jego skroniach nabrzmiały i uwypuklały się tak, że wyglądały jak dwa mocne okrągłe rogi, jak dwie stalowe sprężyny.

Pod wieczór deszcz przestał padać, niebo stało się czyste. Byłem głodny i cieszyłem się, bo za chwilę miał przyjść Zorba — rozпали ogień i zacznie celebrować codzienny obrzęd gotowania.

— To też jest historia bez końca — mawiał często Zorba, stawiając garnek na ogniu. — Nie tylko przekłeta kobieta jest odwieczną sprawą, jedzenie też.

Na tym wybrzeżu po raz pierwszy zaznałem rozkoszy jedzenia. Wieczorem Zorba rozpalał ogień między dwoma kamieniami i przygotowywał posiłek. Kiedy siadaliśmy do jedzenia i picia, rozmowa się ożywiła. Zrozumiałem wreszcie, że jedzenie także jest aktem duchowym, a mięso, chleb i wino stanowią tę podstawową materię, z której powstaje duch.

Po całym dniu pracy tuż przed posiłkiem Zorba nie miał humoru, odzywał się cierpko, musiałem wyciągać z niego słowa. Ruchy miał ociężałe i pozbawione wdzięku. Ale wystarczyło, aby — jak mawiał — dorzucić węgla do kotła, a cała zgrzytająca, rozstrojona maszyneria jego ciała ożywała, nabierała rozmachu i zaczynała pracować. Oczy jego błyszczały, myśli rozpierały go, a u stóp wyrastały mu skrzydła, które porywały go w tan.

— Powiedz mi, co robisz z jedzeniem, które spożywasz, a powiem ci, kim jesteś. Jedni przerabiają je na tłuszcz i nawóz, inni na pracę i zabawę, jeszcze inni — jak słyszałem — na boskość. Istnieją więc trzy rodzaje ludzi. Ja, szefie, nie należę do najgorszego z nich ani do najlepszego. Jestem pośrodku. To, co jem, przerabiam na pracę i dobry humor. To nie jest najgorsze.

Spojrzał na mnie chytrze i roześmiał się.

— A ty, szefie, jak myślę, usiłujesz przekształcać jedzenie w boskość, ale ci się to nie udaje, więc się męczysz. Spotkało cię to, co koguta.

— A co z tym kogutem, Zorbo?

— Widzisz, kogut chodził sobie godnie, jak przystało na koguta. Aż pewnego

dnia zachciało mu się naśladować gołębia. Odtąd zapomniał biedak swego własnego chodu. Wszystko mu się pomieszało, widzisz? Kuśtyka.

Podniosłem głowę. Usłyszałem kroki Zorby schodzącego ze wzgórza. Wkrótce ujrzałem go z bliska, ręce zwisały mu niezdarnie wzdłuż ciała, minę miał nietęgą.

— Dobry wieczór, szefie! — rzucił przez zęby.

— Cześć, Zorba! Jak ci szła dzisiaj praca?

Nie odpowiedział.

— Rozpalę ogień i zrobię coś do jedzenia.

Wyciągnął z kąta naręcze drzewa, ułożył je po mistrzowsku między kamieniami i podpalił. Nappełnił garnek wodą, wrzucił cebulę, pomidory, ryż, zaczął pichcić. Ja tymczasem rozłożyłem na niskim, okrągłym stoliku obrus, pokroiłem grube kromki pszennego chleba i nappełniłem winem gąsior, подарowany nam przez wuja Anagnostisa zaraz pierwszego dnia.

Zorba ukłęknał przed garnkiem, wpatrywał się w ogień i milczał.

— Masz dzieci, Zorbo? — zapytałem nieoczekiwanie.

Odwrócił się.

— Dlaczego pytasz? Mam córkę.

— Mężatka?

Zorba zaśmiał się.

— Dlaczego się śmiejesz, Zorbo?

— Co za pytanie, szefie? Oczywiście, że zamężna. Nie jest przecież kretynką! Pracowałem wtedy w kopalni miedzi na Półwyspie Chalcydyckim. Któregoś dnia otrzymałem list od swego brata Jannisa. Prawda, zapomniałem ci powiedzieć, że mam brata — poważny, domator, liczykrupa, hipokryta, pobożniś, krótko mówiąc — podpora społeczeństwa. Ma sklep spożywczy w Salonikach. "Bracie Aleksy — pisał do mnie — twoja córka Froso zesłała na złą drogę, zhańbiła dobre imię naszej rodziny, ma kochanka, ma nawet z nim dziecko, zniweczyła nasz honor! Pojadę do wsi i zabiję ją".

— I co zrobiłeś, Zorbo?

Wzruszył ramionami.

— "Phi, kobiety!" — powiedziałem i podarłem list.

Zamieszał ryż, posolił i roześmiał się.

— Ale poczekaj, ta historia ma zabawne zakończenie. Po dwóch czy trzech miesiącach ten idiota pisze mi: "Żyj w zdrowiu i radości, bracie Aleksy! Odzyskaliśmy cześć. Możesz teraz wysoko podnieść głowę. Ten człowiek poślubił Froso".

Zorba odwrócił się i spojrzał na mnie. W świetle palącego się papierosa widziałem błyszczące oczy. Jeszcze raz wzruszył ramionami..

— Phi, mężczyźni! — powiedział z niewysłowioną pogardą.

A po chwili ciągnął:

— Czegóż można się spodziewać od kobiety? Pójdzie do łóżka z pierwszym mężczyzną, jakiego spotka na swojej drodze. Czego można się spodziewać od mężczyzny? Wpadnie w zastawioną pułapkę. Zapamiętaj moje słowa, szefie! I daj pieprzu!

Odstawił garnek i zasiedliśmy do jedzenia. .

Zorba znów popadł w głęboką zadumę. Coś go gnębiło. Spozierał na mnie, otwierał i zamykał usta. W świetle lampy widać było jego oczy smutne i niespokojne.

Nie wytrzymałem.

— Zorbo — rzekłem. — Chcesz mi coś powiedzieć. Powiedz. Masz coś na wątrobie, wyrzuć to z siebie. Zараż zrobi ci się lepiej.

Zorba milczał. Podniósł z ziemi kamyczek i cisnął z całej siły.

— Zostaw kamienie w spokoju, gadaj!

Zorba wyciągnął pomarszczoną szyję.

— Ufasz mi, szefie? — spytał, patrząc mi niespokojnie w oczy.

— Tak, Zorbo — odparłem. — Cokolwiek byś zrobił, nie może to być nic złego. Nawet gdybyś chciał, nie mógłbyś. Jesteś jak lew albo wilk. Żadne z tych zwierząt nie zachowa się nigdy tak, jakby było owcą lub osłem, nigdy nie sprzeniewierzy się swojej naturze. Podobnie jest z tobą. Jesteś Zorba od stóp do głów.

Zorba potrząsnął głową.

— Ale ja już nie wiem, jaki diabeł nas prowadzi!

— Ja wiem, nie martw się. Śmiało naprzód!

— Powtórz to, szefie, dodasz mi odwagi! — zawołał Zorba.

— Śmiało naprzód!

Oczy Zorby błysnęły.

— Teraz mogę ci powiedzieć. Od kilku dni mam w głowie wielkie plany, szalone pomysły. Czy da się je zrealizować?

— Ty mnie o to pytasz? Przecież przyjechaliśmy tu po to, aby realizować nasze pomysły.

Zorba wyciągnął szyję, spoglądając na mnie z radością i z lękiem:

— Powiedz szczerze, szefie! — zawołał. — Nie przybyliśmy tu tylko z powodu

węgla?

— Węgiel jest tylko pretekstem, aby nie wzbudzać podejrzeń miejscowych, aby ludzie sądzili, że jesteśmy poważnymi przedsiębiorcami, i nie obrzucali nas zgniłymi jajami. Rozumiesz, Zorbo?

Zorba stał z otwartymi ustami, usiłował zrozumieć, ale nie śmiał uwierzyć w tak wielkie szczęście. Nagle rzucił się na mnie i chwycił mnie w ramiona.

— Umiesz tańczyć? — spytał gwałtownie. — Umiesz tańczyć?

— Nie.

— Nie?!

Opuścił ręce zdumiony.

— Dobrze — powiedział po chwili — więc ja zatańczę, szefie. Usiądź trochę dalej, żebym cię nie potrącił. Hej! Hej!

Podsłoczył, wyskoczył z baraku, zrzucił buty, marynarkę, kamizelkę, podkasał nogawki spodni aż do kolan i zaczął tańczyć. W umazanej jeszcze węglem czarnej twarzy błyszczały białka oczu.

Rzucił się do tańca — klaskał w dłonie, podskakiwał, wywijał w powietrzu piruety, opadał na ugiętych kolanach i znów nogi wyrzucały go w górę. Wzlatywał wysoko, jakby był z gumy. Nagle wzbił się tak wysoko, jakby chciał przezwyciężyć prawa natury i ulecieć. W tym strudzonym, starym ciele wyczuwało się duszę walczącą o to, by porwać je i wraz z nim jak meteor rzucić się w ciemności. Dusza podrywała ciało, a ono spadało, nie mogąc zbyt długo utrzymać się w powietrzu, dusza bez litości podrywała je znowu, jeszcze wyżej, lecz ono, nieszczęsne, opadało bez tchu.

Zorba zmarszczył brwi, twarz jego stała się niepokojąco poważna. Nie wydawał okrzyków. Zaciskając szczęki, usiłował osiągnąć niemożliwości.

— Zorba, Zorba! — wołałem. — Dosyć!

Przejął mnie lęk, że stare ciało nie wytrzyma takiego rozpędu i rozleci się w tysiące kawałków na cztery strony świata.

Mogłem sobie jednak krzyżeć! Jak mógł Zorba usłyszeć wołanie pochodzące z ziemi? Jego ciało było jak ciało ptaka.

Patrzyłem z niepokojem na ten dziki, pełen determinacji taniec. Gdy byłem małym chłopcem, miałem bujną wyobraźnię; opowiadałem moim przyjaciołom makabryczne historie, w które sam też wierzyłem.

— Na co umarł twój dziadek? — spytał mnie pewnego dnia kolega szkolny.

A ja wymyślałem jakąś nieprawdopodobną historię, opowiadałem i w miarę,

jak mówiłem, sam zaczynałem w nią wierzyć.

— Mój dziadek nosił buty na gumie. Pewnego dnia, kiedy miał już siwą brodę, zeskoczył z dachu naszego domu, lecz kiedy dotknął ziemi, odbił się od niej jak piłka i wznosił się coraz wyżej, wyżej, ponad dachy domów, aż zniknął w obłokach. Tak zmarł mój dziadek.

Od dnia, w którym wymyśliłem tę historię, ilekroć byłem w małym kościółku Świętego Minasa i widziałem na ołtarzu obraz przedstawiający Wniebowstąpienie, pokazywałem go moim kolegom i mówiłem:

— Patrzcie, to jest mój dziadek w swoich butach na gumie!

Tego wieczoru po tylu latach, gdy zobaczyłem Zorbę unoszącego się w powietrzu, odżyły we mnie owe przerażające dziecinne fantazje; bałem się, żeby Zorba też nie zniknął w chmurach.

— Zorba, Zorba! — krzychałem.—Dosyć!

Wreszcie Zorba zdyszany opadł na ziemię. Twarz jego jaśniała szczęściem. Szpakowate włosy przykleiły się do czoła, a pot zmieszany z pyłem spływał po policzkach i brodzie.

Zaniepokojony pochyliłem się nad nim.

— To mi ulżyło — powiedział po chwili — jakby mi upuszczono krwi. Teraz mogę mówić.

Wszedł do baraku, siadł pod piecykiem i spoglądał na mnie rozpromieniony.

— Co ci się stało, szefie? Musiałem się wyładować, żeby radość mnie nie zadusiła. A w czym się wyładować? W słowach? Pfe!

— Co za radość?

Twarz mu pociemniała, wargi zaczęły drżeć.

— Co za radość? A więc to wszystko, co mi przed chwilą powiedziałeś, mówiłeś tak sobie, w powietrze? Czy ty rozumiesz, co mówiłeś? Nie przyjechaliśmy tu dla węgla — powiedziałeś mi. Powiedziałeś czy nie? Przyjechaliśmy, aby żyć na swobodzie; mydlimy ludziom oczy, aby nie wzięli nas za wariatów i nie obrzucili zgniłymi jajami. Ale kiedy jesteśmy sami i nikt nas nie widzi, możemy się śmiać i radować. Czyż nie? Słowo daję, to jest właśnie to, czego pragnąłem, tylko nie uświadamiałem sobie tego wyraźnie. Czasem myślałem o węglu, czasem o starej Bubulinie, czasem o tobie...

Prawdziwy mętnik. Kiedy kopałem chodnik, mówiłem sobie: "Węgiel! Najważniejszy węgiel!" I cały zamieniałem się w węgiel. Ale potem, gdy kończyłem pracę i zabawiałem się z tą starą — niech jej się dobrze dzieje — posyłałem do diabła

wszystkie pokłady węgla i wszystkim szefom kazałem się wieszać na wstążce u jej szyi — i Zorbie z nimi! A gdy zostawałem sam i nie miałem nic do roboty, myślałem o tobie, szefie, i serce mi pękało. Czułem na nim kamień. „To hańba, Zorbo! — krzychałem w duchu. — Hańba! Nabierać tego poczciwego człowieka i wyłudzać od niego pieniądze. Jak długo jeszcze będziesz takim draniem, Zorbo? Dosyć już!”

Mówię ci, szefie, straciłem głowę. Diabeł ciągnął w jedną stronę, Bóg w drugą. Rozdzierałem się na dwoje. Teraz, szefie, powiedziałeś mi wielką rzecz i znów wszystko jest dla mnie jasne. Przejrzałem! Zrozumiałem! Jesteśmy w zgodzie! Teraz damy ognia. Ile masz jeszcze pieniędzy? Wykładaj tu wszystko! Zaraz zrobimy z nimi porządek.

Zorba otarł pot, rozejrzał się wkoło. Resztki obiadu wały się jeszcze na stole. Sięgnął po nie długą ręką.

— Za pozwoleniem, szefie — powiedział. — Znów jestem głodny.

Wziął kawał chleba, cebulę i garść oliwek. Jadł łapczywie. Nie dotykając wargami, przechylił do ust gąsior, wino zabulgotało. Zorba zadowolony mlasnął.

— To się chwali — powiedział.

Zrobił do mnie oko.

— Dlaczego się nie śmiejesz? — spytał. — Dlaczego patrzysz? Taki już jestem. Mieszka we mnie diabeł, który mi rozkazuje, a ja robię to, co mi każe. Ilekroć przytłoczy mnie jakieś uczucie, jakby mnie chciało udusić, woła: “Zatańcz!”, a ja tańczę i to przynosi mi ulgę. Kiedy mój synek Dimitrakis zmarł w Chalkidike, też poderwałem się i zacząłem tańczyć. Krewni i przyjaciele, widząc mnie tańczącego nad ciałem, rzucili się, aby mnie powstrzymać. “Zorba oszalał! — krzyczeli. — Zorba oszalał!” Ale gdybym w tamtej chwili nie zaczął tańczyć, naprawdę oszalałbym z bólu. Był to mój pierworodny, miał trzy latka, nie mogłem znieść jego straty. Rozumiesz, szefie, co mówię do ciebie, czy też mówię na wiatr?

— Rozumiem cię, rozumiem. Nie mówisz na wiatr.

— Kiedy indziej znów... Byłem w Rosji... Pojechałem jak zawsze do kopalni, tym razem do kopalni miedzi koło Noworosyjska.

Nauczyłem się paru rosyjskich słów, tyle, ile mi było potrzebne do mojej pracy: “tak, nie, chleb, woda, kocham cię, chodź, ile?” Zaprzyjaźniłem się z Rosjaninem, wściekłym bolszewikiem. Co wieczór chodziliśmy do portowej tawerny, żłopaliśmy wódkę, jedną butelkę za drugą, i to nas wprawiało w serdeczny nastrój. Jak tylko robiło nam się wesoło, otwieraliśmy przed sobą serca. On chciał opowiedzieć mi

wszystko, co przeżył podczas rewolucji, a ja chciałem mu opisać wszystkie swoje przygody. Piliśmy więc razem, widzisz, i stawaliśmy się braćmi.

Porozumiewaliśmy się na migi. Mówił pierwszy, a kiedy nie rozumiałem go, wołałem: "Stop!" Wtedy wstawał i zaczynał tańczyć. Rozumiesz, szefie? Tańcząc przekazywał mi to, co chciał mi powiedzieć. To samo robiłem ja. Wszystko, czego nie mogliśmy wypowiedzieć ustami, wyrażaliśmy nogami, rękoma, brzuchem lub dzikimi okrzykami: "Hej, hej! Hop! Hura!"

Zaczynał Rosjanin. Opowiadał, jak chwycili za broń, jak rozgorzała wojna, jak znaleźli się w Noworosyjsku... Gdy nie mogłem go zrozumieć, podnosiłem rękę i wołałem: "Stop!" Natychmiast podrywał się — i w tany! Tańczył opętańczo, a ja, patrząc na jego ręce, nogi, piersi, oczy, rozumiałem wszystko: wchodzi do - Noworosyjska i robią porządek z panami...

Potem moja kolej. Zaledwie zdołałem wypowiedzieć kilka słów, Rosjanin — może był trochę wstawiony i mózg jego nie pracował sprawnie — krzyknął: "Stop!" Na to tylko czekałem. Podskoczyłem, odsunąłem krzesła i stoły, zacząłem tańczyć... Ach, biedaku, ludzie nisko upadli! Dozwolili, aby ciała ich stały się nieme, a oni mówią tylko ustami. Czegóż można się spodziewać po ustach, cóż mogą one wyrazić? Gdybyś widział, jak ten Rosjanin słuchał, pożerając mnie oczami i jak świetnie wszystko rozumiał! Tańcząc opisywałem mu swoje nieszczęścia, tułaczki, wyliczałem ożenki, rzemiosła, które uprawiałem — a byłem kamieniarzem, górnikiem, handlarzem domokrażnym, garncarzem, *komitadzi*, grajkiem, przemytnikiem; opowiadałem, jak wsadzili mnie do więzienia, jak uciekłem, jak znalazłem się w Rosji...

Pojmował wszystko, wszystko. Mówiły moje nogi, ręce, włosy, ubranie, nawet scyzoryk wiszący za pasem... Kiedy skończyłem, porwał mnie w ramiona, napełniliśmy na nowo kieliszki wódką, płakaliśmy i śmialiśmy się, padając sobie w objęcia. O świcie zegnaliśmy się i zataczając się szliśmy spać. A wieczorem spotykaliśmy się znowu...

Śmiejesz się? Nie wierzysz mi, szefie? Mówisz sobie: "Cóż to za niestworzone historie opowiada ten Sindbad Żeglarz? Czy można porozumieć się za pomocą tańca?" A przecież gotów jestem przysiąc, że tak właśnie rozmawiają bogowie i szatany.

Widzę, że jesteś śpiący. Jesteś bardzo wątpy i nieodporny na trudy. Idź więc spać, a jutro pogadamy. Mam wspaniałą myśl, jutro ci opowiem. Teraz wypalę jeszcze papierosa, a może nawet zanurzę łeb w morzu. Płonę cały, muszę przygasić pożar. Dobranoc!

Nie mogłem zasnąć. Myślałem o swoim zmarnowanym życiu. Gdybym mógł zetrzeć gąbką wszystko, co przeczytałem, co widziałem i słyszałem, zapisać się do szkoły Zorby i zacząć się uczyć wielkiego, prawdziwego alfabetu! Jakże odmienną wybrałbym drogę! Ćwiczyłbym nieustannie moje pięć zmysłów i ciało, aby potrafiło radować się i rozumieć. Nauczyłbym się biegać, walczyć, pływać, dosiadać konia, wiosłować, prowadzić samochód, strzelać. Dusza moja uzupełniłaby się ciałem, a ciało — duszą. Dokonałbym w sobie nareszcie pojednania tych dwóch odwiecznych wrogów...

Siedząc na posłaniu, myślałem o swoim straconym bezużytecznie życiu. Przez otwarte drzwi w świetle gwiazdzistej nocy mogłem dostrzec sylwetkę Zorby; oparty o skałę wyglądał jak wielki nocny ptak. Zazdrościłem mu. To on znalazł prawdę — myślałem. — Wybrał właściwą drogę!"

W dawnych pierwotnych i twórczych czasach Zorba byłby wodzem plemienia, kroczyłby na przedzie torując drogę siekierą. Albo byłby trubadurem, wędrującym od zamku do zamku, i wszyscy: panowie, damy i służba, wpatrywaliby się w jego usta, wsłuchiwaliby się w słowa. W naszej niewdzięcznej epoce błądzi zgłodniały jak wilk wokół zagród albo grozi mu, że stanie się błaznem jakiegoś gryzipiórka.

Nagle zobaczyłem, że Zorba wstał. Rozebrał się, rzucił rzeczy na piasek i skoczył do morza. Chwilami w słabej poświacie wschodzącego księżyca widziałem jego wielką głowę, wynurzającą się z wody i znikającą. Od czasu do czasu wydawał jakieś okrzyki, szczekał, rżał, piał jak kogut. Dusza jego w tej pustynnej nocy szukała związku ze zwierzętami.

Powoli, bezwiednie zapadłem w sen. Nazajutrz o świcie zobaczyłem Zorbę, jak uśmiechnięty i wypoczęty ciągnął mnie za nogę.

— Wstawaj, szefie!—wołał. —Chcę przedstawić ci mój plan. Słuchasz?

— Słucham.

Usiadł po turecku na podłodze i zaczął mi tłumaczyć, w jaki sposób poprowadzi kolejkę linową ze szczytu góry na wybrzeże. Będziemy tą drogą sprowadzać drzewo do budowy chodników, a to, co pozostanie, będziemy mogli sprzedać. Postanowiliśmy wydzierzawić od klasztoru sosnowy las, ale transport był zbyt drogi i nie mogliśmy znaleźć mułów. Zorba wymyślił więc tę kolejkę, którą zbudujemy z grubych lin, potężnych słupów i haków. Będzie się na nich zawieszać pnie i spuszczać z góry do samego morza.

— Zgoda? — zapytał, skończywszy objaśnienia. — Podpisujesz się pod tym?

– Tak jest, Zorbo. Zgadzam się.

Napalił w piecyku, postawił imbryk, przygotował kawę, potem okrył mi nogi, abym się nie przeziębził, i poszedł zadowolony.

– Dzisiaj – mówił – będziemy kopać nowy chodnik. Znalazłem piękną żyłę! Prawdziwy czarny diament!

Wziąłem rękopis "Buddy" i pogrążyłem się w swoich tunelach. Pracowałem cały dzień i w miarę, jak posuwałem się naprzód, czułem się coraz bardziej wolny. Doznawałem mieszanych uczuć – ulgi, dumy, niesmaku. Ale pozwalałem pochłonąć się tej pracy – wiedziałem, że z chwilą ukończenia tego rękopisu, w dniu, kiedy go związę i opieczętuje, będę wolny.

Byłem głodny, zjadłem kilka rodzynków, migdałów i kawałek chleba. Oczekiwałem powrotu Zorby, który przynosił z sobą wszystko, co może uradować serce człowieka – niewinny śmiech, dobre słowo, smaczny posiłek.

Przyszedł pod wieczór. Przygotował kolację. Jedliśmy, ale myśl jego błądziła gdzie indziej. Uklęknął, wbił w ziemię parę patyków, naciągnął sznurek i na mikroskopijnych hakach zawiesił zapalną, usiłując znaleźć taki kąt nachylenia, aby konstrukcja nie runęła.

– Jeżeli kąt nachylenia będzie większy niż trzeba – objaśniał – leżymy, jeśli będzie mniejszy, też leżymy. Musimy znaleźć najwłaściwszy kąt. Do tego, szefie, trzeba nam tęgiej głowy i wina.

– Wina mamy pod dostatkiem – powiedział rozbawiony. – A co do głowy...

Zorba wybuchnął śmiechem:

– Zaczynasz się wyrabiać, szefie – powiedział, patrząc na mnie z czułością.

Usiadł, żeby odpocząć, zapalił papierosa. Znowu był w dobrym humorze, język mu się rozwiązał.

– Gdyby się nam udała ta kolejka – marzył głośno – spuścilibyśmy tu cały las, otworzylibyśmy tartak, robilibyśmy deski, słupy, belki, zgarnialibyśmy pieniądze szuflą. Potem zbudowalibyśmy trójmasztowiec, pozbieralibyśmy, co nasze, i znów ruszylibyśmy w świat!

Przed oczami Zorby zjawily się kobiety w odległych portach, miasta, powódź światła, gigantyczne budowle, maszyny, statki.

– Widzisz, szefie, włosy przyprószyła mi już siwizna, zęby zaczynają mi

wypadać, nie mam czasu do stracenia. Ty co innego! Ty jesteś młody, możesz jeszcze pozwolić sobie na cierpliwość, ja nie. Słowo daję, im jestem starszy, tym bardziej dziczeję. Niech mi nikt nie mówi, że z wiekiem człowiek staje się łagodniejszy. Niech nie gadają, że kiedy starzec zobaczy śmierć, nadstawia się i woła: "Utnij mi głowę, abym mógł znaleźć się w niebie!" Ja, im dłużej żyję, tym bardziej jestem zbuntowany. Nie poddam się, chciałbym zawojować świat.

Wstał, zdjął ze ściany *santuri*.

— Chodź tu, zły duchu — powiedział. — Czemu tam tkwisz na ścianie jak niemowa? Zaśpiewaj coś!

Nie mogłem napatrzeć się, jak ostrożnie, z jaką niezwykłą czułością Zorba wyjmuje *santuri* z pokrowca. Zdawało się, że wyłuskuje figę lub rozbiera kobietę.

Położył *santuri* na kolanach, pochylił się nad nim, pieszczotliwie dotknął strun — jakby się radził, jaką melodię zagrać, jakby je budził, jakby starał się je skłonić, aby zechciało towarzyszyć jego stroskanej duszy, zmęczonej samotnością. Rozpoczął jakąś piosenkę, ale nie szła dobrze, przerwał i zaczął inną, struny jęczały, jakby z bólu, jakby nie chciały śpiewać. Zorba oparł się o ścianę, otarł pot, który nagle zwilżył mu czoło.

— Nie chce — mruczał, spoglądając ze zniechęceniem na *santuri*. — Nie chce...

Owijał je z respektem, jakby to był drapieżnik, który może go ugryźć. Uniósł się ociężale i zawiesił *santuri* na ścianie.

— Nie chce — powtórzył jeszcze raz — nie chce... Nie wolno go zmuszać.

Usiadł na ziemi i zagrzebał w popiele kasztany, napełnił szklanki winem. Wypił, obrał kasztan i podał mi.

— Rozumiesz coś z tego, szefie? — zapytał. — Ja nie. Każda rzecz ma duszę: drzewo, kamień, wino, które pijemy, ziemia, po której chodzimy. Wszystko, wszystko, szefie.

Podniósł szklankę.

— Twoje zdrowie!

Wypił i napełnił na nowo.

— Co za podłe życie! — mruknął. — Podłe! Jak stara Bubulina.

Roześmiałem się.

— Słuchaj, co ci mówię, szefie, nie śmiej się. Życie jest jak stara Bubulina. Jest stara, prawda? Owszem, ale ma swój wdzięk. Zna sposoby, abyś stracił głowę. Gdy zamkniesz oczy, może ci się wydawać, że trzymasz w ramionach dwudziestoletnią dziewczynę. Przysięgam, że ona nie ma więcej jak dwadzieścia lat, gdy jesteś w formie

i zgasisz światło!

Powiesz, że jest już nadpsuta, że prowadziła lekkie życie, że hulala z admirałami, marynarzami, żołnierzami, chłopakami, wędrownymi handlarzami, popami, rybakami, żandarmami, kaznodziejami i sędziami pokoju! Więc co? Co z tego? Ta stara flądra szybko zapomina. Nie pamięta ani jednego ze swych kochanków. Za każdym razem — nie żartuję — zachowuje się jak niewinna gołębica, jak biały łabędź. Rumieni się — wierz mi — rumieni się i drży, jakby to było pierwszy raz. Kobieta to tajemnicze stworzenie, szefie. Może. tysiąc razy upaść i tysiąc razy podnieść się jako dziewica. Zapytasz: dlaczego? Po prostu nie pamięta.

— Za to jej papuga pamięta, Zorbo — powiedziałem, aby go podrażnić. Zawsze wrzeszczy to samo imię, bynajmniej nie twoje.

— Czy to cię nie irytuje, że kiedy jesteś w siódmym niebie, ona wrzeszczy: “Canavaro! Canavaro!” Czy nie masz ochoty ukręcić jej karku? Najwyższy czas nauczyć ją wołać: “Zorba! Zorba!”

— Co za bzdury! — krzyknął Zorba, zatykając sobie uszy. — Dlaczego miałbym ukręcać jej kark? Uwielbiam słuchać, jak ona woła to imię. Ta bezwstydnica wiesza w nocy klatkę nad łóżkiem, a ten mały diabeł oczami przebija ciemność i gdy tylko zobaczy, że jesteśmy w najlepszej komitywie, zaczyna wrzeszczeć: “Canavaro! Canavaro!”

Przysięgam, szefie, chociaż ty, zasuszony wśród swoich parszywych papierów, i tak tego nie zrozumiesz, przysięgam, że natychmiast czuję lakierki na nogach, pióropusz na głowie i jedwabistą brodę woniejącą paczulą. *Buon giornol Buona sera! Mangiate macaroni!* Staję się rzeczywistym Canavaro. Wstępuję na swój admiralski statek, przedziurawiony tysiącem kul, i dalej... Ognia pod kotły! Rozpoczyna się kanonada!

Zorba zarechotał. Przymknął lewe oko i przyglądał mi się.

— Wybacz mi, szefie, ale jestem podobny do swego dziadka Aleksego, niech Bóg zlituje się nad jego duszą! Gdy miał sto lat, wieczorami siadywał przed domem i zerkał na młode dziewczęta, śpieszące po wodę do studni. Żrenice jego już przygasły, widział bardzo źle. Przywoływał więc dziewczęta. “Powiedz, jak się nazywasz”. “Helenka, córka Mastrantoniusa!” “Chodź tu, zbliż się, niech cię pogłaszczę! Chodź, nie bój się!” Powstrzymując się od śmiechu, podchodziły. Dziadek podnosił rękę do dziewczęcej twarzy i gładził ją delikatnie, czule. Łzy płynęły mu z oczu. “Dlaczego płaczesz, dziadku?” — zapytałem pewnego dnia. “Czy zdaje ci się, chłopcze, że nie

mam powodów do płaczu? Umieram i zostawiam tyle pięknych dziewcząt!"

Zorba westchnął.

— Ach, mój biedny dziadku — powiedział — jak ja cię rozumiem! "Biada mi! - powtarzam sobie nieraz. — Żeby przynajmniej te wszystkie piękne kobiety mogły umrzeć wraz ze mną!" Ale te ladaczniczki będą żyły, i to jeszcze jak! Mężczyźni będą trzymać je w ramionach i całować je, kiedy ja stanę się prochem, po którym będą stąpać.

Wyjął z piecyka kilka kasztanów, obrał je; tręciliśmy się. Siedzieliśmy tak długo, popijając i żując powoli jak dwa wielkie króliki. Wsłuchiwaaliśmy się w ryczące za nami morze.

7.

Do późna w noc siedzieliśmy milcząc przy ogniu. Raz jeszcze poczułem, jak prostą, codzienną rzeczą jest szczęście — szklanka wina, kasztan, jakiś piecyk, szum morza. Nic więcej. Ale by poczuć, że to wszystko jest szczęściem, trzeba mieć proste, naiwne serce.

— Ile razy byłeś żonaty, Zorbo? — zapytałem.

Obaj byliśmy lekko zawiani, nie tyle nadmiarem wina, ile tym wielkim, niewypowiedzianym szczęściem, które było w nas. Byliśmy obaj jak jętki jednodniówki, przyczepione do skorupy ziemskiej, i każdy z nas na swój sposób głęboko to odczuwał. Znaleźliśmy przytulny kąt w pobliżu morza wśród pustych kanistrów po nafcie i przytuliliśmy się do siebie, mając przed sobą piękne widoki i smaczne potrawy, a w sobie pogodę, czułość i poczucie bezpieczeństwa.

Zorba nie słuchał mnie. Kto wie, po jakich oceanach, do których nie mógł dotrzeć mój głos, żeglowała jego myśl. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem go końcem palców.

— Ile razy byłeś żonaty, Zorbo? — powtórzyłem.

Poderwał się, tym razem usłyszał i machnął ręką.

— Och — odrzekł — też masz o czym mówić! Jestem przecież mężczyzną! Jak wszyscy tak i ja — popełniłem to wielkie głupstwo. Tak właśnie nazywam małżeństwo — niech mi darują wszyscy żonaci. Popełniłem więc wielkie głupstwo — ożeniłem się.

— Dobrze, ale ile razy?

Zorba nerwowo podrapał się w szyję i pomyślał chwilę.

— Ile razy? — powiedział wreszcie. — Uczciwie — raz i na zawsze, półuczciwie — dwa, nieuczciwie — tysiąc, dwa, trzy tysiące. Jak mógłbym zresztą obliczyć!

— Opowiedz mi coś o tym, Zorbo! Jutro niedziela, ogolimy się, ubierzemy elegancko i pójdziemy do naszej Bubuliny! Nie pracujemy, możemy dziś dłużej posiedzieć. Więc mów!

— Co mam opowiadać! To nie są sprawy, o których się opowiada, szefie! Związki legalne są bez smaku jak potrawa bez pieprzu. O czym tu mówić? Cóż to za pocałunek, na który święci patrzą i błogosławią mu. W naszej wiosce powiadają: "Tylko kradzione mięso smakuje!" Własna żona nie jest kradzionym mięsem.

A jeśli idzie o związki nielegalne, jak sobie wszystkie przypomnieć! Czy kogut

proceedzi rachunki? — pomyśl tylko. Kiedy byłem młody, zbierałem pasma włosów kobiet, z którymi spałem. Nosilem zawsze przy sobie nożyczki, brałem je nawet, idąc do kościoła. Mężczyzna nigdy nie wie, co może mu się zdarzyć.

Tak więc miałem całą kolekcję loków — czarne, jasne, kasztanowe, a nawet siwe. Zebrałem je i wypchałem nimi poduszkę. Spałem na niej tylko zimą, latem za bardzo przygrzewało. Ale po pewnym czasie obrzydła mi, zaczęła, widzisz, cuchnąć, więc spaliłem.

Zorba zaśmiał się.

— To była właśnie moja księga rachunkowa. Spaliłem ją. Miałem tego dosyć. Myślałem z początku, że nie będzie tego dużo, ale potem zorientowałem się, że nie widać końca — wyrzuciłem nożyczki.

— A związki półlegalne?

— Ach, te mają swój urok — odpowiedział chichocząc. — Kobiety słowiańskie, bądźcie zdrowe i żyćie tysiąc lat! Co za swoboda! Bez tych: “Gdzie byłeś?”, “Dlaczego się spóźniłeś?”, “Gdzie spałeś?” Nie pytają cię o nic i ty ich o nic nie pytaj! Prawdziwa wolność!

Wziął szklanke, opróżnił ją, obrał kasztana i mówił żując:

— Jedna miała na imię Sofinka, druga — Niusza. Sofinkę poznałem w dużej osadzie niedaleko Noworosyjska. Była to zima, padał śnieg. Szedłem w poszukiwaniu pracy w kopalni i zatrzymałem się w tej wsi. Był dzień targowy. Ze wszystkich okolicznych wiosk ściągnęli ludzie, żeby coś kupić lub sprzedać. Panował straszliwy głód i mrozy. Ludzie sprzedawali na chleb wszystko, co mieli, nawet święte obrazy.

Krażyłem po targowisku i nagle zobaczyłem młodą chłopkę zeskakującą z wozu. Chyba ze dwa metry wzrostu, oczy błękitne jak morze i ten zad, niech się schowa klacz... Stałem jak wryty. “No, biedny Zorbo — powiedziałem sobie — wsiąkleś!”

Poszedłem za nią, patrzyłem i nie mogłem się napatrzeć. Trzeba było widzieć jej pośladki, które kołysały się jak wielkanocne dzwony. “Po co ci szukać kopalni, mój stary — mówiłem sobie. — Toż to strata czasu! Tu masz najlepszą kopalnię. Pakuj się w nią i draż chodniki!”

Dziewczyna zatrzymała się. Chcąc kupić wiązkę drzewa, targowała się, potem podniosła ją do góry — Boże, co za ramiona! — i rzuciła na wóz. Kupuje kawałek chleba i kilka wędzonych ryb. “Ile?” “Tyle a tyle”. Wyjmuje z ucha złoty kolczyk, aby zapłacić. Nie miała pieniędzy, chciała oddać złoty kolczyk. Krew we mnie zawrzała.

Pozwolić kobiecie, aby wyzbyła się kolczyków, ozdób, pachnących mydeł, perfum... Toż to koniec świata! Tak jakby ktoś obdarł pawia z piór! Miałbyś sumienie oskubać pawia? Przenigdy! Nie, nie, przynajmniej póki Zorba żyje, to się nie stanie. Otworzyłem sakiewkę i zapłaciłem. W owych czasach ruble były strzępami papieru. Za sto drachm mogłeś kupić muła, a za dziesięć kobietę.

Płacę więc. Dziewoja odwraca się i spogląda na mnie spod oka. Chwyta mnie za rękę i chce ją pocałować. Ale wrywam ją. Jak to? Bierze mnie za starucha? Krzyczy: "Spasibo! Spasibo!", co oznacza: "Dziękuję! Dziękuję!" Wskoczyła na wóz, chwyciła lejce i podniosła bat. "Zorba — powiedziałem sobie wtedy — uważaj albo ucieknie ci sprzed nosa!" Jednym susem wskoczyłem na wóz i usiadłem obok niej. Nic nie powiedziała, nie spojrzała nawet w moją stronę, zacięła konia i pojechaliśmy.

Podczas tej drogi zrozumiała, że chce się z nią ożenić. Zdołałem wystękać ze trzy rosyjskie słowa, ale przecież w tych sprawach nie ma potrzeby dużo gadać. Rozmawialiśmy oczami, rękoma, kolanami. Krótko mówiąc, przyjeżdżamy do wsi i zatrzymujemy się przed chatą. Zsiadliśmy z wozu. Dziewczyna energicznym ruchem pchnęła furtkę. Złożyliśmy drzewo — wzięliśmy ryby, chleb, i weszliśmy do izby. W pobliżu wygaszonego paleniska siedziała skurczona staruszka. Drżała. Była okutana workami, szmatami i jagnięcymi skórami, a mimo to drżała. Zacząłem układać drzewo w piecu i rozpalać ogień. Staruszka spoglądała na mnie, uśmiechając się. Córka powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Ogień się palił, staruszka rozgrzała się i powoli wracała do życia.

Tymczasem dziewczyna nakryła do stołu, przyniosła trochę wódki i wypiliśmy. Rozpaliła samowar i naparzyła herbatę. Jedliśmy, dzieląc się ze staruszką. Potem dziewczyna szybko posłała łóżko, położyła czyste prześcieradło, zapaliła lampkę oliwną przed obrazem Najświętszej Marii Panny, przeżegnała się trzykrotnie. Przywołała mnie ruchem ręki, uklękliśmy oboje przed starą i ucałowaliśmy jej dłoń. Położyła kościste ręce na naszych głowach, mruczając coś pod nosem; prawdopodobnie dawała nam błogosławieństwo. "Spasibo! Spasibo!" — zawołałem i jednym susem znalazłem się z dziewczyną w łóżku.

Zorba zamilkł. Podniósł głowę i spojrzał daleko na morze.

— Nazywała się Sofinka...— powiedział po chwili i pogрузzył się w milczeniu.

— I co dalej? — zapytałem niecierpliwie.

— Nie było dalej. Co za mania, szefie, to twoje ciągle: "Co dalej?" i "Dlaczego?"

Czy wszystko, na Boga, da się opowiedzieć? Kobieta jest jak świeże źródło. Pochylasz

się nad nim, widzisz swoją twarz, pijesz, pijesz, aż ci dech zapiera. Potem przychodzi inny; on też ma pragnienie, pochyla się, widzi swoją twarz i też pije. I znów inny... Kobieta jest jak źródło...

— Opuściłeś ją?

— A co miałem robić? Mówię ci, kobieta to źródło, a ja byłem przechodniem, poszedłem swoją drogą. Byłem z nią, niech ją Bóg ma w opiece — trzy miesiące. Złego słowa nie mogę o niej powiedzieć. Ale po trzech miesiącach przypomniałem sobie, że szedłem w poszukiwaniu kopalni. "Sofinko — powiedziałem jej pewnego ranka — mam robotę, muszę odejść". "Dobrze — odparła Sofinka — idź. Poczekam miesiąc, jeżeli nie wrócisz, będę wolna. Ty też. Idź z Bogiem!" Poszedłem.

— I po miesiącu wróciłeś?

— Wybacz mi, szefie, ale ty jesteś głupi! — krzyknął Zorba. — Jak miałem wrócić? Czy te baby zostawią kiedy człowieka w spokoju? Po dziesięciu dniach na Kubaniu spotkałem Niuszę.

— Opowiedz mi o niej! Opowiedz!

— Kiedy indziej, szefie. Nie trzeba ich, biedaczek, mieszać. Zdrowie Sofinki!

Jednym haustem wypił wino i oparł się o ścianę.

— Dobrze — rzekł — opowiem ci też o Niuszy. Dzisiejszego wieczoru — łeb pełen Rosji. Wygadajmy się!

Otarł wąsy i pogrzebał w piecyku.

— Tę poznałem w jakiejś wsi na Kubaniu. Było lato. Stosy arbuźów i melonów piętrzyły się jak góry. Zrywałem, ile chciałem, nikt mi nic nie mówił. Przecinałem na dwoje i napychałem się nimi.

W Rosji, szefie, jest obfitość wszystkiego, wszystkiego tam pełno. Tylko brać i wybierać! I to nie tylko melony i arbuzy, ale ryby, masło, kobiety. Widzisz arbuź i bierzesz go, spotykasz kobietę — to samo. Nie tak jak u nas w Grecji, gdzie jeśli podniesiesz łupinę melona, ciągną cię po sądach, a jeśli dotkniesz kobiety, jej brat wyciąga nóż, by zrobić z ciebie gulasz, fe, nędzne sknery! Jedźcie do Rosji i zobaczcie, jak można żyć!

Wędruję przez Kubań i widzę w ogródku kobietę. Spodobała mi się. Musisz wiedzieć, szefie, że Słowianki to nie to samo co nasze małe, skąpe Greczynki, które sprzedają ci miłość na gramy, robią wszystko, aby ci dać mniej, niż ci się należy, oszukują na wadze. Słowianka, szefie, daje dobrą miarę. We śnie, w miłości, w jedzeniu. Jest w niej coś ze zwierząt, z ziemi i pól. Daje, daje pełną garścią, nie skąpi

jak te greckie sknery.. "Jak się nazywasz?" — zapytałem. Widzisz, dzięki kobietom nauczyłem się trochę rosyjskiego... "Niusza. A ty?" "Aleksy. Bardzo mi się podobasz, Niusza". Spojrzała na mnie uważnie, jak patrzy się na konia, którego chce się kupić. "Ty też nie wyglądasz najgorzej — powiedziała. — Masz mocne zęby, długie wąsy, szerokie i silne bary. Podobasz mi się". Oto cała nasza rozmowa; nie było potrzeby mówić więcej. Szybko doszliśmy do porozumienia. Tego samego wieczoru miałem przyjść do niej w odświętnym stroju. "Masz futro?" — zapytała Niusza. "Mam, ale przy tym upale..." "Nie szkodzi, weź je, to będzie wyglądać elegancko".

Wieczorem stroję się jak nowożeniec, zarzucam futro na ramiona, biorę laskę ze srebrną rączką i idę. Była to duża wiejska chata, przy niej zabudowania gospodarskie, bydło, prasy do winogron, dwa ogniska na podwórzu, a nad nimi kotły. "Co się tu gotuje?" — pytam. "Moszcz z arbuzów". "A tu?" "Moszcz z melonów". "Co za kraj! — powiedziałem sobie. — Kto to słyszał? Moszcz z arbuzów i melonów! Istna ziemia obiecana! Twoje zdrowie, Zorba! Trafieś jak mysz do spiżarni".

Wszedłem. Ogromne, drewniane, skrzypiące schody. Na górze stali matka i ojciec Niuszy, mieli na sobie coś w rodzaju zielonych szarawarów przepasanych czerwonymi pasami z grubymi pomponami. Wyglądali wspaniale. Rozwarli ramiona i dalej ściskać mnie i całować. Oślinili mnie całego. Mówili tak szybko, że niewiele rozumiałem, ale mi to nie przeszkadzało. Z wyrazu ich twarzy mogłem wyczytać, że nie życzą mi źle.

Wchodzę do izby — i co widzę? Stoły uginające się od jedzenia i picia jak wypełnione po brzegi wielki żagłowiec. Wszyscy stoją: rodzice, krewni, kobiety i mężczyźni, a przed, nimi Niusza, umalowana, wystrojona, z piersią wypiętą jak rzeźba na dziobie okrętu. W czerwonej chusteczce na głowie promieniała pięknosc i młodością. Na piersiach miała wyhaftowany sierp i młot. "Czy to dla ciebie ten kasek, ty szczęściarzu? — mruczałem do siebie. — Czy to ty, Zorba, będziesz dziś w nocy trzymał w ramionach to ciało? Boże, wybacz twojemu ojcu i matce, którzy wydali cię na świat!"

Rzuciliśmy się żarłocznie jak jeden mąż do jedzenia. Żarliśmy jak świnie i piliśmy jak smoki. "A pop? — zapytałem ojca Niuszy, który siedział koło mnie i sapał z przejedzenia. — Gdzie jest pop, który ma nam pobłogosławić?" "Nie ma popa — odparł strzykając śliną. — Nie ma popa. Religia to opium dla ludu!"

Powiedziawszy to podniósł się, wypinając pierś, rozluźnił czerwony pas i ręką nakazał ciszę. Patrząc mi w oczy, wznosił kielich napełniony po brzegi. A potem

mówił, mówił... Wygłosił do mnie mowę. Co powiedział? Bóg raczy wiedzieć. Miałem dość stania, byłem trochę wstawiony. Usiadłem i przycisnąłem swoje kolano do kolana Niuszy, która siedziała po prawej stronie.

Stary spociał się, ale nie przerywał. Wtedy rzuciliśmy się wszyscy ku niemu, ściskając go w ramionach, aby go zmusić do milczenia. Zamilkł. Niusza skinęła na mnie. "Teraz ty musisz przemówić".

Podniosłem się więc i ja z kolei wygłosiłem mowę — pół po rosyjsku, pół po grecku. Co powiedziałem? Niech mnie powiesz, jeśli wiem. Pamiętam tylko, że pod koniec zaintonowałem tę zbójcką piosenkę. Ryczałem bez sensu, bez rymu:

*Wyszli zbójcy w góry
kraść konie!
Koni nie znaleźli,
więc porwali Niuszę!*

Widzisz, szefie, przystosowałem nawet tekst do sytuacji:

*Idą, idą, idą!
Hej, idą, mamó, idą!
Och, moja Niuszo!
Och, moja Niuszo!
Hej!*

Bełkocząc rzuciłem się do Niuszy i zacząłem ją całować...

— I co dalej? — spytałem znowu, widząc, że Zorba zamilkł.

— Ty znowu swoje "co dalej" — westchnął Zorba zdenerwowany. — Żyłem z nią sześć miesięcy. Przysięgam ci, że od tego czasu już niczego się nie boję. Mówię ci — niczego! Poza jednym: żeby Bóg albo diabeł nie zatarli w mojej pamięci tych sześciu miesięcy. Rozumiesz? Powiedz, że zrozumiałeś...

Zorba przymknął oczy. Wydawał się bardzo wzruszony. Pierwszy raz widziałem go tak poruszonego dalekim wspomnieniem.

— Tak bardzo kochałeś Niuszę? — spytałem po chwili.

Zorba otworzył oczy.

— Jesteś młody, szefie. Jesteś jeszcze młody, nie możesz tego zrozumieć. Kiedy

posiwiejesz jak ja, pogadamy o tym, o tej odwiecznej sprawie.

— Jakiej odwiecznej sprawie?

— O kobiecie, oczywiście! Ile razy mam ci to powtarzać? Kobieta jest odwieczną sprawą. Ty jesteś teraz jak koguty, które wskakują na kury, raz dwa robią swoje, a potem nadymają się, wskakują na kupę gnoju i pieją. Nie obchodzą ich kury, lecz własne grzebienie. Cóż ty możesz wiedzieć o miłości? Nic a nic!

Splunął z pogardą i odwrócił się, nie chcąc na mnie patrzeć.

— A więc, Zorbo — zapytałem znowu — co z Niuszą?

Zorba odpowiedział zapatrzony w morską dal:

— Pewnego wieczoru wróciłem do domu i nie zastałem jej. Uciekła z przystojnym żołnierzem, który przybył do wioski. To był koniec. Serce mi się rozdarło, ale szybko się zrosło. Widziałeś pewnie żagle pełne czerwonych, żółtych i czarnych łat, zszyte grubymi nićmi, żagle, których nie rozerwie nawet najsilniejszy, sztorm. Takie jest moje serce. Pełne dziur i pełne łat. Niczego już się nie lęka.

— Nie miałeś żalu do Niuszy?

— Dlaczego miałbym mieć do niej żal? Mów, co chcesz, szefie, ale kobieta to zupełnie co innego, zupełnie co innego! Nie jest człowiekiem. Dlaczego więc miałbym mieć do niej żal? Kobieta jest czymś niepojętym. Żadne prawa ani religia nie mają do niej zastosowania. Są zbyt surowe i bezwzględne. Gdybym ja wymyślał prawa, dałbym osobne dla mężczyzn, osobne dla kobiet. Dziesięć, sto, tysiąc ustaw dla mężczyzn — mężczyzna jest mężczyzną, wszystko wytrzyma — ale ani jednej dla kobiet. Ile razy mam ci powtarzać, szefie, że kobieta to słabe stworzenie? Zdrowie Niuszy, zdrowie kobiety! Niech Bóg da nam, mężczyznom, więcej rozumu.

Wypił, podniósł rękę i opuścił ją nagle, jakby coś rąbał.

— Niech nam da więcej rozumu albo niech zrobi z nami to, co wuj Anagnostis z wieprzami. Inaczej, wierz mi, koniec!

8.

Następnego dnia mżył deszcz. Niebo, zda się, z nieopisaną czułością łączyło się z ziemią, przywodząc mi na myśl hinduską płaskorzeźbę na ciemnoszarym kamieniu, gdzie mężczyzna, oplótłszy ramionami kobietę, zespałał się z nią tak miękko i serdecznie, iż czas, zatarłszy kontury ciał, upodobnił ich do dwóch złączonych miłośnie owadów ze zwilgotniałymi od deszczu skrzydłami.

Siedziałem w baraku, patrząc na mroczniejącą ziemię i lśniące, szarozielone morze. Od krańca do krańca plaży nie było widać żywej duszy: ani ptaka, ani żagla na morzu. Tylko zapach ziemi napływał przez okno.

Wstałem, jak żebrak wyciągnąłem rękę. I natychmiast zebrało mi się na płacz. Jakiś smutek, głębszy i mroczniejszy niż mój własny, wionął od wilgotnej ziemi. Ogarnęło mnie przerażenie osaczonego zwierzęcia, które pasło się beztrosko i nagle poczuło, że wpadło w pułapkę, z której nie ma wyjścia.

Ze wstydem opanowałem chęć krzyku, który by przyniósł mi ulgę.

Chmury opuszczały się niżej i niżej. Wyjrzałem przez okno. Serce moje uderzało wolno.

Ponure, duszne godziny mżawki są utkane z cierpienia. W takich chwilach przychodzą na myśl gorzkie wspomnienia ukryte głęboko w duszy — rozłąka z przyjaciółmi, zgasłe uśmiechy kobiet, nie spełnione nadzieje jak motyle, którym wyrwano skrzydła, czyniąc z nich toczące moje serce robaki.

Stopniowo spoza mżawki przesłaniającej mokrą ziemię wyłonił się obraz przyjaciela przebywającego na Kaukazie. Aby wyrwać się z sidła deszczu, ująłem pióro i pochyliłem się nad papierem. Rozmowa, którą zacząłem na odległość, była jak świeży oddech.

“Drogi Przyjacielu! Piszę do Ciebie z bezludnego wybrzeża Krety, gdzie postanowiłem zatrzymać się na kilka miesięcy i zabawić się w człowieka interesu. Jeśli ta gra się uda, powiem, że nie była to zabawa, tylko ważna decyzja, która przeobraziła całe moje życie.

Pamiętasz, odjeżdżając, nazwałeś mnie gryzipiórkiem. To mnie tak trapiło, że postanowiłem na jakiś czas — może na zawsze — porzucić papiery i wziąć się do czynu. Wydzierzałem niewielkie wzgórze, kryjące węgiel, nająłem robotników, zakupiłem kilofy, łopaty, lampy acetylenowe, kosze, taczki, przebiłem tunele i

wdzieram się do wnętrza. Tak, Tobie na złość! Oto z gryziopiórka przeobraziłem się w kreta. Kopię, drążę otwory w ziemi. Mam nadzieję, że zaaprobujesz tę przemianę.

Często mieniłeś się w żartach moim uczniem. Korzystam z tego i wiedząc, iż powinnością prawdziwego nauczyciela jest umieć więcej od ucznia, tropię sprawy młodości. W ten sposób dotarłem na Krete.

Moje radości tutaj są wielkie, właśnie dlatego, że zwyczajne. Składają się na nie odwieczne elementy: świeże powietrze, słońce, morze, pszenny chleb. Wieczorem zaś siada przede mną po turecku niezwykły Sindbad Żeglarz i opowiada. Opowiada, a świat urasta wówczas do ogromnych rozmiarów. Nieraz, gdy mu nie starcza słów, zrywa się i tańczy, a kiedy i taniec mu nie wystarcza, chwyta *santuri*, kładzie na kolana i zaczyna grać.

Czasami jest to melodia dzika – stajesz zaskoczony, pojmując nagle, że wiodłeś życie puste i jałowe, niegodne człowieka. Kiedy indziej melodia pełna bólu sprawia, że czujesz, iż życie przemyka ci się jak piasek między palcami i nie ma na to rady.

Serce obija się o żebra jak biegające na krosnach czółenka. Tka wątek tych kilku miesięcy spędzonych na Krecie i – przebac mi, Boże – chyba jestem szczęśliwy.

Konfucjusz mówi: «Wielu szuka szczęścia ponad ludzką miarę, inni poniżej jej, lecz ono znajduje się obok człowieka». To prawda. Istnieje tyle rodzajów szczęścia, ile miar poszczególnych ludzi. Takie jest, drogi Uczniu i zarazem Mistrzu, moje szczęście dzisiejsze. Mierzę je i mierzę wciąż od nowa, zaniepokojony, czy jest na moją obecną miarę. Bo wiesz dobrze, że człowiek ulega zmianom.

Dusza ludzka przeobraża się zależnie od nastroju, ciszy, samotności albo otoczenia! Ludzie widziani przez pryzmat mojej samotności nie wydają się mrówkami, lecz przeciwnie: ogromnymi dinozaurami lub pterodaktylami, żyjącymi w powietrzu nasyconym dwutlenkiem węgla i gęstą kosmiczną zgnilizną. Istna dżungla – niezrozumiała, absurdalna, żalosna. Pojęcia: «ojczyzna» i «naród», do których tak jesteś przywiązany, słowa «ludzkość» i «humanizm», które mnie urzekły, mają taką samą wartość wobec wszechogarniającego tchnienia rozkładu. Czujemy, że zostaliśmy stworzeni, aby wymówić parę sylab, czasem nie sylab, ale nieartykułowanych dźwięków, jakichś «a», «o», «u» – po czym obracamy się w nicość. Nawet najwznioślejsze idee, widziane od podszewki, są tylko bawidelkami wypchanymi trocinami ze zręcznie ukrytą w środku sprężyną.

Wiesz jednak dobrze, że te pełne okrucieństwa rozmyślania nie skłaniają mnie

do rezygnacji, lecz są jak głównie zażegające, we mnie płomień. Mój mistrz Budda rzecze: «Widziałem». I ja również widziałem i wymieniałem porozumiewawczy znak z niewidzialnym, pełnym kapryśnego humoru Reżyserem. Od tej chwili mogę aż do końca grać rolę, jaką mi Bóg wyznaczył na swojej scenie; ponieważ widziałem — współtworzę tę sztukę, w której gram.

Tak więc, obejmując wzrokiem scenę wszechświata, widzę Cię grającego również swą rolę w owianych legendą zakątkach Kaukazu. Walczysz o ocalenie kilku tysięcy naszych współplemieńców, zagrożonych śmiercią. O, Pseudo-prometeuszu! I Ty poznasz cierpienie. Zadadzą ci je owe ciemne siły, z którymi toczysz wojnę, a którym na imię: głód, zimno, choroby, śmierć. Ale będziesz się w swojej dumie radował, że są tak liczne i niezwyciężone, bo przez to Twój trudny cel wyda ci się bardziej godny poświęcenia, a Twa dusza osiągnie tragiczną wielkość.

Życie, jakie wiesz, uważasz z pewnością za szczęśliwe, a ono przez to staje się rzeczywiście takie. I Ty też znalazłeś szczęście na swoją miarę, która — chwała Bogu — jest teraz większa od mojej. Dobry nauczyciel nie pragnie lepszej nagrody niż ta, by uczeń go prześcignął.

Co do mnie — często bluźnię i błędzę. Moja wiara jest mozaiką złożoną z wątpliwości. Nieraz opanowuje mnie pragnienie, by za jedną chwilę oddać całe życie. Ale Ty mocno dzierzysz ster i nie zapominasz, dokąd zmierzasz, nawet w najmilszych dla siebie chwilach.

Pamiętasz te dni, kiedy we dwójkę wędrowaliśmy przez Włochy do Grecji? Postanowiliśmy udać się nad Morze Czarne, bo tam było niebezpiecznie. Pamiętasz? W jakiejś małej miejscinie wysiedliśmy spieszenie z pociągu; mieliśmy nie więcej niż godzinę do odejścia następnego. Udaliśmy się do ogromnego, bujnie zarośniętego parku w pobliżu dworca. Pełen był drzew o szerokich liściach, bananowców, trzciny o szarym, metalicznym kolorze. Kwitnącą gałąź oblepiały pszczoły, a ona zdawała się drzeć z rozkoszy, jaką sprawia ofiarowywanie słodczy.

Szliśmy w milczeniu, powoli jak we śnie. I niespodziewanie na jednym z zakrętów kwitnącej alei ukazały się dwie dziewczyny. Idąc czytały. Nie pamiętam już, czy były ładne, czy brzydkie. Wiem tylko, że jedna miała włosy jasne, a druga ciemne — i że obie nosiły lekkie bluzki.

Z odwagą, jaka zdarza się jedynie w snach, zbliżyliśmy się do nich i Ty powiedziałeś ze śmiechem: «Cokolwiek czytacie, podyskutujmy o tym». Czytały Gorkiego. Więc w pośpiechu, bo pozostało nam niewiele czasu, mówiliśmy o życiu,

nędzy, buncie, o miłości...

Nigdy nie zapomnę tamtej radości i zarazem goryczy. Bo rozmawiając, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, nawet kochankami tych nieznanych dziewcząt, śpieszyliśmy się; za parę minut mieliśmy je opuścić na zawsze. W rozedrganym powietrzu czuło się rozstanie i śmierć.

Pociąg nadjechał z gwizdem. Zerwaliśmy się jakby ze snu i uścisnęliśmy sobie dłonie. Czy można zapomnieć mocny, rozpaczliwy splot naszych rąk, naszych palców, które nie chciały się rozłączyć! Jedna z dziewcząt pobladła, druga zaśmiała się drżąc.

Pamiętam, powiedziałem Ci wtedy: «Cóż znaczy Grecja, ojczyzna i obowiązek? Prawda znajduje się tutaj!» A Ty odrzekłeś: «Grecja, ojczyzna — nic nie znaczą, ale w imię tego "nic" chętnie oddamy życie!»

Po co Ci piszę o tym wszystkim? Abyś wiedział, że niczego, co wspólnie przeżyliśmy, nie zapomniałem. I żeby wreszcie wyrazić w listach to, co — słusznie czy niesłusznie milcząc — kryliśmy w sobie, gdy byliśmy razem.

Teraz, kiedy nie ma Cię przy mnie i nie widzisz mojej twarzy, kiedy nie obawiam się, że wydam Ci się przewrażliwiony i śmieszny, powiem Ci, że bardzo Cię Kocham".

Skończyłem list, pogawędka z przyjacielem przyniosła mi ulgę.

Zawołałem Zorbę. Przykucnął pod skałą, żeby nie moknąć, i sprawdzał działanie kolejki linowej.

— Chodź, Zorbo! — zawołałem. — Wstań, idziemy do wioski przejść się trochę.

— Ale masz humor, szefie! Pada. Nie poszedłbyś sam?

— Owszem, mam humor i nie chcę go stracić, a gdy jesteśmy we dwóch, to mi nie grozi. Chodź!

Zaśmiał się.

— Cieszy mnie, że ci jestem potrzebny. Chodźmy!

Narzucił podarowany przeze mnie płaszcz ze spiczastym kapturem i wyszliśmy na drogę, człapiąc po błocie.

Wierzchołki górskie rozmazywały się w deszczu i mgle, mokre kamienie lśniły, nie było wiatru. Kopalnia węgla brunatnego ledwo majaczyła w szarudze. Od zarysu wzniesienia, przywodzącego na myśl kobiecą twarz, wiał niemal ludzki smutek, jakby to kobieta omdlała pod kroplami deszczu.

— Gdy tak siąpi, serce się kraje człowiekowi — powiedział Zorba — i trudno mu to mieć za złe.

Pochylił się nisko nad korzeniami żywopłotu, zerwał pierwsze dzikie narcyzy, przypatrywał się im przez długi czas tak nienasycenie, jakby je pierwszy raz widział, wahał je z przymkniętymi oczami, wreszcie oddał mi je z westchnieniem.

— Gdybyśmy wiedzieli, szefie — rzekł — o czym szepczą kamienie, kwiaty i deszcz! Może nas wołają, a my nie słyszymy. Kiedyż otworzą się ludzkie uszy? Kiedy rozewrą się nasze oczy? Kiedy nasze rozpostarte ramiona obejmą kamienie, kwiaty, deszcz, ludzi?... Co o tym sądzisz, szefie? A co mówią twoje szpargały?

— Niech je diabli porwą! — użyłem ulubionego wyrażenia Zorby. — Niech je diabli porwą i tyle!

Zorba chwycił mnie za rękę.

— Powiem ci, co myślę, szefie, ale nie obraż się. Zbierz w kupę wszystkie swoje szpargały i spal je. Wtedy kto wie, przecież nie jesteś głupi, jesteś dobrym człowiekiem... Może też coś zrozumiesz!

“On ma rację! Ma rację! — krzyknąłem w głębi duszy. — Ma rację, a jednak nie mogę tego zrobić!”

Zorba przystanął, zamyślił się i po chwili powiedział:

— Chyba ja coś niecoś rozumiem...

— Co? Powiedz mi, Zorba!

— Czy ja wiem? Wydaje mi się, jakbym coś dostrzegął... Ale jeśli spróbuję o tym mówić, zepsuję wszystko. Któregoś dnia, gdy będę w nastroju, zatańczę to.

Deszcz przybrał na sile. Dochodziliśmy do wioski. Dziewczynki pędziły z pastwisk owce, gospodarze wyprzęgali woły, porzucając nie dokończoną orkę, gospodynie zwoływały pod dach dzieci. Wesoły zamęt ogarnął wioskę z chwilą, gdy szaruga przeszła w ulewę. Kobiety wydawały głośnie okrzyki, lecz ich oczy się śmiały. Z bujnych bród mężczyzn i z ich podkręconych wąsów zwisały grube krople. Gorzka woń gleby, trawy i kamieni unosiła się nad ziemią.

Przemoknięci do ostatniej nitki schroniliśmy się w kawiarni-masarni “Cnota”. Panował tu tłok. Jedni grali w karty, inni rozmawiali tak głośno, jakby wołali do siebie z dwóch szczytów górskich, oddzielonych przełęczą. W głębi, przy stoliku na drewnianym podwyższeniu, zasiadła wiejska starszyzna: wuj Anagnostis w białej koszuli z szerokimi rękawami, Mavrantonis, poważny, milczący — palił nargile z oczami utkwionymi w podłozie — chudy i wymizerowany nauczyciel wsparty na grubej lasce, z dobrodusznym uśmiechem słuchający zarośniętego olbrzyma, który niedawno wrócił z Kastellionu i opowiadał o dziwach wielkiego miasta. Pochylony nad

ładą właściciel kafejki nastawiał ciekawie uszu i żartował, pilnując kamionek z kawą, stojących rzędem na ogniu. Wuj Anagnostis wstał, gdy tylko nas zauważył.

— Prosimy do nas, ziomkowie — powiedział. — Sfakianonikolis opowiada właśnie o wszystkim, co widział i słyszał w Kastellionie... To zabawne... Przyjdźcie posłuchać. — I zwracając się do właściciela, zamówił: — Dwie wódki.

Zajęliśmy miejsca. Półdziki pastuch na widok obcych skulił się i zamilkł.

— Nawet w teatrze byłeś, *kapetanie* Nikolisie? — nauczyciel próbował zmusić go do mówienia. — Jak ci się tam podobało?

Sfakianonikolis wyciągnął ogromną łapę, całą garścią chwycił czarę z winem i jednym haustem wypił dla dodania sobie odwagi.

— Czy byłem, mówisz? — krzyknął. — A jakże, byłem! Nieraz słyszałem o Kotopuli, aż wreszcie pewnego wieczoru przeżegnałem się i rzekłem sobie: "Pójdę, słowo daję, pójdę zobaczyć, co to za diabeł!"

— No i co zobaczyłeś, Nikolisie? — spytał wuj Anagnostis. — Co ujrzałeś, zuchu?

— Słowo daję! Nic wielkiego. Teatr! Tyle się o tym słyszy, jakby to było nie wiadomo co, a tymczasem szkoda nawet pieniędzy. To tak jak kawiarnia, tyle, że okrągła jak klepisko, wiele krzeseł, kandelabry i ludzie. Zgłupiałem, światło zawierciło mi w ślepiach, przestałem cokolwiek widzieć! "Do diabła! — myślę sobie. — Ani chybi czary, trzeba zmykać!" A tu jakaś pannica, trzepocąca się jak sroka, ucapiała mnie za rękę i ciągnie. "Dokąd mnie prowadzisz?" — krzyczę, a ona nic, tylko dalej ciągnie. Wreszcie odwraca się i mówi: "Siadaj!" Siadłem. Przede mną i za mną, z prawej i lewej strony ludzie. "Oj, uduszę się! — myślę. — Zdechnę bez odrobiny powietrza!" Zwracam się do sąsiada: "Skąd, kumie, wychodzą te prymadony?" "Ot, stamtąd, ze środka!" — odpowiada i pokazuje jakąś zasłonę. Gapię się więc i ja na nią. Rzeczywiście, najpierw coś zadzwoniło, a potem ta zasłona się podniosła. I oto proszę — jest Kotopuli. Tylko właściwie to wcale nie Kotopuli, a kobieta. Słowo daję — najprawdziwsza kobieta! Zaczęła spacerować tu i tam, kręcić się i kołysać. A jak się to ludziom już znudziło, zaczęli klaskać i ona uciekła. Wieśniacy tarzali się ze śmiechu, a Sfakianonikolis obrażony podszedł do drzwi.

— Pada! — powiedział głośno, żeby zmienić temat.

Wszyscy spojrzeliśmy za nim i właśnie w tej chwili zobaczyliśmy biegnącą kobietę. Rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona, podkasła do kolan czarną spódnicę. Była pulchna i krągła, mokre, przylegające do ciała ubranie uwypuklało jej

jędrne kształty.

Poderwałem się. "Urodziwa bestia!" — pomyślałem. Wydała mi się niebezpieczna.

Kobieta obejrzała się i obrzuciła bystrym spojrzeniem wewnątrz kafejki. Twarz jej pojaśniała, oczy zabłysły.

— Madonno! — szepnął jakiś siedzący przy oknie młodzik z meszkiem zarostu na brodzie.

— Niech to licho! Gorąca! — ryknął strażnik Manolakas. — Rozpala ogień, którego potem nie gasi!

Młodzieniec spod okna zanucił najpierw cicho, niepewnie, stopniowo jednak głos jego nabierał mocy.

*Wdowia poduszka wonieje jak pigwa,
Poznałem jej zapach i zasnąć nie mogę...*

— Zamknij gębę! — krzyknął Mavrantonis, wymachując nargilami.

Młodzieniec zamilkł. Długowłosy starzec pochylił się do Manolakasa.

— Twój wuj — szepnął tajemniczo — znowu się wściekł. Gdyby to od niego zależało, niech Bóg uchwaja, posiekałby biedaczkę na kawałki.

A Manolakas odparł:

— Coś mi się zdaje, dziadku Antruliosie, że i ciebie ciągnie wdowia kiecka! Nie wstyd ci to? Jesteś przecież kościelnym.

— O, nie! Posłuchaj! Powtarzam raz jeszcze: niech Bóg ją uchwaja! Zauważyłeś, jakie dzieci rodzą się ostatnio w naszej wiosce? Piękne jak anioły! Jak myślisz — dlaczego? Dzięki wdowie. Ona włada całą wsią... Gasisz lampę i wyobrazasz sobie, że obejmujesz ją, a nie żonę. Stąd te piękne dziatki... — Dziadek Antrulios zamilkł na krótko, po czym ciągnął dalej: — Chwała temu, kto ją zdobędzie! Ech, gdybym miał dwadzieścia lat jak syn Mavran-tonisa, Pavlis.

— Zaraz zobaczymy ją wracającą do domu! — powiedział ktoś i zaśmiał się.

Spojrzeli w stronę drzwi. Lało jak z cebra, strumyczki wody bulgotały na kamieniach, niebo raz po raz przecinały błyskawice. Zorba, wzburzony jeszcze niedawnym widokiem wdowy, skinął na mnie:

— Nie pada już, szefie, chodźmy!

W drzwiach pojawił się bosy, rozczochrany młodzik o wielkich, natchnionych

oczach, jakie widujemy na obrazach przedstawiających Jana Chrzciciela.

— Witaj, Mimithosie! — zawołało kilku ze śmiechem.

Każda wioska ma swego przygłupka, a jeśli nie, to tworzy go sobie dla rozrywki. Mimithos był przygłupkiem tej wsi.

— Przyjaciele! — krzyknął wysokim, załamującym się głosem. — Wdowa Surmelina zgubiła swoje jagnię. Pięć litrów wina temu, kto je odnajdzie!

— Wyoń się, niedojdo! — zawołał Mavrantonis.

Przerażony Mimithos skulił się w kącie, tuż przy drzwiach.

— Siadaj, Mimithosie, i napij się na rozgrzewkę — rzekł litościwie wuj Anagnostis. — Co stałoby się z naszą wioską bez tego idioty!

We drzwiach stanął wątyły młodzieniec o wyblakłych, niebieskich oczach. Ociekające wodą włosy przylegały mu do czoła. Dyszał.

— Witaj, Pavlisie! — zawołał Manolakas. — Witaj, kuzynie! Chodź do nas.

Mavrantonis na widok syna zmarszczył brwi.

— To ma być mój syn? — mruknął do siebie. — Ten wyskrobek? W kogo u diabła się wdał? Bierze mnie ochota, by chwycić go za kark, podnieść i cisnąć nim o ziemię niby robakiem.

Zorba siedział jak na rozpalonych węglach. Wdowa rozplomieniła jego wyobraźnię, nie mógł już wytrzymać w czterech ścianach.

— Chodźmy, szefie, chodźmy... — powtarzał nieustannie. — Udusimy się tutaj!

Zdawało mu się, że chmury rozproszyły się i wyjrzało słońce.

— Kim jest ta wdowa? — zwrócił się z udaną obojętnością do właściciela kawiarenki.

— Kobyła — odparł Kontomanolios. Przyłożył palec do ust i wskazał okiem na Mavrantonisa, który znowu wbił wzrok w ziemię. — Kobyła — powtórzył. — Nie mówmy o niej, żeby nie grzeszyć.

Mavrantonis wstał, złożył nargile.

— Wybaczcie! — powiedział. — Pójdę do domu. Chodź, Pavlis, ze mną!

Ruszył przodem, za nim syn. Obaj zniknęli w deszczu. Za nimi wyszedł Manolakas.

Kontomanolios szybko zajął miejsce Mavrantonisa.

— Nieszczęsny Mavrantonis umrze z rozpacz — powiedział tak cicho, żeby jego słowa nie dotarły do sąsiednich stolików. — Jego dom nawiedziło nieszczęście. Wczoraj na własne uszy słyszałem, jak Pavlis mówił do ojca: “Zabiję się, jeżeli ona nie

zostanie moją żoną!". A ta bezwstydnica go nie chce! Co gorsza, nazywa smarkaczem.

— Chodźmy, szefie, nalegał Zorba, który podniecał się, gdy mówiono o wdowie. Koguty zaczęły pisać, deszcz nieco zelżał.

— Chodźmy — zgodziłem się, wstając.

Mimithos wychynął ze swego kąta i zaczął skradać się za nami.

Kamienie lśniły obmyte wodą, drzwi pociemniały od wilgoci. Staruszki szły z koszykami zbierać ślimaki. Mimithos zbliżył się i dotknął mojej dłoni.

— Daj papierosa, szefie — powiedział. — To ci przyniesie szczęście w miłości.

Dałem. Wtedy wyciągnął wychudłą, opaloną rękę.

— Daj jeszcze ognia!

Gdy podałem mu go, zaciągnął się głęboko, wypuścił dym nozdrzami i przymknął oczy.

— Jestem szczęśliwy niby pasza — mamrotał.

— Dokąd idziesz?

— Do sadu wdowy. Powiedziała, że da mi jeść, jeśli ogłoszę wieść o owcy.

Szliśmy prędko. Przez chmury wyjrzało słońce. Wioska uśmiechnęła się, świeżo obmyta deszczem.

— Podoba ci się wdowa, Mimithosie? — spytał Zorba przez zęby.

Mimithos zachichotał.

— Dlaczego nie miałyby mi się podobać? Czyż nie wylazłem jak inni ze ścieku!

— Ścieku? — spytałem zdumiony. — Co chcesz przez to powiedzieć, Mimithosie?

— No, z łona matki.

Byłem zaskoczony. Tylko Szekspir mógłby w chwili natchnienia znaleźć tak surowe i realistyczne określenie dla odmalowania ciemnej i odpychającej tajemnicy narodzin.

Spojrzałem na Mimithosa. Jego nieco zezujące oczy były wielkie i puste.

— Co robisz przez cały dzień, Mimithosie?

— Co robię? To samo, co nasz bej! Budzę się rano, zjadam kawał chleba, potem biorę się do pracy, robię cokolwiek i gdziekolwiek, załatwiam sprawunki, przerzucam nawóz, łowię ryby na wędkę. Mieszkam kątem u mojej ciotki, starej płaczki Lenio — chyba ją znacie. Nawet ją kiedyś fotografowano. O zmierzchu wracam do domu, zmiatam michę zupy, wypijam łyk wina, a jeśli wina nie ma, to wody, której, dzięki Bogu, zawsze starczy do wypełnienia brzucha. A potem — dobranoc!

— Nie masz zamiaru ożenić się, Mimitosie?

— Ja? Jeszczem nie zwariowałem! Co ty gadasz, chłopie? Mam sobie wziąć kłopot na głowę? Kobieta potrzebuje butów! Skąd jej wezmę? Widzisz, sam chodzę boso!

— Nie masz butów?

— Jak to nie mam? W ubiegłym roku ktoś zmarł i ciotka Lenio ściągnęła mu z nóg. Ale wkładam je tylko na Wielkanoc, kiedy idę do kościoła pokazać się popu. Potem ściągam je, przerzucam przez ramię i niosę do domu.

— A co najbardziej lubisz, Mimitosie?

— Przede wszystkim chleb, zwłaszcza gdy jest świeży, chrupiący, a do tego pszenny! Potem wino i sen.

— A kobiety?

— Tfu! Jedz, pij i sypiaj dobrze, mówię ci! Wszystko inne — bałamuctwa!

— A wdowa?

— Pal ją diabli! Nie życzę sobie aż tak źle! Nie kuś mnie, szatanie — splunął i przeżegnał się trzykrotnie.

— Umiesz czytać i pisać?

— Gdzie tam! Jak byłem mały, zawlekli mnie siłą do szkoły, ale dostałem tyfusu i zgłupiałem. To mnie uratowało!

Zorba miał dosyć tej rozmowy. Wciąż myślał o wdowie.

— Szeffie... — powiedział i chwycił mnie za ramię. Mimitosowi zaś rozkazał: — Idź przodem. My mamy z sobą coś do pogadania... — Ściszył głos, wydawał się wzruszony: — Szeffie, ja tu zaczekam na ciebie, a ty nie rezygnuj z tego kłaska — wszystko jedno: Bóg czy diabeł ci go zsyła. Masz mocne zęby, ujmij się honorem, wyciągnij ramiona i chwytaj. Po co Stwórca dał nam ręce? Żeby brały. Bierz! Widziałem mnóstwo kobiet, ale ta piekielna wdowa skruszyłaby kamień.

— Nie chcę kłopotów! — odparłem wściekły.

Rozzłościłem się, ponieważ w głębi duszy i ja pragnąłem tego przemożnie kuszącego ciała, które przemknęło przede mną niby dzikie stworzenie w czasie godów.

— Nie chcesz kłopotów! — zagadnął Zorba nieśmiało. — Więc czego ty właściwie chcesz, szefie?

Nie odpowiedziałem.

— Życie w odróżnieniu od śmierci jest pasmem kłopotów — ciągnął Zorba. — Wiesz, co znaczy żyć? Popuszczać pasa i szukać guza.

Milczałem. Wiedziałem, że Zorba ma rację, ale zabrakło mi odwagi. Moje życie

potoczyło się fałszywą drogą, a kontakt z ludźmi wywoływał tylko wewnętrzny monolog. Upadłem już tak nisko, że gdybym miał do wyboru rzeczywistą miłość lub przeczytanie dobrego romansu, wybrałbym książkę. A Zorba mówił:

— Nie zastanawiaj się, szefie! Rzuć cyfry, zniszcz swoją przeklętą wagę, zamknij sklepik. Radzę ci dobrze. To jest chwila, w której ocalisz lub zgubisz swą duszę. Posłuchaj, szefie, weź chusteczkę, zawiąż w nią dwie lub trzy złote monety, bo papierowe tak jej nie olśnią, poślij do wdowy przez Mimitosa ze słowami: “Przyjm tę chusteczkę i pozdrowienia od właściciela kopalni węgla. To drobiazg wobec moich uczuć. Nie martw się więc o jagnię, choćby przepadło, bo dopóki tu jestem, nic ci nie grozi. Odkąd cię zobaczyłem przechodzącą obok kawiarni, nie przestaję myśleć o tobie”.

A że trzeba kuć żelazo, póki gorące, jeszcze dzisiejszego wieczoru zapukasz do jej drzwi. Powiesz, że zaskoczył cię mrok, nie znasz drogi i prosisz o pożyczanie latarki. Albo pod pretekstem bólu głowy poprosisz o szklankę wody. Albo jeszcze lepiej; kup inne jagnię, przyprowadź je i powiedz: “To owca, którą pani zgubiła”. A wdowa, wierz mi, szefie, wdowa cię wynagrodzi... Wjedziesz konno do rajy. Och, gdybym się zmieścił za tobą na siodle. Innego rajy niż ten nie znajdziesz. Wierz mnie, chłopie, nie popom, innego rajy nie ma!

Zbliżaliśmy się już widocznie do obejścia wdowy, gdyż usłyszeliśmy westchnienie Mimitosa i jego zawodzący, cienki głos:

Orzech pragnie miodu, a wino kasztana.

Chłopiec dla dziewczyny, dziewczę dla młodziana.

Zorba rozpiął koszulę, nozdrza mu się rozděły. Stał, zaczerpnął tchu i spojrzał na mnie:

— Więc? — zapytał niecierpliwie.

— Chodźmy! — rzuciłem oschle i ruszyłem naprzód.

Zorba potrząsnął głową, zamruczał coś, czego już nie dosłyszałem.

Gdy dotarliśmy do baraku, siadł po turecku, położył *santuri* na kolanach i pochyliwszy głowę pogrążył się w zadumie, jakby w myśli przerzucał znane piosenki, starając się wybrać najpiękniejszą i najbardziej smutną. Wreszcie zanucił żalną melodię. Od czasu do czasu popatrywał na mnie z ukosa. Czuję, że wyraża to, czego nie potrafi albo nie chce ubrać w słowa. Z pomocą instrumentu mówił mi, że marnuję życie, bo zarówno ja, jak i wdowa jesteśmy owadami żyjącymi przez sekundę w

słońcu, by potem szesznać na zawsze, niepowrotnie.

Nagle, zrozumiałwszy daremność swych usiłowań, poderwał się, oparł o ścianę, zapalił papierosa i rzekł:

— Powtórzę ci, szefie, słowa, które usłyszałem kiedyś od pewnego hodźy z Salonik, chcę ci je powiedzieć, nawet gdyby pozostały daremne.

Byłem wtedy domokrażcą w Macedonii. Chodziłem od wsi do wsi i sprzedawałem szpilki, nici, żywoty świętych, kadzidło, paprykę... Miałem iście słowiczy głos, a musisz wiedzieć, że kobiety i na to dają się złapać. Zresztą na cóż te ladacznice nie lecą? Jeden Bóg wie, co się w nich kotłuje! Możesz być brzydki, kulawy, garbaty, ale jeśli masz słodki głos i umiesz śpiewać, na pewno zawrócisz im w głowach.

Kiedy więc przebiegałem jako domokrażca Saloniki, często zdarzało mi się odwiedzać dzielnice tureckie. Mój śpiew oczarował pewną bogatą muzułmankę do tego stopnia, że straciła sen. Zawołała starego hodźę i nasypała w jego dłonie monet: "Aman — mówiła do niego. — Zawołaj Greka domokrażcę, niech tu przyjdzie. Aman, muszę go zobaczyć. Nie mogę już dłużej..." Hodźa odszukał mnie i rzekł: "Chodź ze mną, grecki młodzieńcze!" "Nie pójdę — zaprotestowałem. — Dokąd mnie chcesz prowadzić?" "Córka paszy, czysta jak źródłana woda, oczekuje cię, młodzieńcze, u siebie, chodź!" Ale ja wiedziałem, że nocą zabijano chrześcijan w tureckich dzielnicach. "Nie pójdę!" — powtórzyłem. "Czyżbyś się nie bał Boga, giaurze?" "Dlaczego tak mówisz?" "Bo wiedz, młody Greku, że kto może połączyć się z kobietą i nie uczyni tego, popełnia wielki grzech. Jeśli ona wzywa cię, abyś dzielił z nią łożę, a ty odmawiasz, duszę swoją skazujesz na zgubę. Kobieta będzie tęskniła do dnia sądu ostatecznego, a jej westchnienia pchną cię do piekła, choćbyś był, nie wiem kim i nie wiem, ile dobrego uczynił". — Zorba westchnął. — Jeśli istnieje piekło, pójdę tam nie dlatego, że kradłem, zabijałem czy cudzołożyłem. Nie, nie! Wszystko to mi dobry Bóg wybaczy! Znajdę się w piekle, ponieważ tamtej nocy kobieta oczekiwała mnie w swoim łożu, a ja nie przyszedłem.

Wstał, rozpałił ogień i wziął się do gotowania. Spojrzał na mnie z ukosa i uśmiechnął się lekceważąco:

— Można mówić jak do słupa! — mruknął i pochyliwszy się zaczął ze złością rozdmuchiwać nikły, nie imający się mokrych drewek ogień.

9.

Dni stawały się coraz krótsze, światła szybko ubywało, serce zdawało się zamierać, gdy popołudnie chyliło się ku wieczorowi. Wracał dawny strach przodków, którzy w zimowe miesiące spozierali na niknące z dnia na dzień wcześniej słońce. "Jutro już się nie pojawi" — myśleli z trwogą i w bezsenną noc wypatrywali go na wzgórzach, zapytując z drżeniem: "Wzejdzie czy nie?"

Zorba — bardziej pierwotny — przeżywał te niepokoje głębiej niż ja. Żeby się od nich uwolnić, opuszczał chodniki kopalni, dopiero gdy gwiazdy zabłysły na niebie.

Odkrył cenny pokład węgla brunatnego, dość czystego, o niewielkiej wilgotności — był więc zadowolony. W wyobraźni wydawał już zarobione pieniądze na podróże, kobiety i nowe przygody. Z niecierpliwością czekał dnia, kiedy zdobędzie dostateczną ich ilość, kiedy jego skrzydła — bo pieniądze nazywał skrzydłami — staną się dostatecznie wielkie, aby mógł wyfrunąć. Dlatego spędzał całe noce na wypróbowywaniu swej mikroskopijnej kolejki. Chciał znaleźć taki kąt nachylenia, by kłody spadały lekko i delikatnie, jakby je nieśli aniołowie.

Kiedyś chwycił ogromny arkusz papieru, kolorowe ołówki i narysował górę, las, kolejkę i pnie, zsuwające się po drutach, a każdy z pni miał duże, niebieskie skrzydła. Narysował małą, okrągłą zatokę, a w niej czarne statki z marynarzami w papuziej zieleni i barki naładowane żółtymi pniami. Na czterech rogach arkusza umieścił mnichów; z ich ust wywijają się różowe wstęgi z ogromnym, czarnym napisem: "Wielki jesteś, o Panie, i wspaniałe dzieła Twoje!"

Od kilku dni Zorba, rozpaliwszy pośpiesznie ogień i ugotowawszy posiłek, wychodził w kierunku wiejskiej drogi. Wracał po jakimś czasie smętny.

— Gdzie się znowu włóczyłeś, Zorbo? — pytałem.

— Nie twoja rzecz, szefie — mówił i zmieniał temat.

Któregoś wieczoru rzekł do mnie nieśmiało:

— Jak sądzisz, szefie? Bóg istnieje czy nie? A jeśli istnieje — bo wszystko jest możliwe — to jak go sobie wyobrażasz?

Wzruszyłem ramionami.

— Widzisz, nie śmieję się ze mnie, ale ja przypuszczam, że Bóg podobny jest do mnie, tylko wyższy, silniejszy, z większą fantazją, i do tego nieśmiertelny. Siedzi wygodnie na miękkich jagnięcych skórkach, a jego barak — niebo — nie jest sklecony

ze starych kanistrów jak nasz, tylko z obłoków. W prawej dłoni nie trzyma miecza ani wagi — to dobre dla rzezimieszków i sklepikarzy. On dzierży wielką gąbkę nasyconą wodą jak chmura deszczem. Po jego prawej stronie znajduje się raj, po lewej piekło. Przychodzi biedna dusza — nagusieńka, bo nie ma ciała — i drży. Bóg spogląda na nią i uśmiecha się pod wąsem. Wnet jednak przybiera groźną minę. “Chodź tu — powiada grzmiącym głosem. — Chodź tu, przekłeta!” — i zaczyna ją wypytywać. Dusza rzuca się do stóp Boga. “Litości! Przebacz mi!” — woła, a potem wylicza swoje grzechy. Recytuje je niby litanie bez końca, Bóg wkrótce ma tego dość i ziewa. “Zamilcz już — krzyczy — głowa mi pęka!” — i szast-prast, jednym machnięciem gąbki ściera wszystkie grzechy. “Wynoś się do rajów! — mówi. — Piotrze, pozwól wejść tej nieboraczce!” Bo musisz wiedzieć, szefie, że Bóg jest wielkim panem, a wielkość to przebaczenie.

Pamiętam, że owego wieczoru, gdy Zorba plótł swoje filozoficzne bzdury, uśmiełem się serdecznie, ale ta wielkość Boga, współczująca, szlachetna i wszechmocna, stawała się dla mnie ciałem i dojrzewała w moich myślach i marzeniach.

Innego deszczowego wieczoru siedzieliśmy skuleni w naszym baraku i piekliśmy kasztany w gorącym popiele. Zorba zwrócił się ku mnie i patrzył tak badawczo, jakby chciał zgłębić jakąś wielką tajemnicę. W końcu nie wytrzymał i rzekł:

— Chciałbym wiedzieć, szefie, co ty we mnie widzisz? Na co czekasz? Czemu nie weźmiesz mnie za kark i nie wyrzucisz za drzwi? Mówiłem ci już, że nazywają mnie “Zarazą”, bo gdziekolwiek się znajdę, kamienia na kamieniu nie zostawię... Twoją robotę też diabli wezmą... Wyrzuć mnie za drzwi, dobrze ci radzę!

— Podobasz mi się — odpowiedziałem. — Nie pytaj więc o nic.

— Czy nie widzisz, szefie, że mnie brak którejś klepki? Może mam ich parę, ale na pewno nie wszystkie. Zaraz zrozumiesz: Otóż ostatnio dniem i nocą nie daje mi spokoju wdowa. Przysięgam, że nie o mnie tu chodzi. Niech ją diabli... Na pewno jej nie tknę. Nie dla mnie to kątek... Ale nie chcę straty dla innych. Ona nie powinna spać sama. To byłaby krzywda, szefie. Krzywda nie do zniesienia! Krążę w nocy wokół jej obejścia... A wiesz dlaczego? Chcę zobaczyć, czy ktoś nie przyjdzie do niej. Wtedy bym się uspokoił.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Nie śmieję się, szefie! Jeśli kobieta śpi sama, winni są mężczyźni. Wszyscy będziemy za to odpowiadać przed Bogiem w dniu Sądu Ostatecznego. Wprawdzie On przebacza wszelkie grzechy, wymazuje je tą gąbką, o której mówiłem. Ale tego

grzechu nie wybaczy! Szefie, biada mężczyźnie, który mógł spać razem z kobietą, a nie uczynił tego, biada kobiecie, która mogła spać z mężczyzną, a postąpiła inaczej. Pamiętasz, co mówił hodźa?

Zamilkł na chwilę, po czym wybuchnął:

— Czy człowiek, który umarł, może wrócić na ziemię w innej postaci?

— Nie sędzę, Zorbo.

— Ja też nie. Ale gdyby to było możliwe, wtedy wszyscy ci mężczyźni, którzy wyłamali się ze służby — nazwijmy ich dezserterami z frontu miłości — wróciliby na ziemię, wiesz, pod czyją postacią? Pod postacią mułów.

Zamilkł i popadł w zadumę. Nagle jego oczy zabłysły.

— Kto wie? — rzekł podniecony dokonany odkryciem. — Może muły, jakie widzi się dziś na świecie, to właśnie tacy głupcy, którzy w poprzednim życiu uważali się za mężczyzn albo kobiety, a po prawdzie nigdy nimi nie byli. W nowym wcieleniu nadal upierają się i wierzgają. Co o tym sądzisz, szefie?

— Że rzeczywiście brak ci piątej klepki — odpowiedziałem ze śmiechem. — Lepiej weź *santuri!*

— Nie gniewaj się, szefie. Dziś wieczór nie będzie muzyki. Wiesz, dlaczego wyplatom te bzdury? Bo mam wiele trosk. Nowy chodnik — diabli by go wzięli — robi mi kawały! A ty tu mówisz o *santuri*...

Wyjął z popielnika kasztany, dał mi ich pełną garść i napełnił szklanki winem.

— Szczęść, Boże! — powiedziałem trącając się z nim.

— Boże, wspomagaj! — zawtórował Zorba. — Choć dotąd niewiele nam z tego przyszło.

Wypił jednym haustem i wyciągnął się na posłaniu.

— Jutro — rzekł — będę potrzebował wiele siły, czeka mnie rozprawa z kupą diabłów. Dobranoc!

Następnego dnia wczesnym rankiem Zorba poszedł do kopalni.

Robotnicy drążyli nowy chodnik i praca przy nim posuwała się szybko. Z sufitu kapiała woda, a ludzie człapali w czarnym blocku.

Dzień przedtem Zorba sprowadził stemple, żeby podeprzeć strop. Wciąż jednak niepokoił się, pale bowiem nie były dostatecznie grube, a on swoim nieomylnym instynktem, pozwalającym mu traktować cały ten podziemny labirynt tak, jak gdyby to było jego własne ciało, czuł, że zabezpieczenie nie jest pewne.

Nasłuchiwał więc cichych jeszcze, ledwo uchwytnych dla mniej wrażliwego ucha trzasków brzęących jak głuche westchnienia stempli jęczących pod ciężarem stropu.

Dodatkowa okoliczność pogłębiła tego ranka niepokój Zorby! Właśnie kiedy miał zejść do kopalni, nie opodal przejeżdżał na mule wiejski pop Stefanos. Spieszył do pobliskiego żeńskiego klasztoru z ostatnimi sakramentami dla umierającej zakonnicy. Zabobonny Zorba zdążył na szczęście trzykrotnie splunąć, zanim tamten go pozdrowił.

— Dzień dobry — odparł półgębkiem na powitalne słowa popa. I szybko dodał półgłosem: — Tfu! Na psa urok!

Czuł jednak, że to nie wystarczy dla zażegnania niebezpieczeństwa, więc do nowego chodnika schodził rozsierdzony.

Panował tu ciężki zaduch, woń węgla i acetyleny. Robotnicy już przedwczoraj zaczęli umacniać stemple. Zachmurzony Zorba rzucił im krótkie powitanie i zawiązawszy rękawy wziął się do pracy.

Około dziesięciu ludzi waliło kilofami w pokład. Inni zgarniali łopatami urobek gromadzący się u ich stóp, ładowali go na małe, ręczne wózki i wywozili na powierzchnię.

Nagle Zorba zatrzymał się i dał znak robotnikom, żeby przerwali pracę. Nastawił uszu. Jak jeździec związany jest ze swym koniem, a kapitan ze statkiem, tak Zorba zespolony był z kopalnią. Jej chodniki były jak arterie w jego ciele — i to, o czym zbyt późno dałyby znać martwe czarne skały, Zorba przeczuł żywą świadomością człowieka. Właśnie gdy nastawił swoje wielkie owłosione uszy i nasłuchiwał, przyszedłem.

Zerwałem się ze snu, jakby pchnięty czyjąś ręką, pełen złych przeczuć. Ubrałem się i wyszedłem, nie wiedząc, po co się śpieszę i dokąd idę, ale nogi same zaprowadziły mnie do kopalni.

— Nic takiego... — oznajmił Zorba po chwili wytężonego nasłuchiwania. — Zdawało mi się. Do roboty, chłopcy!

Odwrócił się, zauważył mnie i zacisnął wargi.

— Co tu robisz tak wcześnie, szefie? — przysunął się do mnie. — Nie zechciałbyś wrócić na górę, by zaczerpnąć świeżego powietrza? — szepnął. — Wybierzesz się tu innego dnia dla rozrywki.

— Co się dzieje, Zorbo?

— Nic... Przywidzenie. Dzisiaj z samego rana spotkałem popa! Idź...

— Czy nie wstyd byłoby was tu zostawić w niebezpieczeństwie?

— Tak — przyznał Zorba. — A ty uciekłbyś?

— Nie.

— Więc?

— Miara, jaką stosuję do Zorby — rzekł zirytowany — jest inna niż dla reszty ludzi. Ale skoro uważasz, że wstyd odejść, zostań. Tym gorzej dla ciebie.

Chwycił młotek, wspiął się na palce i grubymi gwoździami zaczął przybijać drewniane zabezpieczenie stropu. Zdjąłem ze słupa lampę acetylenową, łąziłem tam i z powrotem po błocie, oglądałem brunatne, to znów szaro połyskujące bryły węgla.

Ziemia niegdyś pochłonęła tu puszcę i przez miliony lat żuła, trawiła, przetwarzała płody swego wnętrza. Drzewa przekształciły się w drewno, drewno w węgiel — i oto przyszedł Zorba, by go odkryć.

Powiesiłem z powrotem lampę i patrzyłem na pracującego Zorbę. Pochłonięty robotą, nie myślał o niczym innym poza nią, utożsamiał się z ziemią, kilofem, węglem. Młot i gwoździe stanowiły jedność z jego ciałem w walce z drewnem. Cierpiał wraz z nawisłym stropem. Walczył z masywem górskim, chcąc wydrzeć mu węgiel siłą lub podstępem. Nieomylnie wyczuwał minerał, uderzał bezbłędnie tam, gdzie opór calizny był najsłabszy i najłatwiejszy do przezwyciężenia. Gdy tak patrzyłem na niego, umorusanego czarnym pyłem, z połyskującymi białkami oczu, wydawało mi się, że zamienił się w węgiel, utożsamiał się z nim, by łatwiej podejść przeciwnika i sforsować jego i linie obronne.

— Brawo, Zorba! — zawołałem uniesiony naiwnym podziwem.

Nie odwrócił się nawet. Gdzieżby mu się chciało rozmawiać w tej chwili z jakimś mołem książkowym, który zamiast kilofa trzyma w ręce ogryzek ołówka. Był zajęty, nie miał czasu na gadanie.

— Nie odzywaj się do mnie, gdy pracuję — rzekł któregoś wieczoru. — Mógłbym cię wtedy ofuknąć!

— Ofuknąć? Dlaczego, Zorbo?

— Znowu szukasz przyczyny! Zupełnie jak dziecko. Jak by ci to wyjaśnić? Jestem cały od stóp do głów oddany swemu zajęciu, zjednoczony z kamieniem albo węglem, albo z *santuri*. Jeśli nagle mnie dotkniesz, powiesz coś, a ja się odwrócę, mogę ugryźć! Teraz rozumiesz?

Spojrzałem na zegarek, dochodziła dziesiąta.

— Czas na śniadanie, chłopcy — powiedziałem. — Już pora!

Robotnicy z zadowoleniem rzucili w kąt narzędzia, otarli z twarzy pot i szykowali się do opuszczenia pokładu. Tylko zajęty robotą Zorba mnie nie usłyszał. Zresztą nawet gdyby usłyszał, nie ruszyłby się z miejsca. Znow z niepokojem nasłuchiwał.

— Poczekaście — rzekłem do robotników. — Zapalimy.

Zacząłem szperać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Ludzie gromadzili się wokół mnie.

Nagle Zorba zerwał się i przyłożył ucho do szpary. W świetle lampy acetylenowej widziałem jego rozwarte usta.

— Co ci jest, Zorbo? — krzyknąłem.

Ale w tej chwili poczuliśmy nad sobą drzenie stropu.

— Uciekajcie! — wrzasnął ochryple Zorba. — Uciekajcie!

Rzuciliśmy się do wyjścia, ale zanim dotarliśmy do pierwszego wiązania stempli, usłyszeliśmy nad głowami drugi, jeszcze głośniejszy trzask. Zorba podnosił właśnie jakiś wielki pień, chcąc umocnić chwiejące się stemple.

Gdyby zdążył, strop wytrzymałby może jeszcze parę sekund pozwalających na ucieczkę.

— Uciekajcie! — zabrzmiał głucho głos, dobywający się jakby z głębokich czeluści ziemi.

Ogarnięci paniką wybiegliśmy wszyscy na zewnątrz, nie myśląc o Zorbie.

Ale w kilka sekund później opanowałem się i wróciłem.

— Zorba! — zawołałem. — Zorba!

Wtedy uświadomiłem sobie, że tylko zdaje mi się, iż wołam. Głos nie wydobył się ze zdławionego strachem gardła. Ogarnął mnie wstyd. Cofnąłem się jeden krok i wyciągnąłem ręce. Zorba skończył właśnie umacnianie stropu i ślizgając się po błocie pobiegł do wyjścia. Wpadł w mroku prosto w moje ramiona. Objęliśmy się odrucho.

— Uciekajmy! — wrzasnął zdławionym głosem. — Uciekajmy!

Wybiegliśmy na światło dnia. Poblądli robotnicy, zebrani u wejścia, nasłuchiwali w milczeniu.

Rozległ się trzeci, najmocniejszy trzask, taki, jaki wydaje drzewo rozdarte od pioruna. Potem górą wstrząsnął huk, brzęmiący jak łoskot gromów, i pokład zawałił się...

Robotnicy przeżegnali się, szepcząc:

— Łaska boska!

— Zostawiliście w środku kilofy? — krzyknął Zorba ze złością.

Nie odpowiedzieli.

— Dlaczego nie zabraliście ich? — zawołał znowu, rozwścieczony. — Narobiliście w portki, zuchy! Co? Szkoda narzędzi!

— To nie jest odpowiednia chwila, aby się troszczyć o kilofy, Zorba! — wtrąciłem. — Cieszymy się, że ludzie ocalili! Dzięki tobie wszyscy żyjemy!

— Zgłodniałem! — rzekł Zorba. — Jestem zupełnie wyczerpany.

Chwycił leżącą na kamieniu torbę ze śniadaniem, otworzył ją, wydobył chleb, oliwki, cebulę, gotowane ziemniaki i niewielką manierkę z winem.

— Chodźcie jeść, chłopcy — powiedział z pełnymi ustami.

Połykał łakomie jadło, jakby w ten sposób chciał szybko odzyskać utracone siły. Milczał przy tym, pochylony nad posiłkiem. Potem chwycił manierkę, odrzucił w tył głowę, przyłożył ją do ust i pił tak łapczywie, że wino aż bulgotało w jego wyschłej gardzieli.

Robotnicy za jego przykładem rozsypali swoje zawiniątka i zaczęli się posilać. Siedzieli wszyscy po turecku dookoła Zorby i jedząc patrzyli na niego. Chętnie by padli mu w podzięce do nóg, całowali ręce, ale znali jego dziwactwa i szorstkość, więc nikt się nie odważył.

W końcu najstarszy wiekiem Michelis z gęstymi szpakowatymi wąsami zdobył się na śmiałość:

— Gdyby cię tam nie było, majstrze Aleksy, nasze dzieci zostałyby sierotami.

— Zamknij gębę! — zawołał Zorba z pełnymi ustami i nikt nie ważył się rzec nic więcej.

10.

“Kto stworzył ten labirynt niepewności, tę świątynię dufności, naczynie grzechu, pole usiane tysiącem zasadzek, przedsionek piekła, kosz po brzegi napełniony chytrą, trucizną słodką jak miód, łańcuch, który wiąże śmiertelnych z doczesnością — kobietę?”

Siedziałem na ziemi obok rozpalonego piecyka i spisywałem powoli, w skupieniu poemat o Buddzie. Próbowalem nim niby zaklęciem wypędzić z myśli urok owego zmoczonego deszczem ciała o rozkołysanych biodrach, które każdej nocy przewijało się przed moimi oczami, to pojawiając się, to niknąc. Zaraz po katastrofie w kopalni, gdzie byliśmy o włos od śmierci, obraz wdowy zaczął burzyć mi krew. Wabił z pierwotną siłą, błagalnie, rozkazująco.

“Chodź, chodź! — wołała do mnie. — Życie przemija jak błyskawica. Chodź szybko, chodź, chodź, zanim będzie za późno!”

Wiedziałem, że to widmo, szatański duch wcielony w kobietę o bogatych kształtach, pełnych biodrach. Walczyłem. Zacząłem znów pisać “Buddę”, broniąc się jak barbarzyńcy, którzy na ścianach swych grot ryli ostrym kamieniem albo malowali czerwonymi farbami podobizny krążących wokół nich, wygłodniałych drapieżników. Rzeźbiąc lub malując ich wizerunek, chcieli je przykuć do skały, unieruchomić, by nie rzuciły się na nich.

W dniu, kiedy omal nie zostałem zmiądzony przez skały, wdowa wtargnęła do mojej samotni gorącym wiewem, wabiąc mnie kołysaniem bioder. Za dnia, kiedy byłem silny i miałem trzeźwy umysł, mogłem odpędzić jej obraz. Opisywałem, jak kusiciel nawiedził Buddę, jak przeobraziwszy się w kobietę oparł jędrne, wysokie piersi o kolana ascety, jak Budda, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, zebrał wszystkie swe siły i zmusił szatana do ucieczki. Po każdym napisanym zdaniu odczuwałem ulgę, przyływ otuchy, czułem, jak szatan cofa się przed wszechwładnym zaklęciem słowa. W dzień walczyłem ze wszystkich sił, ale w nocy myśli moje stawały się bezbronne i przez otwarte drzwi wchodziła wdowa.

Rano budziłem się wyczerpany i pokonany, a walka zaczynała się od nowa. Czasami unosiłem głowę znad papierów. Było to zwykle pod koniec popołudnia; światło nikło, osaczała mnie ciemność. Dni były coraz krótsze, zbliżało się Boże Narodzenie. Walczyłem wciąż zaciekle, mówiąc sobie: “Nie jestem samotny. Tak

potężna siła jak światło i też walczy, raz pokonana, kiedy indziej — zwycięska, budząca nadzieję. Będę walczył i zwyciężę wraz z nią".

Wydawało mi się, że moja walka z wdową jest zgodna z rytmem wszechświata i to napawało mnie otuchą. Podstępna materia przybrała jej postać, by stłumić i ugasić, płonący we mnie żar, tę niezwykłą siłę, która przeistacza materię w ideę. W każdym człowieku istnieje cząstka tego boskiego tchnienia, dlatego potrafi on przemienić chleb, wodę czy mięso w myśl i czyn. Prawdę mówi Zorba: "Powiedz mi, jaki użytek robisz z tego, co jesz, a powiem ci, kim jesteś!" Tak więc w bolesnym wysiłku swe ogromne pożądanie przekształciłem w pieśń o Buddzie.

— O czym dumasz? Widzę, że jesteś nieswój, szefie — rzekł do mnie pewnego wieczoru, w Wigilię Bożego Narodzenia, Zorba, który domyślał się, z jakim demonem walczę.

Udałem, że nie słyszę. Ale Zorba nie dawał tak łatwo za wygraną.

— Jesteś młody, szefie — powiedział, a w głosie jego zabrzmiała gorzka nuta. — Jesteś młody, zdrowy, dobrze jesz i pijesz, wdychasz czyste, morskie powietrze, gromadzisz siły — i na co je obracasz? Spisz samotnie. Szkoda! Nie trać czasu, idź tam jeszcze tej nocy. Życie jest proste, szefie — ile razy mam ci to powtarzać? Nie komplikuj go!

Wertowałem rozłożony przede mną rękopis "Buddy", słuchałem słów Zorby, otwierających przede mną równą — zdawałoby się — i szeroką drogę. Ale był to głos kusiciela.

Milczałem, zdecydowany stawić opór. Przeglądając wolno rękopis, pogwizdywałem, żeby ukryć wzburzenie. Lecz Zorba, poczuwszy w moim milczeniu sprzeciw, wybuchnął:

— Dziś jest noc wigilijna. Idź, chłopie, szybko, zanim ona pójdzie do kościoła. Tej nocy narodził się Chrystus, ty również uczynić cud!

Wstałem zdenerwowany:

— Dosyć, Zorba! Każdy człowiek wybiera swoją drogę, a ludzie różnią się między sobą jak drzewa. Czy miałeś kiedy pretensje do figowca, że nie rodzi czereśni? Milcz więc! Dochodzi północ, chodźmy do kościoła uczcić narodziny Chrystusa.

Zorba wcisnął głęboko na głowę ciepłą zimową czapę:

— Dobrze — zgodził się znudzony — chodźmy. Ale żebyś wiedział, że lepiej uczciłbyś dziś Boga, gdybyś jak archanioł Gabriel nawiedził wdowę. Gdyby Bóg chodził twoimi drogami, szefie, nigdy nie trafiłby do Marii i Chrystus nigdy by się nie

urodził. Gdybyś zapytał mnie o bożą ścieżkę, odparłbym: Zdąza ona do Marii, a Maria to wdowa.

Zamilkł, na próżno oczekując odpowiedzi. Pchnął mocno drzwi i wyszliśmy. Niecierpliwie trącał końcem laski kamyki.

— Tak, tak — powtarzał z uporem. — Maria to wdowa.

— Chodźmy — powiedziałem. — Nie krzycz!

Szliśmy szybko. W tę zimową noc roztaczało się nad nami niezwykle czyste niebo, na którym duże gwiazdy płonęły nisko niby kule ogniste zawieszane w powietrzu. Kiedy tak kroczyliśmy wybrzeżem, noc wydawała pomruki niby jakieś wielkie czarne zwierzę, spoczywające nad wodą. “Od tego wieczoru — pomyślałem — światło, przedtem pokonane przez zimę, zacznie zwyciężać. Jakby i ono narodziło się dzisiaj razem ze świętym Dzieciątkiem”.

Wieśniacy zebrali się już w przytulnym, pachnącym kadzidłem kościele. Mężczyźni stali z przodu, za nimi kobiety ze splecionymi dłońmi. Wysoki, wychudzony czterdziestodniowym postem pop Stefanos, ubrany w ciężki, złocisty ornat, chodził tu i tam dużymi krokami, wymachiwał kadzielnicą i śpiewał głośno, chcąc jak najprędzej odprawić nabożeństwo i znaleźć się w domu przy misce tłustej zupy, kielbasie i wędzonych mięsiwach, i gdyby powiedzieć: “Dzisiaj rodzi się światło” — słowa te nie poruszyłyby serc człowieczych. Nie stałyby się początkiem legendy, idea ta nie objęłaby całego świata. Byłoby to tylko stwierdzenie zwykłego fizycznego zjawiska nie pobudzającego naszej wyobraźni. Ale niegdyś światło zrodzone w środku zimy objawiło się jako Dzieciątko, a Dzieciątko stało się Bogiem — i oto już przez dwadzieścia wieków nosimy go w duszach, karmiąc się nim.

Parę minut po północy uroczyste misterium dobiegło końca. Chrystus się narodził i uradowani wieśniacy pobiegli zgłodniali do domów, żeby ucztować i w głębi swego brzucha odczuć radość płynącą z tajemnicy narodzin Boga. Brzuch stanowi silny fundament, a chleb, wino i mięso są ważne. Tylko za pomocą wina i mięsa można stworzyć Boga.

Gwiazdy lśniły teraz w górze, wielkie jak skrzydła anielskie rozpostarte ponad białym sklepieniem kościoła. Droga mleczna niby rzeka przepływała z jednej strony nieba na drugą. Zielona gwiazda błyszczała ponad naszymi głowami jak szmaragd. Westchnąłem wzruszony.

Zorba spojrział na mnie:

— Czy ty wierzysz, że Bóg przybrał postać człowieka i narodził się w stajence,

czy tylko sobie kpisz z nas, szefie?

— Trudno coś na to odpowiedzieć, Zorbo. Nie mogę twierdzić, że wierzę, ale i nie mogę zaprzeczyć. A ty?

— Słowo daję, i ja mam mętlik w głowie. Wiesz co? Gdy jeszcze byłem małym szkrabem i babka opowiadała mi bajki o dobrych wróżkach, wcale w nie nie wierzyłem. A jednak drżałem z przejęcia, śmiałem się i płakałem, jakby to była prawda. Kiedy już wyrosła mi broda, odrzuciłem te wszystkie brednie, a nawet z nich drwiłem. Ale teraz, na starość, zdzieciniałem chyba, szefie, i zaczynam znowu w nie wierzyć... Dziwaczny jest człowiek.

Weszliśmy na drogę prowadzącą do pani Hortensji i przyspieszyliśmy kroku jak zgłodniałe konie, które czują bliskość stajni.

— Sprytni są ci ojcowie duchowni — rzekł Zorba. — Trafiają do ciebie przez żołądek, toteż nie można się im wymknąć. "Nie będziesz jadł mięsa ani pił wina przez dni czterdzieści" — powiadają. Po co? Żebyś zatęsknił za mięsiwem i winem. Znają się na rozmaitych sztuczkach, łobuzy!

Znowu przyspieszył kroku.

— Nie żałuj nóg, szefie — przynaglał. — Indyczka jest już chyba gotowa.

Kiedy weszliśmy do pokoiku naszej poczciwej Bubuliny, gdzie stało dwuosobowe, kuszące szerokością łożo, zastaliśmy stół nakryty białym obrusem, pieczona indyczka ze sterczącymi łapkami parowała na talerzu, a od rozpalonego piecyka płynęło dobrotliwe ciepło.

Pani Hortensja miała na głowie mnóstwo loczków, a na sobie długą, koloru zwiedłej róży suknię z bufiastymi rękawami i wystrzępionymi falbankami. Szeroka na dwa palce wstążka o kanarkowej barwie opasywała dzisiaj jej zmarszczoną szyję. Ramiona spryskała perfumami o zapachu kwiatu pomarańczy.

"Jakie zharmonizowane jest wszystko na tej ziemi — myślałem. — Jak doskonale świat współgra z sercem człowieka. Oto ta stara śpiewaczka po hulaszczym życiu osiadła niby na mieliźnie na tym opustoszałym wybrzeżu i skupiła w tym nędznym pokoiku całą ciepłą zapobiegliwość i serdeczną troskliwość kobiecą. Starannie przygotowany, obfity posiłek, rozpalony piecyk, odświeżona suknia, woń kwiecica pomarańczy — wszystkie te drobne, a tak bardzo ludzkie, doczesne radości jakże łatwo i prosto przekształciły się w ogromną radość duchową!"

I oczy moje przesłoniły łzy. Poczulem, że w tę uroczystą noc na pustynnym

brzegu morza nie jestem samotny. Wyszła mi naprzeciw kobieta pełna oddania, czułości, pobożania. Zastąpiła matkę, siostrę, żonę. A ja, który dotąd sądziłem, że niczego nie potrzebuję, pojąłem nagle, że brak mi wszystkiego.

Zorba przeżył chyba także takie samo olśnienie, bo gdy tylko weszliśmy, rzucił się w ramiona wystrojonej śpiewaczki.

— Bóg się rodzi! — zawołał. — Chwała ci, babski rodzaju!

Po czym zwrócił się do mnie ze śmiechem:

— Spójrz tylko, szefie, jakim sprytnym stworzeniem jest kobieta. Nawet Boga potrafiła określić wokół swego małego palca.

Siedliśmy przy stole, rzuciliśmy się na jadło, piliśmy wino. Ciała nasze odczuwały rozkosz sytości, dusze radowały się przeczuciem szczęścia. Zorba znowu podjął rozmowę:

— Jedz i pij — zachęcał mnie nieustannie. — Jedz i pij, szefie. Ciesz się, chłopcze, i śpiewaj jak pastuszkowie: "Chwała na wysokości ..." Chrystus się narodził, a to nie przelewki. Zaśpiewaj, niech Bóg usłyszy i uraduje się, biedaczek. Napoił się go żółcią do syta.

Humor mu wrócił i był pełen animuszu.

— Chrystus się narodził, mój mędrze, mój gryzipiórku. Tylko nie kręć: Narodził się czy nie? Oczywiście, że się urodził, więc się nie wygłupiaj! "Jeśli weźmiesz szkiełko — powiedział pewnego dnia jakiś inżynier — i obejrzysz wodę, którą pijemy, zobaczysz miliony malutkich robaczek, których nie widać gołym okiem". Jak je zobaczysz, nie wypijesz wody. Nie wypijesz i zdechniesz z pragnienia. Rozbij szkiełko, szefie, rozbij je zaraz, robaczki znikną i będziesz mógł orzeźwić się wodą.

Podniósłszy pełną szklanę, zwrócił się do naszej wystrojonej współbiedaczki:

— Ja, moja droga, stara — że tak powiem — towarzysko broni, wypiję tę szklanę za twoje zdrowie. Widziałem w życiu niemało rzeźb na dziobach żaglowców, miały jaskrawo wymalowane policzki i usta. Pruły swymi piersiami fale wszystkich mórz, zwiedziły wszystkie porty. A kiedy już przegnił pokład statku, do końca życia na lądzie podpierają ścianę jakiejś portowej tawerny, gdzie żeglarze wstępują na wino.

Droga Bubulino, gdy podjadłszy i popiwszy dobrze, spoglądam dzisiejszego wieczoru na ciebie, bielmo spada mi z oczu i widzę, że jesteś rzeźbą z dzioba wielkiego statku, a ja — twym ostatnim progiem, moja ty kokoszko, tawerną, do której wstępują na wino żeglarze. Chodź, oprzyj się o mnie, zwiń swoje żagle. Piję pełną szklanką

twoje zdrowie, syreno!

Wzruszona pani Hortensja rozplakała się w ramionach Zorby, a on szepnął mi ukradkiem do ucha:

— Zobaczysz, przez to piękne przemówienie, jakie wygłosiłem, napytam sobie biedy. Ta dziewczka nie puści mnie stąd dzisiaj. Ale cóż chcesz? Żal mi ich, tych biedaczek... Tak, tak... Lituję się nad nimi. — Chrystus się narodził. — zawołał głośno do swojej syreny. — Nasze zdrowie! — i wzięwszy się pod rękę wychylili jednym haustem wino, a potem spojrzeli na siebie z zachwytem.

Niedługo opuściłem ciepły pokoik i samotnie ruszyłem w drogę. Cała wioska, zakończywszy uroczystą biesiadę ten wieczór i zawarłszy drzwi i okiennice, spała teraz w blasku wielkich, zimowych gwiazd.

Było zimno, morze szumiało, a mrugająca kokieteryjnie planeta Wenus widniała na wschodzie. Szedłem wzdłuż wybrzeża, bawiąc się z igrającymi falami. Nadpływały, żeby mnie zmoczyć, a ja próbowałem uskoczyć w porę. Byłem zadowolony. Myślałem: “Oto prawdziwe szczęście! Nie mieć innych pragnień poza pracą, harować jak koń z dala od ludzi! Nie potrzebować ich, a mimo to kochać! Wziąć udział w święcie Bożego Narodzenia, zjeść i wypić dobrze, a potem znaleźć się z dala od wszelkich pokus, mieć gwiazdy nad głową, po lewej ręce ziemię, po prawej morze — i zrozumieć, że życie dokonało w twoim sercu największego cudu: stało się bajką o dobrych wrózkach.

Dni mijały. Udawałem zucha, rozgadanego, rozbawionego. Ale na dnię serca czułem smutek. Świąteczny tydzień przywołał wspomnienia dźwięczące w mej duszy daleką muzyką i ukochanymi głosami najbliższych. Raz jeszcze przekonałem się, jak bardzo prawdziwa jest stara legenda mówiąca o tym, że serce człowieka to czara pełna krwi, z której czerpią ukochani zmarli, aby znów ożyć. Im bardziej byli przez nas kochani, tym więcej naszej krwi wypijają.

I oto mamy sylwestrowy wieczór. Hałaśliwa gromada wiejskiej dzieciarni, niosąca duży, papierowy statek, dotarła aż do naszego baraku i zaczęła cienkimi, radosnymi głosami wyśpiewywać kolędę:

Bazyli, wielki święty, dotarł do Cezarei.

Jego to było miasto rodzinne...

Dalej kolęda mówiła o tym, jak święty stanął na wybrzeżu nad szafirowym morzem, wbił łaskę i laska natychmiast pokryła się liśćmi i kwieciami. Noworoczna kolęda głosiła:

*Niechaj Nowy Rok będzie dla ciebie szczęśliwy,
A twój dom pełen zboża, dzbanów wina i oliwy.
Niech twa żona cię wspiera jak strop domu kolumna marmurowa,
Niech twa córka wyjdzie za mąż i dziewięciu synów się dochowa,
Niech synowie twoi wyzwolą Konstantynopol królewski...*

Zorba słuchał z zachwytem. Potem porwał od dzieci bębenek i zaczął wybijać żywiołowo rytm.

Patrzyłem i słuchałem w milczeniu. Czułem, jak nowy zwiędły liść opada z mego serca niby z drzewa. Znow jeden rok, krok więcej w stronę ciemnego, mogilnego dołu.

— Co ci, szefie? — spytał śpiewający wraz z dziećmi Zorba między jednym uderzeniem w bębenek a drugim. — Co się stało, chłopie? Zbladłeś, twarz ci się postarzała. Ja w taki dzień jak dziś stoję się małym chłopcem, rodzę się na nowo jak Chrystus! Bo przecież on przychodzi na świat każdego roku. Ja tak samo...

Rzuciłem się na łóżko i zamknąłem oczy. Tego wieczoru wzburzenie wypełniło mi serce. Nie chciało mi się rozmawiać.

Ale sen nie przychodził. Czułem się tak, jakbym już za chwilę miał zdawać sprawę z moich postępów. Całe życie pospiesznie i bezładnie przesuwało mi się przed oczami, mgliste niby sen, a ja patrzyłem na nie z rozpaczą.

Jak puszysty obłok w podmuchach górskiego wiatru życie moje zmieniało kształt, rozwiewało się, to znow kłębiło w jednym miejscu, przybierało postać łabędzia, psa, szatana, skorpiona lub małpy — obłok nieustannie strzepił się i rozdzierał, pełen tęczy barw i światła.

Wszystkie pytania, jakie postawiłem w życiu, nie tylko pozostały bez odpowiedzi, lecz nieustannie mnożyły się i nawarstwiały. Nawet najwspanialsze nadzieje, nim dojrzały, uległy zniszczeniu...

Dniało. Nie otwierałem oczu, próbowałem skoncentrować wszystkie siły w pragnieniu dotarcia myślą w najtajniejszą głąb bytu, gdzie krople ludzkiej krwi łączą się we wspólny ocean. Drogą wewnętrznego skupienia chciałem zedrzeć zasłonę

przyszłości i ujrzeć, co mi niesie nowy rok...

– Dzień dobry, szefie! Do siego roku!

Głos Zorby przywrócił mnie brutalnie do rzeczywistości. Otworzyłem oczy w porę, aby zobaczyć, jak Zorba rzuca na próg baraku ogromny owoc granatu. Rozprysnął się i jego cząstki jak rubiny potoczyły się aż do mego łóżka, podniosłem kilka, zjadłem i poczułem w gardle świeżość.

– Obyśmy mieli dużo pieniędzy, szefie, i oby porwały nas stąd piękne dziewczęta! – zawołał wesoło Zorba.

Umył się, ogolił, przywdział odświętny strój – spodnie z zielonego sukna, szarą samodziałową marynarkę i trochę już wyliniałą futrzaną kurtkę z koziej skóry. Wcisnął swoją rosyjską karakułową czapę i podkreślił wąsa.

– Szefie – rzekł. – Pójdę pokazać się w kościele jako reprezentant przedsiębiorstwa. Bo gdyby nas tu wzięli za masonów, nie wyszłoby to na korzyść naszej firmie. Zresztą nic na tym nie stracę, trzeba jakoś zabijać czas.

Pochylił głowę i zrobił perskie oko.

– Może zobaczę wdowę – szepnął.

Bóg, interesy przedsiębiorstwa i wdowa splatały się, widać, w jego umyśle w harmonijną całość. Słyszałem, jak jego lekkie kroki oddalają się i cichną. Zerwałem się z łóżka. Czar prysł, dusza znowu została zamknięta w więzieniu ciała.

Ubrałem się i ruszyłem na wybrzeże. Szedłem szybko. Byłem szczęśliwy, jakbym uniknął jakiegoś niebezpieczeństwa albo grzechu. Świętokradztwem wydało mi się teraz moje poranne pragnienie spojrzenia w nie narodzoną jeszcze przyszłość.

Przypomniałem sobie pewien ranek, gdy zobaczyłem uczepioną kory drzewa poczwarkę właśnie w chwili, gdy motyl rozrywał spowijającą go powłokę, przygotowując się do lotu. Czekałem dość długo, ale motyl zwlekał. Niecierpliwie schyliłem się i zacząłem go ogrzewać własnym oddechem. I w moich oczach – szybciej, niż przewiduje natura – zaczął dokonywać się cud. Powłoka opadła i wyszedł motyl, ale kaleki. Nigdy nie zapomnę przerażenia, jakie odczułem, gdy zobaczyłem, że nie może rozwinąć skrzydeł. Drżąc próbował tego dokonać wysiłkiem całego ciała – na próżno – choć pomagałem mu oddechem. Potrzebny był tu cierpliwy proces dojrzewania. Skrzydła powinny wolno rozwijać się w słońcu. Teraz było już za późno. Ciepło mojego tchnienia zmusiło go, aby opuścił poczwarkę przedwcześnie, pomarszczony niby embrion. Drżał rozpaczliwie jeszcze chwilę i umarł na mojej dłoni.

Te leciutkie zwłoki motyla spoczęły ogromnym ciężarem na moim sumieniu. Dzisiaj już wiem, że pogwałcenie odwiecznych praw natury jest śmiertelnym grzechem.

Nie wolno nam ulegać niecierpliwości, winniśmy z ufnością poddawać się wieczystemu rytmowi wszechświata.

Usiadłem na skale, aby przemyśleć to z Nowym Rokiem. O, gdyby ten motyl, którego zabiłem, mógł lecąc przede mną wskazywać mi drogę!

11.

Zerwałem się na nogi uradowany, jakbym otrzymał noworoczny podarunek. Wiał zimny wiatr, niebo było czyste, morze lśniło.

Poszedłem do wsi. Nabożeństwo już się chyba skończyło. Myślałem z irracjonalnym wzruszeniem, co za człowieka spotkam jako pierwszego w tym roku. Czy przyniesie mi szczęście, czy nieszczęście? “Mogłoby to być jakieś dziecko — myślałem — niosące noworoczne podarunki albo krzepki starzec w białej koszuli o szerokich haftowanych rękawach, pogodny i dumny, ponieważ w pełni wykonał swe obowiązki na ziemi. Im bardziej zbliżałem się do wioski, tym dotkliwszy stawał się ów nonsensowny niepokój.

Nagle kolana ugięły się pode mną. Wiejską drogą między oliwkowymi drzewami szła sprężystym krokiem, w czarnej chustce na głowie, z rumieńcem na twarzy — wdowa.

Gibka jak czarna pantera, roztaczała — zda się — wokół siebie silną woń piżma. “Gdzie by tu uciec!” — pomyślałem. Czuję, że ta niebezpieczna istota nie przepuści mi, więc jedynym wyjściem jest ucieczka. Ale jak uciec? Wdowa zbliżała się. Żwir trzeszczał pod jej stopami, a mnie się wydało, jakby to były kroki nacierającej armii. Chusta ześliznęła się, odkrywając lśniące, krucze włosy. Obrzuciła mnie tęsknym spojrzeniem i uśmiechnęła się do mnie; na dnie jej oczu kryła się dzika słodycz. Szybko owinęła głowę chustą, jakby zawstydziała się, że ujrzałem jej włosy.

Chciałem ją pozdrowić, złożyć noworoczne życzenia, gardło wyschło mi jednak tak, jak w owym dniu, kiedy w kopalni runął strop, a moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Trzcinyowy płot jej sadu zaszeleścił, zimowe słońce padło na złociste cytryny i ciemne listowie drzew pomarańczowych, cały ogród zajaśniał niby raj.

Wdowa przystanąła, wyciągnęła rękę, pchnęła silnie furtkę i otworzyła ją w chwili, gdy przechodziłem obok. Odwróciła się i trzepocąc rzęsami spojrzała na mnie.

Pozostawiła uchylone drzwiczki i z płynnym ruchem bioder zniknęła za cytrusami.

Przekroczyć próg, zatrzaskać furtkę, pobiec za nią, chwycić wpół i bez słowa zanieść na jej obszerne wdowie łóżce — to byłoby po męsku. Tak postąpiłby mój dziadek i — mam nadzieję — wnuk. A ja stoję jak wryty i zastanawiam się...

– W innym wcieleniu – szepnąłem do siebie z gorzkim uśmiechem – jeśli tylko są inne, zachowam się lepiej...

Zagłębiłem się w jar porośły drzewami, czułem na sercu taki ciężar, jakbym popełnił śmiertelny grzech. Wałęsałem się tu i tam, drżąc z zimna. Na próżno odpędzałem wizję płynnego ruchu bioder, uśmiechu, oczu i piersi wdowy – wciąż wracała i zapierała oddech.

Drzewa jeszcze były bezlistne, ale pełne soku pąki nabrzmiały i zaczynały się rozwierać. W każdym z nich czuło się obecność młodych pędów, kwiatów i przyszłych owoców. W samym środku zimy pod suchą korą – w ciszy, tajemnie – dniem i nocą dokonywał się wielki cud wiosny.

Nagle wydałem radosny okrzyk. Przede mną w osłoniętym od wiatru wądole rozkwitło wbrew zimie pierwsze drzewo migdałowe, uprzedzając odważnie inne i obwieszczając im wiosnę.

Zrobiło mi się lekko na sercu. Oddalwszy się od drogi, usiadłem pod ukwieconymi gałęziami i wdychałem ich woń.

Siedziałem tak przez długi czas, nie myśląc o niczym, beztroski, szczęśliwy, jakbym przebywał w krainie wieczności pod rajskim drzewem.

Czyjś gwałtowny okrzyk przywołał mnie na ziemię:

– Gdzie się podziewasz, szefie? Szukam cię od dawna Zbliża się południe. Chodźmy.

– Dokąd?

– Dokąd?! Jeszcze pytasz? Do poczciwej żywicielki, której na imię "Pieczony Prosiak". Nie jesteś głodny? Dopiero co wyjęto wieprzka z pieca, zapach aż kręci w nosie. Chodźmy prędej.

Wstałem, pogłaskałem twardy pień drzewa migdałowego, ów dziwny pień, który potrafił wydać z siebie kwiecisty cud. Przede mną zwinnie kroczył Zorba, wygłodniały, ale pełen humoru. Jego ciało wciąż niesyte było podstawowych pragnień człowieka – jedzenia, picia, kobiety, tańca. Trzymał w ręku jakiś przedmiot owinięty w różowy papier i przewiązany złotym sznureczkiem.

– Upominek? – spytałem.

Zorba zaśmiał się, usiłując ukryć wzruszenie.

– Ot, żeby jej sprawić trochę przyjemności, biedaczce! – powiedział, nie odwracając się. – To jej przypomni stare, dobre czasy... Sami mówiliśmy, że jest kobietą, a więc istotą, która lubi narzekać.

– Fotografia?

– Zobaczysz... Zobaczysz, nie śpiesz się. Sam zrobiłem. Chodźmy szybciej.

Południowe słońce rozgrzewało kości, radując je ciepłem. Morze też wyglądało szczęśliwie pod jego promieniami. Mała, kamienista wysepka, otoczona leciutką mgiełką, zdawała się unosić nad jego powierzchnią.

Zbliżaliśmy się do wioski. Zorba pochylił się ku mnie i ściszył głos:

– Wiesz, szefie, była w kościele. Stałem na samym przodzie, tuż przy ministrancie. Nagle zobaczyłem, jak zajaśniały święte obrazy: Chrystus, Matka Boska i dwunastu apostołów... “Co to może być? – pomyślałem i przeżegnałem się. – Słońce?” Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem wdowę...

– Dość gadania, Zorbo! – rzekłem i przyśpieszyłem kroku.

Ale on mnie dogonił.

– Widziałem ją z bliska, szefie. Na policzku ma pieprzyk, który potrafi opętać człowieka. Cóż to za cudowna rzecz taki pieprzyk na policzku kobiety!

I przewrócił z zachwytem oczyma.

– Czy słyszałeś o czymś podobnym, szefie? Gładka skóra, czarna plamka – i wystarczy, żeby stracić głowę. Rozumiesz coś z tego, szefie? A co mówią o tym twoje papiery?

– Do diabła z nimi!

Zorba zaśmiał się zadowolony.

– No, nareszcie mądrzejesz! – powiedział.

Nie zatrzymując się, minęliśmy kawiarenkę. Bubulina upiekła już prosiaka i oczekiwała nas w przedsionku.

Nałożyła znów kanarkową wstążkę na szyję i grubą warstwę pudru na policzki, a wargi umalowała ciemnowiśniową szminką. Na nasz widok rysy twarzy zadrgały jej radośnie, wyblakłe oczy zamrugwały filuternie i spoczęły na podkręconych węsach Zorby. Natychmiast gdy zamknęły się za nami drzwi, objął ją wpół.

– Szczęśliwego Nowego Roku, moja miła! – zawołał. – Spójrz, co ci przyniosłem!

Po czym pocałował ją w pulchną pomarszczoną szyję.

Stara syrena zadrzała, ale nie straciła głowy i nie oderwała oczu od paczki z upominkiem. Wzięła ją w ręce, rozwiązała złoty sznurek i zajrzawszy do środka pisnęła radośnie.

Pochyliłem się, żeby dojrzeć, co to takiego. Na grubym kartonie ten łobuz

Zorba namalował czterema różnymi farbami — czerwoną, złotą, szarą i czarną — cztery wielkie okręty wojenne, ustrojone flagami, płynące po jaskrawoszafirowym morzu. Tuż przed nimi kołysała się na fali naga, białoskóra, z rozpuszczonymi włosami, wysokimi piersiami i wijącym się rybim ogonem syrena — pani Hortensja, z nieodłączną żółtą wstążką na szyi, ciągnąc na czterech sznurach owe pancerniki z angielską, rosyjską, francuską i włoską banderą. Na wszystkich rogach arkusza wymalowane były brody: jasna, kasztanowa, siwa i czarna.

Stara syrena natychmiast zrozumiała treść obrazu.

— To ja! — powiedziała z dumą. — I ja kiedyś miałam swoje wielkie dni — westchnęła.

Zdjęła znad łóżka okrągłe zwierciadło i obok klatki z papugą powiesiła dzieło Zorby. Jej twarz zbladła pod grubą warstwą pudru.

Tymczasem zgłodniały Zorba wśliznął się do kuchni. Przyniósł półmisek z prosięciem, postawił przed sobą butelkę wina i napełnił trzy szklanki.

— Chodźcie jeść! — krzyknął, klaszcząc w dłonie. — Zaczniemy od najważniejszego, czyli żołądka. Potem, moja Bubulino, sięgniemy trochę niżej.

Ale wesoly nastrój mąciły westchnienia starej syreny. Z każdym Nowym Rokiem i ona przeżywała małą próbkę Sądu Ostatecznego, oglądała się wstecz na swoje życie i uznawała je za zmarnowane.

Wielkie miasta, mężczyźni, jedwabne suknie, butelki szampana, perfumowane brody ożywały wtedy w tej kobiecej głowinie o przerzedzonych włosach i wołały do niej z mogiły pamięci.

— Nie mam apetytu — szepnęła miękko. — Jakoś nie mam...

Uklękła przed piecykiem i poruszyła pogrzebaczem rozżarzony węgiel, jej obwisłe policzki zajaśniały w blasku ognia. Płomień musnął opadający z czoła pukiel włosów i po pokoju rozszedł się mdlący swąd palonej sierści.

— Nie będę jadła... Nie będę jadła... — szepnęła znowu, widząc, że nie zwracamy na nią uwagi.

Zorba zacisnął nerwowo pięść, przez chwilę nie wiedział, na co się zdecydować. Mógł ją pozostawić, żeby szeptała tak, jak długo zechce, podczas gdy my wzięlibyśmy się za pieczone prosię, mógł też uklęknąć przed nią, wziąć w ramiona i ułagodzić miłymi słowami. Obserwowałem jego ruchliwą twarz i wyczytałem na niej te wewnętrzne zmagania.

Nagle rysy jego znieruchomiały. Podjął decyzję. Przyklęknął, obejmując kolana

syreny:

— Jeżeli ty nie zechcesz jeść, moje szczęście — powiedział drżącym głosem — to świat się skończy. Miej litość nad biednym prosięciem, kochanie, i zjedz choć kęs.

I wcisnął do jej ust kawałek ociekającej tłuszczem, chrupiącej skórki.

Następnie objął ją mocno, dźwignął i posadził na krześle między nami.

— Jedz — zachęcał. — Jedz, mój skarbie, niech i do naszej wioski wejdzie święty Bazyli, bo inaczej, zrozum, nie pokaże się tu. Wróci do swojej ojczystej Cezarei, zabierze kałamarnicę i papier, ciasteczka i noworoczne prezenty, zabawki i nawet to pieczone prosiątko i pójdzie sobie precz. A więc, otwórz, moja miła, usteczka i zjedz.

Wyciągnął dwa palce i połaskotał ją delikatnie. Stara syrena zachichotała, przetarła zaczerwienione oczka i z błogą miną oddała się żuciu chrupiącej skórki...

W tym momencie dwa zakochane koty rozpoczęły zaloty na dachu nad naszymi głowami. Miauczały przeraźliwie, ich pełne zaciekłości wrzaski brzmiały raz wysoko, raz nisko, nagle poczęły tarzać się i szamotać.

— Miau, miau! — naśladował je Zorba i mrugnął okiem do starej syreny, ona uśmiechnęła się i uścisnęła jego rękę dyskretnie pod stołem. Nabrała humoru, przestał ją męczyć ucisk w gardle i jadła już teraz chętnie.

Słońce zniżyło się i zajrzawszy przez okno legło u jej nóg. Butelka była już pusta. Zorba, gładząc swoje nastroszone niby u kocura wąsy, przysunął się do pani Hortensji, która czując na sobie ciepły oddech przesycony zapachem wina, skuliła się i zadrżała.

— To niesłychane, szefie! — zwrócił się do mnie Zorba. — Ze mną wszystko jest na opak. Mówiono mi, że jako dzieciak podobny byłem do starca: ciężki, małomówny, gruby, o starczym głosie, całkiem jak mój dziadek. Ale rosnąc młodniałem i stawałem się coraz bardziej lekkomyślny. Kiedy doszedłem dwudziestu lat, wyglądałem się jeszcze zwyczajnie, jak wszyscy w tym wieku, ale po czterdziestce poczułem pełnię młodości i rozszalałem się na dobre. Teraz, kiedy przekroczyłem sześćdziesiątkę — bo między nami mówiąc mam sześćdziesiąt pięć lat, szefie — otóż teraz, kiedy przekroczyłem sześćdziesiątkę, słowo daję, nie wiem, jak to wytłumaczyć, szefie, świat wydaje się dla mnie za mały.

Podniósł kielich i z powagą zwrócił się do swojej damy:

— Twoje zdrowie, o pani! — powiedział uroczyście. — Życzę ci, by w tym nowym roku wyrosły ci zęby, strzeliste brwi i by twa skóra stała się brzoskwiniowa, abys mogła zrzucić wreszcie z szyi tę wstrętną wstążkę. I żeby znów wybuchła

rewolucja na Krecie, bo wtedy przyplłynęłyby eskadry czterech wielkich mocarstw. Oby każda miała na czele admirała, a każdy admirał wonną i trefioną brodę! Obyś znów wyłoniła się z fal, moja syreno, i zaśpiewała, wabiąc eskadry, które do cna roztrzaskałyby się na tych dwóch okrągłych, dzikich skałach! — i sięgnął w kierunku obwisłych piersi pani Hortensji.

Roznamiętnił się i głos mu ochrypl z wzruszenia. Roześmiałem się. Kiedyś oglądałem film z tureckim paszą, zabawiającym się w kabaretach Paryża. Trzymał on na kolanach złotowłosą damę z półświatka i w miarę, jak się rozpalał, pomponik jego fezu wznosił się w górę. Najpierw przybrał pozycję poziomą, a potem szybko pionową.

— Dlaczego śmiejesz się, szefie? — zapytał Zorba.

Ale pani Hortensja, wciąż jeszcze myśląc o poprzednich słowach Zorby, westchnęła:

— Och, to niemożliwe, Zorbo. Młodość mija... Mija bezpowrotnie.

Zorba przysunął się do niej tak, że ich dwa krzesła stykały się ze sobą.

— Posłuchaj mnie, gołąbko — powiedział, próbując rozpiąć trzeci, ostatni już, guzik jej bluzki. Posłuchaj, jak wspaniały dar chcę ci ofiarować: Pojawił się nowy lekarz, który czyni cuda. Daje ci lekarstwo — nie jestem pewien: krople czy tabletki — i znowu masz dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć lat. Nie płacz, moja Bubulino, sprowadzę ci je z Europy...

Stara syrena podskoczyła, tak że jej rzadkie włosy rozwiały się, ukazując błyszczącą, czerwonawą skórę na głowie. Zarzuciła pulchne ramiona na szyję Zorby.

— Jeśli to krople, mój drogi — szepnęła i otarła się o niego jak kotka. — Jeśli to krople, zamów całą butlę, a jeśli tabletki...

— Cały worek! — rzucił Zorba i rozpiął trzeci guzik.

Koty, które na chwilę ucichły, znów zaczęły miauczeć. Jeden lamentował i błagał, drugi złościł się i groził...

Nasza gospodyni ziewnęła, Jej oczy przybrały tęskny wyraz.

— Słyszysz koty? Bezwstydne... — zamruczała i siadła na kolanach Zorby.

Przytuliła się do niego i westchnęła. Wypiła trochę za dużo i wzrok miała zamglony.

— O czym myślisz, moja miła? — spytał Zorba, miętosząc jej piersi.

— O Aleksandrii... — szepnęła stara syrena, pociągając nosem. — Aleksandria... Bejrut... Konstantynopol... Turcy, Arabowie, sorbet, złote sandały, szkarłatne fezy... Znowu westchnęła.

— Gdy Ali-bej zostawał ze mną na noc — ach, co za wąsy, brwi, bary! — Wzywał grajków i rzucał im przez okno pieniądze, by aż do rana brzmiały na podwórzu bębny i klarnety. Sąsiadki pękały z zazdrości i mówiły: “Ali-bej znowu jest u niej...” Później, w Konstantynopolu, Sulejman-pasza nie pozwalał mi w piątek wychodzić na spacer, żeby nie ujrzał mnie idący do meczetu sułtan i nie porwał olśniony moją pięknnością. Kiedy rano odchodził ode mnie, zostawiał przy moich drzwiach trzech Murzynów, żeby żaden mężczyzna nie mógł się zbliżyć. Ach, mój drogi Sulejman...

Wyjęła zza stanika wielką kraciatą chustkę do nosa i gryzła ją, dysząc jak lokomotywa.

Zorba pozbył się jej, sadowiąc na sąsiednim krześle, i wstał urażony. Przeszedł się ze dwa, trzy razy tam i z powrotem po pokoju, sapiąc ze złości. Pokój musiał mu się wydać jednak za ciasny, bo porwawszy laskę wyskoczył na podwórze i oparłszy drabinę o ścianę zaczął się na nią wdrapywać, przeskakując po dwa szczeble.

— Kogo chcesz zbić, Zorba? — zawołałem. — Sulejmana-paszę?

— Te wstrętne koty nie dają mi spokoju!

I jednym susem wskoczył na dach.

Pijana, rozczochrana pani Hortensja zamknęła swoje tylokrotnie całowane oczęta. Marzenie uniosło ją do wielkich miast Wschodu — strzeżonych ogrodów, mrocznych haremów, zakochanych paszów. Płynęła po morzach, śniła, że zarzuca cztery wędkę i łowi na nie cztery wielkie okręty wojenne...

Stara syrena uśmiechała się radośnie przez sen, jakby obmyta w falach morskich i odświeżona.

Zorba wszedł wymachując kijem.

— Śpi? — zapytał, spoglądając na damę. — Śpi ta dziewczka?

— Tak — odparłem. — Ogarnął ją sen, który odmładza, Zorbo, mój paszo. W tej chwili ma dwadzieścia lat i spaceruje po Aleksandrii, Bejrucie...

— Do diabła z rozpustną babą! — mruknął Zorba i splunął na podłogę. — Patrz tylko, jak się uśmiecha. Chodź, szefie, idziemy!

Wcisnął na głowę czapkę i otworzył drzwi.

— Nie wstyd ci najeść się jak świnia i uciec, zostawiając ją samą? — powiedziałem. — Tak się nie robi.

— Nie jest wcale sama — warknął Zorba, ma Sulejmana-paszę, nie widzisz? Jest w siódmym niebie, ohydny babsztyl! Chodźmy!

Wyszliśmy na świeże powietrze. Księżyc płynął po pogodnym niebie.

— Kobiety! — powiedział Zorba z odrazą. — Tfu! Ale to nie ich wina, tylko nasza, takich półgłówków i szaleńców jak Sulejman i Zorba.

Umilkł na chwilę, a potem dorzucił wściekły:

— Zresztą nawet nie nasza, ale jednego, jedyne, Wielkiego Półgłówka i Szaleńca, Wielkiego Sulejmana-paszy.... Wiesz, kto to jest?

— Jeśli istnieje... — odparłem. — A jeżeli go nie ma?

— Wtedy — klapa.

Przez długi czas szliśmy w milczeniu szybkim krokiem. Zorba zatonął w rozważaniach zapewne budzących w nim złość, bo co chwila uderzał laską o kamienie i spluwał.

Nagle zwrócił się do mnie:

— Mój świętej pamięci dziadek — rzekł — niech spoczywa w pokoju, znał się na kobietach. Kochał je bardzo, chociaż dopiekły mu do żywego. Kiedyś powiedział mi: "Przyjmij moje błogosławieństwo, mały, wraz z dobrą radą: strzeż się kobiet. Bo wiedz, że gdy Bóg chciał z żebra Adama stworzyć kobietę, diabeł skorzystał z okazji i przemieniwszy się w węża porwał żebro. Bóg już, już go łapał, ale diabeł wyśliznął; mu się z rąk, zostawiając tylko swe rogi. «Bobra gospodyni — pomyślał Bóg — gdy nie ma wrzeczona, nawet łyżką przedzie, więc i z rogów diabła może być kobieta». I stworzył ją z nich na nasze nieszczęście, mój mały Aleksy. Gdzie byś tknął kobietę, trafisz na rogi. Strzeż się, niej synu. To kobieta ukradła z rajy jabłka, wsunęła je za stanik i teraz pyszni się nimi, wypina, wałęsa z nimi wszędzie. Zaraza! Jeśli skosztujesz tych jabłek, przepadłeś, nieszczęsny! Jeśli nie — podwójnie tracisz! Jaką ci więc dać radę, mój synu? Otóż rób, jak uważasz". Tyle powiedział mi świętej pamięci dziadek, ale nie stałem się przez to mądrzejszy. Wstąpiłem w jego ślady i — przepadłem.

Przechodziliśmy spieszenie przez wioskę. Światło księżycy było niepokojące. Wyobraźcie sobie, że wychodząc na spacer nieco zamroczeni, aby zaczerpnąć powietrza, widzicie, że świat nagle się zmienia. Drogi stają się rzekami mleka, doły i koleiny napełniają się wapnem, góry pokrywa śnieg. Ręce, twarz, szyja błyszczą takim światłem jak robaczki świętojańskie. Księżyc zwisa na piersiach przechodniów niby okrągły, egzotyczny amulet...

Szliśmy szybkim krokiem w milczeniu. Upojeni światłem księżycy i winem, nie czuliśmy, że stopy nasze dotykają ziemi. Za nami w uśpionej wiosce psy wyły żałośnie do księżycy. I nas brała chęć, by zadrzeć głowę i zawyc jak one.

Mijaliśmy właśnie sad wdowy. Zorba zatrzymał się. Wino, dobry posiłek i

księżyc — uderzyły mu do głowy. Wyciągnął szyję i głosem donośnym jak ryk osła zaintonował bezwstydną serenadę, której słowa prawdopodobnie ułożył na poczekaniu:

*Jakże kocham od pasa w górę i w dół twoje ciało,
które wchłania giętkiego węgorza
i czyni go sztywnym,
jakby życia w nim nie stało.*

— Jeszcze jeden diabli róg, szefie — powiedział.

Gdy dotarliśmy do baraku, świtało. Runąłem wyczerpany na łóżko, Zorba zaś umył się, zapalił spirytusową maszynkę i naparzył kawy. Przycupnął na podłodze przy drzwiach, zaciągnął się papierosem i sztywny, nieruchomy, patrzył w stronę morza. Jego twarz wyrażała powagę i skupienie. Przywiódł mi na myśl moje ulubione malowidło japońskie, na którym asceta otulony w pomarańczową szatę siedzi na ziemi, a jego oblicze lśni jak subtelna rzeźba w drzewie poczerniałym od deszczów. Z podniesioną głową, uśmiechnięty i nieustraszony, spogląda przed siebie w czarną noc...

Patrzyłem na Zorbę oświetlonego księżycem i podziwiałem odwagę i prostotę, z jaką zespala się ze światem, z jaką jego ciało i dusza tworzą jedną harmonijną całość, z jaką wszystko — kobiety, chleb, woda, mięso, sen — stapia się z nim i utożsamia. Nigdy nie widziałem tak przyjaznego przymierza człowieka z wszechświatem.

Księżyc chylił się ku zachodowi, okrągły, bladozielony. Niewypowiedziany urok spowił morze.

Zorba odrzucił papierosa, wyciągnął rękę, poszperał w koszyku, wydobył jakieś sznury, haki, patyczki, zapalił kaganek i zaczął próbować działanie kolejki. Pochylony nad swoją prymitywną zabawką pogrążył się zapewne w skomplikowanych obliczeniach, gdyż co chwila zawzięcie drapał się w głowę i klął.

Nagle, mając tego dosyć, rozwalił model jednym kopnięciem.

12.

Zapadłem w sen. Gdy się ocknałem, Zorba już wyszedł. Było zimno, nie miałem najmniejszej ochoty wstawać, sięgnąłem na półkę po ukochaną książkę, jaką tu przywiozłem, poezje Mallarmego. Czytałem powoli, urywkami, zamykałem tomik i znowu go otwierałem, wreszcie odłożyłem. Słowa tych wierszy wydały mi się po raz pierwszy anemiczne, wyblakłe, pozbawione ludzkich treści, puste i zawieszane w próżni; były niby destylowana woda pozbawiona nie tylko zarazków, ale i życiodajnych substancji.

W religiach, które utraciły moc wiary, bogowie stają się tylko figurami retorycznymi, ornamentami dla ludzkiej samotności lub obrazami zdobiącymi ściany. Coś podobnego działo się z tą poezją. Namiętność i tęsknota serca tętniącego żywymi sokami obróciła się w pustą igraszkę i jałową grę intelektu.

Znów otworzyłem książkę, zacząłem czytać. Dlaczego przez tyle lat pozostawałem pod urokiem tych wierszy? Czysta poezja! Tętniące życie przekształca w błyskotliwą rozrywkę, pozbawioną choćby kropli krwi. Wedle niej gruboskórny, nieociosany, skalany miłością cielesną i żądzą ród ludzki powinien stać się abstrakcyjną ideą i ulegając alchemii mózgu zdematerializować się i rozproszyć.

Jak to się stało, że wszystko, co dotąd uważałem za cenne, tego ranka wydało mi się cyrkową ekwilibrystyką i kłamstwem szarlatana? Tak właśnie zaczyna się upadek każdej kultury — błyskotliwym popisem magika: czystą poezją, czystą muzyką, pustą myślą. I nie ma już człowieka, który wątpi, który wierzy, który na coś oczekuje, czegoś się obawia, ponieważ całą ziemię opanował duch i nie ma skrawka, gdzie by można zapuścić korzenie i czerpać nimi życiodajne soki. Człowiek stał się jałowy, bezpłodny, pozbawiony krwi. Wszystko przekształca się w nim w słowa, a słowa w muzyczną igraszkę, ale ostatni człowiek posuwa się jeszcze dalej, siada na skraju swojej samotni i przeobraża muzykę w puste, matematyczne równanie.

Zerwałem się.

— Ten ostatni człowiek to Budda! — krzyknąłem. Odkryłem jego potworną tajemnicę. Budda jest tą "czystą" duszą, która uległa wyjałowieniu, kryje się w nim nicość, sam jest nicością. "Oczyśćcie wasze łono, rozum, serce" — woła i gdziekolwiek stanie jego stopa, nie wytryśnie woda, nie urośnie trawa, nie narodzi się dziecko. "Muszę — myślałem — uciekając się do magii rymu, osaczyć go czarodziejskim zaklęciem, rzucić na niego urok, aby zmusić go do opuszczenia mnie. Omotać siecią

słów, schwytać i wyzwolić się od niego!"

Pisanie o Buddzie przestało już być literacką igraszką, stało się walką na śmierć i życie przeciw nagromadzonej we mnie sile rozkładu, pojedynkiem z otchłannym "Nic", które pożerało mi serce — od jego wyniku zależało zbawienie mojej duszy.

Decyzja przyniosła mi ulgę. Znalazłem cel, wiedziałem teraz, gdzie uderzyć. Wziąłem rękopis. Budda jest ostatnim człowiekiem, ale my znajdujemy się dopiero na początku swej drogi. Nie najedliśmy się do syta, nie zaspokoiliśmy pragnienia, nie kochaliśmy do woli, nie zdążyliśmy jeszcze żyć. Za wcześnie przyszedł do nas ten delikatny, subtelny starzec, niech się stąd czym prędzej wynosi.

Pełen radości zacząłem pisać. Nie była to teraz zwykła pisanina, lecz prawdziwa wojna, bezlitosny pościg, osaczenie i obłężenie potwora, by zmusić go do opuszczenia kryjówek. Doprawdy sztuka jest cudownym zaklęciem. W naszej jaźni gnieźdzą się ponure, mordercze siły, złowrogie popędy do zabijania, niszczenia, nienawiści i gwałtu. Jedynie sztuka jak czarodziejska fujarka potrafi nas od nich uwolnić.

Pisałem albo lepiej — walczyłem cały dzień. Wieczorem byłem zupełnie wyczerpany, ale czułem, że posunąłem się naprzód i opanowałem dziś kilka nieprzyjacielskich przyczółków. Zateśniłem za Zorbą, jedzeniem, snem, chciałem zaczerpnąć nowych sił, by o świcie znowu zacząć zmagania.

Zorba zjawił się w nocy z rozpromienioną twarzą: "On też znalazł. On też zrozumiał" — pomyślałem i czekałem.

Przed kilku dniami, mając już wszystkiego dosyć, powiedziałem mu z pasją:

— Wkrótce zabraknie pieniędzy, Zorbo. Cokolwiek masz zrobić, rób szybko. Musimy uruchomić kolejkę. Jeśli nie uda się nam z węglem, weźmiemy się do drzewa. Inaczej koniec.

Zorba podrapał się w głowę:

— Brak pieniędzy, szefie? Bieda.

— Rozeszły się, przejedliśmy je, Zorbo. Trzeba teraz znaleźć wyjście. Jak twoje eksperymenty z kolejką? Nie dają rezultatu?

Zorba spuścił głowę, nic nie mówiąc. Zawstydył się, ale i zaciął tamtego wieczora.

— Przekłeta kolejka! — mruczał. — Już ja jej dam radę...

Postanowił przełamać trudności. I oto dzisiejszej nocy wrócił promieniejący.

— Znalazłem, szefie! — wołał z daleka. — Znalazłem właściwy kąt nachylenia.

Umykał mi, wyślizgiwał się, ale go mam.

— Masz go? A więc szybko do dzieła, Zorbo. Czego ci trzeba?

— Jutro z samego rana muszę wybrać się do miasta i kupić potrzebny sprzęt: grubą stalową linę, gwoździe i haki... Wrócę, zanim zauważysz, żem wyjechał.

Rozpalił szybko ogień, przygotował posiłek, jedliśmy i piliśmy z apetytem. Obydwaj napracowaliśmy się porządnie.

Nazajutrz rano odprowadziłem Zorbę do wioski. Jak ludzie rozsądni i praktyczni podzieliliśmy między siebie pracę w kopalni.

Schodząc w dół, Zorba potknął się o kamień, który zaczął się staczać. Zorba przystanął oniemiały ze zdumienia, jakby po raz pierwszy w życiu oglądał takie zjawisko. Spojrzał na mnie i w jego oczach zauważyłem cień lęku.

— Widziałeś, szefie? — powiedział wreszcie. — Kiedy kamienie toczą się w dół, ożywają.

Nie odpowiedziałem, rozsadzała mnie radość. Tak właśnie wielcy poeci dostrzegają każdą rzecz po raz pierwszy. Co ranka odkrywają świat, a właściwie nie odkrywają go, lecz tworzą.

W oczach Zorby tak jak i w oczach ludzi pierwotnych wszechświat jawił się jak zwarta bryła: twarde sfery gwiazd ocierają się o niego, morze odbija się od jego skroni... Zorba odczuwał bez zniekształcającego pryzmatu rozsądku istnienie ziemi, wody, zwierząt i Boga.

Pani Hortensja była uprzedzona o naszym przybyciu i oczekiwała nas w przedsiönku, umalowana, upudrowana, zaniepokojona. Wystroiła się jak wiedźma na sabat. Muł stał już przed furtką, Zorba wskoczył na niego i ujął lejce. Stara syrena zbliżyła się nieśmiało i dotknęła pulchną dłonią piersi muła, jakby chciała zatrzymać swego miłego, żeby nie odjeżdżał.

— Zorbo... — zagruchała i uniosła się na palcach. — Zorbo...

Odwrócił twarz. To miłosne gruchanie na środku ulicy nie przypadło mu do gustu. Kiedy biedna Hortensja zobaczyła jego oczy, przeraziła się, jednak nadal trzymała błagalnie rękę na piersi muła.

— Czego chcesz? — spytał Zorba zirytowany.

— Zorbo — prosiła. — Bądź rozsądny... Nie zapomnij o mnie, Zorbo, bądź grzeczny...

Potrząsnął w milczeniu lejcami. Muł ruszył w drogę.

— Szczęśliwej drogi, Zorbo! — zawołałem. — Trzy dni, słyszysz? Nie dłużej.

Odwrócił się i pomachał swoją wielką łapą. Stara syrena płakała, a lzy żłobiły

bruzdy w pudrze.

— Masz moje słowo, szefie. To wystarczy? Do zobaczenia!

Zniknął w gęstwinie drzew oliwkowych. Hortensja płakała, śledząc wzrokiem to przeblyskujący przez srebrne listowie, to znikający jaskrawy, czerwony pled, który położyła na grzbiecie muła, żeby jej miły miał wygodną jazdę. Potem nawet i to zniknęło. Hortensja rozejrzała się dookoła, jakby świat opustoszała.

Nie wróciłem na wybrzeże. Poszedłem w góry. W chwili gdy wstępowałem na górską ścieżkę, usłyszałem dźwięk trąbki. To wiejski listonosz obwieszczał swoje przybycie.

— Panie! — zawołał wymachując ręką.

Zbliżył się do mnie i wręczył mi plik dzienników, czasopism oraz dwa listy. Jeden schowałem natychmiast do kieszeni, chciałem przeczytać go wieczorem, kiedy dzień się kończy, a myśli uspokajają. Wiedziałem, kto go napisał, i odsuwałem chwilę radości, aby przedłużyć przyjemność oczekiwania.

Drugi poznałem po egzotycznych znaczkach i zdecydowanym charakterze pisma o kanciastych literach. Wysłał go z Afryki mój dawny kolega z ławy szkolnej Karajannis, który przebywał teraz niedaleko Tanganiki.

Był to porywczy, dziwny chłopak, czarnowłosy, z białymi, ostrymi zębami — jeden nawet wystawał mu z ust jak u dzika. Nigdy nie mówił, tylko krzyczał, nie dyskutował, lecz kłócił się. Już w młodości opuścił ojczystą Krete, gdzie jako ksiądz był profesorem teologii. Przyczyną tego stał się romans, jaki nawiązał z jedną ze swych uczennic. Zobaczono ich, gdy się całowali na polu, i plotka rozeszła się od razu. Tego samego dnia Karajannis zrzucił sutannę i wsiadł na statek. Pojechał do swego wuja, przebywającego w Afryce, tam rzucił się w wir pracy, założył fabrykę powrozów i dorobił się majątku. Od czasu do czasu pisywał do mnie i zapraszał do siebie na pół roku. Otwierając każdy list, zanim jeszcze zdążyłem go przeczytać, czułem jakiś potężny, unoszący mi włosy na głowie wiew, bijący z licznych, zawsze zeszytych sznurkiem kartek. Wciąż zamierzałem jechać do Afryki i nigdy nie wprowadzałem zamiaru w czyn.

Zboczyłem ze ścieżki, przysiadłem na jednym z kamieni i pograżyłem się w lekturze.

“Kiedyż wreszcie, ślimaku uczepony greckiej skały, zdecydujesz się zjawić tutaj. Przypuszczam, że jak wszyscy Grecy stałeś się bywalcem knajp. Wyżywasz się w tawernach, tak samo zresztą jak w swoich książkach, pielęgnowaniu obyczajów i w

swojej sławetnej ideologii. Dzisiaj jest niedziela, nie mam nic do roboty, siedzę u siebie we własnej posiadłości i myślę o Tobie. Słońce pali jak piec hutniczy. Ani kropli deszczu. Tu pada tylko w kwietniu, w maju i w czerwcu, ale za to wtedy istny potop.

Żyję samotnie i to mi odpowiada. Mieszka tu wprawdzie niemało Greków, ale nie chcę oglądać ich na oczy. Brzydzę się nimi, gdyż drodzy rodacy — niech ich diabli wezmą — nawet tutaj przywlekli trąd waszych politycznych namiętności. Polityka gubi Greków. No i jeszcze hazard, analfabetyzm oraz dogadzanie własnym zmysłom.

Nie cierpię Europejczyków, dlatego krążę po górach Usumbara. Nie cierpię Europejczyków, najbardziej jednak nienawidzę Greków i wszystkiego, co greckie. Nigdy moja noga nie postanie w waszej Grecji. Tutaj zdechnę; kazałem już przygotować sobie grobowiec przy domu na samotnej górze. Postawiłem kamień i wykułem własnoręcznie grubymi drukowanymi literami napis: «Tu spoczywa Grek, który nienawidził Greków».

Śmieję się z Grecji, pluję, klnę i płaczę na jej wspomnienie. Żeby nie widzieć Greków i wszystkiego, co greckie, opuściłem na zawsze ojczyznę. Przybyłem tu, włokąc ze sobą swój los. To nie on mnie tu przywiódł, bo zapamiętaj: człowiek robi zawsze to, co chce — więc i ja byłem kowalem swego losu. Harowałem jak wół i nadal tak haruję, wyciskałem z siebie i wciąż jeszcze wyciskam ostatnią kroplę potu. Walczę z ziemią, wiatrami, deszczem i mymi kolorowymi robotnikami.

Nie mam żadnej radości, chociaż nie... Mam jedną — pracę. Fizyczną lub umysłową. Przede wszystkim jednak fizyczną. Lubię się zmęczyć do siódmego potu, do bólu kości. Trwonię większość swoich pieniędzy, wyrzucam je na wszystko, na co mi przyjdzie ochota. Nie jestem niewolnikiem pieniądza, raczej on jest moim. Jestem niewolnikiem pracy i tym się szczycę. Karczuję las, podpisałem kontrakt z Anglikami. Produkuję liny. Teraz uprawiam nawet bawełnę.

Zeszłej nocy pokłócili się Murzyni należący do dwu plemion: Wa'yao i Wa'ngoi. Poszło o jakąś kobietę, jakąś dziewczkę. Zupełnie jak u was, czcigodni Grecy. Przekleństwa, ciosy maczugi, tryskająca krew... W nocy przybiegły kobiety i obudziły mnie, skamłając, żebym poszedł ich rozsądzić. Wściekłem się i posłałem wszystkich do diabła, a potem do angielskiej policji. Ale pozostali przez całą noc pod moimi drzwiami i wyli. Nad ranem wyszedłem więc i wydałem wyrok.

Jutro, to jest w poniedziałek, od samego rana wybieram się na wędrowkę w góry Usumbara, w gęste lasy, do kryształowo czystych wód wśród wiecznej zieleni... Kiedyż i Ty, nędzny Greku, wyrwiesz się z tej współczesnej Sodomy? Kiedy porzucisz

Europę? Kiedy przyjedziesz, by razem ze mną zdobywać te pustynne i dzikie góry?

Mam dziecko z Murzynką, dziewczynkę. Jej matkę wypędziłem. Przyprawiała mi rogi w biały dzień, jawnie, pod każdym drzewem. Obrzydło mi to, więc ją wygnałem. Ale córeczkę zostawiłem przy sobie. Ma dwa latka. Chodzi, zaczyna już mówić, uczę ją po grecku. Oto pierwsze słowa, jakich ją nauczyłem: «Pluję na was, zawszeni Grecy!»

Szelma, jest do mnie podobna, tylko nos ma po matce — szeroki, spłaszczony. Kocham ją, lecz tak jak się kocha kota czy psa. Przyjedź, zafunduj sobie chłopca z jakąś kobietą z gór Usumbara. Ożenimy ich ze sobą pewnego dnia, co sprawi przyjemność zarówno nam, jak i im.

Bywaj! Zostań z diabłem, drogi przyjacielu.

Karajannis, *servus diabolicus Dei*".

Opuściłem na kolana otwarty list. Opanowało mnie gwałtowne pragnienie wyjazdu. Nie chęć zmiany, bo dobrze mi było tu, na kreteńskim wybrzeżu — czułem się nieskrępowany i szczęśliwy — ale to nieustannie trawiące mnie marzenie, by ujrzeć na własne oczy jak najwięcej lądów i mórz, zanim umrę.

Wstałem. Rozmyśliłem się. Ruszyłem szybkim krokiem nie w góry, ale na wybrzeże. Czułem w zanadrzu drugi list i nie mogłem już opanować niecierpliwości. Zbyt długo trwał przedsmak przyjemności, zawierający w sobie zarówno radość, jak i niepokój.

Wszedłszy do baraku, rozpałem ogień, naparzyłem herbaty, zjadłem chleb z masłem i miodem i pomarańczę. Ległem na łóżku i otworzyłem list:

“Witaj Mistrzu i zarazem Uczniu-Neofito!

Mam tu dużo pracy, i to chwała «Bogu» ciężkiej. Zamykam to niebezpieczne słowo w cudzysłów (niby dzikie zwierzę do klatki), żebyś się już na wstępie nie rozgniewał. A więc — chwała «Bogu» — ciężka to praca. Półmilionowa rzesza Greków na południu Rosji i na Kaukazie znajduje się w niebezpieczeństwie. Wielu z nich mówi już tylko po turecku albo po rosyjsku, serca ich jednak przemawiają namiętnie po grecku. To nasza krew! Wystarczy spojrzeć, jak ich oczy błyszczą chytrze i drapieźnie, jak ich wargi uśmiechają się zmysłowo i tkliwie. Wystarczy rozważyć to, że potrafili na tej niezmierzonej ziemi podporządkować sobie chłopów i uczynić z nich swoich robotników, aby zrozumieć, że są nieodrodnymi potomkami tak przez Ciebie podziwianego Odysa. Trzeba ich pokochać i nie pozwolić im zginąć. Bo jednak grozi

im niebezpieczeństwo. Stracili wszystko, co mieli. Są teraz obdarci i głodni. Uchodźcy z wszystkich stron skupili się w miastach Gruzji i Armenii. Brak im żywności, odzieży i lekarstw. Gromadzą się w portach i wypatrują z niepokojem, czy na horyzoncie nie ukażą się greckie okręty, by ich przywrócić na łono macierzy — Grecji. To nasi współplemieńcy, a więc część naszej duszy, a znajdują się oni w szponach rozpaczy.

Jeśli pozostawimy ich własnemu losowi — zginą. Trzeba miłości, zrozumienia, zapału i praktyczności — dwie ostatnie cnoty tak przecież cenisz, gdy występują razem — żeby uratować ich wszystkich i umożliwić im powrót na naszą ziemię, tam gdzie będą najbardziej pożyteczni dla naszego narodu — do granic Macedonii i dalej — Tracji. Tylko w ten sposób uratować można setki tysięcy Greków, a wraz z nimi i siebie. Gdy tylko znalazłem się tutaj, w myśl Twych nauk, określiłem krąg wokół obszaru, który nazwałem «swoim obowiązkiem», i rzekłem sobie: «Jeśli wybawię znajdujących się na tym obszarze, wybawię swoją duszę, jeśli nie — i ja zginę». Na obszarze tym znajduje się pół miliona Greków.

Przebiegam miasta i wsie, zbieram rodaków, przygotowuję petycje, redaguję depesze, usiłuję przekonać naszych ateńskich dygnitarzy o konieczności wysłania okrętów, żywności, odzieży, lekarstw i ewakuowania tych wszystkich ludzi do Grecji. Jeśli żarliwa, uporczywa walka oznacza szczęście, jestem szczęśliwy. Nie wiem, czy — jak powiadasz — jest to szczęście na moją miarę. Oby Bóg to sprawił, bo wtedy byłbym człowiekiem dużej miary. Chciałbym rozciągnąć ją na rubieżę Grecji, bo tam tylko mieści się moje szczęście. Ale dosyć rozważań. Zapewne leżysz teraz na kreteńskim wybrzeżu wsłuchany w poszum morza i dźwięk *santuri*, Ty masz dużo czasu, ja nie. Spalam się w swojej działalności — i to mnie raduje. Tylko czyn, mój leniwy Mistrzu. Innego wyjścia nie widzę.

Przedmiotem, moich rozmyślań są teraz sprawy proste i jednoznaczne: ci znad morza i mieszkańcy gór Kaukazu, wieśniacy z Karsu, mniejsi i więksi kupcy z Tbilisi, Batumi, Noworosyjska, Rostowa, Odessy, Krymu są nasi, to nasza krew, dla nich podobnie jak dla nas stolicą Grecji jest — Konstantynopol. Wszyscy czcimy jednego wodza, ty nazywasz go Odysem, inni Konstantynem Paleologiem, który jak mówi legenda, nie poległ pod murami Bizancjum, tylko zamieniony w marmur oczekuje na przyście Anioła Wolności. Ja, jeśli pozwolisz, uznaję za patrona naszego ludu Akritasa. Imię to wydaje mi się, najodpowiedniejsze, brzmi bardziej surowo od tamtych, wojowniczo. Na sam jego dźwięk budzi się we mnie zakuty w zbroję nieśmiertelny syn Hellady, który bez wytchnienia, nieugięcie rozszerza wszystkie

granice — narodowe, intelektualne i duchowe. Gdy zaś do imienia Akritas dołączymy imię Digenis, Jeszcze lepiej oddamy charakter naszego narodu, ową wspaniałą syntezę Wschodu z Zachodem.

Znajduję się teraz w Karsie, dokąd przybyłem, by zebrać Greków ze wszystkich okolicznych wiosek. Tego samego dnia w ręce Kurdów dostało się dwóch Greków — duchowny i nauczyciel. Poddani zostali torturom. Kurdowie przybili im do nóg podkowy. Miejscowe władze, przerażone, zebrały się w domu, gdzie się zatrzymałem. Cały czas dolatuje nas huk strzelb zbliżających się Kurdów. Oczy wszystkich Greków zwracają się ku mnie, jakbym rozporządzał siłą, która ich może wybawić.

Miałem jutro jechać do Tbilisi, ale teraz, w obliczu niebezpieczeństwa, *wstydzę* się ich opuszczać. Zostaję. Nie powiem, żebym nie odczuwał strachu, owszem, boję się, jednak nie wyjadę. *Czyż* nie tek samo postąpiłby «Wojownik» Rembrandta, mój «Wojownik»? Zostałby. Zostaję więc i ja. Jeśli do miasta wejdą Kurdowie, to oczywiście, że mnie właśnie podkują pierwszego. Jestem pewien, mój Mistrzu, że nie spodziewałeś się takiego końca swego ucznia.

Po prowadzonych na grecką modłę, a więc nie kończących się dysputach zdecydowaliśmy, że dzisiejszego wieczoru zbiorą się wszyscy Grecy z mułami, końmi, krowami, owcami, żonami i dziećmi, by o świcie wyruszyć wspólnie na północ. Ja będę szedł na czele niby baran, przewodnik stada.

A więc jak za czasów patriarchów — wędrówka narodu przez góry i niziny o nazwach jak z legendy. Ja będę kimś w rodzaju Mojżesza. Niby Mojżesz mam zaprowadzić wybrany naród do Ziemi Obiecanej, jak ci prostaczkowie nazywają Grecję. Żeby stanąć na wysokości zadania i nie zrobić Ci wstydu, powinienem oczywiście zrzucić — przedmiot twych żartów — moje eleganckie getry i nogi owinąć onucami z owczej skóry, powinienem mieć długą, falującą, namaszczonej tłuszczem brodę i — co najważniejsze — dwa rogi. Lecz niestety nie sprawię Ci tej przyjemności. Łatwiej byłoby mi odmienić duszę niż strój. Noszę getry i jestem gładko ogolony.

Drogi Mistrzu! Mam nadzieję, że otrzymasz ten list, który może być ostatni. Ni nie wiadomo. Nie wierzę w tajemne siły, które podobno opiekują się człowiekiem. Wiem natomiast, że istnieją siły ślepe, uderzające na lewo i prawo, niszczące bezmyślnie i bez celu każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu. Na wypadek, gdybym miał odejść (mówię «odejść», żeby nie wypowiedzieć słowa ostatecznego i nie przerazić Ciebie ani siebie), a więc na wypadek, gdybym miał odejść, żegnaj, drogi Mistrzu. *Wstydzę* się to wyznać, ale czuję potrzebę powiedzenia, że i ja też bardzo Cię

pokochałem".

Pod spodem dopisał spiesznie ołówkiem:

“PS. Nie zapominam o umowie zawartej na statku w chwili wyjazdu. Jeśli «odejdę», dam Ci znać, gdziekolwiek byś był, nie obawiaj się”.

13.

Minął trzeci, czwarty i piąty dzień, a Zorba nie wracał.

Szóstego dnia otrzymałem z Kastellionu wielostronicowy list, istną epistolę. Zorba pisał na pachnącym, różowym papierze z wyrysowanym w rogu sercem przebitym strzałą.

Przechowałem go pieczołowicie i przepisuję, zachowując jego specyficzny styl; poprawiłem jedynie zabawną ortografię. Zorba trzymał pióro jak motykę, uderzał silnie, dlatego w niektórych miejscach papier był przedarty, gdzie indziej znów poplamiony atramentem.

“Kochany Szeffie! Panie Kapitalisto!

Na wstępie mego listu chciałbym zapytać o Twoje zdrowie i oznajmić Ci, że my, chwała Bogu, czujemy się dobrze.

Od dawna wiem, że nie przyszedłem na ten świat koniem ani wołem. Tylko zwierzęta żyją wyłącznie po to, by jeść. Chcąc uniknąć takiego zarzutu, dniem i nocą wymyślałam sobie robotę, dla idei rzucam na szalę swój chleb codzienny, odwracam przysłowie, które mówi: «Lepszy wróbel w ręku niż gołąb na sęku».

Wielu jest patriotów, których to nic nie kosztuje, ale ja nie jestem patriotą, nawet jeśli to mi przyczynia strat. Wiele ludzi wierzy w raj, są oni pewni tego, że ich osły paść się będą na niebieskich pastwiskach. Ja nie mam osła, jestem wolny, nie boję się więc piekła, w którym mój osioł zdechłby zapewne, nie mam też nadziei na raj, gdzie napychałby się koniczyną. Jestem głupim bałwanem i nie potrafię pięknie gadać, lecz tak po prawdzie, Szeffie, Ty mnie zrozumiesz.

Wiele ludzi lęka się marności, ja nie muszę się nad tym zastanawiać. Nie cieszy mnie dobro ani smuci zło. Gdybym usłyszał o zdobyciu przez Greków Konstantynopola, obesłoby mnie to akurat tyle, ile wieść o zdobyciu przez Turków Aten.

Jeśli po tym, co tu piszę, dojdiesz do wniosku, że zidiociałem, napisz mi to. Włóczę się po sklepach w Kastellionie, żeby kupić liny do naszej kolejki, i śmieję się. «Czemu się śmiejesz, kumie?» — pytają. Jak im to wytłumaczyć? Śmieję się, bo nagle, gdy wyciągam rękę, by sprawdzić, czy stalowa lina jest odpowiednia, przychodzi mi na myśl pytanie, kim jest człowiek, po co zjawił się na świecie i dla czyjego dobra... Chyba dla niczyjego. Mam kobietę czy nie, jestem uczciwy czy nie, jestem paszą czy tragarzem — jedyna różnica w tym, czy żyję, czy jestem martwy, czy porwie mnie

diabeł, czy Bóg powoła do swej chwały (co tu gadać, Szefie, według mnie to na jedno wychodzi) i zdechnę, stanę się cuchnącymi zwłokami i tak zatruję powietrze, że ludzie będą musieli mnie pogrzebać, by się nie udusić.

Ale skoro już o tym mowa, wspomnę, Szefie, o czymś, czego się boję — bo poza tym niczego się nie lękam — to coś, co dławi mnie dniem i nocą: przeraża mnie myśl o starości, Szefie, niech nas Bóg od niej zachowa! Śmierć jest niczym — jedno dmuchnięcie i świeca gaśnie — ale starość to straszna hańba!

Wstydzę się, że jestem stary, robię wszystko, co mogę, żeby nikt tego nie zauważył, skaczę, tańczę, bolą mnie nerki, jednak tańczę dalej, piję, w głowie mi się kręci, wszystko wiruje wokół, ale nie poddaję się, że to niby nic... Spocony wchodzę do morza, przeziębiam się i — khe, khe — próbuję zakasłać, by sobie ulżyć, ale wtedy ogarnia mnie wstyd, Szefie, na siłę wstrzymuję kaszel — przypomnij sobie, czy słyszałeś kiedy, żebym zakasłał? Nigdy! Nie tylko przy ludziach, ale i przed samym sobą udaję... Wstydzę się nawet Zorby, Szefie, co tu gadać — wstyd mi przed nim!

Kiedyś na świętej górze Athos — ponieważ i tam mnie zanosło, bodajbym skręcił kark — poznałem mnicha, ojca Laurentisa, z wyspy Chios. Ten biedak wyobraził sobie, że wszedł w niego diabeł. Nawet go ochrzcił, nazwał Hodża. «Hodża chce jeść mięso w Wielki Piątek!» — ryczał biedny Laurentis i tłukł głową o posadzkę w kościele. «Hodża chce spać z kobietą! Hodża chce zabić przeora! To Hodża, a nie ja!» — i dalej wali czołem o kamień.

Ja też, Szefie, mam diabła za skórą, zwie on się Żorba. I ten Żorba, który zamieszkuje we mnie, nie chce się starzeć. Za żadne skarby się nie zestarzeje, to żywe srebro, ma czarne jak kruk włosy, 32 (słownie: trzydzieści dwa) zęby i goździk za uchem. Ale ten drugi Żorba, który go nosi w sobie, wypił już, biedak, swoje, zbielały mu włosy, zmarszczył się i zgarbił, wypadają mu zęby, a jego wielkie uszyska porastają białym włosem starości, podobnym do oślej sierści

Co robić, Szefie? Jak długo będzie zmagало się ze sobą dwóch Żorbów? Który w końcu zwycięży? Jeśli zdechnę szybko — to nic, ale jeśli pozy je jeszcze długo — biada mi, Szefie, biada! Przyjdzie dzień, kiedy stanę się pośmiewiskiem. Stracę wolność, bo synowa lub córka każe mi pilnować swego paskudnego bachora, zaślinionego noworodka, uważać, żeby się nie sparzył, nie spadł, nie pobrudził. A gdy zabrudzi pieluszkę, będę musiał umyć i przewinać łobuza!

To samo zresztą grozi i Tobie, Szefie. Mimo że jesteś jeszcze młody, miej się na baczności! Posłuchaj, co Ci mówię, idź moją drogą. Nie mamy innego wyjścia, jak

dostać się do wnętrza gór, wydobyć węgiel, miedź, żelazo i galman, zbić kupę forsy, wyciągać duże zyski,

żeby szanowali nas krewni, podlizywali się przyjaciele i żeby burżuje uchylali czapek przed nami. Jeśli tego nie osiągniemy, Szefie, lepiej zginąć w wilczych dołach, niedźwiedzich pazurach, w paszczy pierwszego lepszego drapieżnika, spotkanego na drodze... Przynajmniej jemu to przyniesie pożytek! Bóg przysłał dzikie zwierzęta na ziemię, by robiły porządek z takimi jak my, aby nie upadli zbyt nisko..."

Na dole Zorba narysował kolorowymi kredkami zielone drzewo, pod nim biegnącego, wysokiego, chuderła-wego człowieka i siedem czerwonych wilków, następujących mu na pięty. U dołu widniał podpis grubymi literami: "Zorba i siedem grzechów".

Dalsze słowa głosiły:

"Sądzę, że z mojego listu zrozumiesz, jak bardzo czuję się nieszczęśliwy. Tylko rozmowa z Tobą daje mi nadzieję ulgi w stanie hipochondrii, który mnie opanował. Ty bowiem jesteś podobny do mnie, tylko nie wiesz jeszcze o tym, że też nosisz w sobie diabła, nie wiesz jeszcze, jak mu na imię, i dławi cię ta niewiedza. Nazwij go, Szefie, będzie ci lżej.

Mówiłem już, jak bardzo jestem nieszczęśliwy. Widzę wyraźnie, że cała moja mądrość to nic innego jak głupota. A jednak istnieją chwile, kiedy nachodzą mnie myśli godne wielkiego człowieka, i gdybym--potrafił wykonać to, co każe Zorba znajdujący się we mnie, zadziwiłbym świat!

Ponieważ nie podpisałem umowy zobowiązującej mnie do długiego życia, zbliżając się do każdego bardziej niebezpiecznego zakrętu nie uznaję hamulców. Życie człowieka wiedzie raz górą, raz dołem, dlatego to ludzie rozsądni nakładają sobie hamulce. Lecz ja, Szefie — na tym właśnie polega moja wartość — od dłuższego już czasu wyzbyłem się hamulców, nie boję się kraksy. My, mechanicy, mówimy: «kraksa», kiedy wóz spada z trasy. Niech mnie diabli wezmą, jeśli będę uważał na kraksy! Dzień czy noc — puszczam się na całego, robię, co mi się zamarzy, choćbym miał nawet skrócić kark. Co mam do stracenia? Nic. Nawet uważając na siebie skręć go prędzej czy później! Więc naprzód, bez postojów!

Zapewne teraz śmiejesz się ze mnie, Szefie, mimo to wysłuchaj moich bredni albo — jeśli wolisz — moich rozważań czy lamentów, chociaż — jak mi Bóg miły — nie wiem, czym różnią się wszystkie te określenia. Piszę, a Ty śmiejesz się, jeśli masz ochotę. Ja też śmieję się, wiedząc, że Ty się śmiejesz — i w ten sposób śmiech nigdy nie znika

ze świata. Każdy człowiek ma jakiegoś fioła, ale zdaje się, że największym jest mniemanie, że się nie ma go wcale.

Tak więc tu, w Kastellionie, badam swojego fioła i piszę Ci o tym wszystkim szczerze, bo chcę zasięgnąć Twojej rady. Prawda, że jesteś jeszcze młody, Szefie, lecz przeczytałeś wiele dzieł starych mędrców i stałeś się przez to — nie obraź się czasem — trochę starszy. Proszę Cię więc o radę.

Sądzę, że każdy człowiek wydziela specyficzny zapach: nie czujemy go, bo zapachy się mieszają, i nie wiemy, który do kogo należy, wiemy tylko, że coś śmierdzi, i nazywamy to ludzkością, chciałem powiedzieć — ludzkim smrodem. Jedni wdychają go jak lawendę, a mnie on mdli. Ale dość już, to inna śpiewka...

Chciałem raczej powiedzieć — i znowu mało brakowało, abym wyzbył się hamulców — że łotrzyce baby mają węch ostry jak suki, z miejsca wyczują, który mężczyzna ich pragnie, a który nie. Dlatego właśnie w jakimkolwiek mieście postałaby moja noga, nawet teraz, kiedy jestem stary, brzydki jak małpa i źle ubrany, znajdą się zawsze dwie, trzy kobiety, które na mnie polecą. Trafiły więc na mój trop te suki, niech je Bóg błogosławi!

Skoro tylko dotarłem bezpiecznie do Kastellionu, mimo późnej pory i panującego zmierzchu pobiegłem od razu do sklepów. Ale wszystkie były zamknięte na głucho, wróciłem więc do oberży, nakarmiłem swego muła, najadłem się i umyłem, a potem, zapaliwszy papierosa, wyszedłem na krótką przechadzkę. Nie znałem nikogo w mieście i mnie nikt nie znał, czułem się więc swobodny. Mogłem gwizdać na ulicy, śmiać się, mówić do siebie. Kupiłem pieczone pestki dyni, gryzłem je, wypluwając łupiny, i spacerowałem. Zapalały się właśnie latarnie, mężczyźni szli na kielicha, kobiety wracały do domów, a wokół nich unosił się zapach pudru, toaletowego mydła i pieczeni z różna. «Oj, Zorbo! — mówiłem sobie. — Ile jeszcze twego życia i wachania takich zapachów? Pewnie niedługo przestaniesz oddychać, korzystaj więc, póki czas, i wciągaj w nozdrza te wonie!» Oto co myślałem, przechadzając się tam i z powrotem po wielkim, znanym Ci placu. Nagle słyszę gwar, tupot tańczących, odgłos bębenka i pieśni. Nastawiam uszu i biegnę tam, skąd dochodzą te dźwięki. Oto kabaret! Tego mi było trzeba! Wszedłem do środka, zająłem stolik przy wejściu. Dlaczego miałbym się krępować? Mówiłem już, że nikt mnie tu nie zna, a więc hulaj dusza!

Na estradzie tańczyła jakaś niezdara, zamiatając spódnicą, ale nie zwróciłem na nią uwagi. Zamówiłem butelkę piwa, patrzę, a tu podchodzi i siada obok maleńka, urocza, kunsztownie wymalowana czarnula.

— Czy można, dziadku? — zwraca się do mnie ze śmiechem.

Krew uderzyła mi do głowy. Miałem szczerą ochotę ukręcić łeb smarkuli. Opanowałem się jednak, bo zrobiło mi się żal kobiety. Zawołałem kelnera:

— Dwie butle szampana! — mówię (wybacz, Szeffie, wydawałem Twoje pieniądze, lecz zniewaga była zbyt wielka, toteż musiałem ratować nasz honor, Twój i mój. Musiałem rzucić tego dzieciucha na klęczki przed nami. Jestem pewien, że w tak ciężkiej chwili nie zostawiłbyś mnie bez pomocy. A więc: «Kelner! Dwie butle szampana!»).

Po szampanie zamówiłem ciastka, potem znów szampan. Akurat przechodził sprzedawca kwiatów, kupiłem więc cały kosz jaśminu i wysypałem jej na kolana.

Piliśmy, piliśmy, ale daję słowo, Szeffie, nie tknąłem jej. Znam się na rzeczy. Za młodu od razu można było przycisnąć, na starość trzeba fundować, z galanterią rozrzucać pieniądze garściami. Kobiety lubią gest, szaleją za nim, łotrzyce. Możesz być garbaty, stary, kaleka, o wszystkim te dziwki zapomną na widok ręki sypiącej pieniędzmi.

Wydawałem więc pieniądze, Szeffie — daj Ci, Boże, zdrowie — a dziewczyna ani myślała odchodzić. Przysuwała się dyskretnie, trącała kolankiem moje kulasy, a ja nie! Jak bryła lodu, mimo że aż wrzałem w środku. Kobieta jeszcze bardziej traci głowę — co zapamiętaj sobie na wszelki wypadek — kiedy wyczuje, że choć cały płoniesz, nie dotykasz jej nawet.

Jednym słowem, północ minęła, zaczęto gasić światła, zamykano kabaret. Wyjąłem plik tysiącdrachmowych banknotów, zapłaciłem rachunek, sypanąłem kelnerowi hojny napiwek.

Mała przyczepiła się do mnie.

— Jak ci na imię? — zapytała przymilnie.

— Dziadek! — odpowiedziałem zgryźliwie.

Diable nasienie uszczypnęło mnie mocno i szepnęło:

— Chodź...

Uścisnąłem porozumiewawczo jej rączkę i zachrypłym głosem rzekłem:

— Chodźmy, malutka!

Reszty się domyślasz... Kochaliśmy się, a potem zasnęliśmy. Gdy się ocknąłem, było już chyba południe. Patrząc dookoła i co widzę? Schludny pokoik, a w nim fotele, umywalka, pachnące mydło, flakony, flakoniki, lustro, lusterka... Na wieszakach barwne suknie, na ścianach mnóstwo zdjęć — marynarze, oficerowie, kapitanowie,

policjanci, tancerki, których jedynym odzieniem są sandaalki... A obok na łóżku — dziewczyna, ciepła, pachnąca, rozczochrana...

«Ej, Zorbo! — rzekłem do siebie i przymknąłem oczy. — Dostałeś się żywcem do raju, dobrze ci tu, więc siedź spokojnie!»

Jak Ci już raz mówiłem, Szefie, każdy ma swój raj. Twój raj na przykład zapchany będzie książkami i wielkimi butlami atramentu, czyjś inny pełen beczek wina, wódki, koniaku, a jeszcze inny — pieniędzy. Dla mnie raj to właśnie niewielki, schludny pokój z barwnymi sukniami na wieszaku, z pachnącymi mydełkami, szerokim łóżkiem ze sprężynowym materacem i — dziewczyną.

Spowiedź zmazuje grzech. Przez cały dzień nie wytknąłem nigdzie nosa. Dokąd miałem iść? I po co? Dobrze mi tu było. Wysłałem do najlepszej restauracji zamówienie i przyniesiono nam tacę z pokrzepiającymi potrawami: czarny kawior, sznycle, ryby, sok cytrynowy i makagigi. Znow kochaliśmy się, a potem zasnęliśmy. Obudziliśmy się wieczorem, ubraliśmy i wzięwszy się pod rękę, poszliśmy do kabaretu, gdzie ona pracuje.

Krótko mówiąc, Szefie, i nie tracąc słów na darmo — ten rozkład dnia obowiązuje do dziś. Mimo wszystko nie psuj sobie krwi, zajmuję się również i naszymi sprawami. Od czasu do czasu zaglądam do sklepów, kupuję liny i co tam jeszcze potrzebne, bądź spokojny. Czy to nie wszystko jedno — dzień wcześniej albo dzień, a nawet tydzień później? Co nagle, to po diable, nie śpiesz się więc dla własnego dobra. Czekam, aż umysł mi się tak rozjaśni, a wzrok tak zaostrzy, że nie pozwolę się wykiwać. Liny muszą być w najlepszym gatunku, inaczej — kłapa! A więc, Szefie, jeszcze trochę cierpliwości i zaufania do mnie!

Nie martw się zwłaszcza o moje zdrowie. Przygody mi służą. W ciągu kilku dni stałem się dwudziestoletnim młodzieńcem, chyba nawet wyrosną mi nowe zęby. Dokuczały mi nerki, teraz czuję się, jakby zdjęto ze mnie urok. Patrę każdego ranka w lustro i dziwię się, że moje włosy nie stały się jeszcze kruczoczarne.

Zapytasz, dlaczego piszę Ci o tym wszystkim? Otóż jesteś dla mnie kimś w rodzaju spowiednika i nie wstydę się wyznać Ci moich grzechów. A wiesz dlaczego? Bo Ty — jak mi się wydaje — patrzysz przez palce na moje postęпки. Tak samo jak Bóg trzymasz wilgotną gąbkę i ciach-mach ścierasz zarówno dobro, jak i zło. To dodaje mi odwagi, by powiedzieć Ci całą prawdę. Posłuchaj więc:

Jestem zupełnie roztrzęsiony i kompletnie straciłem głowę. Proszę Cię, abyś po otrzymaniu tego listu chwycił zaraz za pióro i odpisał. Będę czekał na Twoją

odpowieź jak na rozżarzonych węglach. Wydaje mi się, że już od wielu lat nie figuruję ani w boskim, ani w diabelskim rejestrze. Moje imię widnieje tylko w Twojej księdze, jestem Tobie przypisany i poza Tobą nie mam się do kogo zwrócić. Słuchaj więc, co Ci powiem. Oto co zaszło:

Wczoraj odbywał się na przedmieściu festyn, niech mnie diabeł porwie, jeśli wiem, na cześć jakiego świętego. Lola — prawda, zapomniałem Ci ją przedstawić, ma na imię Lola — powiedziała:

— Dziadku (nazywa mnie wciąż pieszczotliwie dziadkiem)! Dziadku, chcę iść na festyn.

— Idź, babuniu — odpowiadam. — Idź.

— Ale chcę iść z tobą.

— Ja nie pójdę, mam coś innego do roboty, idź sama.

— W takim razie i ja zostaję.

Wybałuszyłem oczy:

— Zostajesz? Dlaczego? Odechciało ci się?

— Chce mi się iść z tobą, bez ciebie — nie.

— Ale dlaczego? Przecież jesteś wolną istotą!

— Wcale nie chcę być wolna!

— Nie chcesz?

— Nie chcę!

Słowo daję, czułem, że dostaję kręćka! Wykrzyknąłem do niej głośno:

— Jak to? Nie chcesz być wolna!

— Nie, nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!

Szefie, piszę do ciebie z pokoju Loli, na papierze Loli, czytaj — na miłość boską — uważnie! Sądzę, że za istotę ludzką może uważać się tylko ten, kto chce być wolny. Kobieta nie chce być wolna, więc czy jest ona istotą ludzką?

Na Boga, odpisz mi szybko! Całuję Cię mocno, Szefie. Aleksy Zorba".

Gdy przeczytałem list Zorby, przez długą chwilę nie wiedziałem, czy się oburzać, czy śmiać, czy podziwiać tego pierwotnego człowieka, który krusząc zewnętrzną powłokę życia — logikę, moralność i etykę — dociera do jego istoty. Wszystkie drobne, ale tak pożyteczne cnoty są mu obce, ma jednak ową zasadę, uciążliwą i niebezpieczną, która pcha go niepowstrzymanie do przekroczenia ostatecznej granicy, ku przepaści.

Ten niewykształcony robotnik, w swej wścieklej niecierpliwości łamiący

stałówki przy pisaniu, roztrząsa podstawowe problemy istnienia jak pierwotni ludzie, którzy dopiero co przestali być małpami, albo jak wielcy myśliciele, traktując to jako doraźną, niezbędną potrzebę. Postrzega ze świeżością dziecka. Wciąż się dziwi i pyta. Wszystko wydaje mu się cudowne i każdego ranka, gdy otwiera oczy i spogląda na drzewa, morze, kamienie, ptaki — staje osłupiały. “Cóż to za cud! — woła. — Ileż tajemnic kryje w sobie drzewo, morze, kamień, ptak?”

Pamiętam, że pewnego dnia, kiedy szliśmy w stronę wsi, spotkaliśmy jakiegoś staruszka jadącego oklep na mule. Zorba wytrzeszczył swe okrągłe oczy i wlepił je w zwierzę. Spojrzenie jego miało w sobie tak wielką siłę i żar, że wieśniak, przeżegnawszy się, przerażony zawołał:

— Na Boga! Kumie, nie rzuć na niego uroku!

— Co zrobiłeś staruszkowi, że tak krzyknął? — spytałem.

— Ja? Nic mu nie zrobiłem. Patrzyłem na muła. Czy na tobie nie robi to wrażenia, szefie?

— Co?

— Że istnieją na świecie muły.

Kiedy indziej, gdy leżałem na wybrzeżu i czytałem, zjawił się Zorba, siadł naprzeciw mnie, położył na kolanach *santuri* i zaczął grać. Podniosłem wzrok i przyglądałem mu się. Powoli jego twarz zmieniała wyraz, tknięta pierwotną, dziką radością. Podniósł głowę, osadzoną na długiej pomarszczonej szyi, i zaśpiewał.

Macedońskie melodie, klefetyckie pieśni w jego ustach nabierały cech pierwotnych okrzyków, które wtedy, w czasach przedhistorycznych, jak zwarta synteza mieściły w sobie wszystko, co dziś nazywamy muzyką, poezją i myślą.

— O! O! O! — wołał z głębi swych trzewi Zorba i cała cieniutka skorupa, którą nazywamy cywilizacją, pękała, obnażając drzemiacą pod nią nieśmiertelną bestię, włochatego satyra, straszliwego goryla.

Węgiel brunatny, straty i zyski, Bubulina, plany na przyszłość — wszystko zniknęło. Krzyk pochłaniał wszystko, niczego nie potrzebowaliśmy. Obaj znieruchomiali na tym bezludnym wybrzeżu Krety, mając w piersiach całą gorycz i słodycz życia, przestaliśmy odczuwać i gorycz, i słodycz. Słońce chyliło się ku zachodowi, nadchodziła noc. Wielka Niedźwiedzica tańczyła wokół nieruchomej osi nieba, wschodzący księżyc z przerażeniem spoglądał na dwie istoty, które śpiewały na piasku, nie lękając się niczego.

— Ha! Człowiek jest w gruncie rzeczy dzikim zwierzęciem! — stwierdził

nieoczekiwanie Zorba, podniecony swoją pieśnią. — Rzuć swoje szpargały! Czy ci nie wstyd? Człowiek jest zwierzęciem, a zwierzęta nie czytają!

Umilkł na chwilę, potem zaśmiał się.

— A wiesz — rzekł — jak Bóg stworzył człowieka i jakie były pierwsze słowa wypowiedziane przez to stworzenie, człowieka, do Boga?

— Nie, skąd mam wiedzieć? Nie byłem tam.

— A ja byłem! — krzyknął Zorba i jego oczy zabłyśły.

— Opowiedz więc!

Zorba na wpół z przejęciem, na wpół kpiąco zaczął snuć fantastyczną opowieść o stworzeniu człowieka:

— A więc posłuchaj, szefie! Bóg obudził się pewnego ranka w złym humorze. “Co ze mnie za Bóg, skoro nie mam ludzi, żeby kadzili mi albo bluźnili, bym miał rozrywkę. Żyję samotnie jak stary puchacz. Znudziło mi się to!” Splunął w dłonie, zakasał rękawy, nałożył okulary. Wziął garść ziemi, znowu splunął, ulepił bryłę błota, ugniótł starannie i uformowawszy człowieka, postawił na słońcu. Po siedmiu dniach zabrał go stamtąd, bo już wysechł, obejrzał i zaśmiał się:

“Niech mnie diabeł porwie — rzekł — toż to stojący na tylnych racicach wieprz. Zamierzałem zrobić coś całkiem innego! Trudno, stało się! Sknocilem!”

Chwycił człowieka za kark i dał mu kopniaka: “Ruszaj no! Jesteś zdolny tylko do płodzenia nowych prosiaków! Ziemia należy do ciebie, więc zmykaj! Raz, dwa — i już cię nie ma!”

Ale człowiek, wyobraź sobie, wcale nie uważał się za wieprza. Ubrał się w miękki kapelusz, zarzucił niedbale na ramiona marynarkę, włożył spodnie z dobrze zaprasowanym kantem i tureckie bambosze z czerwonym pomponem. Za pas zatknął sztylet — zapewne dostał go od diabła — z napisem: “Pożrę cię!”

To był właśnie człowiek. Bóg podał mu rękę do ucałowania, a on podkręcił wąsa i powiada: “Ustąp, dziadku, z przejścia”.

Zorba przerwał, widząc, że skręcam się ze śmiechu. Spochmurniał.

— Nie śmieję się — rzekł. — Tak było naprawdę!

— Skąd wiesz?

— Czuję, że tak było. Zresztą ja bym to samo zrobił na miejscu Adama. Daję głowę, że Adam nie był inny. A ty nie powinienesz wierzyć we wszystko, co ci opowiadają książki. Mnie powinienesz wierzyć!

Wyciągnął łąpsko i nie czekając odpowiedzi, zaczął grać na *santuri*.

Trzymałem wciąż w ręku pachnący list Zorby, ozdobiony sercem przebitym strzałą, i wspominałem przeżyte wspólnie chwile, czując niemal jego obecność. Przy boku Zorby czas miał nowy urok, przestawał być suchym następstwem wydarzeń lub — jak w moim przypadku — filozoficznym zagadnieniem nie do rozwiązania; przeciekał niby ciepły, drobnoziarnisty piasek między moimi palcami, łachocąc je lekko.

— Bądź błogosławiony, Zorbo — szepnąłem. — Przecież to ty oblekłeś w żywe, ciepłe ciało wszystkie abstrakcyjne pojęcia, które przyprawiały mnie swym chłodem o drżenie. Gdy ciebie nie ma, znów ogarnia mnie ziąb.

Wziąłem kartkę papieru i przywoławszy jakiegoś robotnika, kazałem mu niezwłocznie wysłać telegram:

“Wracaj natychmiast”.

14.

W sobotę pierwszego marca po południu pisałem, stojąc oparty o nadmorską skałę. Ujrzałem dziś pierwszą jaskółkę i ogarnęła mnie radość, bez oporu spływały na papier słowa odczyniające urok Buddy. Moja walka z nim traciła na gwałtowności. Przestałem się tak desperacko śpieszyć, bo byłem już pewny, że się wyzwolę.

Nagle usłyszałem odgłos kroków na żwirze i podniosłem głowę. Ujrzałem naszą starą syrenę, wystrojoną jak fregata w pełni gali. Biegła zdyszana i wyglądała tak, jakby ją coś zaniepokoiło.

— Czy jest list? — zawołała pełnym łęku głosem.

— Jest! — odparłem ze śmiechem i wyszedłem na jej spotkanie. — Przesyła ci pozdrowienia, pisze, że wspomina cię dniem i nocą, i twierdzi, że nie może jeść ani spać, że nie wytrzymuje rozłąki.

— I nic więcej nie pisze? — pytała ta biedna kobieta, chwytając ustami powietrze.

Zrobiło mi się jej żal. Wyjąłem z kieszeni list i udałem, że czytam. Stara syrena aż otwarła bezzębne usta, jej małe oczka rozblęły, słuchała z zapartym tchem.

Ponieważ gubiłem wątek, zachowywałem się tak, jakbym nie mógł chwilami odcyfrować pisma Zorby.

— Wczoraj poszedłem, szefie, do garkuchni. Byłem bardzo głodny. Nagle patrzę, a tu wchodzi śliczna jak nimfa dziewczyna. Boże, jaka ona podobna do mojej Bubuliny! Od razu lzy trysnęły mi z oczu jak fontanna, a gardło ścisnął kurcz, tak że nie mogłem nic przełknąć! Wstałem, zapłaciłem i wyszedłem. I ja, człowiek, który rzadko pamięta o istnieniu świętych, doznałem tak silnej potrzeby, aby dać ujście radosnym uczuciom, że pobiegłem do kościoła świętego Minasa zapalić świecę przed jego ołtarzem. "Święty Minasie! — modliłem się. — Spraw, bym otrzymał dobre wieści od mego ukochanego anioła! Spraw, abyśmy połączyli już wkrótce swe skrzydła".

— Hi! Hi! Hi! — zaśmiała się zapłoniona pani Hortensja.

— Czemu się śmiejesz, kobieto? — spytałem, chcąc zyskać na czasie, by wymyślić nowe łgarstwa. — Czemu się śmiejesz? Mnie się raczej zbiera na płacz.

— Gdybyś wiedział... Gdybyś wiedział... — chichotała.

— O czym?

— Skrzydła!... Ten łobuz skrzydłami nazywa nogi. Mówi na nie tak zawsze,

kiedy jesteśmy sam na sam. "Połączmy — powiada — nasze skrzydła"... Hi! Hi! Hi!

— Posłuchaj dalej, moja miła, a osłupiejesz z wrażenia.

Odwrociłem stronicę, udając znów, że czytam:

— Dzisiaj przechodziłem obok zakładu fryzjerskiego, fryzjer właśnie wylewał miskę mydlin, cała ulica zapachniała. Znów mi to przypomniało moją Bubulinę i zapłakałem. Nie zniosę dłużej, szefie, tej rozłąki. Zwariuję. Popatrz, nawet poezje układam. Przedwczoraj, gdy nie mogłem spać, siadłem i napisałem dla niej wiersz. Przeczytaj jej to, proszę, niech się przekona, jak cierpię:

*Gdybyśmy się, miła, spotkali oboje
Na ścieżce, co mieści nasze niepokoje!
Choćbym w kawałeczki został posiekany,
To i tak bym przybiegł do mojej kochanej.*

Madame Hortensja, rozmarzona, przymykała oczy i słuchała całym sercem, wniebowzięta. Rozwiązała nawet wstążkę, ukrywającą zmarszczki na szyi. Uśmiechała się milcząco. Widać było, że jej myśli bujają gdzieś bardzo daleko z wiatrem, radosne i szczęśliwe.

Marzec, świeża trawa, żółte i purpurowe kwiaty, przejrzyste wody i igrające na nich białe i czarne łabędzie — białe to łabędzice, czarne to łabędzie. Wokół wielkich błękitnych muren wiją się w wodzie długie żółte węże, a pani Hortensja ma znowu czternaście lat, tańczy na wschodnich dywanach w Aleksandrii, Bejrucie, Smyrnie, Konstantynopolu, a wreszcie na lśniących pokładach okrętów u brzegów Krety...

Nie pamiętała już wszystkiego, była jednak tak wzruszona, że od westchnienia, jakie wydarło jej się z piersi, zadrżało wybrzeże.

...Nagle podczas jej tańca morze pokrywa się okrętami o złożonych dziobach. Na ich pokładach widnieją różnokolorowe namioty, a nad nimi powiewają jedwabne flagi. Z namiotów wychodzą panowie w czerwonych fezach ze złotymi pomponami. Bogaci starzy bejowie idą korowodem, wyciągając ręce pełne darów, a za nimi ich melancholijni synowie o twarzach jeszcze bez zarostu. Idą też admirałowie w trójgraniastych kapeluszach; żeglarze ubrani w szerokie spodnie mają olśniewająco białe kołnierze; dalej młodzi Kreteńczycy w niebieskich sukiennych szarawarach, żółtych butach i czarnych chustach, przepasujących włosy. Ostatni idzie Zorba, wychudły z miłości, z grubym zaręczynowym pierścieniem na palcu i wieńcem z

pomarańczowego kwiecica na szpakowatych włosach...

Nie brakło ani jednego spośród tych wszystkich mężczyzn, których poznała w życiu. Był nawet stary, bezzębny, garbaty przewoźnik, który pewnego razu w Konstantynopolu zabrał ją łódką na przejażdżkę po zatoce. Stało się to nocą i nikt ich nie widział... Teraz zaś wszyscy schodzili na ląd, a za nimi igrały mureny, węże i łabędzie.

Schodzili, towarzyszyli jej — nierozłączne grono — skłębieni jak węże splątane wiosną w akcie miłosnym, syczące. A w środku ona — biała i naga, z rozchyłonymi wargami, spoza których wyglądają ostre ząbki, z wysoką piersią, nieruchoma i nienasycona pani Hortensja, mająca lat czternaście, trzydzieści, czterdzieści, sześćdziesiąt...

Nic nie utonęło w zapomnieniu, żaden kochanek nie umarł, wszyscy odrodzili się na jej zwiędłym łonie, zmartwychwstali w paradnych mundurach. I jakby pani Hortensja była wspaniałą trójmasztową fregatą, kochankowie — a wielu ich miała przez minione czterdzieści pięć lat — wdarli się na pokład, do ładowni, na maszty i żeglują, a ona — tysiącrotnie uszkodzona, tysiącrotnie uszczelniana — zmierza do swego ostatniego, od dawna w gorących marzeniach wytęsknionego portu — małżeństwa. Zorba przybiera wciąż nowe twarze — Turków, Ormian, Francuzów, Arabów, Greków, a pani Hortensja ogarnia swymi ramionami tę uwielbianą przez nią i nie kończącą się procesję.

Stara syrena zdała sobie nagle sprawę z tego, że przestałem czytać, i uniosła ciężkie powieki.

— Nic więcej nie mówi? — szepnęła z wyrzutem i łakomie oblizła wargi.

— Czego chcesz jeszcze, *madame* Hortensjo? Czyż nie widzisz? Cały list przeznaczony jest dla ciebie. Spójrz, cztery stronice! A w dodatku, patrz, tu w rogu jest serce. Zorba pisze, że narysował je własną ręką. Widzisz — przeszywa je strzała — symbol miłości. Pod nim — spójrz — dwa całujące się gołąbki, a na ich skrzydłach małymi, niewidocznymi literkami wypisane czerwonym atramentem dwa imiona: Hortensja — Zorba.

Nie było ani gołąbków, ani literek, ale oczęta starej syreny zalśniły łzami, dostrzegając to, co pragnęły ujrzeć.

— Nic więcej? Nic więcej? — pytała wciąż nienasycona.

Wszystko było dobre — skrzydła, wonne mydliny od fryzjera, gołąbki — ale to tylko słowa jak plewa na wietrze. Jej praktyczny, kobiecy umysł szukał czegoś innego, bardziej uchwytnego, pewnego. Ileż to razy w swoim życiu słuchała tych słodkich

nonsensów. I cóż za korzyść jej to przyniosło? Co z tego? Po tylu latach została sama na bruku!

— Nic poza tym? — szepnęła znów żałośnie. — Nic poza tym?

Patrzyła mi w oczy jak zaszczuta sarna, żal mi jej było.

— Pisz jeszcze coś bardzo ważnego, *madame* Hortensjo, dlatego zostawiłem to na koniec.

— A więc? — spytała z westchnieniem.

— Pisz, że gdy tylko wróci, padnie przed tobą na kolana i ze łzami w oczach poprosi cię o rękę. Nie może już wytrzymać. Chce, żebyś była jego żoneczką, panią Hortensją Zorba, pragnie, abyście się nigdy nie rozstawali.

Teraz rozplakała się naprawdę, szczerze. Spotkało ją wielkie szczęście, spełniło się marzenie całego jej życia. Nareszcie spokojna przystań i legalne łożo! Ukryła twarz w dłoniach.

— Dobrze — powiedziała tonem wielkiej damy. — Zgadza się. Napisz mi tylko, proszę, że tu, na wsi, nie ma pomarańczowego kwiecia na ślubny wianek. Niech przywiezie z miasta. Musi przywieźć jeszcze dwie odpowiednie na taką okazję białe świece z różowymi wstążkami oraz migdałowe ciasteczka. Niech nie zapomni także o białej, ślubnej sukni, jedwabnych pończochach i atlasowych pantofelkach. Bieliznę pościelową mamy. Napisz, żeby nie kupował. Łóżko też jest.

Sporządzała już listę zakupów, już traktowała przyszłego męża jak chłopca na posyłki. Podniosła się z dostojeństwem kobiety zamężnej.

— Mam ci coś do powiedzenia — rzekła. — Coś bardzo ważnego... — i przerwała wzruszona.

— Mów, *madame* Hortensjo. Jestem do twojej dyspozycji.

— Zorba i ja bardzo cię lubimy. Jesteś bardzo dobrze wychowany i nie przyniesiesz nam wstydu. Czy chcesz być naszym świadkiem przy ślubie?

Zadrzałem. Moi rodzice mieli kiedyś służącą imieniem Diamanto. Była to ponad sześćdziesięcioletnia stara panna, pomarszczona, z meszkiem na górnej wardze, płaska jak deska, na pół zwariowana na tle swego dziewictwa. Zakochała się w synu sklepikarza Mitosa, tłustym, dorodnym, wiejskim chłopcu, który miał jeszcze mleko pod nosem.

— Kiedy ożenisz się ze mną? — pytała go każdej niedzieli. — Weź ze mną ślub zaraz. Dlaczego zwlekasz? Ja już nie mogę dłużej na to czekać.

— Ja też nie mogę żyć bez ciebie — odpowiadał chytrze syn sklepikarza, chcąc

utrzymać stałą klientkę. — Mnie także trudno czekać, Diamanto, ale nie mogę się zenić, dopóki mi nie podrosną wąsy.

Tak mijały lata i stara Diamanto czekała. Złagodniała, rzadziej miewała bóle głowy, jej cienkie wargi, których nikt nigdy nie całował, uśmiechały się częściej, lepiej nawet prała bieliznę, tłuła mniej talerzy i nie przypalała jedzenia.

— Chcesz być naszym świadkiem, paniczu? — zapytała mnie ukradkiem pewnego wieczoru.

— Chętnie, Diamanto — odpowiedziałem ze ściśniętym litością gardłem.

Ta historia kosztowała mnie potem wiele zmartwień, dlatego zdrząłem, słysząc takie samo pytanie z ust pani Hortensji.

— Chętnie — odpowiedziałem. — To zaszczyt dla mnie, *madame*...

— Mów mi już: kumo, gdy jesteśmy sami... — powiedziała i uśmiechnęła się wyniośle.

Wstała. Poprawiła loczki wystające spod kapelusika i oblizała wargi.

— Dobranoc, kumie! — rzekła. — Dobranoc, oby szybko wrócił...

Patrzyłem na oddalającą się. Radość przypięła jej skrzydła do ramion, a postarzałe ciało wyginało się z dziewczęcą zalotnością. Zostawiła za sobą na piasku głębokie dołeczki — ślad obcasów jej starych, wykoślawionych pantofli. Jeszcze nie skryła się za cyplem, gdy z wybrzeża dobiegły straszne krzyki i płacz.

Zerwałem się i rzuciłem w stronę przeciwnego cypla, skąd dochodził. Kobięce głosy wyły jak na pogrzebie. Wdrapałem się na skałę i patrzyłem. Z wioski biegli spiesznie ludzie, za nimi gnały rozszczekane psy. Dwaj czy trzej mężczyźni na koniach wysforowali się do przodu, wznosząc gęsty tuman kurzu.

“Stało się jakieś nieszczęście” — pomyślałem i szybko ruszyłem naprzód.

Gwar wzrastał się nieustannie. Słońce już zaszło, na niebie zastygło nieruchomo kilka wiosennych, różowych obłoków. Figowiec Paniienki okryty był świeżym, zielonym listowiem.

Nagle zderzyła się ze mną wracająca pani Hortensja. Była potargana i zadyszana, jeden bucik spadł jej z nogi, trzymając go w ręku, biegła z płaczem.

— Boże! Boże! — krzyknęła na mój widok. O mało nie upadła.

Podtrzymałem ją.

— Czemu płaczesz? Co się stało? — zapytałem, pomagając jej się obuć.

— Boję się... Boję...

— Czego?

— Śmierci!

Wyczuła wiszącą w powietrzu grozę śmierci i przeraziła się. Ująłem jej koślawe ramię, aby ją poprowadzić, ale wiekowe ciało opierało się, drżąc.

— Nie chcę! Nie chcę! — wołała.

Bała się biedaczka zbliżyć do miejsca, gdzie pojawiła się śmierć. Charon nie powinien jej widzieć, mógłby sobie o niej przypomnieć.

Podobnie jak wszyscy starzy ludzie i biedna syrena chętnie by się zapadła pod ziemię. Siniała i zieleniała, przybierając ochronny kolor gleby i trawy, byleby tylko ujść uwadze przewoźnika piekieł. Zgarbiła się, wtulając głowę w tłuste ramiona, i drżała.

Dowlokła się do drzewa oliwkowego, rozpostarła swój połatany płaszczyk i przykucnęła na ziemi.

— Przykryj mnie — powiedziała. — Przykryj mnie i idź zobaczyć, co się stało.

— Zimno ci?

— Zimno, okryj mnie.

Otuliłem ją jak najstaranniej, by nie różniła się niczym od ziemi, i poszedłem.

Zbliżałem się do cypla. Teraz wyraźniej dał się słyszeć ponury, żalobny lament. Przede mną biegł w podskokach Mimitos.

— Co się stało, Mimitosie? — zawołałem.

— Utopił się! Utopił! — krzyknął, nie zatrzymując się. — Utonął.

— Kto?

— Pavlis, syn Mavrantonisa!

— Dlaczego?

— Wdowa...

Słowo zawisło w powietrzu i z wieczornego mroku wywołało niebezpieczny obraz giętkiego ciała kobiety.

Dotarłem do skał, gdzie zgromadziła się cała wioska. Mężczyźni stali w milczeniu, z odkrytymi głowami. Kobiety, zsunąwszy chustki na ramiona, lamentowały szarpiąc włosy. Na kamieniach leżało ciało młodzieńca, rozdęte i sine. Stary Mavrantonis stał nad nim nieruchomo, wpatrując się w nie, przygarbiony, z prawą ręką wspartą na lasce, a lewą kurczowo zaciśniętą na szpakowatej, szorstkiej brodzie.

— Bądź przekłeta, wdowo! — rozległ się nagle przenikliwy głos. — Oby cię Bóg skarał!

Jakaś kobieta, zerwawszy się z ziemi, wołała:

— Czy już nie ma wśród nas mężczyzny, który przerzuciłby ją przez kolano i zarznął jak owcę? Tfu! Tchórze!

Splunęła w kierunku wpatrzonych w nią milczących mężczyzn.

— Nie obrażaj nas, Delikaterino! — odkrzyknął w odpowiedzi właściciel kafejki.

— Nie obrażaj. Są w wiosce odważni mężczyźni i przekonasz się...

Nie mogłem się powstrzymać i zawołałem:

— Hańba! Cóż ona winna? Tak zrządził los! Czyżbyście nie bali się Boga?!!!

Lecz nikt nie odpowiedział.

Kuzyn topielca, Manolakas, schylił się i wzięwszy ciało w swe silne ramiona, ruszył w stronę wioski. Kobiety jęczały, rozdrapywały sobie twarze i wyrwały włosy. Gdy zabierano zwłoki, przypadły do nich, ale stary Mayrantonis rozpedził je laską i ruszył na czele konduktu. Kobiety powlokły się za nim, zawodząc żałobne pieśni. Na końcu szli milcząc mężczyźni.

Gdy pochłonął ich zmierzch, znów usłyszałem ciche westchnienia morza. Rozejrzałem się dokoła, byłem sam.

“Czas wracać — pomyślałem, — Chyba wypełniła się już miara dzisiejszej goryczy”.

Szedłem ścieżką pogrążony w zadumie. Podziwiałem tych ludzi, biorących tak żarliwie udział w cierpieniu bliźniego. Hortensja, Zorba, wdowa i blady Pavlis, który tak odważnie rzucił się w morze, by przerwać swoje cierpienie. I Delikaterina wołająca, by zabić wdowę jak owcę, i Mavrantonis, który nie tylko nie zapłakał, ale i nie rzekł słowa przy ludziach. Tylko ja jeden byłem rozsądny i... bezradny. Moja krew nie zawrzała. Nie potrafiłem ani kochać, ani nienawidzić. Teraz też pragnąłem takiego ułożenia się spraw, bym mógł wszystko zdać tchórzliwie na los. Z daleka zobaczyłem wuja Anagnostisa siedzącego na kamieniu. Wsparłszy brodę na swej długiej lasce, spozierał w stronę morza.

Nie usłyszał mojego wołania, podszedłem więc bliżej. Na mój widok pokiwał głową:

— Biedni ludzie! — szepnął. — Zmarnowane młode życie! Nieszczęsny chłopiec nie mógł udźwignąć swego cierpienia i rzucił się w morze, aby tam znaleźć ratunek.

— Ratunek?

— Tak, mój synu, ratunek! Co by mu przyszło z życia? Gdyby ożenił się z wdową, wkrótce zaczęłyby się z nim kłócić, a może i zdradzać, bo to bezwstydna

kobyła, rzy na widok każdego mężczyzny. Gdyby się nie ożenił, wbiłby sobie do głowy, że ominęło go wielkie szczęście. I tak źle, i tak niedobrze.

— Nie mów tak, wuju Anagnostisie. To słowa mrozące krew w żyłach każdego, kto je usłyszy.

— Nie bój się, nikt mnie nie słucha. A gdyby nawet słyszał, nie uwierzy. Popatrz, nie ma człowieka szczęśliwszego ode mnie. Mam pola, winnice, drzewa oliwne, nawet dwupiętrowy dom, jestem bogaczem. Trafiła mi się dobra żona. Szanowała mnie, słuchała, rodziła mi samych chłopców. Nigdy nie podniosła na mnie zuchwale oczu. Synowie też mi się udali; są już ojcami rodzin. Nie narzekam. Mam i wnuki. Czegóż mi więcej trzeba? Zapuściłem tu głęboko korzenie. A przecież gdybym miał zacząć wszystko od nowa, przywiązałbym sobie kamień do szyi i rzucił się w morze jak Pavlis. Życie jest ciężkie, nawet dla tych, którzy mieli szczęście! Bardzo ciężkie, mój chłopcze!

— Ale na co się uskarżasz, wuju Anagnostisie? Czego ci brak?

— Powiedziałem ci już: niczego. Ale spróbuj zgłębić serce człowieka!

Zamilkł na chwilę i znów spojrzął na morze, które zaczynała spowijać ciemność.

— Dobrze zrobiłeś, Pavlisie! — krzyknął, wymachując laską. — Pozwólmy płakać kobietom, bo są tylko kobietami, nie mają rozumu. Uratowałeś się! Twój ojciec wie o tym i dlatego nie rzekł ni słowa.

Omiótł wzrokiem niebo i tonące w mroku szczyty gór.

— Noc zapada — rzekł. — Wracajmy!

Nagle przystanął, jakby żałował słów, które mu się wymknęły, jakby zdradził wielką tajemnicę, którą teraz znów pragnąłby ukryć...

Położył wyschlą rękę na moim ramieniu.

— Młody jesteś — powiedział z uśmiechem. — Nie słuchaj starych. Gdyby świat to robił, szybko obróciłby się w ruinę. Jeśli spotkasz na swojej drodze jakąś wdowę, bierz ją! Żeń się, miej dzieci. I nie obawiaj się, bo kłopoty są niczym dla młodych.

Wróciwszy rozpałiłem ogień i przygotowałem herbatę na kolację. Byłem zmęczony i głodny, toteż rzuciłem się łakomie na jedzenie, oddając się w pełni temu szczęściu, jakie odczuwa zwierzę zaspokajające głód.

Nagle przez okno wsunęła się głowa Mimitosa. Patrzył na mnie jedzącego w kucki przed ogniem i uśmiechał się złośliwie.

– Czego chcesz, Mimitosie?

– Przynoszę ci, szefie, coś od wdowy... Koszyk pomarańczy. Mówi, że to najświeższe owoce z jej sadu.

– Od wdowy? – zapytałem zmieszany. – A dlaczego mi je przysyła?

– Mówiła, że za dobre słowo, które rzekłeś wieśniakom dziś wieczór.

– Jakie dobre słowo?

– Nie wiem. Powtarzam, co mi powiedziała. To wszystko.

Wysypał pomarańcze z koszyka na łóżko. Woń ich nappełniła cały barak.

– Powiedz jej, że dziękuję za podarek. Powiedz jej też, żeby uważała na siebie. Niech się strzeże i nie pokazuje w wiosce, dopóki ludzie nie zapomną o tym nieszczęściu. Czy zrozumiałeś, Mimitosie?

– To wszystko, szefie?

– Wszystko. Już możesz iść.

Mimitos mrugnął do mnie:

– Naprawdę wszystko?

– Zmykaj!

Poszedł. Obrałem soczystą pomarańczę – była słodka jak miód. Położyłem się, zasnąłem – i przez całą noc spacerowałem w pomarańczowym gaju. Wiał ciepły wiatr. Wystawiłem pierś na gorący powiew. Za uchem miałem zatknięty kwiat. Byłem dwudziestoletnim chłopcem wiejskim i czekałem w pomarańczowym gaju, krążąc po nim niespokojnie... Na kogo? Nie wiem. Ale serce moje przepelniała radość. Podkręcałem węża i przez całą noc słuchałem szumiącego za drzewami morza, które wdychało jak kobieta.

15.

Tego dnia od piasków Afryki dął przez Morze Śródziemne silny południowy wiatr. Chmury drobnego pyłu wirowały w powietrzu i wdzierały się do gardła i płuc. Trzeszczał w zębach, palił oczy. Jeśli się chciało zjeść kawałek chleba nie obsypany piaskiem, trzeba było szczelnie zamknąć okna i drzwi.

Pogoda była męcząca. I mnie podczas tych przygnębiających dni, kiedy wschodzi siew, opanowało wiosenne wyczerpanie. Znużenie, niepokój w piersiach, drętwość w całym ciele i pragnienie — pragnienie czy wspomnienie? — zwykłego szczęścia. Podobną rozkosz, podobny ból odczuwają zapewne motyle, gdy wydobywają się z poczwarki, aby rozwinąć skrzydła.

Szedłem kamienistą górską ścieżką, gdy ogarnęła mnie nagle chęć, aby dotrzeć do małej osady z czasów minojskich, która po trzech czy czterech tysiącach lat została odkopana i grzeje się znów w łaskawym słońcu Krety. Myślałem, że trzy lub cztery godziny forsownego marszu wyzwolą mnie od wiosennej melancholii.

Lubię szare skały, lśniące nagością, i pustynne poszczerbione góry. Sówka o żółtych okrągłych oczach przysiadła, oślepiona nadmiarem światła, na głazie, poważna, piękna i tajemnicza. Stąpałem delikatnie, ale spłoszyła się, odfrunęła bezgłośnie i zniknęła mi z oczu pomiędzy skałami. Powietrze pachniało rumiankiem. Pierwsze delikatne kwiaty ostów rozwinęły się już pomiędzy kolcami.

Gdy dotarłem do ruin miasteczka, przejął mnie dreszcz. Dochodziło już chyba południe i jaskrawe światło słoneczne zalewało wykopaliska. Wśród zniszczonych murów starych miast ta godzina tchnie grozą. Powietrze wypełniają widma, zewsząd słychać niesamowite głosy. Wystarczy trzask suchej gałązki, nadepniętej przez przebiegającą jaszczurkę, albo przelotny cień obłoku — i człowieka ogarnia paniczny lęk. Każda piędź ziemi, po której tam stąpasz, jest grobem, z którego dochodzi cię jęk umarłych.

Stopniowo oczy przywykły mi do powodzi światła i wśród ruin dostrzegłem ślad ręki ludzkiej: dwie szerokie drogi, wyłożone gładkimi głazami, wąskie i kręte, uliczki z prawej i lewej strony oraz okrągły plac — rynek — i wreszcie w tym tak demokratycznym otoczeniu — pałac królewski z podwójnym rzędem kolumn, szerokimi schodami i licznymi przybudówkami.

W sercu miasta, gdzie niezliczone stopy ludzkie wyłobily kamienną

nawierzchnię, była świątynia. Stał tam posąg wielkiej bogini z bujną piersią i ramionami oplecionymi przez węże.

Wszędzie ślady sklepików, warsztatów, gdzie tłoczono oliwę, kuto miecze, obrabiano drewno, lepiono garnki. Skrzętnie zagospodarowane i dobrze zabezpieczone mrowisko... Tylko że mrówki opuściły je już kilka tysięcy lat temu. W jednym z warsztatów rzemieślnik rzeźbił amforę w żyłkowanym kamieniu, ale nie zdążył jej wykończyć. Dłuto wypadło z jego rąk i znaleziono je dopiero po kilku tysiącach lat obok przerwane w połowie dzieła.

Odwieczne, niepotrzebne, głupie pytania: "Dlaczego?" i "Po co?" — powracają znowu, aby sączyć jad w serce. Poilem się goryczą z tego nie dokończonego dzbana, który świadczył o zniechęceniu przerywanym natchnieniu mistrza w chwili, gdy właśnie sięgało szczytu.

Nagle z kamienia przed ruinami pałacu zerwał się, łyskając nagimi kolanami, opalony pastuszek o kędzierzawych włosach przewiązanych chustką z frędzlami.

— Hej, panie! — zawołał do mnie.

Pragnąłem samotności, udałem więc, że nie słyszę. Ale pastuszek zaśmiał się przekornie.

— Hej, panie! Nie udawaj głuchego! Masz papierosy? Daj mi jednego! Tak mi się przykrzy samemu na tym pustkowiu!

Ostatni wyraz wymówił tak żałośnie, że ogarnęła mnie litość.

Nie miałem papierosów, chciałem mu dać pieniądze, ale pastuszek obruszył się.

— Do diabła z pieniędzmi! — krzyknął. — Na co mi one? Mówię ci, że mi się przykrzy, daj papierosa!

— Nie mam — powiedziałem bezradnie. — Nie mam!

— Nie masz! — pastuszek ze złością uderzył laską o kamień. — Nie masz! Więc czym tak wypchałeś kieszenie?

— Noszę książkę, chusteczkę, papier, ołówek, scyzoryk — odparłem, wyciągając kolejno z kieszeni ich zawartość. — Chcesz scyzoryk?

— Mam, wszystko mam. Chleb, ser, oliwki, nóż, dratwę, skórę na buty, flaszkę z wodą — wszystko, wszystko, oprócz papierosów, a to tak, jakbym nic nie miał! A ty co robisz w tych ruinach?

— Rozmyślam nad starożytnością.

— I co ci z tego?

— Nic.

— Nic. Tak właśnie myślałem. Oni umarli, my żyjemy. Lepiej ruszaj stąd! Z Bogiem!

Zdał mi się wyganiającym mnie stąd duchem, który strzeże tych miejsc.

— Pójdę! — rzekłem posłusznie.

Gnany jakimś lękiem, zawróciłem na ścieżkę. Obejrzałem się jeszcze na znuzonego samotnością pastuszka. Stał na kamieniu, południowy wiatr poruszał jego kędziorkami, wysuwającymi się spod czarnej chusty. Cała jego postać tonęła w powodzi światła. Wyglądał jak posąg elfa, ulany z brązu. Oparł laskę na ramieniu i pogwizdywał.

Wybrałem inną drogę na wybrzeże. Od czasu do czasu owiewały mnie ciepłe podmuchy, niosące świeżą woń z ogrodów. Ziemia tchnęła tysiącem zapachów, a lazurowe, świetliste niebo lśniło jak stal.

Zimą od mrozu kuli się nie tylko ciało, ale i dusza człowieka, a gdy nadchodzą upały, można pełną piersią zaczerpnąć powietrza. Kiedy tak szedłem, dobiegł mnie z góry klangor. Podniosłem głowę i oto znów ujrzałem ten wspaniały widok, który od dzieciństwa wzruszał mnie głęboko — klucz żurawi powracał z ciepłych krajów, niosąc na swoich skrzydłach — jak głosi legenda — jaskółki.

Niezmienny rytm pór roku, obracający się krąg wszechświata, cztery oblicza ziemi, oświetlane kolejno promieniami słońca, przemijanie życia — wszystko to znów legło mi na piersiach przygniatającym ciężarem. Głosy żurawi zabrzmiały mi w uszach straszliwym ostrzeżeniem, że życie każdego jest niepowtarzalne, innego nie ma, a więc wszystkiego, czego możesz skosztować, kosztuj dziś, bo nie ma nadziei na wieczność.

Umysł, zdający sobie sprawę z tego bestialskiego — a przecież miłosiernego — wyroku, zdolny jest przezwyciężyć słabość i drobiazgowość, lenistwo i beznadziejność i całą mocą skoncentrować się na każdej upływającej sekundzie.

Przyszło mi na myśl wiele przykładów, które świadczą niezbitnie o zmarnowanym życiu, roztrwonionym na drobne przyjemności oraz puste i jałowe rozmowy. "Hańba! Hańba!" — chce się krzyknąć, gryząc wargi.

Klucz żurawi, przepłynąwszy przez niebo, zniknął gdzieś na północy, ale wciąż dobiegał ich ochryply klangor i kołatał się w mojej głowie.

Znalazłem się nad morzem. Szedłem szybkim krokiem tuż przy brzegu. Jakimś lękiem napawała mnie ta wędrówka w samotności. Każda fala, każdy ptak na niebie wołały i przypominały o obowiązkach człowieka. Kiedy jesteś wśród ludzi, śmiejesz się

i rozmawiasz. W gwarze nie słyszysz mowy ptaków i fal. Zresztą może one wtedy milkną, patrząc na przechodnia pogrążonego w częściej gadaninie.

Położyłem się na kamieniach i przymknąłem oczy. "Czym więc jest dusza? — myślałem. — I jaki tajemny związek łączy ją z morzem, obłokami i woniami? A może to ona właśnie objawia się w morzu, chmurze czy woni..."

Wstałem i ruszyłem w drogę, jakbym już podjął decyzję, choć nie wiedziałem jeszcze — jaką.

Nagle usłyszałem za sobą głos:

— Dokąd idziesz, szefie? Do klasztoru?

Obejrzałem się. Jakiś krępy, mocno zbudowany starzec kroczący bez laski, uśmiechając się, machał do mnie ręką. Siwe włosy miał przewiązane czarną chustką. Tuż za nim szła stara kobieta, a za nimi córka — czarnowłosa dziewczyna o ognistych oczach, w białej chustce na głowie.

— Do klasztoru? — powtórzył pytanie stary.

W tej chwili zrozumiałem, że chciałem iść właśnie tam. Od miesiący zamierzałem odwiedzić ten mały żeński klasztor, położony nad morzem, i nie mogłem się zdecydować. Teraz same nogi mnie tam niosły.

— Tak. Do klasztoru — odparłem — chcę posłuchać kantyczek na cześć Najświętszej Marii Panny.

— Niech Jej łaska będzie z tobą. Przyśpieszył kroku i dogonił mnie.

— Czy to ciebie nazywają spółką węglową?

— Tak.

— Niech Matka Boska ześle ci duże zyski. Świadczysz dobro wiosce, dając pracę ubogim żywicielom rodzin. Bądź błogosławiony! — A po chwili, wiedząc z pewnością, że interes źle idzie, sprytny staruszek na pocieszenie dorzucił: — Zresztą nie martw się, synu, gdyby ci to nawet nie przyniosło żadnych korzyści, to i tak osiągniesz zysk: twoja dusza pójdzie prosto do raj.

— Mam nadzieję, dziadku.

— Ja nie jestem za bardzo wykształcony, ale kiedyś usłyszałem w kościele o tym, co mówił Chrystus, i słowa jego utkwily mi w pamięci tak, że nigdy ich nie zapomnę: "Sprzedaj wszystko, co posiadasz, i kup wielką perłę. Czym jest ta wielka perła? Zbawieniem duszy". Ty, szefie, jesteś na dobrej drodze do zdobycia wielkiej perły.

Wielka perła! Ileż to razy błyszczała w ciemnej otchłani moich myśli niby

wielka łza!

My, dwaj mężczyźni, szliśmy przodem, kobiety ze splecionymi dłońmi w tyle. Od czasu do czasu wymienialiśmy kilka zdań w rodzaju: "Czy obrodzą oliwki?" "Czy spadnie deszcz?" albo "Czy jęczmień dopisze?" Obaj widocznie byliśmy głodni, bo rozmowa szybko zeszła na sprawy związane z jedzeniem i tematu tego już nie porzuciliśmy.

— Co najbardziej lubisz, dziadku?

— Wszystko, wszystko, mój synu. Grzech mówić, że to dobre, a tamto złe!

— Dlaczego? Czyż nie można wybierać?

— Nie, nie można.

— Ale dlaczego?

— Bo są ludzie, którzy nie mają co jeść.

Umilkłem zawstydzony. W moim sercu nigdy nie gościło tyle szlachetności i miłosierdzia.

Dzwonek klasztorny zadźwięczał radośnie i figlarnie jak kobiecy śmiech.

Stary przeżegnał się.

— Dopomagaj nam, Matko Bolesna — wyszeptał — której serce przeniknęło siedem mieczy! W czasach korsarzy...

I stary zaczął snuć legendę o Matce Boskiej, jakby to była autentyczna opowieść o istniejącej rzeczywiście młodej kobiecie, prześladowanej, zmuszonej wraz z dzieckiem do opuszczenia domu, poranionej przez niewiernych.

— Raz w roku — ciągnął stary — sączy się z Jej rany prawdziwa, ciepła krew. Pamiętam pewnego razu w dniu Jej święta, a miałem jeszcze wtedy mleko pod nosem, zesliśmy się ze wszystkich wiosek, by pokłonić się Jej i polecieć Jej łasce. Było to piętnastego sierpnia. Mężczyźni spali na dziedzińcu, kobiety w środku, w klasztorze. We śnie usłyszałem wołanie Marii Panny. Zrywam się na równe nogi, biegnę do Jej świętego obrazu, dotykam go ręką — i co widzę? Palce moje są czerwone od krwi... Stary przeżegnał się i spojrzał na kobiety.

— Chodźcie szybciej! — zawołał. — Już blisko... — potem ściszył głos: — Upadłem twarzą przed Jej majestatem i ponieważ nie byłem jeszcze żonaty, postanowiłem porzucić marność świata i wstąpić do klasztoru...

Roześmiał się.

— Dlaczego się śmiejesz, dziadku?

— Czyż można się nie śmiać, mój synu? Tego samego dnia podczas świątecznej

zabawy diabeł przybrał postać kobiety i stanął przede mną. To była właśnie ta.

I nie odwracając się wskazał palcem w tył, na staruchę, która podążała za nami w milczeniu.

— Nie patrz na nią teraz — powiedział. — Wstręt bierze, gdy się jej dotyka. Wtedy była młodziutką dziewczyną, żywą jak rybka. Nazywano ją “Ślicznotką o Długich Rzęsach”. Zaslugiwała na to miano! A teraz? Mój Boże! Gdzie są jej rzęsy? Wszystkie wypadły, nic nie zostało!

W tej chwili stara za nami warknęła głucho jak zły pies na łańcuchu. Nie powiedziała jednak ani słowa.

— Oto klasztor! — rzekł staruszek.

Na brzegu morza pomiędzy dwiema skałami nieduży klasztor, lśnił bielą. Środkowa kopuła, świeżo pokryta wapnem, okrągła i niewielka — przypominała pierś kobiety. Otaczało ją pięć czy sześć cel z pomalowanymi na niebiesko drzwiami. Na dziedzińcu rosły trzy strzeliste, ogromne cyprysy, a koło parkanu kwitły trzy dzikie figowce.

Przyśpieszyliśmy kroku. Z otwartego okna świątyni dochodziły nas melodyjne śpiewy, a słony, morski wiatr mieszał się z wonią kadzidła. Brama o łukowatym sklepieniu stała otworem. Dziedziniec był schludny, wysypany biało-czarnym morskim żwirem. Po lewej i prawej stronie wzdłuż muru stały rzędem doniczki z kwitnącym rozmarynem, majerankiem i bazylią. Wszędzie tu panowała błoga cisza. Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi, użyczając bielonym ścianom różowej barwy.

W półmroku białego kościółka unosił się zapach wosku. W dymie kadzideł poruszały się sylwetki mężczyzn i kobiet. Pięć czy sześć mniszek spowitych szczelnie w swoje czarne, długie szaty śpiewało łagodnymi, słodkimi głosami. Co chwila klękały i wtedy słyhać było szelest ich szat, podobny do łopotu skrzydeł lecących ptaków.

Od dawna nie słyszałem hymnów do Najświętszej Marii Panny. W buntowniczych latach młodości z lekceważeniem i złością mijałem kościoły, z czasem złagodniałem i w wielkie święta — na Boże Narodzenie czy Wielkanoc — chodziłem na uroczyste nabożeństwa, przywodzące mi na myśl wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Dawne wzruszenia religijne przekształciły się teraz w doznania estetyczne. Dzikie plemiona wierzą, że instrument muzyczny, nie używany do religijnych obrzędów, traci swoją mistyczną moc, choć wydaje harmonijne dźwięki. Moja wiara uległa takiej właśnie przemianie. Religię zacząłem odczuwać jak sztukę.

Stałem w kącie, wsparłszy się o wypolerowany rękami wiernych klęcznik,

błyszczący niby kość słoniowa. Słuchałem oczarowany, jak z otchłani czasu wracają do mnie bizantyjskie hymny: "Chwała Ci, o Wysokości, myślom niedostępna! Chwała Ci, o Głębokości, oczom niedosiężna. Chwała Ci, o Matko-Dziewico, Rózo Niewiędnąca!"

Zakonnice klękały, ich szaty szeleściły...

Mijały minuty podobne aniołom o pachnących kadzidłem skrzydłach, z pękami lilii w dłoniach, głoszącym chwałę Maryi. Słońce zaszło i otoczył nas błękitny, puszysty mrok. Nie pamiętam już, kiedy znaleźliśmy się na dziedzińcu, w cieniu ogromnego cyprysu, w towarzystwie starej przeoryszy i dwóch młodziutkich mniszek. Młoda nowicjuszka przyniosła konfitury, zimną wodę i kawę i potoczyła się spokojna rozmowa.

Mówiliśmy o węglu, kurach, które wiosną zaczynają się nieść, o siostrze Eudoksji, która cierpi na epilepsję i często w kościele upada na posadzkę, wije się niczym ryba i tocząc z ust pianę bluźni, szarpiąc na sobie odzież.

— Ma trzydzieści pięć lat — rzekła przeorysza z westchnieniem. — Przeklęty wiek — bardzo trudny. Może ją Matka Bolesna wspomże i uzdrowi za dziesięć lub piętnaście lat...

— Dziesięć, piętnaście lat... — szepnąłem przerażony.

— Cóż znaczy dziesięć czy piętnaście lat! — rzekła przeorysza surowo. — Trzeba myśleć o wieczności!

Milczałem. Wiedziałem dobrze, że wiecznością jest każda upływająca minuta. Ucałowałem pulchną, białą, pachnącą kadzidłem dłoń przeoryszy i odszedłem.

Zapadła noc. Dwa czy trzy kruki wracały spieszenie do swych gniazd, z dziupli wyfruwały na polowanie sowy, zaś ślimaki, liszki, dżdżownice i polne myszy wychodziły na świat, by zostać przez nie pożarte.

Znalazłem się w kręgu tajemniczego węża zjadającego własny ogon. Ziemia rodzi i pożera własne dzieci, rodzi nowe i znów pochłania.

Rozejrzałem się. Wokół panowała ciemność. Odeszli już wszyscy wieśniacy i nikt mnie nie mógł widzieć. Byłem zupełnie sam. Zdjąłem buty i zanurzyłem nogi w morzu. Potem rzuciłem się na piasek. Zapragnąłem poczuć na nagim ciele dotyk kamieni, wody, powietrza. Wypowiedziane przez przeoryszę słowo "wieczność" wywołało u mnie rozpacz, spętało mnie jak arkan, na który chwyta się dzikie konie. Zerwałem się, by uciec, zderzyć się nagą piersią z ziemią i morzem, aby odczuć z całkowitą pewnością błogosławieństwo ich istnienia, mimo jego nietrwałości.

— Tylko ty jesteś realna, o ziemi! — krzyczałem. — A ja, twój najmłodszy syn,

ssę twoją pierś i nie chcę od niej odpaść. Pozwalasz mi istnieć tylko przez chwilę, ale tą chwilą się żywię.

Przeszył mnie dreszcz, jakbym się otarł o grozę, jakbym cudem uszedł przed niebezpieczeństwem morderczego słowa. A ileż to razy — pamiętam, jeszcze w ubiegłym roku — pochylałem się nad nim żarliwie, gotów z przymkniętymi oczami i rozpostartymi ramionami rzucić się w tę otchłań.

Pamiętam, że gdy byłem uczniem pierwszej klasy szkoły powszechnej, znalazłem w drugiej części elementarza bajkę. Mówiła ona o pewnym dziecku, które wpadłszy do studni, znalazło na jej dnie wspaniałe miasto, kwietne ogrody, jeziora pełne miodu, góry słodczy, różnobarwne zabawki...

Sylabizowałem ją z trudem, ale każda sylaba zbliżała mnie do czarodziejskiego miasta. Pewnego popołudnia, wróciwszy ze szkoły, pobiegłem do ogrodu i dopadłszy cembrowiny studni, znajdującej się w cieniu winogrodu, stanąłem zafascynowany, wpatrując się w gładką powierzchnię wody. Wkrótce wydało mi się, że widzę wspaniałe miasto, domy i ulice, dzieci i winograd z ciężkimi kiśćmi winogron. Nie mogłem się oprzeć. Pochyliłem głowę, wyciągnąłem ramiona i już odbijałem się od ziemi, aby skoczyć, gdy dostrzegła mnie matka, krzyknęła przeciągle i w ostatniej chwili chwyciła za pasek.

Jako chłopiec omal nie wpadłem do studni, gdy dorosłem, omal nie zatonąłem w słowie "wieczność" i jeszcze w kilku innych, jak: "miłość", "nadzieja", "ojczyzna", "Bóg". Każde z tych słów pokonywałem i sądziłem, że uwolniłem się od niebezpieczeństwa i że czynię krok naprzód. Ale nie! Ja tylko zmieniałem słowo i nazywałem to wyzwoleniem. A przez ostatnie dwa lata trzymało mnie w swej mocy słowo "Budda".

Ale czuję, że dzięki Zorbie Budda będzie już ostatnią studnią, ostatnią otchłanią i wyzwolę się ostatecznie. Ostatecznie? Tak mówi się za każdym razem!

Zerwałem się. Przepelniało mnie uczucie szczęścia. Rozebrałem się i skoczyłem do morza, fale igrały radośnie ze mną i ja igrałem z falami. W końcu zmęczony wyszedłem z wody, aby osuszyć się na nocnym wietrze, i powracałem lekkim krokiem, czując, że uszedłem wielkiemu niebezpieczeństwu i coraz mocniej trzymam się piersi matki-ziemi.

16.

Zbliżywszy się do kopalni, stanąłem jak wryty. Zobaczyłem światło w baraku. "Zorba przyjechał!" — pomyślałem uradowany.

Chciałem pobiec, ale się powstrzymałem. Muszę ukryć swoją radość i z ponurą miną zacząć wymówki. Wysłałem go, żeby załatwił pilne sprawy, a on tracił moje pieniądze, żył z fordanserką i wrócił o dwanaście dni później. Muszę udawać rozgniewanego, muszę...

Szedłem wolno, by mieć czas na rozbudzenie w sobie gniewu. Próbowałem wprawić się w pasję: marszczyłem brwi, zaciskałem pięści, gestykułowałem jak człowiek zdenerwowany, byle tylko się rozzłościć. Ale to mi się nie udawało — przeciwnie, im byłem bliżej, tym większa stawała się moja radość.

Podkrađłem się na palcach i zajrzałem przez oświelone okienko. Zorba klęczał na ziemi, rozpalał ogień w piecyku i parzył kawę. Serce mi zmiękło i zawołałem:

— Zorba!

Drzwi otworzyły się natychmiast i Zorba wyskoczył boso, bez koszuli. Wyciągnął szyję, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemności, zauważył mnie, podniósł na powitanie ramiona i nagle je opuścił.

— Cieszę się, że cię widzę, szefie! — rzekł niepewnie i stał przede mną z nosem spuszczoneym na kwintę.

Starąłem się, by w moim głosie dźwięczała złość.

— Ja też się cieszę, że zadałeś sobie ten trud i wróciłeś — rzekłem drwiąco. — Ale nie zbliżaj się, śmierdzisz mydłem toaletowym.

— Żebyś wiedział, jak długo się myłem, szefie! — mruknął. — Szorowałem i szorowałem tę swoją przeklętą skórę, zanim stanąłem przed tobą! Dobrą godzinę się pucowałem, ale nic nie można poradzić na ten szatański zapach... To nie pierwszyczna zresztą — zniknie, chce czy nie!

— Wejđźmy — powiedziałem, czując, że nie wytrzymam i wybuchnę śmiechem.

Weszliśmy. Barak pachniał perfumami, pudrem, mydłem, kobiecością.

— Cóż to, na Boga, znaczy? — zawołałem, widząc rozłożone na skrzyni torebki, mydełka, pończochy, małą czerwoną parasolkę i flakonik perfum.

— Prezenty... — szepnął Zorba ze spuszczoneą głową.

— Prezenty?! — krzyknąłem, siląc się na złość. — Prezenty?!

— Prezenty, szefie, nie gniewaj się, to dla biednej Bubuliny... Zbliża się Wielkanoc, a ona też jest człowiekiem.

Zdołałem raz jeszcze opanować wesołość.

— Najważniejszego jej nie przywiozłeś... — zauważyłem.

— Czego?

— Ślubnego wieńca, oczywiście!

— Czego? Nie rozumiem...

Opowiedziałem mu więc, co naplotłem zakochanej syrenie.

Zorba, głęboko zamyślony, drapał się w głowę.

— Coś ty narobił, szefie? — rzekł w końcu. — Coś ty narobił? Takie żarty?... Kobieta jest słabym, delikatnym stworzeniem — ile razy mam ci to mówić? Trzeba postępować z nią tak troskliwie jak z porcelanową wazą, szefie.

Poczułem wstyd. Poniewczasie żałowałem swego postępu. Aby zmienić temat, zapytałem:

— A co z linami i z hakami?

— Przywiozłem wszystko, więc się nie złość! Wilk syty i koza cała. Kolejka linowa, Lola, Hortensja, szef — wszystko załatwione!

Zestawił z ognia imbryczek, napełnił moją filizankę, podał obarzanki sezamowe i chałwę na miodzie, która — jak wiedział — była moim ulubionym przysmakiem.

— Przywiozłem ci w prezencie całą paczkę chałwy! — powiedział serdecznie. — Pamiętałem o tobie. Patrz, nawet dla papugi mam torebkę fistaszków. O nikim nie zapomniałem. Mam głowę na karku — jak widzisz.

Siedząc na ziemi, jadłem obarzanki i chałwę i piłem kawę. Zorba również popijał swoją. Paląc papierosa, patrzył na mnie jak wąż hipnotyzujący swoją ofiarę.

— Czy rozwiązałeś już ten wielki problem, który cię dręczył, stary nicponiu? — spytałem łagodniejszym tonem.

— Jaki problem, szefie?

— Czy kobieta jest stworzeniem ludzkim, czy nie...

— E, skończyłem już z tym! — odpowiedział Zorba, machnąwszy swoją wielką łapą. — Jest człowiekiem, człowiekiem jak my — tylko może gorszym! W jednej chwili traci głowę na widok sakiewki, czepia się ciebie, wyrzeka wolności i jeszcze się z tego cieszy dlatego tylko, że za tym wszystkim majączy jej twoja sakiewka. Ale wkrótce... E, do diabła z tym, szefie!

Podniósł się i wyrzucił niedopałek papierosa przez okno.

— Pogadajmy lepiej po męsku — rzekł. — Zbliża się Wielki Tydzień, mamy liny... Najwyższy czas iść do klasztoru i posmarowawszy łapę mnichom, podpisać dokumenty w sprawie lasu... Zanim zobaczą tę kolejkę i pójda po rozum do głowy... Wiesz, co mam na myśli. Czas ucieka, szefie, siedzenie z założonymi rękami nie nam nie da, trzeba wreszcie coś zarobić, żeby odbić sobie straty... Ta podróż do Kastellionu kosztowała dużo, diabli nadali...

Zamilkł. Żał mi go było. Wyglądał jak dziecko, które coś przeskrobało i nie wiedząc, jak to naprawić, całe dygoce.

“Jak ci nie wstyd? — rzekłem sobie. — Jak możesz pozwolić, by takie serce dygotało z trwogi? Gdzież znajdziesz drugiego takiego, jak Zorba? Rusz się, zetrzyj gąbką przewiny, puść wszystko w niepamięć!”

— Zorba — wybuchnąłem. — Diabli nie diabli, zostaw to w spokoju! Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Bierz *santuri*!

Wyciągnął ręce, jakby mnie znów chciał objąć, ale opuścił je znowu, jednym susem skoczył do ściany po *santuri*. Kiedy znalazł się w pełnym świetle kaganka, zauważyłem, że jego włosy są czarne jak smoła.

— Ach, ty łobuzie! — krzyknąłem. — Skąd wzięłeś takie włosy? Coś z nimi zrobił?

Zorba roześmiał się.

— Ufarbowałem, szefie. Nie przejmuj się... Ufarbowałem, ponieważ przynosiły mi pecha.

— Ale dlaczego?

— Wszystko to miłość własna! Idę raz z Lolą i trzymam ją pod rękę. Właściwie nie trzymam, tylko dotykam delikatnie — jednym palcem. Raptem z tyłu podkradł się jakiś szczeniak, taki tam szkrab, ledwo odrosły od ziemi. “Hej, staruszkule! — krzyknął ten psi syn. — Hej, staruszkule! Dokąd prowadzisz wnuczkę?”

Możesz sobie wyobrazić, jak się Lola zawstydziała, a i ja też... Od razu poszedłem do fryzjera i ufarbowałem sobie włosy.

Zacząłem się śmiać, ale Zorba popatrzył na mnie z powagą:

— Więc to ci się wydaje śmieszne, szefie? Patrz jednak, jakim zagadkowym stworzeniem jest człowiek. Od tego dnia byłem jak odmieniony. Można by pomyśleć, że uwierzyłem, iż mam czarne włosy — człowiek, widzisz, zapomina o tym, co mu nie dogadza — i słowo daję, stałem się nawet silniejszy. Lola też to zauważyła. Pamiętasz, jakie miałem strzykanie w nerkach? Znikło bez śladu! Nie wierzysz mi, oczywiście. No

tak, w twoich szpargałach o tym nie pisze...

Zaśmiał się ironicznie, ale szybko się pohamował.

— Wybacz — rzekł. — Jedyne księżka, jaką w życiu przeczytałem, to “Przygody Sindbada Żeglarza”. I niewiele mi z tego przyszło.

Zdjął *santuri* i pieczołowicie wyjął je z futerału.

— Wyjdźmy na powietrze — powiedział. — W tych czterech ścianach *santuri* nie czuje się dobrze. Potrzebuje przestrzeni jak dzikie zwierzę.

Wyszliśmy. Lśniły gwiazdy. Mleczna Droga przepływała z jednego krańca nieba na drugi. Pieniło się morze.

Siedliśmy na kamieniach, a fale lizały nasze stopy.

— Na biedę najlepsza jest skoczna piosenka — rzekł Zorba. — Nie damy się, co? Chodź tu, *santuri*!

— Może jakaś macedońska melodia z twojej ojczyzny, Zorbo? — podsunąłem.

— A może z twojej ojczyzny, z Krety! Co? — rzekł. — Zaśpiewam ci piosenkę, której nauczyłem się w Kastellionie. Odkąd ją znam, zmieniło się moje życie.

Zastanowił się chwilę.

— Nie, nie tyle zmieniło się — powiedział — ile przekonałem się, że mam rację.

Położył grube palce na *santuri* i wyprostował się. Zaśpiewał dzikim, ochrypłym, bolesnym głosem:

Gdy się na coś zdecydujesz,

To odważnie naprzód idź.

Puść młodości swojej wodze,

Nie szczędź jej, nie bój się żyć.

Rozpłynęły się gdzieś troski, zniknęły dokuczliwe kłopoty, podnieśliśmy się na duchu. Lola, kopalnia, kolejka, wieczność, małe i wielkie strapienia, wszystko przekształciło się w błękitną mgłę i rozproszyło w powietrzu, pozostał tylko stalowy ptak, rozśpiewana dusza człowieka.

— Wszystko ci darowałem, Zorbo! — zawołałem, kiedy skończył swoją dumną pieśń. — Wszystko ci darowałem: fordanserkę, ufarbowane włosy, wyrzucone pieniądze, wszystko, wszystko! Śpiewaj jeszcze!

Znów wyciągnął chudą, pokrytą bruzdami zmarszczek szyję:

*Śmielej idź, do diabłów kroćset,
Stanie się, co ma się stać.
Możesz wszystko naraz stracić,
Albo los najlepszy brać!*

Robotnicy, nocujący w pobliżu kopalni, usłyszawszy śpiew, wstali i zebrali się wokół nas. Słuchali swojej ulubionej melodii, a ich nogi same rwały się do tańca.

W końcu nie wytrzymali i nagle, wyłoniwszy się z ciemności, półnaczy, rozczochrani, w szerokich szarawarach, rozpoczęli przy dźwiękach *santuri*, wprost na kamieniach, swój dziki tan.

Patrzyłem na nich, przykuty do miejsca ogromnym wzruszeniem.

To jest ten najcenniejszy kruszec, którego szukałem, niczego więcej nie pragnę.

Nazajutrz od świtu pokład dudnił od ciosów kilofów, echo niosło nawoływania Zorby. Robotnicy pracowali zażarcie. Tylko Zorba potrafił ich tak porwać do czynu. Przy nim robota stawała się winem, piosenką, miłością. Upajali się nią. W rękach Zorby ożywała ziemia, kamienie, węgiel, drzewo, a robotnicy przejmowali od niego rytm pracy. W chodnikach w białym świetle lamp acetylenowych rozgorzała bitwa, a Zorba szedł naprzód i walczył twarzą w twarz z wrogami. Nadawał miano każdemu chodnikowi i pokładowi, przyoblekał w postać niewidzialne siły i w ten sposób nie mogli mu już ujść.

Skoro ten pokład nazywa się "Canavaro" (tak ochrzczył pierwszy), jestem spokojny. Znam go z imienia, więc nie odważy mi się zrobić żadnego brzydkiego kawału. Tak samo jak "Przeorysza", "Łamaga", "Sikacz". Znam je wszystkie razem i każdy z osobna po imieniu.

Wśliznąłem się tam dzisiaj, nie zauważony przez nikogo.

— Jazda! Jazda! — przynaglał Zorba robotników jak zawsze, kiedy był w dobrej formie. — Naprzód, chłopcy! Zdobędziemy tę górę! Jesteśmy ludźmi, a nie głupimi baranami! Nawet Boga strach weźmie na nasz widok! Wy, Kreteńczycy, i ja, Macedończyk, damy radę tej górze, a nie ona nam! Biliśmy Turków, a mielibyśmy się nędznej górki przestraszyć? Naprzód!

Ktoś podbiegł do Zorby. W świetle lampy acetylenowej rozpoznałem szczupłą twarz Mimitosa.

— Zorba! — wyjąkał. — Zorba...

A ten odwróciwszy się i spostrzegłszy Mimitosa, domyślił się, o co chodzi, i

podniósł swoje wielkie łapsko:

- Odczep się! Zmykaj!
- Przychodzę od pani... — zaczął niedojda.
- Uciekaj, powiadam! Mamy robotę!

Mimithos wziął nogi za pas, a Zorba splunął ze złością.

– W dzień się pracuje — stwierdził. — Dzień jest jak mężczyzna. W nocy jest czas na rozrywki, noc jest kobietą. Nie można mieszać jednego z drugim!

Wtedy zbliżyłem się.

- Chłopcy — powiedziałem. — Już południe, czas zrobić przerwę i coś zjeść.

Zorba odwrócił głowę, zobaczył mnie i wściekł się:

– Za pozwoleniem, szefie, zostaw nas. Jedz sam. Straciliśmy dwanaście dni, musimy je nadrobić. Smacznego!

Wyszedłem z kopalni i ruszyłem w stronę morza. Otwarłem książkę, którą niosłem, zapomniałem o głodzie. “Umysł też jest kopalnią” — myślałem idąc. I zagłębiłem się w niezmiernych pokładach mózgu.

Pasjonująca książka — o pokrytych śniegiem górach Tybetu, tajemniczych klasztorach, milczących mnichach w żółtych szatach, którzy poprzez koncentrację woli zmuszają eter, aby przyjął upragniony przez nich kształt.

Wysokie szczyty, powietrze pełne duchów. Nie dociera tu zgiełk ludzkiego życia. Oto doskonały asceta gromadzi swych uczniów — chłopców od szesnastu do osiemnastu lat — i wiedzie ich o północy do zamarzniętego jeziora górskiego. Rozbierają się, wyrąbują przerębel, zanurzają szaty w lodowatej wodzie, potem zakładają je, by wysuszyć ciepłem własnego ciała. Powtarzają to siedmiokroć. Wreszcie wracają do klasztoru na jutrznię.

Wspinają się na szczyt górski, wysoki na pięć do sześciu tysięcy stóp. Siadają spokojnie, oddychają głęboko i rytmicznie i mimo iż są północy, nie marzną. Trzymają w dłoniach puchar z zamarzną wodą, wpatrzeni weń koncentrują wolę na kryształowej powierzchni lodu — i woda zaczyna wrzeć. Wtedy przygotowują herbatę.

Asceta doskonały gromadzi wokół siebie uczniów i rzecze:

“Biada temu, kto nie ma w sobie źródła szczęścia!

Biada temu, kto pragnie przypodobać się innym!

Biada temu, kto nie czuje, że obecne i przyszłe życie stanowi jedność!”

Zapadła noc i zrobiło się zbyt ciemno, by czytać. Zamknąłem więc książkę i

spojrzałem na morze. "Muszę wyzwolić się od tych wszystkich widm! — myślałem. — Buddowie, bogowie, ojczyzny, idee... Biada temu, kto nie zdoła zrzucić z siebie jarzma Buddów, bogów, ojczyzn i idei!"

Nagle morze pociemniało. To zaszedł sierp księżyca. Z dalekich ogrodów dochodziło smutne wycie psów, jakby cały parów szczekał donośnie.

Zjawił się umorusany, zabłocony Zorba. Jego koszula była w strzępach.

Przysiadł koło mnie.

— Dzisiaj szło dobrze — powiedział zadowolony. — Odwaliliśmy niezły kawał roboty.

Słuchałem jego słów, nie mogąc uchwycić ich sensu. Moje myśli wciąż jeszcze błądziły po niebezpiecznej pochyłości.

— O czym tak dumasz, szefie? Jesteś daleko stąd marzeniem...

Zebrałem myśli i spojrzawszy na Zorbę pokiwałem głową.

— Wyobrazasz sobie, że jesteś niezwykłym Sindbadem Żeglarzem, i dużo gadasz, bo myślisz, żeś widział kawał świata. Tymczasem niczego nie widziałeś, biedaku! Tak samo zresztą jak i ja. Świat jest o wiele większy, niż nam się zdaje. Jeździmy, przemierzamy ziemię i morza, a w gruncie rzeczy nie wytykamy nosa za próg naszego domu.

Zorba zacisnął wargi, ale nie odpowiedział. Warknął tylko jak wierny pies, który dostał baty.

— Istnieją góry, których szczyty sięgają nieba — ciągnąłem. — Wznoszą się na nich klasztory. Żyją tam mnisi w żółtych szatach, siedzą na skrzyżowanych nogach miesiąc, dwa, sześć — i rozmyślają o jednej rzeczy. Jednej, słyszysz? Nie o dwóch! Nie myślą jak my o kobietach i węglu czy książkach i węglu. Koncentrują umysł na jednej, tylko jednej rzeczy i czynią cuda. Czy zauważyłeś, Zorbo, co dzieje się, gdy położysz soczewkę na słońcu i wszystkie promienie skupią się w jednym punkcie? Z tego punktu wkrótce bucha ogień. Dlaczego? Bo siła słońca nie rozprasza się, lecz koncentruje na nim. Podobnie ma się rzecz z umysłem człowieka. Uczynisz cud, jeśli skupisz myśl na jednej tylko sprawie. Zrozumiałeś?

Zorbie zapierało dech. W pewnej chwili zrobił ruch, jakby chciał uciec, zdołał jednak się pohamować.

— Mów dalej! — rzekł zdławionym głosem, ale natychmiast zerwał się na równe nogi. — Milcz! Milcz! — krzyknął. — Po co mi to opowiadasz, szefie? Czemu zatruwasz mi serce? Było mi tu dobrze, więc czemu pchasz mnie do upadku. Byłem

głodny, a Bóg czy diabeł (niech mnie powiesz, jeśli ich kiedykolwiek rozróżnię) rzucił mi kość do lizania. Merdałem ogonem i wołałem: "Dzięki ci! Dzięki!" A teraz...

Tupnął nogą i odwrócił się do mnie plecami, jakby miał odejść do baraku, ale wciąż jeszcze wszystko w nim wrzało.

— Psiakrew! Ładna mi kość! Zaszargana śpiewaczka kabaretowa! Stary wrak!

Chwycił garść żwiru i cisnął do morza.

— Ale kim jest ten... — krzyknął. — Kim jest ten, kto rzuca nam kości?

Odczekał chwilkę i nie słysząc odpowiedzi rozgniewał się na dobre:

— Milczysz, szefie? Jeśli wiesz, to powiedz i nie martw się — już ja z nim zrobię porządek. Ale tak, po omacku, dokąd iść? W prawo? W lewo? Łeb sobie przecież rozwałę!

— Jestem głodny — rzekłem. — Zabieraj się do gotowania, najpierw trzeba zjeść!

— Czyż nawet jednego wieczora nie można wytrzymać bez jedzenia, szefie? Miałem wuja zakonnika, który przez cały tydzień nie brał do ust nic poza słoną wodą. Tylko w niedzielę i wielkie święta dorzucał trochę otrąb. Żył sto dwadzieścia lat!

— Żył sto dwadzieścia lat, Zorbo, bo miał wiarę, znalazł swego Boga, nie troszczył się o nic. Ale my nie mamy Boga, który by nas żywił, rozpal więc ogień, jest kilka ryb, ugotuj zawieszistą, gorącą zupę z mnóstwem cebuli i papryki, taką, jaką lubimy. Potem zobaczymy.

— Co zobaczymy? — zapytał Zorba wściekły. — Kiedy ma się pełny brzuch, zapomina się o wszystkim.

— Tego właśnie pragnę. Na tym polega wartość jedzenia... No, szybko, Zorbo, ugotuj rybną zupę, bo łeb nam pęknie!

Ale Zorba ani drgnął, stał nieruchomo i patrzył na mnie:

— Posłuchaj, co ci powiem, szefie. Przejrzałem twoje zamiary. Teraz, gdy mówileś, miałem, jak to nazywają, objawienie i zrozumiałem!

— Więc jakie mam zamiary, Zorbo? — spytałem zaintrygowany.

— Chcesz wybudować klasztor, w którym zamiast mnichów umieścisz kilku podobnych do siebie gryzipiórków, żeby pisali dniem i nocą swoje bazgroły. A potem, jak się to widzi na niektórych świętych obrazach, z ust waszych wyjdą drukowane wstęgi. No co, odgadłem?

Zasmucony spuściłem głowę. Oto moje dawne, młodzińcze, wspaniałe sny — jak skrzydła oskubane z piór... Naiwne, szlachetne, wzniosłe marzenia: zorganizować

intelektualną wspólnotę, zamknąć się wraz z dziesiątką przyjaciół — muzykami, malarzami, poetami — pracować cały dzień i spotykać się tylko wieczorem, aby razem zjeść posiłek, śpiewać, czytać wspólnie i razem omawiać ważne problemy ludzkości, burząc tradycyjne poglądy. Sporządziłem nawet regulamin takiej wspólnoty, znalazłem także pomieszczenie w górach Hymetu u świętego Jana...

— A jednak zgadłem! — rzekł Zorba zadowolony, że milczę.

— Zgadłeś, Zorbo — odparłem z ukrytym wzruszeniem.

— Mam tedy do ciebie tylko jedną prośbę, świętobliwy przeorze: Uczyń mnie w tym klasztorze odźwiernym, abym mógł od czasu do czasu przeszmygnować do świętego miejsca coś z zewnątrz — kobiety, mandoliny, butelki z wódką, pieczone prosięta... Wszystko po to, byś nie zmarnował całego życia na głupstwa!

Zaśmiał się i ruszył szybko w stronę baraku. Pobiegłem za nim. Oczyszciliśmy bez słowa ryby, ja przyniosłem drewno i rozpałem ogień. Gdy zupa była już gotowa, ujęliśmy łyżki i jedliśmy z jednego garnka.

Żaden z nas się nie odezwał. Nie jedliśmy cały dzień, toteż łakomie pochłanialiśmy posiłek. Dopiero gdy napiliśmy się wina, odzyskaliśmy humor. Zorbie rozwiązał się język:

— Czy nie byłoby zabawne, szefie, gdyby tu teraz przyplątała się Hortensja. Tylko jej nam tu brak! A jednak, między nami mówiąc, szefie, zatęskniłem za nią, słowo daję!

— Nie pytasz już, kto rzuca ci tę kość?

— Po co się o to troszczyć, szefie? Po co rozdzielać włos na czworo? Łap kość, nie zastanawiaj się, co za ręka ją rzuca! Smaczna? Jest na niej trochę mięsa? To najważniejsze! Reszta...

— Jedzenie dokonało cudu! — powiedziałem, uderzając Zorbę po ramieniu. — Głodne ciało się nasyciło, więc i dusza łaknąca odpowiedzi również. Przynieś *santuri*!

Ale w chwili gdy Zorba wstawał, usłyszeliśmy spieszne, ciężkie kroki na żwirze. Owłosione nozdrza Zorby zadrgały.

— O wilku mowa! — rzekł cicho, uderzając się rękami po udach. Oto ona! Zwęszyła suka trop Zorby i śpieszy.

— Idę! — powiedziałem wstając. — Nie mam tu nic do roboty, przejdę się kawałek...

— Dobranoc, szefie!

— I pamiętaj, Zorbo, przyrzekłeś jej ożenek, żebyś nie wyszedł na kłamcę.

Zorba westchnął:

— Jeszcze raz się żenić, szefie? Mam już tego po uszy!

Zapach mydła toaletowego był coraz silniejszy.

— Odwagi, Zorbo!

Oddalając się szybko, słyszałem jeszcze sapanie starej syreny.

17.

Następnego dnia o świcie zerwał mnie ze snu głos Zorby.

— Co ci strzeliło do głowy tak wcześnie? — spytałem. — Czego krzyczysz?

— Mamy ważne rzeczy do zrobienia, szefie — mówił, napychając plecak żywnością. — Przyprowadziłem dwa muły, wstawaj, jedziemy do klasztoru podpisać kontrakt. Czas ruszyć wreszcie z kolejką. Lew boi się tylko pcheł. I nas mogą one zeżreć doszczętnie, szefie.

— Dlaczego biedną Hortensję nazywasz pchłą? — spytałem ze śmiechem.

Zorba udął, że nie słyszy.

— Chodźmy, nim słońce zacznie przypiekać — powiedział.

Doprawdy rad ruszyłem w góry cieszyć się zapachem sosen. Dosiedliśmy mułów i zaczęliśmy wspinać się na wzniesienie. Przystanęliśmy na chwilę przy kopalni. Zorba wydał robotnikom polecenie: mają pracować na "Przeoryszy", przekopać kanał odprowadzający wodę z "Sikacza" i oczyścić "Canavaro".

Dzień był olśniewający niby diament najczystszej wody. Zdawało się, że im wyżej wchodzimy, tym czystsze i radośniejsze stają się nasze dusze. Raz jeszcze przekonałem się, jaki wpływ wywiera na umysł czyste powietrze, głęboki oddech i bezkresny horyzont. Mogłoby się zdawać, że dusza również jak zwierzę ma płuca i nozdrza, że łaknie tlenu i dusi się w pyle i smrodzie.

Kiedy dotarliśmy do sosnowego lasu, słońce było wysoko. Powietrze pachniało miodem, wiatr podmuchiwał nad naszymi głowami, szumiąc jak morze.

Zorba przez całą drogę obserwował zbocze, w myślach wbijał już co kilka kroków słupy, a kiedy podnosił oczy, zdawało się, że podziwia błyszczącą w słońcu stalową linę, która ciągnie się aż do brzegu, a ścięte pnie ześlizgują się po niej, świszcząc niczym strzały wypuszczone z łuku.

— Dobry interes! — mówił, zacierając ręce. — Czyste złoto! Wkrótce zgarniemy kupę forsy i będziemy mogli, zrobić to, o czym mówiliśmy.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Udajesz, żeś zapomniał? Zanim wybudujemy klasztor, musimy ruszyć do krainy wielkich gór. Jak ją tam nazywają? Teby?

— Tybet, Zorbo, Tybet... Ale tylko my dwaj. Tam nie wolno brać kobiet.

— Kto myśli o braniu kobiet? A swoją drogą te biedactwa są bardzo użyteczne...

Nie gadaj nic na nie. Są użyteczne, gdy braknie takich czysto męskich zajęć, jak choćby — kopanie węgla, zdobywanie fortec albo rozprawianie z Bogiem. Co ma wtedy mężczyzna robić, żeby nie zdechnąć z nudów. Pije wino, gra w kości, obejmuje kobiety — i czeka. Czeką, aż wybije jego godzina — jeśli wybije...

Milczał chwilę.

— Jeśli wybije! — powtórzył z pasją. — Bo może się zdarzyć, że nie wybije nigdy.

Po chwili dodał:

— Tak dłużej być nie może, szefie. Albo ziemia się zmniejszy, albo ja zogromnieję. Inaczej przepadłem z kretesem.

Wśród sosen ukazał się jakiś rudowłosy mnich o żółtawej cerze. Miał zakasane rękawy, a na głowie czarną, okrągłą, wełnianą czapczkę. Szedł szybkim krokiem, stukając o ziemię metalową laską. Na nasz widok przystanął i podniósł ją.

— Dokąd idziecie? — zapytał.

— Do klasztoru, chcemy się pomodlić — odpowiedział Zorba.

— Ruszajcie z powrotem, chrześcijanie! — krzyknął mnich, a jego wyblakłe, niebieskie oczy nabiegły krwią. — Wracajcie, klęć się na wasze zbawienie! To nie winnica Matki Bożej, a przybytek szatana! Ubóstwo, pokora, czystość to — jak mówią — korona świecąca nad głową każdego mnicha. Wszystko to bardzo piękne. Wracajcie, mówię! Bo chciwość, pycha, wszeteczna miłość do młodych chłopców — oto ich święta trójca!

— A to ci błazen, szefie — szepnął mi Zorba zachwycony. Po czym pochylił się w stronę mnicha:

— Jak ci na imię, braciszku? — spytał. — Dokąd cię niesie?

— Nazywam się Zachariasz, spakowałem swój tobołek i odchodzę. Odchodzę, bo to jest nie do wytrzymania! Bądź łaskaw i powiedz, jak się nazywasz.

— Canavaro.

— To jest nie do wytrzymania, Canavaro. Przez całą noc Chrystus nie daje mi spać swymi skargami, a ja płacę z nim razem. Opat — niech go piekło pochłonie — wezwał mnie dziś rano i powiada: "Podobno nie dajesz braciom spać, Zachariaszu? Zamierzam wygnać cię stąd!" "Czy to ja nie daję im spać? — odpowiedziałem. — To Chrystus. On skarży się na wasze wszeteczeństwa". Wtedy ten Antychryst podniósł swój pastorał i — patrzcie:

Ściągnął czapczkę odkrywając plamę zakrzepłej krwi we włosach.

— Otrząsnąłem więc pył z moich sandałów i ruszyłem w drogę.

— Wracaj do klasztoru — powiedział Zorba. — Pogodzę cię z opatem. Chodź, będziesz nam towarzyszył i wskażesz drogę. Niebo nam cię zesłało.

Mnich myślał przez chwilę, wreszcie jego oczy zabłyśły.

— A co za to dostanę? — spytał.

— Czego chcesz?

— Kilo wędzonego dorsza i butelkę koniaku.

Zorba przyjrzał mu się uważnie.

— Nie masz przypadkiem w sobie jakiegoś diabła, Zachariaszu?

Mnich aż podskoczył.

— Skąd wiesz? — zawołał z przejęciem.

— Przychodzę ze świętej góry Athos — powiedział Zorba — i wiem coś o tym.

Mnich spuścił głowę i odparł ledwo dosłyszalnym głosem:

— Tak, mam jednego.

— I to on chce dorsza i koniaku, hę?

— Tak, to on, po trzykroć przeklęty!

— Zgoda. Ale on pewnie na domiar złego pali? — i Zorba rzucił papierosa, a mnich chwycił go chciwie.

— Pali, pali, niech go dzuma zadusi! — rzekł i wyjął z kieszeni krzesiwo i hubkę. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

— W imię Chrystusa! — i podniósłszy swoją metalową laskę, ruszył przodem.

— Jak ma na imię twój diabeł? — spytał Zorba, zezując w swoją stronę.

— Józef — odparł mnich, nie odwracając się.

Towarzystwo na pół zwariowanego mnicha wcale mi nie odpowiadało. Kaleki mózg tak jak ułomne ciało budzi we mnie zarazem współczucie i niechęć. Milczałem jednak, pozwalając Zorbie robić, co uzna za słuszne.

Świeże powietrze zaostriło nam apetyt, siedliśmy więc pod ogromną sosną i otworzyliśmy nasz plecak. Mnich pochylił się, natarczywie pożerając wzrokiem jego zawartość.

— Hola! Hola! — krzyknął Zorba. — Nie oblizuj się na zapas, ojczy Zachariaszu. Dzisiaj Wielki Poniedziałek. My jesteśmy masonami, więc zjemy mięso i kurczaka, niech nam Bóg wybaczy! Ale dla waszej świątobliwości mamy chałwę i oliwki.

Mnich głąskał swoją niechlujną brodę.

— Ja — rzekł skruszony. — Ja, Zachariasz, poszczę, zjem tylko oliwki z

chlebem, popiję wodą... Ale Józef jako diabeł zje kawałek mięsa, przeklęty. O, moi bracia! On bardzo lubi mięso. I wypije wino z waszej manierki.

Przeżegnał się i zaczął żarłocznie łykać chleb, oliwki i chałwę. Otarł wreszcie usta wierzchem dłoni, popił posiłek wodą i uczynił znak krzyża, jakby już zakończył jedzenie.

— Teraz kolej na trzykroć przeklętego Józefa — rzekł i rzucił się na kurczaka.

— Jedz, przeklęty — mrucał z zaciekłością, chwytając wielkie kęsy. — Żryj!

— Brawo, mnichu! — rzekł Zorba z zachwytem. — Masz, widzę, podwójną cięciwę w swoim łuku. — Po czym zwrócił się do mnie: — Jak on ci się widzi, szefie?

— Przypomina mi ciebie — odparłem ze śmiechem.

Zorba podał mnichowi manierkę z winem.

— Napij się, Józefie.

— Pij, przeklęty! — zawołał mnich i chwyciwszy manierkę, przywarł do niej wargami.

Słońce przygrzewało mocno, więc przesunęliśmy się w cień. Od naszego towarzysza bił odór kwaśnego potu i kadzidła. Pod wpływem upału wzmógł się, więc Zorba zawlókł mnicha również w cień, żeby nie zatruwał powietrza.

— Dlaczego zostałeś mnichem? — zagadnął go, ponieważ zjadłszy do syta, nabrał ochoty do pogawędki.

Mnich zachichotał:

— Założę się, że myślisz, iż z pobożności. A to tymczasem, bracie, z biedy... Nie miałem co włożyć do gęby, więc pomyślałem: "Trzeba iść do klasztoru, żeby nie zdechnąć z głodu".

— I jesteś zadowolony?

— Tak, ku większej chwale Boga! Choć często tęsknię. Ale nie przejmuj się tym, nie tęsknię za doczesnością. Kicham na nią! Wybaczcie, ale co dnia na nią kicham. Tęsknię do nieba. Kiedy żartuję, fikam kozły, mnisi śmieją się, powiadają, że jestem opętany, i szydzą ze mnie. A ja powtarzam sobie: "To niemożliwe. Bóg też na pewno lubi śmiech. «Pójdź, mój błazenku — wezwie mnie pewnego dnia. — Pójdź i rozwesel mnie»". I tak, jako błazen, dostanę się do rajku.

— Myślę, mój stary, że masz głowę na karku — stwierdził Zorba, wstając z ziemi. — Chodźmy, żeby nas noc nie zaskoczyła w drodze.

I znów mnich otwierał pochód. Wspinając się w górę, miałem uczucie, że ogarniam umysłem większe obszary, że od rozpatrywania nędznych trosk przechodzę

do roztrząsania poważnych problemów, a od płytkich pewników do odkrywczych prawd.

Nagle mnich zatrzymał się:

— Nasza Pani Karząca! — powiedział i wskazał małą kapliczkę, zwieńczoną wdzięczną kopułą.

Przyklęknął i przeżegnał się.

Zsiadłem z muła i wszedłem do chłodnego wnętrza. W rogu wisiała stara, poczerniała od dymu kadzideł ikona, obwieszona wotami. Były to wykonane prymitywnie z cieniutkiej, srebrnej blaszki części ciała: nogi, ręce, serca... Przed obrazem migotał wieczny płomyk, wydobywający się ze srebrnej lampki oliwnej.

Podszedłem w milczeniu do ikony. Sroga, wojownicza Matka Boska, patrząca prosto surowymi, nieugiętymi oczami dziewicy, trzymała w rękach nie Święte Dzieciątko, ale długą, strzelistą włócznię.

— Biada temu, kto podniesie rękę na klasztor — powiedział mnich z trwoźnym podziwem w głosie. — Ona swoją włócznią przebije każdego barbarzyńcę. Dawno temu Algierczycy napadli na klasztor, spalili go. Posłuchaj tylko, a przekonasz się, jak ci niewierni zapłacili za to: Gdy mijali tę kaplicę, Najświętsza Panna zstąpiła z ikony i ruszyła na nich i oto na prawo i na lewo uderza swoją włócznią. Tu i tam zadaje śmierć, dopóki wszyscy nie polegli. Mój dziadek widział jeszcze ich kości, których pełno wałało się po lesie. Od tej pory Matkę Boską zaczęto nazywać tutaj Panią Karzącą, a nie Miłościwą jak przedtem.

— Dlaczego nie uczyniła cudu, ojcze Zachariaszu, zanim spłonął klasztor? — zapytał Zorba.

— Wola Najwyższego — powiedział mnich i przeżegnał się trzykrotnie.

— Szelma ten Najwyższy! — mruknął Zorba, dosiadając muła. — Jedziemy.

Po chwili na płaskim szczycie góry, otoczony wysokimi skałami, wśród zieleni sosen ukazał się nam klasztor Matki Boskiej. Pogodny, jakby uśmiechnięty, odcięty od świata na zielonym płaskowyżu, łączącym harmonijnie wyniosłość szczytu z łagodnością doliny, wydał mi się doskonałym schronieniem dla ludzi spragnionych kontemplacji.

“Tutaj — myślałem — ascetyczna, łagodna dusza mogłaby nadać religijnemu uniesieniu wymiar ludzki. Ani stromy, nieosiągalny szczyt, ani urocza, rozleniwiająca równina, ale właśnie to, co jest potrzebne, by dusza osiągnęła wyżyny, nie tracąc nic z łagodności. Taki krajobraz nie kształtuje ani bohaterów, ani wieprzy. Kształtuje

ludzi".

Tu pasowałyby wspaniale zarówno starogrecka świątynia o harmonijnych kształtach, jak i wesoły muzułmański meczet. Bóg powinien tu zstąpić w postaci zwykłego człowieka, bosy kroczyć po wiosennej trawie i gawędzić spokojnie z ludźmi.

— Jakie piękno, jaka samotność, jaka błogość — szeptałem.

Zsiedliśmy z mułów i przez łukowate drzwi weszliśmy do rozmównicy, gdzie podano nam tradycyjną tacę z wódką, konfiturami i kawą. Zjawił się przeor i ochmistrz klasztorny, otoczyli nas mnisi, spragnieni rozmowy. Dookoła widzieliśmy przebiegłe oczy, pożądliwe wargi, brody i wąsy, czuliśmy koźli odór, jaki wydzielają okryte habitami ciała.

— Nie przynieśliście żadnej gazety? — zatroskał się jeden z mnichów.

— Gazety? — zapytałem zdziwiony. — Na cóż wam ona?

— Gazeta opowiedziałaby nam, bracie, co słyhać na świecie! — odparło kilku z oburzeniem.

Uczepieni drewnianej balustrady skrzeczeli jak kruki. Rozprawiali zawzięcie o Anglii, Rosji, o Wenizelosie i o królu. Świat wyrzekł się ich, lecz oni nie zapomnieli o świecie. Mieli wciąż przed oczami miasta, sklepy, kobiety, czasopisma...

Nagle jakiś tęgi, kudłaty zakonnik podniósł się sapiąc:

— Mam ci coś do pokazania, a ty mi powiesz, co o tym sądzisz. Zaraz to przyniosę.

Splótlł na brzuchu krótkie, owłosione ręce i szurając pantoflami, zniknął za drzwiami.

Mnisi zachichotali złośliwie.

— Ojciec Dometios — oznajmił ojciec ochmistrz — przyniesie znowu swoją glinianą mniszkę. Diabeł zagrzebał ją specjalnie dla niego w ziemi, któregoś dnia Dometios znalazł ją podczas kopania ogrodu, zabrał do swojej celi i od tego czasu biedaka odbiegł sen. Jest bliski utraty zmysłów.

Zorba zerwał się wściekły.

— Przyszliśmy zobaczyć się ze świątobliwym opatem — powiedział. — Chcemy podpisać kontrakt...

— Świątobliwego opata nie ma — odrzekł ochmistrz. — Udał się z rana do miasta. Musicie uzbroić się w cierpliwość.

Ojciec Dometios wrócił, trzymając wyprostowane przed sobą ręce, jakby w połączonych dłoniach niósł hostię.

— Oto ona! — rzekł i rozwarł ostrożnie dłonie.

Zbliżyłem się. Z grubych paluchów mnicha uśmiechnęła się do mnie półnaga statuetka z Tanagry. Jedyłą ręką, jaka jej została, dotykała głowy.

— Wskazuje na głowę — powiedział Dometios. — To znaczy, że kryje się tam jakiś szlachetny kamień, może brylant albo perła. Co myślisz o tym?

— Myślę — uprzedził mnie zgryźliwie jakiś mnich — że boli ją głowa.

Ale gruby Dometios, z obwisłymi jak u kozła wargami, patrzył na mnie wzrokiem pełnym oczekiwania.

— Chyba trzeba ją rozbić — powiedział. — Nie mogę wcale spać... No, bo gdyby w środku był brylant...

Patrzyłem na wdzięczną figurkę dziewczyny z malutkimi, jędrnymi piersiami, zabłąkaną wśród woni kadzideł między ukrzyżowanych bogów, którzy wykleli zmysły, śmiech i pocałunek.

Obym mógł ją uratować!

Zorba wziął gliniany posążek, opukał palcem subtelne kształty kobiece i wskazał na jędrne, sterczące piersi:

— Spójrz, pocciwy bracie! To diabeł! To on we własnej osobie. Na pewno. Znam go dobrze. Spójrz na jego piersi, ojcie Dometiosie, krągłe, jędrne, młode. Tak właśnie wygląda pierś diabła. Wiem coś o tym.

Na progu stanął młodziutki zakonnik. Słońce rzucało blask na jego złote włosy i pełną, pokrytą młodzieńczym puszką twarz.

Mnich o ostrym języku mrugnął okiem na ojca ochmistrza, obaj uśmiechnęli się złośliwie.

— Ojcie Dometiosie — rzekli. — Przyszedł Gabriel, twój nowicjusz.

Mnich gwałtownie porwał glinianą figurkę i potoczył się jak beczka w stronę drzwi. Przystojny braciszek szedł za nim lekkim krokiem, milcząc. Obaj zniknęli w na pół rozwalonym korytarzu.

Dałem znak Zorbie i wyszliśmy na dziedziniec. Panowało tu przyjemne ciepło, pośrodku kwitło drzewo pomarańczowe, rozsiewając w powietrzu upajającą woń. Nie opodal, z antycznego marmuru, wyrzeźbionego w kształt baraniej głowy, ciekła ze szmerem woda. Nachyliłem pod nią głowę, żeby się orzeźwić.

— Powiedz, co to za typy? — zapytał Zorba z niesmakiem. — Ni to chłopcy, ni baby, chyba muły. Tfu, niech się każą wypchać trocinami.

Zanurzył również głowę w zimnej wodzie, a potem zaśmiał się.

— Tfu, niech się każą wypchać — powiedział. — Każdy z nich ma w sobie diabła. Jeden pragnie kobiety, drugi dorsza, trzeci pieniędzy, jeszcze inny gazet... Cymbały! Czemu nie wracają do świata, żeby się nim nasycić i oczyścić myśli?

Zapalił papierosa i siadł na ławce pod kwitnącym drzewem pomarańczowym.

— Czy wiesz, co robię — wyznał — gdy czegoś łaknę? Napycham się tym po gardło. Potem nie myślę o tym wcale albo mdli mnie na samo wspomnienie tego. Kiedyś, jeszcze jako pętaś, lubiłem pasjami czereśnie. Nie miałem pieniędzy, kupowałem więc tylko trochę na raz, zjadałem i dalej mi się ich chciało... Dniem i nocą myślałem tylko o czereśniach, aż mi ciekła ślinka, istna tortura. Wreszcie rozzłościłem się czy zawstydziłem, już nie pamiętam. W każdym razie zauważyłem, że czereśnie robią ze mną, co chcą, ośmieszają mnie. A więc co robię? Wstaję cichutko w nocy, skradam się jak kot do ojcowskich kieszeni, przeszukuję je i znajduję srebrną monetę. Raniutko biegnę do ogrodnika, kupuję pełny kosz owoców. Siadam sobie w rowie i zaczynam jeść. Napchałem się tak, że mało co nie pękłem. Rozbolał mnie żołądek i zacząłem wymiotować. Wymiotowałem, wymiotowałem — i od tego dnia koniec z czereśniami. Nie mogę na nie patrzeć, nawet jeśli są tylko na obrazku. Stałem się wolnym człowiekiem. Spozierałem na nie i mówiłem: "Nic mi po was!" To samo później robiłem z winem i papierosami. Piję jeszcze i palę, ale kiedy chcę: ciach! — i jak nożem uciął. Nie popadam w nałóg. Podobnie z ojczyzną. Zapragnąłem jej, nasyciłem się nią, zwymiotowałem — i pozbyłem się jej.

— A co z kobietami? — spytałem.

— Przyjdzie i na nie kolej, niech je lichy porwie, te dziewczki! Przyjdzie. Może gdy będę miał siedemdziesiątkę na karku...

Pomyślał chwilkę i to wydało mu się za mało.

— No, powiedzmy: osiemdziesiątkę — poprawił. — Śmiejesz się, szefie? Możesz się śmiać, ale tylko w ten sposób wyzwala się człowiek. Słuchaj dobrze, co ci mówię. Nie przez wyrzekanie się wszystkiego, ale przez użycie aż po gardło. Jak możesz pozbyć się diabła, jeśli sam nie staniesz się diabłem do kwadratu?

Na dziedzińcu ukazał się zdyszany Dometios w towarzystwie młodego, złotowłosego mniszka.

— Wygląda jak anioł! — mruknął Zorba, podziwiając nieśmiałość i młodzieńczy wdzięk brata Gabriela.

Obaj podeszli do kamiennych schodków, które prowadziły do górnych cel. Dometios odwrócił się, zmierzył młodzieniaszka wzrokiem i coś mu powiedział. Ten

potrząsnął głową, jakby odmawiał, ale po chwili pochylił ją z pokorą. Objął starego wół i obaj weszli wolniutko na schody.

— Skapowałeś, szefie? — zapytał Zorba. — Skapowałeś? Sodoma i Gomora!

Skądś wychylili się dwaj mnisi, mrugali do siebie, poszeptywali, wreszcie wybuchnęli śmiechem.

— Co za ohyda! — burknął Zorba. — Kruk krukowi oka nie wykolę, ale mnich mnichowi — tak. Popatrz na nich. Jedna baba drugiej babie...

— Jeden mnich drugiemu... — poprawiłem rozbawiony.

— E, co za różnica? Nie zawracaj sobie głowy. To muły, powiadam ci, szefie. Raz możesz nazwać go Gabrielem, raz Gabriela, Dometiosem lub Dometią. Zmykajmy stąd, szefie! Podpisujemy papiery i dawajmy nogę. Tutaj, na Boga, można poczuć wstręt zarówno do mężczyzn, jak i do kobiet! — Ściszył głos: — Mam pewien plan... — oznajmił uroczyście.

— Znów jakieś szaleństwo, Zorbo... No, mów.

Wzruszył ramionami:

— Jak by ci to powiedzieć, szefie. Ty jesteś, z przeproszeniem, uczciwy chłop, troszczący się o wszystko. Jeśli zimą napotkasz na swojej kołdrze pluskwę, przykryjesz ją, żeby się nie zaziębiła. Toteż nie mógłbyś zrozumieć takiego starego drania jak Zorba. Ja, kiedy znajdę pluskwę — cyk! — rozgniatam ją, kiedy znajdę owieczkę — ciach! — zarzynam, nadziewam na rożen, a potem ucztuję z kompanami. Ty powiedziałbyś: "Owieczka nie jest twoja". Racja! Ale zgódź się na jedno, szefie: najpierw ją zjem, a dopiero potem podyskutujemy, spokojnie zastanowimy się nad pojęciami: "twoja" czy "moja". Będziesz mógł nagadać się do woli, a ja przez ten czas wydłubię mięso z zębów.

Całe podwórko rozbrzmiało echem jego serdecznego śmiechu. Zjawił się przerażony Zachariasz, położył palec na ustach i zbliżył się, stąpając na palcach:

— Ciiicho, nie śmiecie się. O, tam, wysoko, przy otwartym okienku pracuje biskup. Tam jest biblioteka. A on cały dzień pisze. To święty człowiek!

— Właśnie ciebie mi brakło, ojcie Józefie — rzekł Zorba i chwycił mnicha pod rękę. Chodźmy do twojej celi, porozmawiamy sobie! — Do mnie zaś powiedział: — Ty szefie, będziesz tymczasem zwiedzał kościół i oglądał stare ikony. Ja poczekam na opata. Obojętne, gdzie jest, zjawi się niebawem. Tylko do niczego się nie wtrącaj, bo wszystko zepsujesz. Pozwól mi działać, mam już plan! — Nachylił się mi do ucha i szepnął: — Dostaniemy las pół darmo... Cicho sza... Nic nie mów.

I ruszył szybko, prowadząc pod rękę zwariowanego mnicha.

18.

Przekroczyłem próg kościoła i zagłębiłem się w orzeźwiający półmrok, nasycony wonią kadzidła.

Kościół był pusty, kandelabry z brązu rzucały słaby blask, płaskorzeźba, oddzielająca sanktuarium, zajmowała całą wnękę. Artysta z benedyktyńską pracowitością wyrzył w złocie winnicę pełną ciężkich kiści winogron. Ściany od podłogi do sufitu były pokryte na pół wytartymi freskami. Przerażające postacie wychudłych jak szkielety ascetów, ojcowie kościoła, droga krzyżowa, srogie, barczyste anioły z włosami związanymi szerokimi, wyblakłymi wstęgami...

Wysoko pod sklepieniem widniała Matka Boska, unosząca się z rozwartymi błagalnie ramionami. Drżące światelko zawieszanej przed nią lampki ze starego srebra leciutko i pieśczośliwie dotykało jej pociągłej, umęczonej twarzy. Nigdy nie zapomnę jej bolesnych oczu, zaciśniętych krągłych ust, wydatnego, znamionującego wolę podbródka. "Oto — myślałem — matka bezgranicznie szczęśliwa, spokojna nawet w najstraszliwszym bólu — bo czuje, że jej śmiertelne łono wydało istotę nieśmiertelną..."

Gdy opuszczałem kościół, słońce już zachodziło. Pełen radości siadłem pod drzewem pomarańczowym. Kopuła kościoła różowiła, jakby o świcie. Mnisi zamknięci w celach odpoczywali. W nocy mieli czuwać, musieli więc nabrać sił. Chrystus wstąpi dziś na Golgotę, a oni winni mu towarzyszyć.

Dwie czarne maciory o różowiutkich wymionach drzemały wyciągnięte pod drzewem świętojańskim, na tarasie gruchały miłośnie gołębie.

Jak długo jeszcze będę żył i odczuwał urok świata: powietrze, ciszę, zapach kwitnącej pomarańczy? Ikona świętego Bachusa, którą ujrzałem w kościele, nappełniła moje serce szczęściem. To, co porusza mnie najgłębiej: jedność dążeń, ciągłość wysiłków — wszystko to znalazło znów potwierdzenie. Niech będzie błogosławiony ten mały, uroczy, chrześcijański efeb z lokami spadającymi na czoło niby kiście czarnych winogron. Dionizos, piękny bóg wina i miłości, i święty Bachus połączyli się i przybrali to samo oblicze. Pod winnym wieńcem i pod habitem mnisim tętniło życiem to samo ciało, spalone słońcem — Grecja.

Na dziedzińcu ukazał się Zorba.

— Przyszedł opat — rzucił mi spieszenie. — Pogadaliśmy trochę. Robi trudności,

mówi, że nie odda lasu za marne grosze. Już wytargował więcej, niż postanowiliśmy, stary rabuś! Ale ja zrobię z tym porządek.

— Co za trudności? Przecież już uzgodniliśmy...

— Nie wtrącaj się, szefie, błagam — prosił Zorba. — Wszystko zepsujesz. Ani słowem nie wspominaj teraz o starej cenie. Ona jest nieaktualna. Nie marszcz brwi! Nieaktualna, mówię. Dostaniemy las na pół darmo.

— Co ty znowu knujesz, Zorbo?

— Zostaw, to moja sprawa, naoliwię coś i koło się potoczy — zrozumiałeś?

— A to dlaczego? Nie rozumiem...

— Dlatego, że w Kastellionie wydałem więcej, niż należało. Dlatego, że Lola kosztowała mnie, to znaczy ciebie, ładną forszę. Myślisz, że zapomniałem? Myślisz, że nie mam ambicji? Nie chcę plamy na moim honorze! Ja wydałem, ja płacę. Zrobiłem rachunek: Lola kosztowała mnie siedem tysięcy, odbiję to sobie na kupnie lasu. Za Lolę zapłaci opat, klasztor, Matka Boska. To jest mój plan — jak ci się podoba?

— Wcale mi się nie podoba. Dlaczego Matka Boska ma odpowiadać za twoje ekscesy?

— Odpowiada, i to bardzo! Urodziła syna: Boga, Bóg stworzył mnie: Zorbę — i dał mi to, co wiesz, a ja rozumiem, a to z kolei sprawia, że tracę głowę na widok kobiety i otwieram portfel. Teraz rozumiesz? Najświętsza Paniienka zawiniła, niech płaci.

— Nie podoba mi się to wszystko, Zorbo.

— To dalsza sprawa, szefie. Najpierw odzyskajmy nasze siedem tysięcy, potem pogadamy. "Pokochaj mnie miły — potem będę znowu twoją ciocią". Znasz tę piosenkę?

Zjawił się tłusty ojciec ochmistrz.

— Zechciejcie wejść — powiedział słodkim, świętoszkowatym tonem. — Wieczera gotowa.

Poszliśmy do refektarza — dużej sali zastawionej ławami i długimi, wąskimi stołami. Czuć tu było zjełczały olej i ocet. W głębi stary fresk przedstawiał Ostatnią Wieczersę. Jedenastu wiernych uczniów skupionych niby stado owieczek wokół Chrystusa, a po drugiej stronie całkiem samotny, rudobrody Judasz o wypukłym czole i orlim nosie. Chrystus spoglądał wyłącznie na niego.

Ojciec ochmistrz usiadł, wskazując mi miejsce po swojej prawej stronie, a Zorbie po lewej.

— Wybaczcie mi, ale jest post — oznajmił. — Mimo że jesteście gośćmi, nie

dostaniecie ani oliwy, ani wina. Pobłogosław, Panie, te hojne dary...

Przeżegnaliśmy się i milcząc sięgnęliśmy po oliwki, szczypior i świeży bób. Żuliśmy to wolno niby króliki.

— Takie jest nasze życie — westchnął ojciec ochmistrz — umartwienia, post. Ale już, bracia, nadchodzi dzień zmartwychwstania i na ziemię zstąpi Baranek, zwiastując królestwo niebieskie.

Chrząknąłem. Zorba trącił mnie pod stołem, jakby chciał powiedzieć: bądź cicho.

— Widziałem ojca Zachariasza... — rzekł, żeby zmienić temat.

Ochmistrz ocknął się:

— Może ci ten obłąkaniec coś mówił? — spytał zaniepokojony. — Ma w sobie siedmiu demonów, nie słuchaj go. Jego dusza jest nieczysta i dlatego wszędzie widzi tylko brudy.

Dzwon uderzył ponuro, oznajmiając godzinę wieczornych modłów. Ochmistrz przeżegnał się i wstał.

— Muszę iść — rzekł. — Rozpoczęła się Pasja. Chodźmy dźwigać krzyż razem z Chrystusem. Dziś jesteście zmęczeni podróżą — zwrócił się do nas. — Możecie udać się na spoczynek, ale jutro na Jutrznie...

— Łotry! — zasyczał Zorba, zaledwie mnich się oddalił. — Świnie! Kłamcy! Muły!

— Co się stało, Zorbo? Czy Zachariasz coś powiedział?

— Nic się nie przejmuj, szefie. Do diabła z tym! Jeśli nie podpiszą, pokażę im, gdzie raki zimują.

Poszliśmy do celi, którą dla nas przygotowano. W rogu wisiała stara ikona, na której Matka Boska tuliła do swojej twarzy główkę Syna; jej wielkie oczy pełne były łez.

Zorba pokiwał głową.

— Wiesz, szefie, dlaczego ona płacze?

— Nie.

— Dlatego, że widzi. Gdybym był malarzem świętych obrazów, przedstawiłbym Matkę Boską bez oczu, uszu i nosa, bo mi jej żal.

Wyciągnęliśmy się na twardym posłaniu. Deski zachowały jeszcze zapach drzewa cyprysowego. Przez otwarte okno wdierał się lekki podmuch wiatru pachnącego wiosną. Z dziedzińca od czasu do czasu dochodziły ponure niby odgłos

nawałnicy pienia. Za oknem zaśpiewał słowik, po chwili nieco dalej zawtórował mu drugi, potem trzeci. Noc tchnęła miłością.

Nie mogłem zasnąć. Śpiew słowika współbrzmiał z Gorzkimi Żalami, a ja też próbowałem wstąpić na Golgotę, krocząc pomiędzy kwitnącymi drzewami pomarańczy śladem ciężkich kropli krwi. Poprzez błękit wiosennej nocy widziałem blade, chwiejące się ciało Chrystusa, zroszone zimnym, kroplistym potem. Widziałem jego wątłe, drżące dłonie, złożone w błagalnym, niemal żebraczym geście. Biedacy z Galilei biegli za Nim krzycząc: "Hosanna! Hosanna!" Nieśli w rękach palmowe gałązki i rozścielali na ziemi płaszcze, aby stąpał po nich. A On spoglądał na tych, których ukochał. Żaden z nich nie widział przenikającej Go rozpacz. Tylko On jeden wiedział, że idzie na śmierć. Samotny pod gwiazdzistym stropem, pełen cichego bólu, szukał pociechy dla swego człowieczego serca: "Niby ziarno rzucone w glebę i ty, moje serce, musisz umrzeć i zstąpić pod ziemię. Nie lękaj się, bo nie ma innej drogi, byś przyniosło dojrzwały plon dla nakarmienia nieszczęsnych, którzy giną z głodu".

Lecz serce człowiecze drżało w Nim i ścisnęło się boleśnie. Nie chciało umierać...

Wkrótce las, otaczający klasztor, aż po krańce wypełnił śpiew słowików. Pieśń przepojona namiętnością brzmiała wśród wilgotnego listowia, a wraz z nią płakało i drżało biedne serce człowiecze.

Powoli, niedostrzegalnie wśród tonów Gorzkich Żalów i słowiczego śpiewu zapadłem w sen, podobnie jak dusza przestępuje próg raj.

Nie spałem nawet godziny i ocknąłem się z przerażeniem.

— Zorba! — zawołałem. — Słyszałeś? Wystrzał!

Zorba już palił papierosa, siedząc na swoim posłaniu.

— Nie przejmuj się, szefie — rzekł z hamowaną wściekłością. — Niech te świnię same załatwiają swoje porachunki.

W korytarzach rozległy się krzyki, człapanie pantofli, otwieranie i zamykanie drzwi. Z dala dobiegały jęki rannego.

Wyskoczyłem z łóżka i otwarłem drzwi. Przede mną stanął, zagradzając mi drogę, jakiś wychudły starzec w białej spiczastej szlafmicy i koszuli sięgającej do kolan.

— Ktoś ty?

— Biskup — odparł drżącym głosem.

Omaliem nie wybuchnąłem śmiechem. Biskup? A gdzie jego insygnia: złoty ornat,

mitra, pastorał? Pierwszy raz oglądałem biskupa w nocnej koszuli...

— Co to był za wystrzał, wasza wielbność?

— Nie wiem... Nie wiem... — bąkał, popychając mnie łagodnie z powrotem do celi.

Zorba na swoim posłaniu wybuchnął śmiechem.

— Masz boja, ojczulku! — rzekł. — Właż do środka, staruszk, i nie lękaj się, my nie mnisi!

— Zorbo — powiedziałem półgłosem. — Okaż więcej szacunku. To biskup.

— W nocnej koszuli nikt nie jest biskupem. Właż do środka, mówię.

Wstał, chwycił biskupa za ramię, wciągnął go do wnętrza i zamknął drzwi. Potem wyjął z plecaka butelkę rumu i napełnił nim szklaneczkę.

— Łyknij, stary, to cię podniesie na duchu. Niewysoki starszy pan wychylił szklaneczkę i poczuł się lepiej. Siadłszy na moim łóżku, oparł się o ścianę.

— Co to był za wystrzał, wasza wielbność? — spytałem znowu.

— Nie wiem, mój synu... Pracowałem aż do północy i właśnie kładłem się spać, kiedy nagle usłyszałem obok, w celi ojca Dometiosa...

— Achaaa! — zagrzemiał Zorba. — Więc Zachariasz miał rację!

Biskup spuścił głowę.

— Chyba jakiś złodziej... — mruknął.

Hałasy w korytarzu umilkły, klasztor ponownie pogrążył się w ciszy. Biskup spojrział na mnie błagalnie swymi łagodnymi oczyma, w których jeszcze czaił się lęk.

— Czy jesteś śpiący, mój synu? — zapytał.

Czułem, że nie ma ochoty odejść do swej samotnej celi.

— Nie — odparłem. — Nie chce mi się spać. Proszę tu zostać chwilę.

Rozpoczęła się rozmowa, Zorba oparty o poduszkę cmił papierosa.

— Wyglądasz na wykształconego, młodzieńcze — zwrócił się do mnie biskup. — Nie ma tu nikogo, z kim mógłbym pomówić. Mam trzy teorie, które czynią moje życie łatwiejszym. Chciałbym ci je przekazać, moje dziecko. — I nie czekając na odpowiedź, zaczął: — Oto pierwsza: Kształt kwiatów wpływa na ich barwę, barwa zaś na ich właściwości. Tak więc każdy kwiat ma odmienne działanie na ciało człowieka, a więc i na jego duszę. Dlatego powinniśmy bardzo ostrożnie stąpać po ukwieconej łące.

Zamilkł, jakby oczekiwał mojej odpowiedzi. Ja zaś wyobraziłem sobie niewysokiego staruszka spacerującego po ukwieconej łące i spoglądającego z ukrytym podnieceniem na kwiaty, ich kształt i barwę. Biedny starzec dygotał przejęty

mistycznym lękiem, na wiosnę bowiem pola zaludniają się wielobarwnym tłumem dobrych i złych duchów.

— A oto i druga teoria: Każda idea, wywierająca istotny wpływ, przybiera realną postać. Istnieje nie jako ulotna zjawia, przybiera prawdziwe ciało, ma oczy, usta, nogi, brzuch... Jest mężczyzną albo kobietą, ugania za mężczyznami albo kobietami... Dlatego Pismo święte mówi: "Słowo ciałem się stało..."

Znów spojrzał na mnie z niepokojem.

— Trzecia teoria — rzucił spiesznie, nie mogąc znieść mego milczenia — jest następująca: Wieczność istnieje i w doczesnym naszym życiu, ale bardzo trudno jest nam ją dostrzec wśród trosk dnia powszedniego. Tylko nieliczni i zaiste wybrani potrafią dostąpić wieczności i na tym padole. Że zaś wszyscy inni zagubiliby się w swej niewiedzy, Bóg ulitował się nad nimi i zesłał im religię — dzięki temu tłum też może zaznać wieczności.

Skończył i widać było, że te wynurzenia sprawiły mu ulgę. Podniósł pozbawione rzęs powieki i popatrzył uśmiechając się swymi małymi oczkami, jakby mówił: "Daję ci wszystko, co posiadam". Wzruszył mnie ten staruszek, który ze szczerego serca ofiarował mi owoc rozmyślań całego swego życia, nie znając mnie prawie. Miał łzy w oczach.

— Co sądzisz o moich teoriach? — zapytał, ujmując moją rękę w obie swe dłonie i spoglądając mi prosto w twarz. Wydawać by się mogło, że moja odpowiedź zadecyduje o tym, czy zmarnował życie, czy nie.

Zrozumiałem, że w imię humanitaryzmu powinienem rozminąć się z prawdą.

— Twoje teorie mogą zbawić wiele dusz — odrzekłem.

Twarz biskupa rozjaśniła się, bo było to uznanie dla wysiłku całego jego życia.

— Dziękuję ci, synu — wyszeptał i uściśnął serdecznie moją dłoń.

— Ja mam jeszcze czwartą teorię — wybuchnął nagle Zorba ze swego kąta.

Popatrzyłem na niego z niepokojem.

— Mów, mój synu — zwrócił się biskup do niego — i oby słowa twoje były błogosławione. Jaka to teoria?

— Że dwa i dwa równa się cztery — oznajmił Zorba poważnie.

Biskup patrzył na niego osłupiały.

— Jest jeszcze piąta, staruszkule — ciągnął Zorba. — że dwa i dwa nie równa się cztery. Wybieraj teraz, która ci bardziej odpowiada.

— Nie rozumiem... — bełkotał starzec, patrząc pytająco w moją stronę.

— Ani ja — rzekł Zorba, wybuchając śmiechem.

Zwróciłem się do zmieszanego i zbitego z tropu starca i zmieniłem temat:

— Jakim studiom oddajesz się, wasza wielbność, tu, w klasztorze?

— Przepisuję stare klasztorne rękopisy, mój synu, obecnie pracuję nad zebraniem wszystkich przydomków, jakimi Kościół nasz ozdobił imię Najświętszej Marii Panny. — Westchnął. — Jestem stary — wyznał. — Nie potrafię robić nic innego. Ulgę przynosi mi katalogowanie tych wszystkich klejnotów lśniących wokół Jej imienia. Zapominam wtedy o żądzach tego świata.

Wsparty na poduszce przymknął oczy i szeptał jakby w gorączce:

— Róża Niewiedząca, Wieża z Kości Słoniowej, Przyczyna Naszej Radości, Naczynie Duchowne, Brama Niebieska, Arka Przymierza, Gwiazda Morza, Gwiazda Zaranna, Dom Złoty, Ucieczka grzesznych, Poczyszczycielka strapionych, Wspomożenie wiernych, Róża Duchowna, Gwiazda Przewodnia, Naczynie Osobliwego Nabożeństwa, Wieża Dawidowa, Uzdrowienie chorych...

— Majaczy biedak... — powiedział po cichu Zorba, — Przykryję go, żeby się nie zaziębił...

Wstał, narzucił na biskupa koc i poprawił mu poduszkę.

— Słyszałem kiedyś o siedemdziesięciu siedmiu rodzajach szaleństw, to jest siedemdziesiąte ósme...

Wstawał świt, odezwała się sygnaturka. Wychyliłem się przez okienko i zobaczyłem wychudłego mnicha w długim, czarnym welonie na głowie, który wolno okrążał dziedziniec, uderzając młoteczką w podłużne drewno, wydające niezwykle melodyjny, dźwięk. Pełen słodczy i harmonii, nawołujący głos sygnaturki płynął z powiewem poranka. Słowik zamilkł, a wśród drzew zaczęły ćwierkać zbudzone ptaki.

Wsluchiwałem się w uroczę, pełne wdzięku wołanie sygnaturki i myślałem o tym, że to, co wzniosłe, nawet chyląc się do upadku może zachować budzącą szacunek i pełną szlachetności formę zewnętrzną. Dusza ulatuje, lecz pozostawia swoje siedlisko, które długo kształtowała jak perłopław swą ozdobną muszlą.

Myślę, że takimi pustymi muszlami są widniejące w gwarnych miastach, gdzie nikt nie pamięta o Bogu, wspaniałe katedry, podobne prehistorycznym zwierzętom, z których pozostał tylko szkielet, zżarty przez słońce i deszcze.

Ktoś zapukał do drzwi naszej celi. Usłyszeliśmy gardłowy głos ojca ochmistrza:

— Wstawajcie! Czas na Jutrznie, bracia!

Zorba wybuchnął.

— Co to były za strzały w nocy! — wrzasnął, nie panując nad sobą.

Czekał przez chwilę. Cisza. Mnich musiał jednak jeszcze stać pod drzwiami, bo słyszeliśmy jego astmatyczne sapanie. Zorba tupnął.

— Kto strzelał? Hej, mnichu! — krzyknął znowu.

Usłyszeliśmy pośpiesznie oddalające się kroki. Zorba jednym susem znalazł się przy drzwiach i otworzył je.

— Banda idiotów! — warknął i splunął za umykającym mnichem. — Popi, mnisi, mniszki, kościelni i zakrystianie, gwizdźcie na was wszystkich! — i splunął znowu.

— Jedźmy stąd — rzekłem. — Tu pachnie krwią.

— Żeby tylko krwią! — ryknął Zorba. — Idź na Jutrznie, szefie, jeśli masz ochotę. Ja tu powęszę, spróbuję dowiedzieć się czegoś...

— Jedźmy stąd — powtórzyłem, pełen obrzydzenia. — A ty bądź łaskaw nie pchać palca między drzwi.

— Właśnie że wepchnę, szefie.

Chwilę myślał i uśmiechnął się złośliwie.

— Do kata, nieźle nam się diabeł przysłużył — powiedział. — Sądzę, że dobijemy targu. Wiesz, szefie, ile klasztor może zapłacić za ten strzał? Siedem tysięcy!

Wyszliśmy na dziedziniec. Woń kwitnących drzew, słodycz poranka, rajska błogość... Zachariasz czatował na nas, wybiegł i chwycił Zorbę za ramiona.

— Bracie Canavaro — szepnął drżącym głosem. — Chodź. Musimy iść.

— Co to był za strzał? Zabito kogoś? No mów, mnichu, bo ci kark skrećę!

Zakonnik zadrżał nerwowo. Rozejrzał się lękliwie dookoła. Dziedziniec był pusty, cele zamknięte, z otwartego kościoła płynęła falami melodia.

— Chodźcie za mną obaj... — wymamrotał. — Sodoma i Gomora!

Skradając się pod murem, przeszliśmy dziedziniec i wydostaliśmy się z ogrodu.

Nie dalej niż sto metrów za klasztorem znajdował się cmentarz. Weszliśmy. Minęliśmy groby. Zachariasz pchnął drzwiczki od kaplicy i wszedł pierwszy, my za nim. Pośrodku na słomianej macie spoczywało spowite habitem ciało.

U wezłowania i u stóp zmarłego płonęły świece.

Pochyliłem się.

— To ten młodzieńcy zakonnik — szepnąłem z przerażeniem. — Jasnowłosej nowicjuszej ojca Dometiosa.

Na drzewczkach prezbiterium lśnił wizerunek Michała Archanioła w czerwonych sandałach, z rozwiniętymi skrzydłami i nagim mieczem w dłoni.

— Michale Archaniele! — krzyknął Zachariasz. — Rzuć płomienną żagiew i spal ich! Zstąp z obrazu, Michale Archaniele! Poraż ich swym mieczem! Czyżbyś nie słyszał strzału?...

— Kto go zabił? Kto? Dometios? Gadaj, brodaty koźle!

Mnich wyrwał się z rąk Zorby i padł na twarz przed archaniołem. Trwał tak nieruchomo przez chwilę, jakby nasłuchiwał podniósłszy głowę, wybałuszywszy oczy i rozwarłszy usta.

Nagle zerwał się rozpromieniony.

— Spalę ich! — oświadczył tonem decyzji. — Archanioł poruszył się. Widziałem to. Dał mi znak.

Podszedł do obrazu i przyłgął grubymi wargami do miecza archanioła.

— Bogu niech będzie chwała — rzekł. — Ulżyło mi.

Zorba znowu chwycił mnicha za ramię.

— Chodź tu, Józefie, chodź i zrób, co ci każę.

Do mnie zaś powiedział:

— Daj pieniądze, szefie, ja sam podpiszę dokumenty. Jesteś tu jak owieczka wśród wilków. Pożrą cię. Pozwól mi działać samemu. Nie martw się, mam ich wszystkich w garści. W południe wyruszymy z lasem w kieszeni. No, chodźmy, Zachariaszu.

Ruszyli szybko w stronę klasztoru. Poszedłem przejść się w cieniu.

Słońce było już wysoko, ale na liściach perliła się rosa. Obok mnie przefrunął drozd, siadł na gałęzi dzikiej gruszy, zatrzepotał długim ogonem, otworzył dziób i spojrzawszy na mnie, kilkakrotnie zagwizdał, jakby chciał mnie wyśmiać.

Poprzez sosny dojrzałem na dziedzińcu wychodzących szeregiem przygarbionych mnichów w czarnych welonach spadających na ramiona. Nabożeństwo skończyło się, wracali do refektarza.

“Jaka szkoda — pomyślałem — że duch już nie ożywia tej surowej ascezy”.

Byłem zmęczony, źle spałem, położyłem się więc na trawie. Powietrze przepojone było wonią leśnych fiołków, rumianku, żarnowca i szaławii. Owady brzęcząc zaspokajały swój głód, kryjąc się w kwiatach, z których wysysały nektar. W dali lśniły góry, przejrzyste, jasne niby mgła drżąca w palących słonecznych promieniach.

Ukojony, przymknąłem oczy. Miałem dziwne mistyczne uczucie, jakby cud otaczającej mnie zieleni był rajem, a świeżość powietrza i spokój — Bogiem. Bóg co chwila przybiera inne oblicze i chwala temu, kto potrafi rozpoznać go pod każdą z tych postaci. Bywa szklanką zimnej wody, synem, który figluje na ojcowskich kolanach, czarującą kobietą lub po prostu krótką poranną przechadzką.

Stopniowo wszystko wokół mnie, nie zmieniając kształtu, stawało się snem. Byłem szczęśliwy. Ziemia i raj zespoliły się w jedną całość. Życie wydawało mi się polnym kwiatem, kryjącym w swym sercu gęstą kroplę miodu, a dusza moja była niby leśna pszczoła, skrzętna, szukająca słodyczy.

Nagle ze stanu błęgiego ukojenia wyrwały mnie brutalnie czyjeś kroki i szepty. W tej samej chwili usłyszałem radosne wołanie:

— Szefie, w drogę!

Przede mną stał Zorba, w jego oczach igrały diabelskie ogniki.

— Jedziemy? — pytałem z ulgą. — A więc wszystko załatwione...

— Wszystko — rzekł Zorba, klepiąc się po górnej kieszeni marynarki. — Tu mam nasz las i spodziewam się, że przyniesie nam szczęście. A oto siedem tysięcy, które kosztowała nas Lola.

Wyjął spod koszuli plik banknotów.

— Bierz — powiedział. — Nie będę już się musiał wstydzić, bo spłacam dług, w tym również pończochy, torebkę, perfumy i parasolkę dla pani Bubuliny, fistaszki dla papugi, nawet i chałwę, którą ci przywiozłem.

— Daruję ci te pieniądze, Zorbo — powiedziałem. — Zapal przed obrazem Matki Boskiej, którą obraziłeś, świecę wysoką jak ty sam.

Zorba odwrócił się. Ojciec Zachariasz w swoim spłowiałym, zatłuszczonym habicie i wykoślawionych butach zbliżał się właśnie do nas, ciągnąc za uzdę dwa muły.

— Podzielmy się, ojciec Józefie — rzeki Zorba, pokazując mu plik banknotów. — Ty kupisz sto kilo dorsza, najesz się, biedaku, aż po gardło, zwymiotujesz i wyzwolisz się. No, nadstaw grabę.

Mnich, chwyciwszy zachłannie zatłuszczone banknoty, ukrył je pod habitem.

— Kupię nafty... — powiedział.

— Najlepiej w nocy, kiedy wieje silny wiatr i wszyscy śpią... — szepnął mu Zorba do ucha ściszym głosem. — Spryskaj ściany ze wszystkich stron, trzeba także zmoczyć w nafcie szmaty, pakuły, cokolwiek wpadnie ci do ręki. I wtedy podłóżysz ogień... Rozumiesz?

Zakonnik drżał.

— Nie trzęś się tak, mnichu, przecież archanioł dał ci znak. Ufaj nafcie i bożej łasce... Powodzenia!

Wsiadliśmy na muły. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na klasztor.

— Dowiedziałeś się czegoś, Zorbo? — zapytałem.

— O strzale? Nie zawracaj sobie głowy, szefie, mówię ci Zachariasz ma rację: Sodoma i Gomora. Dometios zabił tego miłego mniszka.

— Dometios. Dlaczego?

— Nie grzeb się w tym, szefie! To ohydne, smrodliwe bagno...

Obejrzał się na klasztor. Mnisi wychodzili właśnie z refektarza i z pochylonymi głowami, z rękami skrzyżowanymi na piersiach szli zamknąć się w swoich celach.

— Niech was szlag trafi, święci ojcowie! — krzyknął.

19.

Pierwszą osobą, którą, wróciwszy nocą, spotkaliśmy na naszym wybrzeżu, była Bubulina skulona przed barakiem. Gdy zapaliliśmy kaganek i ujrzałem jej twarz, przeraziłem się.

— Co ci się stało, *madame* Hortensjo? Czy jesteś chora?

Od chwili, kiedy obudziły się w niej nadzieje na małżeństwo, stara syrena straciła cały swój niepewny, wątpliwy urok. Usiłowała zmazać całą swoją przeszłość, zrzucić jaskrawe piórka, w które stroiła się, oskubawszy paszów, bejów, admirałów... Nie marzyła o niczym innym niż o zostaniu dostojną, osiadłą kurą domową, cnotliwą kobietą. Przestała się malować i stroić, była już tylko biedactwem, które chce wyjść za mąż.

Zorba nic nie mówił, szarpał tylko nerwowo swoje niedawno ufarbowane wąsy. Pochylił się nad prymusem, zapalił go i nastawił wodę na kawę.

— Okrutnik! — zabrzmiał znienacka ochryply głos starej śpiewaczki kabaretowej.

Zorba podniósł głowę i spojrzał na nią. Jego wzrok złagodniał. Nigdy nie potrafił spokojnie i niewzruszenie słuchać kobiecych lamentów, jedna łza sprawiała, że tracił własną wolę.

Milcząc nasypał kawy i cukru do dzbanka i zamieszał.

— Dlaczego tak długo każesz mi tęsknić do chwili naszego ślubu? — zagruchała stara syrena. — Wstydzę się już pokazać we wsi. Jestem zhańbiona. Zhańbiona! Zabiję się!

Zmęczony wyciągnąłem się na łóżku i wsparty na poduszce obserwowałem z rozbawieniem tę tragikomiczną scenę.

— Dlaczego nie przywiozłeś mi ślubnego wianka?

Zorba poczuł na swoim kolanie lekki dotyk drżącej ręki Bubuliny. To kolano stało się ostatnim skrawkiem pewnego gruntu dla biedaczki, która już tysiącrotnie bywała rozbitkiem.

Zorba rozumiał to doskonale i jego serce zmiękło, ale i teraz nie powiedział ni słowa. Nalał kawę do trzech filiżanek.

— Dlaczego nie przywiozłeś ślubnego wianka, kochanie? — zapytała znów drżącym głosem.

— W Kastellionie nie mają dość ładnych — odrzekł sucho Zorba.

Podał nam filiżanki i przykucnął w kącie.

— Napisałem do Aten — ciągnął — żeby przysłali coś lepszego, zamówiłem też białe świece i ciasteczka z migdałami...

W miarę, jak mówił, zapalała się jego wyobraźnia, oczy zabłysły mu jak pocie w natchnieniu, docierał na takie wyżyny, gdzie fikcja i prawda są jak siostry. Siedział w kuchni i głośno siorbał kawę. Odpoczywał. Zapalił już drugiego papierosa — miał za sobą dobry dzień: las znalazł się w jego kieszeni, spłacił również dług. Był zadowolony. Poniosła go wyobraźnia:

— Nasz ślub, moja mała Bubulino, musi stać się głośny. Zobaczysz, jaki ślubny strój zamówiłem dla ciebie. Dlatego tak długo siedziałem w Kastellionie, najdroższa. Sprowadziłem dwie znakomite krawcowe z Aten i powiedziałem im: “Żadna kobieta na Wschodzie i na Zachodzie nie dorównuje tej, którą mam poślubić. Czterej mocarze byli jej posłuszni, ale dziś jest wdową. Mocarze umarli, zgodziła się więc wziąć mnie za męża, dlatego pragnę, aby jej toaleta też nie miała równej sobie, by była cała z jedwabiu, pereł i złotych gwiazd”. “Ale to będzie zbyt wspaniałe! — zaprotestowały dwie krawcowe. — Goście oślepną z zachwytu”. “Nie szkodzi — odpowiedziałem. — Byle tylko moja ukochana była zadowolona”.

Pani Hortensja słuchała chciwie, wsparta o ścianę. Szeroki pożądliwy uśmiech rozlał się na obwisłej, zmarszczonej twarzyczce, a różowa wstążka opasująca szyjęomal nie pękła.

— Chcę ci coś powiedzieć na ucho... — rzekła, patrząc na niego pokornie.

Zorba mrugnął do mnie i nachylił się do niej.

— Przyniosłam ci coś — szepnęła przyszła małżonka, łaskocząc językiem jego zarośnięte ucho.

Wydobyła zza stanika chusteczkę zawiązaną w węzełek i podała Zorbie.

Ten schwycił ją dwoma palcami, położył na prawym kolanie i odwrócił się, spoglądając na morze.

— Nie rozwiązujesz supełka, Zorbo? — zapytała. — Nie spieszo ci?

— Pozwól mi najpierw wypić kawę i wypalić papierosa — odparł. — Odgadłem, co tam jest, bez rozwiązywania.

— Rozwiąż supełek... — błagała syrena.

— Powiedziałem już, że najpierw wypale papierosa! — i spojrział na mnie z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: “To twoja wina”.

Palił wolno, wypuszczając nozdrzami dym, i patrzył na morze.

— Jutro zadmie pustynny wiatr z południa — rzekł. — Zmieni się pogoda. Pączki na drzewach nabrzmiewają jak dziewczęce piersi, które nie mieszczą się już w staniczkach... Ech, wiosno, wietrznico, wynalazku diabła!

Zamilkł, ale po chwili ciągnął dalej:

— Wszystko, co dobre na świecie, to wynalazek diabła: piękne kobiety, wiosna, pieczony prosiak, wino. Bóg zaś stworzył mnichów, napar z szaławii, posty i brzydkie kobiety. Niech to lichy porwie!

Mówiąc to, obrzucił spojrzeniem biedną Hortensję, która słuchała go skulona w kątku.

— Zorba... Zorba... — powtarzała błagalnie.

Tymczasem on zapalił nowego papierosa i patrząc wciąż na morze powiedział:

— Wiosną króluje szatan, mężczyźni popuszczają pasy, kobiety rozluźniają staniki, a staruszki wzdychają... Ręce przy sobie, pani Bubulino!

— Zorba... Zorba... — żebrała. Pochyliła się, wzięła chusteczkę i wcisnęła mu do ręki.

Wtedy odrzucił papierosa, chwycił supel i rozwiązawszy go, spojrzał na swoją otwartą dłoń.

— Co to jest, Bubulino? — zapytał z wyraźną odrazą.

— Pierścionki... Pierścioneczki, mój skarbie... Zaręczynowe... — szepnęła stara syrena, cała drżąca. — Jest tutaj świadek, noc piękna, księżyc jasny. Gdy Bóg nam błogosławi, zaręczmy się.

Zorba spoglądał to na mnie, to na Hortensję, to na obrączki. Szalało w nim tysiąc diabłów, ale żaden jeszcze nie wziął góry. Nieszczęsna kobieta obserwowała go z lękiem.

— Mój Zorbo... Mój Zorbo... — bełkotała.

Uniosłem się na łóżku i czekałem. Jaką drogę wybierze Zorba spośród tych wszystkich, które się teraz przed nim otwierają?

Nagle potrząsnął głową, decyzja zapadła. Jego twarz rozjaśniła się, klasnął w dłonie i skoczył na równe nogi.

— Chodźmy! — krzyknął. — Chodźmy, aby Bóg zobaczył nas pod gwiazdami. Bierz, szefie, pierścionki. Czy znasz odpowiednią modlitwę?

— Nie — odparłem. — Ale to nic nie szkodzi — i zerwałem się z łóżka, aby poprowadzić damę.

— Ja znam. Zapomniałem ci powiedzieć, że kiedyś śpiewałem w chórze. Towarzyszyłem popu przy ślubach, chrzcinach, pogrzebach i umiem na pamięć wszystkie pobożne pieśni. Chodź, moja Bubulino, rozwiń żagle, moja mała francuska fregato, i stań po mojej prawicy.

Wszystkie demony mieszczące się w Zorbie zwyciężył dziś znów demon o sercu dobrotliwego kawalarza. Użalił się nad podstarzałą śpiewaczką, bolało go serce na widok jej przygasłego wzroku wpatzonego weń z tak ogromnym lękiem.

— Do diabła! — mruknął. — Przez tę decyzję przysporzę babskiemu rodzajowi jeszcze jednej radości. A niech tam!

Wziąwszy pod ramię Hortensję, ruszył na wybrzeże i wręczywszy mi pierścionki, zwrócony w stronę morza zaintonował:

— Błogosławiony Pan nasz teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen!

Następnie rzekł do mnie:

— Uważaj, szefie...

— Żadne "szefie" — sprostowałem. — Mów mi: "kumie".

— Uważaj, kumie, gdy zawołam: "Hop! Hop!" — włożysz nam pierścionki.

I zaczął śpiewać swoim grubym, oślim głosem:

— Weź, Boże, pod swoją opiekę sługę Twego, Aleksego, i służkę Twoją, Hortensję, którzy dziś ślubują sobie wierność. O ich zbawienie błagamy Cię, Panie!

— Kyrie elejson! Kyrie elejson! — rzuciłem, powstrzymując się z trudem i od śmiechu, i od łez.

— Są jeszcze dalsze zwrotki — powiedział Zorba — ale niech mnie powiesz, jeśli je pamiętam. Przejdźmy teraz do rzeczy.

Rzucił się jak ryba wyjęta z wody i krzyknął, wyciągając łapę:

— Hop! Hop! Podaj i ty rączkę, damo mojego serca — zwrócił się do narzeczonej.

Tęga, zniszczona praniem ręka wyciągnęła się z drzeniem. Wsunąłem im pierścionki na palce, a Zorba, przechodząc sam siebie, wrzeszczał jak derwisz:

— Sługa boży, Aleksy, ślubuje służce bożej, Hortensji, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen! Służka boża Hortensja, ślubuje słudze bożemu, Aleksemu... W porządku. Wszystkiego najlepszego. Chodź tu, moje złotko, i przyjmij pierwszy uczciwy pocałunek w życiu.

Hortensja, leżąc na ziemi, obejmowała nogi Zorby i płakała. Pokiwał ze współczuciem głową.

— Biedne kobiety. Jakież one są nierozumne! — mruknął.

Hortensja wstała, otrzepała suknię i rozwarła ramiona.

— O, o! — zawołał Zorba. — Dziś Wielki Wtorek, bądź rozsądna. Post.

— Mój Zorbo... — szepnęła omdlewająco.

— Cierpliwości, moja miła, poczekaj do Wielkanocy, wtedy zjemy mięso i podzielimy się pisankami. Teraz czas, żebyś wróciła do domu. Co ludzie powiedzą, kiedy zobaczą, że wałęsasz się po nocy?

Bubulina spojrzała na niego błagalnie.

— Nie, nie, jest post! — upierał się Zorba. — Nie przed Wielkanocą. Chodź z nami, kumie. Nie zostawiaj nas samych, na Boga! — szepnął mi do ucha. — Wcale nie mam dziś ochoty...

Szliśmy do wsi. Niebo iskrzyło się, owiewał nas zapach morza, kwiliły nocne ptaki. Stara syrena, uwieszona u ramienia Zorby, pozwalała się wlec, szczęśliwa i rozmarzona.

Dotarła wreszcie do portu, o którym tak marzyła. Całe życie śpiewała, ucztowała i tańczyła, drwiła z uczciwych kobiet, ale nigdy nie była szczęśliwa. Gdy uperfumowana, wypacykowana, wyzywająco ubrana szła ulicami Aleksandrii, Bejrutu czy Konstantynopola, na widok kobiet karmiących swe niemowlęta odczuwała dreszcz w piersiach i sutki jej nabrzmiwały tęsknotą do niemowlęcych usteczek. "Wyjść za mąż, wyjść za mąż, mieć dziecko..." — marzyła zawsze, ale żadna żywa dusza nie wiedziała o jej cierpieniu. Za to teraz, dzięki Bogu... Wprawdzie nieco za późno, ale lepiej późno niż nigdy... Osmagana falami, odarta z wszystkiego dopływała do tak bardzo upragnionego portu...

Od czasu do czasu podnosiła oczy i spoglądała ukradkiem na idącego u jej boku wysokiego dryblasa. "Nie jest to — myślała — bogaty pasza ze złotą frędzlą na fezie ani piękny syn beja. Ale, dzięki Bogu, lepszy ten niż żaden. Będzie moim mężem, moim prawdziwym mężem..."

Zorba odczuwał jej ciężar na ramieniu, ciągnął ją więc, by jak najszybciej znaleźć się w wiosce i pozbyć się go. Biedaczka potykała się o kamienie, kaleczyła stopy, obijała paznokcie; bolały ją odciski, nie żaliła się jednak. Dlaczegoż by miała się żalić? Na co się uskarżać? Wszystko, dzięki Bogu, się udało.

Wyminieliśmy już Figowiec Paniienki i sad wdowy, ukazały się pierwsze domostwa. Stanęliśmy.

— Dobranoc, mój skarbie — rzekła stara syrena z czułością i wspięła się na

palce, żeby dosięgnąć ust narzeczonego.

Ale Zorba się nie pochylił.

— Czy całować ci stopy, kochanie? — zapytała Bubulina, robiąc ruch, jakby chciała upaść na ziemię.

— Nie, nie! — sprzeciwił się Zorba wzruszony i porwał ją w objęcia. — To ja powinienem całować twoje stopy, kochanie, ale nie czuję się godny. Dobranoc.

Zostawiliśmy ją i wracaliśmy w milczeniu, wdychając wonne powietrze. Zorba nagle odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Co robić, szefie? — zapytał. — Płakać czy śmiać się? Poradź.

Nie odpowiedziałem. I mnie coś łaskotało w gardle. Nie wiedziałem — łkanie czy śmiech.

— Szefie — rzekł nagle Zorba. — Jak się nazywał ten drański, starożytny bóg, który żadnej samotnej śmiertelnicy nie pozwolił tęsknić na próżno. Słyszałem coś o nim. Wygląda na to, że też farbował brodę i miał na ramionach wytatuowane serca i syreny. Mówią nawet, że zamieniał się w byka, łabędzia, barana, uczciwszy uszy, i w osła, we wszystko, czego tylko mogła zapragnąć jakaś dziewczica. No, jak on się nazywał?

— Na pewno myślisz o Zeusie. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Niech mu ziemia lekką będzie! — rzekł Zorba, podnosząc ramiona ku niebu. — Ten się nacierpiał! To największy z męczenników. Wierz mi, szefie, wiem coś o tym. Ty bierzesz za dobrą monetę wszystko, o czym mówią twoje książki, ale pomyśl tylko, kto je pisze. Obrzydłe mole książkowe. Cóż oni mogą wiedzieć o kobieciarzach i kobietach? Gryzipiórki!

— A czemu to niejaki Zorba nie pisze, aby nam wytłumaczyć wszystkie dziwy świata?

— Czemu? Po prostu dlatego, że ja przeżywam te wszystkie cuda, o których mówisz, i nie mam czasu na bazgraninę. Raz to jest wojna, raz kobiety, kiedy indziej wino czy *santuri*. Gdzie znaleźć czas, by chwycić za to kretyńskie pióro? Zresztą cała sprawa dostała się w ręce gryzipiórków. Ci, co przeżywają dziwy, nie mają czasu, a ci, co mają czas, nie przeżywają nic. Kapujesz?

— No to wróćmy do tematu. Co z Zeusem?

— Oj, biedak! — westchnął Zorba. — Tylko ja wiem, ile on wycierpiał. To prawda, kochał kobiety, ale nie tak, jak myślicie wy, gryzipiórki, wcale nie. On im współczuł, rozumiał je i poświęcał się dla nich. Gdy spotykał w jakiejś prowincjonalnej

dziurze starą pannę, która usychała z pragnienia i tęsknoty, albo jakąś niebrzydką kobiecinę — zresztą nie musiała być ładna, mogła być nawet pokraczna — ale jeśli nie mogła zasnąć, bo jej mąż był daleko, ten pocziwiec czynił zaraz znak krzyża i z miejsca zmieniał mu się ubranie i przybierał taką postać, o jakiej ta kobieta marzyła. Wtedy wchodził do jej pokoju.

Mówię ci, często wcale nie miał nastroju do miłości. Bywał nawet do niczego. Jak jeden kozioł może sprostać tyłu kozom? Ileż to razy nie dawał rady! Był niedysponowany! Czy widziałeś, szefie, kiedyś kozła, który pokrył już wiele kóz? Ślina cieknie mu z pyska, oczy ma mętne i zaropiałe, pokasłuje, postękuje, nie może utrzymać się na nogach. W takim żalonym stanie znajdował się nieraz biedny Zeus. Wracał do domu nad ranem, mówił: “O, mój Boże! Kiedy nareszcie będę mógł się położyć i wyspać do woli?” — i ocierał ślinę.

Nagle dobiegało go żalosne westchnienie: to na ziemi jakaś kobieta odrzuciła kołdrę, wyszła rozebrana na taras i wzdychała. Serce Zeusa natychmiast miękło. “Och, och, znowu muszę wracać na ziemię — jęczał biedak. — Jakaś kobieta się żali, muszę ją pocieszyć!”

Kobiety do cna go wykończyły. Nie mógł wyprostować pleców, wymiotował, w końcu tknął go paraliż i wyciągnął kopyta. Wtedy zjawił się jego spadkobierca, Chrystus. Zobaczył, w jakim oplakany jest stary, i krzyknął: “Wara od kobiet!”

Świeża naiwność umysłu Zorby wprawiała mnie w podziw. Wybuchnąłem śmiechem.

— Śmiej się, szefie, śmiej, ale jeśli z łaski Boga lub diabła nasze przedsiębiorstwo się rozwinie — w co wątpię — wiesz, jaki interes otworzę? Biuro matrymonialne. Agencję Matrymonialną “Zeus”. Zbiegną się biedaczki, które nie mogły złapać męża, stare panny, brzydule, łamagi, zezowate, kulawe, garbate, a ja będę je przyjmował w saloniku ze ścianami obwieszonymi fotografiami pięknych chłopców i powiem im: “Wybierajcie, moje piękne panie, którego chcecie, a ja postaram się, żeby ten właśnie został waszym mężem”. Potem znajdę byle jakiego zucha, choć trochę podobnego, ubiorę jak na fotografii, zapłacę i powiem mu: „Ulica taka a taka, numer taki a taki, jazda, ruszaj i padaj plackiem przed panną, a nie wybrzydź, ja płacę! Prześpij się z nią i powiedz te wszystkie czule słówka, jakie mężczyźni mówią kobietom, a których ta biedulka nigdy nie słyszała, przyrzeknij, że się z nią ożenisz, daj nieszczęsnej trochę radości. Radości, jakiej zażywają nawet kozy,

żółwie czy stonogi..."

A gdyby mi się trafiła kiedy jakaś stara chabeta w rodzaju naszej Bubuliny, której nikt za żadną cenę nie chciałby pocieszyć, wtedy podejmę się tego ja, dyrektor agencji. Przeżegnam się i poświęcę, a różne dudki powiedzą: "Cóż za stary rozpustnik! Gdzie on miał oczy?" O, bezduszni głupcy! Mam oczy, ale mam i serce, więc żal mi jej. A jak się ma serce, to i oczy niepotrzebne. Na diabła mi one!

A kiedy już będę zupełnie do niczego i wyciągnę kopyta, klucznik niebieski, święty Piotr, otworzy przede mną bramy raju i powie: "Wejdz, Zorbo, wejdz, męczenniku, i zajmij miejsce obok współtowarzysza niedoli, Zeusa. Odpocznij, zuchu! Napracowałeś się na ziemskim padole, bądź więc błogosławiony".

Zorba mówił, a jego wyobrażenia zastawiała sidła, w które sam wpadał. Powoli zaczął wierzyć w swoją bajkę. Gdy przechodziliśmy obok Figowca Paniienki, westchnął i podniósł ręce, jakby przysięgał:

— Nie martw się, moja Bubulino, spróchniała, zmaltretowana, stara łajbo! Nie martw się, ja cię pocieszę! Opuściły cię cztery mocarstwa, opuściła cię młodość, opuścił cię Bóg, ale ja, Zorba, cię nie opuszczę.

Po północy dotarliśmy do naszego wybrzeża. Zerwał się wiatr. Ów południowy, ciepły, afrykański, który każe pęcznieć drzewom, winogrodom i piersiom Kretenek. Cała wyspa z drżeniem przyjmowała jego ciepłe tchnienie. Płodny wiatr, dzięki któremu wschodziło zasiane ziarno, Zeus, Zorba — wszystko zlewało się dzisiaj w jedno. Wyraźnie widziałem w ciemnościach nocy duże męskie oblicze z czarną brodą i czarnymi włosami, zbliżające gorące czerwone wargi do twarzy pani Hortensji-Ziemi

20.

Natychmiast po powrocie położyliśmy się. Zorba zatarł z zadowoleniem ręce.

— Dobry był dzisiejszy dzień, szefie, wypełniony po brzegi! Pomyśl tylko: rano byliśmy daleko stąd, w klasztorze, gdzie zapędziliśmy w kozi róg opata! Później, wróciwszy, spotkaliśmy panią Bubulinę i zaręczyłem się. Proszę, oto pierścionek. Złoto dobrej próby! Miała jeszcze dwa złote funty angielskie, które otrzymała pod koniec ubiegłego wieku od brytyjskiego admirała. Chowiała je na swój pogrzeb, ale wolała oddać złotnikowi, żeby zrobił pierścionki. Dziwny jest człowiek!

— Śpij, Zorbo — powiedziałem. — Uspokój się wreszcie. Dość na dzisiaj! Jutro czeka nas oficjalna uroczystość, wbijemy pierwszy słup pod kolejkę. Zaprosiłem popa Ste-fanosa.

— Dobrze zrobiłeś, szefie, bardzo mądrze! Niech przyjdzie pop z koźlą brodą i gospodarze ze wsi, damy im nawet świeczki, żeby je zapalili. Te rzeczy sprawią dobre wrażenie, co sprzyja naszym interesom. Nie zważaj na to, co ja robię, ja mam własnego boga i własnego diabła, ale ludziska...

Zaczął się śmiać. Nie mógł usnąć, bo w głowie kotłowało mu się od myśli.

— Ej, mój dziadku! — zawołał po chwili. — Niech ci ziemia lekką będzie! Dziadek był takim szalawilą jak ja — a jednak stary nicpoń powędrował do Grobu Świętego i stał się hadźim. Bóg wie, po co. Gdy wrócił do wioski, jeden z jego kompanów, złodziej kóz, który nigdy w życiu nie splamił się dobrym uczynkiem, powiada "I co, kumie, nie przyniosłeś mi ani drzazgi z Drzewa Krzyża Świętego?" "A jakże, przyniosłem, kumie — odparł przebiegły dziad. — Jak bym mógł zapomnieć o tobie? Przyjdź dziś wieczór do mego domu z popem. Niech da swoje błogosławieństwo, a ja dam ci mój podarek. Przynies też pieczone prosię i wino, trzeba uczcić godnie to zdarzenie".

Wróciwszy do domu wieczorem, dziadek uszczknął ze stoczonych przez korniki drzwi drzazgę, ot taką, nie większą niż ziarnko ryżu, owinał kawałkiem waty, pokropił odrobiną oliwy i czeka. Po chwili zjawia się kum w asyście popa, niosąc prosię. Pop wyciąga stulę i wygłasza słowa błogosławieństwa. Dziadek uroczyście wręcza drogocenny kawałek drzewa — i zasiadają do pieczonego prosięcia. Nie wiem, czy uwierzysz mi, szefie? Kum padł krzyżem przed drzazgą odłupaną z drzwi, zawiesił ją na szyi i odtąd stał się innym człowiekiem. Zmienił się do cna, poszedł w góry,

połączył się ze zbrojnym oddziałem Kleftów, palił wioski niewiernych Turków, walczył nieustraszony w gradzie kul. Czegóż miałby się lękać? Miał na piersi Drzewo Krzyża Świętego, więc go się kule nie imaly.

Zorba wybuchnął śmiechem.

— Wiara porusza góry — powiedział. — Wierzysz — i drzazga ze starych drzwi staje się przenajświętszą relikwią. Nie wierzysz — i najprawdziwsze Drzewo Krzyża Świętego jest dla ciebie tylko starymi drzwiami.

Podziwiałem tego człowieka, którego umysł pracował niezawodnie i którego dusza, jakakolwiek jej strunę byś poruszył, dźwięczała czystą nutą.

— Czy byłeś kiedyś na wojnie, Zorbo?

— Bo ja wiem? — odparł i spochmurniał. — Nie pamiętam. O jakiej wojnie mówisz?

— To znaczy, czy walczyłeś za ojczyznę?

— Nie gadaj o tym ze mną. To bzdura, z którą skończyłem już dawno, i postarałem się jak najdokładniej zapomnieć...

— Nazywasz to bzdurą, Zorbo? Jak ci nie wstyd tak mówić o ojczyźnie?

Podniósł głowę i patrzył na mnie. Leżałem wyciągnięty na łóżku, a tuż nade mną płonęła lampka oliwna. Patrzył na mnie długą chwilę surowo, wreszcie szarpiąc wąsy powiedział:

— A jednak jesteś za przeproszeniem naiwny, szefie! Jak belfer! Moje słowa idą, wybacz mi, na wiatr.

— Jak to? — zaprotestowałem. — Bardzo dobrze cię rozumiem, Zorbo.

— Zgoda, ogarniasz rozumem. Stwierdzasz: "To jest dobre, a to złe, tak jest, a tak nie jest, masz rację albo jej nie masz". I co z tego? Gdy mówisz, patrzę na twoje ramiona, nogi, piersi. I co widzę? One milczą, jakby nie miary w sobie ani kropli krwi. W jaki sposób chcesz więc rozumieć? Tylko głową?

— Nie wykręcaj się, Zorbo! — rzekłem, żeby go rozzłościć.— Odpowiedz wyraźnie. Mam wrażenie, że ojczyzna nie obchodzi cię zbytnio, ty drabie!

Wściekły uderzył pięścią w ścianę, aż zabrzęczały blaszane bańki.

— Człowiek, którego widzisz przed sobą — krzyknął — własnymi włosami wyhaftował bazylikę Świętej Zofii i nosił przy sobie, tu, na piersiach, jak talizman! Tak, haftowałem ją tymi łapskami i tymi włosami, które były jeszcze wtedy kruczocharne. Ja, ten sam, którego słuchasz, jestem owym zuchem, który wraz z Pavlosem Melasem przemierzył góry i wąwozy; byłem jak wielkolud wyższy niż dom,

prawdziwy smok. Odziany w szarawary, w czerwonym fezie ze złotą frędzlą, w butach, które dudniły po skałach, jakby przechodził cały oddział kawalerii, z ładownicami i pistoletami, uzbrojony w jatagan, byłem cały jak zakuty w stal, żelazo i srebro. O, popatrz tu i tu... Popatrz tu... Tu!

Rozpiął koszulę i zsunął spodnie.

— Poświęć! — powiedział.

Przysunąłem lampkę i ujrzałem chude, ogorzałe ciało pokłute jak sito, poryte bliznami po głębokich ranach, szramami po cięciach szablą.

— Spójrz teraz z drugiej strony! Odwrócił się i pokazał plecy.

— Z tyłu nie ma nawet draśnięcia... Rozumiesz, co to znaczy? Zabierz kaganek!

Wciągnął spodnie i koszulę, znowu siadł na łóżku.

— Bzdury! — wrzeszczał rozwścieczony. — Hańba! Kiedyż wreszcie, mój stary, człowiek stanie się naprawdę człowiekiem? Nosimy spodnie, podkoszulki, kapelusze, ale wciąż jeszcze jesteśmy wałachami, mułami, wilkami, lisami, wieprzami. Stworzeni jesteśmy jakoby na obraz i podobieństwo Boga! Kto? My? Co za bzdura!

Zdawało się, że Zorbę ogarnęły jakieś straszliwe wspomnienia. Wpadał w coraz większy gniew i mełł w swych dziurawych i chwiejących się zębach niezrozumiałe słowa.

Wstał, porwał dzban z wodą i pił ją wielkimi haustami. Po tym otrzeźwiał, uspokoił się.

— Gdziekolwiek byś mnie dotknął — powiedział — urazisz. Cały jestem jedną bolesną blizną. Mówisz o kobietach? Ja, kiedy czułem, że jestem prawdziwym mężczyzną, ani na nie spojrzełem. Poświęcałem im tyle uwagi, ile kogut kurze, potem szedłem dalej. "Przebrzydłe drapieżne kuny — mówiłem — chcą wyssać ze mnie całą moją siłę! Niech się każą wypchać!"

Zdjąłem więc ze ściany karabin i ruszyłem! Wstąpiłem do partyzantki. Pewnego dnia o zmierzchu dotarłem do jakiejś bułgarskiej wioski i ukryłem się w oborze. Dom należał do popa — zacieklego komitadzi, dzikiego krwiopijcy. W nocy ściągał sutannę, przebierał się za pastucha i uzbrojony napadał na greckie wioski. Wracał przed świtem, obmywał błoto pomieszane z krwią i odprawiał mszę świętą. Kilka dni przed moim przybyciem zabił greckiego nauczyciela, śpiącego spokojnie we własnym łóżku. Wszedłem więc do obory popa, kładę się na wznak na kupie nawozu za dwoma wołami i czekam. Pod wieczór mój pop przyszedł nakarmić swoje bydłota. Wskoczyłem z ukrycia, rzuciłem się na niego i zarznąłem jak barana. Obciąłem mu

uszy i włożyłem do kieszeni. Miałem, widzisz, kolekcję bułgarskich uszu. Wziąłem więc uszy popa i poszedłem sobie.

Po kilku dniach w samo południe przyszedłem znowu do tej samej wioski przebrany za handlarza. Zostawiłem broń w górach i zszedłem w dolinę, aby kupić chleb, sól, buty dla naszych chłopaków. Przed jakąś chatą zobaczyłem piątkę czarno ubranych, bosych dzieciaków, które trzymały się za ręce i żebrały. Trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Najstarszy nie miał więcej niż dziesięć lat. Starsza dziewczynka trzymała na rękach najmłodsze niemowlę, całowała je i pieściła, żeby nie płakało. Nie wiem, dlaczego, ale chyba z bożego natchnienia postanowiłem do nich podejść. "Czyimi dziećmi jesteście?" — zapytałem po bułgarsku. Najstarszy chłopiec podniósł swoją głowinę: "Popa, którego zarżnięto kilka dni temu w oborze" — odparł. Do oczu napłynęły mi łzy, ziemia zawirowała pode mną jak młyński kamień. Oparłem się o ścianę i ziemia stanęła. "Chodźcie no, dzieci! — rzekłem. — Chodźcie bliżej". Wyciągnąłem zza pasa sakiewkę wypełnioną złotymi tureckimi monetami, ukląknąłem na ziemi i opróżniłem ją. "Bierzcie! — krzyknąłem. — Bierzcie! Bierzcie!" Dzieci rzuciły się naprzód i rączkami zgarniały monety. "To wszystko wasze, wasze! — wołałem. — Bierzcie!" Zostawiłem nawet koszyk z zakupami. "To wszystko dla was, bierzcie!"

Zaraz potem wziąłem nogi za pas. Gdy wyszedłem ze wsi, rozpiąłem koszulę, zerwałem z szyi wyhaftowaną własnoręcznie bazylikę Świętej Zofii i podarłem ją w kawałki, które rzuciłem na wiatr. A potem zmykałem, jakby mnie kto gonił. I tak zmykam po dziś dzień...

Zorba oparł się o ścianę, spojrzał na mnie.

— W taki to sposób wyzwoliłem się — powiedział.

— Uwolniłeś się od ojczyzny?

— Tak, od ojczyzny — odparł Zorba spokojnym i pewnym głosem.

Po chwili dodał:

— Przeszedłem przez dobre sito i uwolniłem się od ojczyzny, popów i pieniędzy. I im więcej plew odsiewam im więcej balastu wyrzucam, tym bardziej się wyzwalam. Jak by ci to powiedzieć? Wyzwalam się i staję człowiekiem.

Oczy Zorby błyszczały, szerokie usta śmiały się radośnie. Po chwili milczenia znowu zaczął mówić. Serce jego było zbyt przepełnione, aby się coś z tego nie ułało.

— Kiedyś dzieliłem ludzi na Bułgarów, Turków, Greków. Dokonywałem w imię swej ojczyzny takich rzeczy, szefie, że na samą myśl o tym włosy stanęłyby ci dęba.

Zabijałem, kradłem, paliłem wioski, gwałciłem kobiety wyrzynałem całe rodziny... Dlaczego? Bo byli to Bułgarzy czy Turcy. "Niech cię szlag trafi, głupi człowieku" — powtarzam sobie często. "Niech cię piekło pochłonie, zbrodniarzu" — przemawiam do siebie nieraz ostatnimi słowami. "Niech cię diabli wezmą, idioto!" I patrząc na ludzi, myślę: "Ten jest dobrym człowiekiem, ten zaś łobuzem. Wszystko jedno, Bułgar czy Grek — pytam: dobry czy zły? Dziś to tylko mnie obchodzi. A zresztą na starość — klnę się na ostatnią kromkę chleba — chyba nawet i o to nie pytam. Żal mi ludzi bez względu na to, czy są dobrzy, czy źli. Serce mi się kraje na widok człowieka, choć nieraz udaję, że mnie ni ziębi, ni parzy. "Ot — myślę — ten nieborak też je, pije, kocha, lęka się. On też ma w sobie Boga czy diabła, on też wyzionie ducha, legnie sztywny w ziemi i zeżrą go robaki. Biedaczysko! Wszyscy jesteśmy braćmi... Wszyscy jesteśmy żerem dla robaków!"

A jak widzę kobietę, ech, wtedy, jak Boga Kocham, mam ochotę wyć. Ciągłe mi wyrzucasz, szefie, że lubię kobiety. Jak mam ich nie lubić? To są słabe istoty, które nie wiedzą, co czynią, i które oddają się bez sprzeciwu, gdy je mocniej chwycisz za pierś.

Innym razem wszedłem do bułgarskiej wioski. Znalazł się wtedy pewien staruch, który mnie wyniuchał — wójt. Otoczono dom, w którym się zatrzymałem. Wskoczyłem więc na taras i wdrapałem się z niego na sąsiedni dach. Księżyc świecił, a ja musiałem przekradać się po dachach jak kot. Ale ci z dołu zauważyli mój cień, też wdrapali się na dachy i zaczęli strzelać. Co miałem robić? Zeskoczyłem na jakieś podwórze. Patrzę, a tu Bułgarka w nocnej koszuli. Na mój widok już otwierała usta do krzyku, ale ja szepcząc: "Litości! Nie krzycz!" wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej piersi. Kobieta zbladła, zachwiała się. "Wejdz — szepnęła. — Wejdz, żeby nas nie zobaczyli..." Wchodzę. Ona ściska moją rękę i pyta, czy jestem Grekiem? "Tak, Grekiem, nie zdradz mnie". Objąłem ją w pasie, nie opierała się. Spałem z nią, a moje serce wezbrało słodyczą. "Oto — myślałem — Zorbo, co znaczy kobieta, co znaczy człowiek, ty nędzniku! Bułgar, Grek, Papuas? Wszystko jedno, przecież to człowiek, istota ludzka, która ma usta i piersi, która kocha! Nie wstydzisz się zabijać? Nędzniku!"

Tak myślałem, gdy byłem z nią razem, w cieple jej ciała. Jednak wtedy jeszcze ojczyzna nie chciała się ode mnie odczepić. Wszedłem nad ranem w bułgarskim stroju, który dostałem od tej Bułgarki. Ona była wdową, wygrzebała z kufra ubranie swego nieboszczyka męża i dała mi je. Całowała mnie po nogach, błagając, żebym wrócił.

Tak, tak, wróciłem następnej nocy. Byłem, widzisz, gorącym patriotą, dziką

bestią. Wróciłem z bańką nafty i podпалиłem wioskę. Moja biedaczka też chyba spłonęła. Miała na imię Ludmiła...

Zorba westchnął, zapalił papierosa, zaciągnął się dwa czy trzy razy i wyrzucił go.

— Ojczyzna, mówisz... Wierzysz w bzdury, które plotą twoje szpargały... Posłuchaj, mnie powinieneś wierzyć, nie im: jak długo będą istniały granice, tak długo człowiek pozostanie zwierzęciem, dzikim zwierzęciem... Ale ja, chwała Bogu, wyzwoliłem się, skończyłem z tym! A ty?...

Nie odpowiedziałem. Zazdrościłem temu człowiekowi, który żył całym sobą, każdą kroplą krwi — walczył, zabijał, całował — doznawał tego wszystkiego, co ja samotnie próbowałem zgłębić za pomocą pióra i atramentu. Wszystkie problemy, które chciałem rozwiązać, rozsupłując jeden węzeł za drugim, nie ruszywszy się ze swego krzesła, ze swojej samotni, ten człowiek rozstrzygał szablą w czystym górskim powietrzu.

Zrozpaczony przymknąłem oczy.

— Śpisz, szefie? — zapytał Zorba rozczarowany. — A ja, głupiec, siedzę i gadam!

Wyciągnął się na łóżku mamrocąc coś do siebie, a po chwili usłyszałem jego głośnie chrapanie.

Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Słowik, który dzisiejszego wieczoru po raz pierwszy zaśpiewał na tym pustkowiu, wypełnił naszą samotność ogromnym smutkiem. Uczułem nagle, że z oczu moich płyną łzy.

Dusiłem się. O świcie wstałem i stanąłem w drzwiach, spoglądając na morze i ziemię. Wydawało mi się, że świat odmienił się w ciągu jednej nocy. Naprzeciwko wyrosła na piasku mała kolczasta kępka trawy. Wczoraj jeszcze nędzna i ponura, dziś zakwitła drobnymi białymi kwiatkami. W powietrzu unosiła się słodka woń kwitnących w dali drzew pomarańczowych i cytrynowych. Wyszedłem i zrobiłem kilka kroków naprzód. Nie mogłem się nasycić tym wiecznie odnawiającym się cudem.

Nagle usłyszałem za sobą radosny okrzyk. Obejrzałem się. Półnagi Zorba zerwał się na nogi, stanął w drzwiach i pełen wzruszenia witał wiosnę.

— Co się dzieje, szefie! — zawołał zdumiony. — Słowo daję, pierwszy raz widzę świat! Co to za cudo, szefie, ten lazur, który kołysze się het, daleko? Jak to się nazywa? Morze? Morze? A to w zielonym fartuchu w kwiatki? Ziemia? Jaki artysta to stworzył? Słowo daję, szefie, pierwszy raz to wszystko widzę!

Jego oczy napełniły się łzami.

— Cóż to, Zorbo? — zawołałem. — Straciłeś głowę?

— Nie śmieję się! Nie widzisz, że to są jakieś czary?

Wybiegł na dwór, zaczął tańczyć i tarzać się w trawie jak żrebak na wiosnę.

Wyjrzało słońce, wyciągnąłem dłonie, żeby je ogrzało. Nabrzmiwały pączki, wzbierały piersi ludzkie, dusza rozkwitała niby drzewo, czuło się, że ona i ciało ulepione są z jednej gliny.

Zorba podniósł się z trawy z włosami pełnymi rosy i grudek ziemi.

— Prędszej, szefie! — przynaglał. — Ubierzemy się ładnie, wyelegantujmy, przecież dzisiaj mamy uroczystość poświęcenia kolejki. Wkrótce zjawi się pop i czcigodni gospodarze. Wstyd będzie dla naszego przedsiębiorstwa, jeśli zobaczą, jak tarzamy się w trawie! A więc szybko — sztywne kołnierzyki i krawaty! Przywdziewamy maskę powagi! Głowy można nie mieć, wystarczy, gdy będzie kapelusz... Ten świat godny jest tylko splunięcia.

Zaledwie ubraliśmy się, przyszli robotnicy i zaproszeni gospodarze.

— Bądź rozsądny, szefie, i nie śmieję się. Inaczej wydamy się im dziwaczeni.

Na czele gości kroczył pop Stefanos w zatłuszczonej sutannie z bezdennymi kieszeniami. Podczas święceń, pogrzebów, ślubów i chrzcin rzucał w te otchłanie wszystko, co mu dawano — rodzynki, obarżanki, pierożki z serem, ogórki, pulpety z mięsa, cukierki, a wieczorem stara popadia zakładała okulary i segregowała to wszystko, cały czas chrupiąc.

Za popem Stefanosem szła starszyzna wiejska: właściciel knajpki Kontomanolios, uznany za światowca, ponieważ dotarł aż do portu Chania i na własne oczy widział księcia Jerzego, spokojny i uśmiechnięty wuj Anagnostis w śnieżnobiałej koszuli z szerokimi rękawami. Dalej — poważny, dostojny nauczyciel z laską, za nimi zaś ciężkim, powolnym krokiem szedł Mavrantonis w czarnej chuście na głowie, czarnej koszuli i butach. Półgębkiem wymamrotał pozdrowienie i zgorzkniały, ponury zatrzymał się w pewnej odległości, odwrócony plecami do morza.

— W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa — powiedział Zorba uroczystym tonem.

Stanął na czele orszaku, a za nim ruszyli wszyscy w pobożnym skupieniu.

W tych chłopskich piersiach ożywały odwieczne wspomnienia pradawnych magicznych obrzędów. Wszyscy mieli oczy utkwione w popa, jakby oczekiwali, że ujrzą, jak mierzy się z niewidzialnymi siłami i zwycięża. Przez tysiące lat czarownik wznosił swe ramiona i rozpryskiwał w powietrzu wodę, szepcząc tajemne,

wszechmocne słowa; złe demony uciekały, a dobre wylaniały się z odmętów wód, z ziemi i powietrza, przychodząc człowiekowi na pomoc. Dotarliśmy do wykopanego w pobliżu morza dołu, w którym miał być umieszczony pierwszy filar kolejki. Robotnicy przydźwigali ogromny pień sosny i pionowo osadzili go w wykopie. Pop Stefanos założył stulę, ujął kropidło i wpatrzony w pień zaintonował słowa zaklęcia:

— ...I niech się stanie jak potężna skała, której ani wiatr, ani woda nie wzruszą... Amen!

— Amen! — zawołał Zorba grmiącym głosem i przeżegnał się.

— Amen! — szepnęła starszyzna.

— Amen! — rzekli na ostatku robotnicy.

— Niech Bóg błogosławi wasze dzieło i ześle wam bogactwa Abrahama i Izaaka!

— ciągnął pop Stefanos, któremu Zorba wsunął w garść papierowy banknot.

— Przyjmij moje błogosławieństwo! — mruknął na to z zadowoleniem pop.

Wróciliśmy do baraku, gdzie Zorba przygotował poczęstunek: wino i zakąski stosowne na czas postu — prażony bób, ostrygi, ośmiornice i oliwki. Potem oficjalne osobistości ruszyły do domu wzdłuż wybrzeża. Obrzęd był skończony.

— Wybrnęliśmy z tego! — rzekł Zorba, zacierając ręce. Rozebrał się, naciągnął roboczy kombinezon i chwycił kilof.

— Chodźmy, chłopcy — wezwał robotników. — Przeżegnać się i naprzód w imię boże!

Przez cały dzień Zorba nie podniósł nawet głowy, pracując zaciekle. Robotnicy kopali co pięćdziesiąt metrów doły, wbijali pale i ciągnęli linę z boczem górskim w kierunku szczytu. Zorba mierzył, obliczał, wydawał rozkazy. Nie jadł, nie palił. Ani razu nie odpoczął tego dnia. Oddał się całkowicie pracy.

— Wykonywana w połowie praca — mówił mi kiedyś — wyrażane w połowie myśli, półgrzesznicy i półświęci doprowadzili ten świat do opłakanego stanu, w jakim się dziś znajduje. Idź prosto do celu, wal śmiało, nie bój się, a zwyciężysz! Bóg bardziej nienawidzi półdiabła niż arcydiabła! Wieczorem, wróciwszy z pracy, półżywy ze zmęczenia położył się na plaży.

— Tutaj będę spał — oznajmił — by o świcie znów zabrać się do roboty. Trzeba będzie postawić nocną zmianę.

— Po co taki pośpiech, Zorbo? Chwilę się wahał, zanim odrzekł:

— Po co? Po prostu chcę zobaczyć, czy dobrze wymierzyłem kąt nachylenia. Jeśli chybiłem, już po nas, szefie. Im szybciej sprawdzę, tym lepiej!

Jadł spiesznie, łakomie — i po chwili wybrzeże rozbrzmiało echem jego chrapania. Ja dość długo nie mogłem zasnąć, patrzyłem więc w gwiazdy świecące na niebie. Cały nieboskłon pełen gwiazdzistych konstelacji przesuwał się powoli na północ, a moja głowa niby kopuła obserwatorium astronomicznego podążała za nim. “Obserwuj ruch gwiazd, jakbyś się poruszał wraz z nimi”. To zdanie Aureliusza wypełniło moje serce poczuciem harmonii.

21.

Nadeszła Wielkanoc. Zorba ubrał się odświętnie. Włożył długie, wełniane skarpety buraczkowego koloru, które zrobiła mu na drutach jakaś jego przyjaciółka z Macedonii. Chodził nerwowo tam i z powrotem po wzgórzu położonym nie opodal naszego wybrzeża. Przykładał do czoła dłoń niby daszek nad gęstymi brwiami i popatrywał daleko w stronę wsi.

Spóźnia się, stara foka... Spóźnia łotrzyca... Spóźnia ten łachman zdarty w strzępy.

Świeżo wylęgły motylek, próbując swych skrzydeł, siadł na wąsach Zorby, ale ten poruszył nozdrzami i motyl spokojnie odleciał, znikając w słonecznej smudze.

Czekaliśmy na *madame* Hortensję, z którą mieliśmy święcić wspólnie ten dzień. Upiekliśmy na rożnie jagnię, rozpostarliśmy na piasku białe prześcieradło, przygotowaliśmy różnokolorowe pisanki. Na pół żartobliwie i na pół ze wzruszeniem postanowiliśmy przygotować tego dnia uroczyste przyjęcie na cześć Bubuliny. Tęga, pachnąca, nieco nadgryziona zębem czasu syrena miała dla nas jakiś dziwny urok na tej pustej plaży. Bez niej czegoś nam brakło — zapachu wody kwiatowej, czerwonej szminki, kaczego, kołyszącego się chodu, ochryplego głosu i dwojga wyblakłych, pełnych gorzkiego smutku oczu.

Narwaliśmy gałęzi mirtu i wawrzynu, wznieśliśmy łuk triumfalny, pod którym miała przejść, zatknęliśmy weń cztery flagi — angielską, francuską, włoską i rosyjską — a pośrodku, najwyżej, długie białe prześcieradło zdobne niebieskimi wstążkami. Nie mieliśmy, oczywiście, armat, ale zdecydowaliśmy się, że będziemy oczekiwać jej na wzgórzu i skoro zobaczymy z dala naszą kołyszącą się fokę, człapiącą po wybrzeżu, damy salwę honorową z dwóch pożyczonych karabinów. Pragnęliśmy wskrzesić na tym bezludnym wybrzeżu jej minioną świetność, chcieliśmy, by choć przez chwilę miała złudzenie, że znowu jest młodą kobietą o brzoskwiniowej, jędrnej piersi, obutą w lakierowane sandały i jedwabne pończoszki. Jaką wartość miałyby Zmartwychwstanie Pańskie, gdyby nie było ono hasłem do wskrzeszenia w nas młodości i szczęścia, do powrotu starej kokoty w jej dwudziestą wiosnę?

— Spóźnia się stara foka, łotrzyca, łachman podarty w strzępy... — pomrukiwał co chwila Zorba i podciągał opadające buraczkowe skarpety.

— Siadaj, Zorbo! — powiedziałem. — Wypal papierosa w cieniu drzewa

świętojańskiego. Tylko jej patrzeć.

Rzucił ostatnie, wyczekujące spojrzenie w stronę drogi prowadzącej do wsi i wyciągnął się pod drzewem. Zbliżało się południe, było gorąco. W oddali brzmiały radosne, szybkie uderzenia dzwonów. Od czasu do czasu wiatr przynosił dźwięki strun kreteńskiej liry. Cała wioska huczała gwarem niby wiosenny rój w ulu. Zorba potrząsnął głową:

— Minęły już te czasy, kiedy moja dusza odradzała się wraz z Chrystusem w każde Wielkanocne Święta! Minęły bezpowrotnie! Teraz zmartwychwstaje już tylko moje ciało. Oczywiście, ktoś stawia kolejkę, ktoś inny częstuje: "Weź jeszcze i ten kąsek", więc pochłaniam mnóstwo smacznych potraw, które nie całkiem zamieniają się w nawóz. Coś z tego zostaje i przeistacza się w dobry humor, taniec, piosenki i żarty — i to jest coś, co nazywam zmartwychwstaniem.

Zerwał się znów, omiół wzrokiem horyzont i mruknął nadąsany:

— Jakieś dziecko biegnie.

Potem ruszył na spotkanie gońca.

Malec, wspiąwszy się na palce, szepnął coś do ucha Zorby, który wybuchnął z pasją:

— Chora?! — ryknął. — Chora? Uciekaj, bo cię stłukę na kwaśne jabłko!

Po czym zwrócił się do mnie:

— Szefie, pobiegnę do wsi i zobaczę, co się stało tej wyliniałej foce... Chwileczkę, daj dwie pisanki, podzielimy się nimi, jak każe obyczaj. Zaraz wracam!

Wsunął do kieszeni czerwone pisanki, podciągnął buraczkowe skarpety i ruszył w drogę.

Zszedłem z pagórka i położyłem się na wilgotnym żwirze. Dął lekki wiaterek, powierzchnia morza pokryła się drobnymi zmarszczkami, dwie mewy z krągłymi gardziółkami kołysały się na falach, ulegając żywiołowo rytmowi morza.

Wyobraziłem sobie, jaką przyjemność sprawia im świeżość wody, opływającej ich brzuszki. Obserwowałem je i myślałem: "Oto godna naśladowania droga — wyczuć rytm natury i ufnie, mu ulegać".

Zorba zjawił się po upływie godziny. Z zadowoleniem głąskał wąsy.

— Przeziębła się biedaczka. Nic poważnego. Mimo że jest heretyczką, przez cały Wielki Tydzień chodziła na nocne modlitwy, ofiarowawszy to na moją intencję. No i przeziębła się. Postawiłem jej bańki, natarłem dobrze oliwą z wiecznej lampki, dałem szklaneczkę rumu i jutro już będzie zdrowa jak ryba. Ta szkapa swoją drogą

jest zabawna. Trzeba było słyszeć, jak gruchała niczym gołębica, kiedy ją nacierałem, a prawdę mówiąc — łaskotałem.

— Jej zdrowie! Żeby jej diabli tak szybko nie wzięli! — powiedział z czułością.

Przez czas jakiś jedliśmy i piliśmy w milczeniu. Wiatr przynosił z dali namiętne niby brzęczenie pszczoł dźwięki liry. Na tarasach Chrystus jeszcze zmartwychwstawał, a wielkanocne jagnię i placki przeistaczały się w pieśni miłosne. Gdy Zorba najadł się już i napił do syta, nastawił włochate ucho:

— Lira... — mruknął. — Na wsi tańczą!

Zerwał się nagle, wino uderzyło mu do głowy.

— Powiedz, dlaczego siedzimy tu nastroszeni jak sowy? — krzyknął. — Chodźmy potańczyć! Nie szkoda jagnięcia? Pozwolisz, aby się obróciło w nawóz?! Chodźmy! Niech się przemieni w taniec i piosenkę! Zorba zmartwychwstał!

— Zorba! Ty idioto! Poczekaj! Oszalałeś?

— Słowo honoru, szefie, osobiście mi na tym nie zależy, ale żal mi jagnięcia, pisanek, wielkanocnych placków i twarogu ze śmietaną. Przysięgam, że gdybym się napchał tylko chlebem i oliwkami, powiedziałbym: "Czas spać, nic mi po zabawie! Przecież to oliwki i chleb — nic nadzwyczajnego". Ale szkoda byłaby ogromna, gdyby takie smaczne kąski poszły na marne! Chodźmy uczcić Zmartwychwstanie, szefie!

— Dzisiaj nie mam humoru, idź sam i tańcz za nas obu!

Zorba chwycił mnie za ramię i dźwignął w górę:

— Chrystus zmartwychwstaje, chłopcze! Ech, gdybym miał twoje lata! Leciałbym wszędzie na złamanie karku — robota, kobieta czy wino! Nie bałbym się ani diabła, ani Boga! Ot, czym jest młodość!

— Jagniątko przez ciebie przemawia, Zorba! Zdżiczało, zmieniło się w wilka!

— Mój drogi, Jagniątko przemieniło się w Zorbę i mówię ci, że to Zorba gada! Posłuchaj, a potem możesz mnie zwymyślać. Jestem Sindbadem Żeglarzem nie dlatego, że przewędrowałem kawał świata, wcale nie! Ale dlatego, że kradłem, zabijałem, kłamałem i spałem z mnóstwem kobiet. Złamałem wszystkie przykazania. Ile ich było? Dziesięć? Szkoda, że nie więcej: dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto! Podeptałbym wszystkie! A jednak jeśli istnieje Bóg, wcale nie ulękę się stanąć przed jego obliczem, kiedy nadejdzie czas. Nie wiem, jak to powiedzieć, żebyś zrozumiał. Wydaje mi się zresztą, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Czy Bóg zniżyłby się, aby obdarzyć zainteresowaniem jakieś tam ziemskie robaki i sporządzać rachunek z ich życia? I jeszcze denerwować się, robić sobie złą krew tylko dlatego, że postąpiło się

zdroźnie z robakiem-samiczką, należąca do sąsiada, lub że zjadło się kawałek mięsa w Wielki Piątek! Precz z wami, obłudne klechy!

— Zgoda, Zorbo — rzekłem, żeby go rozzłościć. — Zgoda, Bóg nie pyta, co jadłeś, pyta jednak, co robiłeś!

— A ja ci mówię, że nawet nie wspomni o tym! “Skąd wiesz, durny Zorbo?” — zapytasz. Wiem z pewnością, bo gdybym, dajmy na to, miał dwóch synów: jednego posłusznego, gospodarnego, oszczędnego, bogobojnego, a drugiego utracjusza, kobieciarza i łotra nie liczącego się z prawem, bez wahania posadziłbym obu przy swoim stole. Ale nie wiem, dlaczego serce oddałbym drugiemu. Może dlatego, że byłby podobny do mnie. A kto ci powiedział, że nie jestem stworzony bardziej na obraz i podobieństwo Boga niż pop Stefanos, który dnie i noce spędza na modlitwie i ciułaniu grosza?

Bóg oddaje się zabawie, zabija, popełnia zdrożne uczynki, kocha, pracuje, goni za tym, co nieuchwytnie — zupełnie jak ja. Je to, co lubi, wybiera kobietę, jaką zechce. Widzisz, na przykład, przechodzącą tuż obok piękną jak źródłana woda dziewczynę i twoje serce wzbiera uczuciem. A tu nagle ziemia rozstępuje się i dziewczyna znika. Dokąd poszła? Kto ją wziął? Jeśli była cnotliwa, mówi się: “Bóg ją powołał do siebie”, jeśli występna: “Porwał ją diabeł”. A ja, szefie, mówię i będę ci to nieustannie powtarzał: Bóg i diabeł są jednym i tym samym!

Milczałem, zagryzając wargi, aby powstrzymać cisnący mi się na usta krzyk. Co miał wyrażać? Przekleństwo, radość, rozpacz czy wyzwolenie? Zorba wziął laskę, włożył zawadiacko na bakier czapkę, spojrzał na mnie ze współczuciem — tak mi się przynajmniej wydało — i przez chwilę poruszał wargami, jakby chciał coś dodać. Nie powiedział jednak nic, tylko ruszył szybko w stronę wsi.

W świetle zachodzącego słońca widziałem jego ogromny cień, poruszający się po kamieniach. Wymachiwał laską. Stąpanie jego ożywiało całe wybrzeże. Przez pewien czas wyteżiałem słuch, łowiąc odgłos jego cichnących powoli kroków. Nagle zrozumiałem, że pozostałem sam, i skoczyłem na równe nogi. Dlaczego? Aby iść. Dokąd? Nie wiedziałem. Mój umysł nie podjął żadnej decyzji. To tylko ciało samo poderwało się w górę. To ono postanawiało, nie pytając mnie o zdanie.

— Naprzód! — powiedziało, jak gdyby rozkazując.

Szedłem prosto do wsi szybkim i stanowczym krokiem. Od czasu do czasu przystawałem, żeby odetchnąć wiosennym powietrzem. Ziemia pachniała rumiankiem, w miarę jak zbliżałem się do sadów, otaczała mnie woń kwitnących

drzew cytrynowych, pomarańczowych i laurowych. Po zachodniej stronie nieboskłonu rozpoczęła już swój taniec pierwsza wieczorna gwiazda.

“Morze, kobieta, wino, twarda praca — szeptałem mimo woli słowa Zorby. — Morze, kobieta, wino, twarda praca! Rzucić się na złamanie karku w pracę, wino, miłość, nie lękać się Boga ani diabła... Oto co znaczy młodość!” Powtarzałem te słowa, jakbym chciał dodać sobie otuchy, i szedłem dalej.

W pewnej chwili zatrzymałem się nagle, jakbym już dotarł do celu. Dokąd? Rozejrzałem się. Zobaczyłem sad wdowy. Za trzciniowym płotem i koleczastymi akacjami słodki głos kobiecey nucił jakąś melodię. Zbliżyłem się i rozsunąłem trzciny. Pod drzewem pomarańczowym stała kobieta ubrana w czarną wydekoltowaną suknię i śpiewając obcinała ukwiecone gałązki. W mroku lśniła biel jej wpółobnażonych piersi.

Wstrzymałem oddech. “Niebezpieczna bestia — pomyślałem. — Wie o tym, że jest niebezpieczna! Jakimi nieszczęśliwymi, szalonymi, nieodpornymi istotami są wobec niej mężczyźni! Jak niektóre owady, jak jej imienniczka «czarna wdowa», jak modliszka, jak pewien gatunek pajaków — i ona żarłoczna, nienasycona, musi w końcu pożreć swego samca!”

Czyżby wdowa wyczuła moją obecność? Nagle przerwała swoją piosenkę i obejrzała się. Spojrzenia nasze skrzyżowały się na mgnienie krótsze niż błyskawica. Nogi ugięły się pode mną, jakbym za trzciniowym płotem ujrzał tygrysicę...

— Kto tam? — zapytała stłumionym głosem.

Narzuciła chustkę i zasłoniła pierś, jej twarz spochmurniała.

Chciałem odejść, ale słowa Zorby zawładnęły nagle moim sercem. Odzyskałem siły. “Morze, kobieta, wino...”

— To ja — odparłem, — Ja, otwórz!

Zaledwie wymówiłem te słowa, ogarnął mnie lęk. Znów zapragnąłem stąd uciec, ale wstyd powstrzymał mnie od tego.

— Kim jesteś?

Zrobiła krok naprzód, krok powolny, ostrożny, bezszelestny. Wyciągnęła szyję i przymrużyła oczy, żeby móc lepiej widzieć, i nachylona do przodu postąpiła jeszcze jeden krok, jakby się czając.

Nagle jej twarz pojaśniała... Wdowa koniuszkiem języka zwilżyła wargi.

— Szef? — zapytała łagodniejszym głosem.

Zrobiła jeszcze jeden krok i przystanęła, jakby gotowa do skoku.

- Szef? – zapytała głucho.
- Tak.
- Chodź!

Był już biały dzień. Zorba wrócił i siedział przed barakiem. Zapatrzony w morze, palił papierosa, jak gdyby czekał na mnie.

Gdy tylko przyszedłem, podniósł głowę i wpatrzył się we mnie. Nozdrza jego drgały jak u gończego psa, wyciągnął szyję, zaczerpnął tchu i węszył. Nagle jego twarz zajaśniała, jakby wyczuł zapach wdowy. Wolno powstał, zaśmiał się całą gębą i wyciągnął do mnie ramiona:

- Moje błogosławieństwo! – rzekł.

Położyłem się i zamknąłem oczy, słuchałem spokojnego, podobnego do rytmu kołysanki oddechu morza i czułem, że wznoszę się na jego fali. I tak słodko kołysany pogrążyłem się w drzemkę. Przyśniła mi się czarna olbrzymka siedząca w kucki na ziemi. Wyglądała jak gigantyczna stara świątynia z granitu. Krążyłem z lękiem wokół niej, szukając wrót. Wzrostem ledwo sięgałem wielkiego palca jej stopy. Niespodziewanie, gdy mijałem jej piętę, ujrzałem czarną bramę podobną do pieczary i usłyszałem gruby rozkazujący głos:

- Chodź!

I wszedłem.

Okolo południa obudziłem się. Promienie słońca, które wtargnęły przez okno, zatopiły w złocie pościel i z taką siłą odbijały się w zawieszonym na ścianie lusterku, iż zdawało się, że roztrzaskają je na tysiąc kawałków.

Przypomniałem sobie sen o potężnej Murzynce. Morze szemrało, przymknąłem oczy i wydawało mi się, że jestem szczęśliwy. Ciało moje przenikało uczucie lekkości i zaspokojenia. Było niby zwierzę, które złowiwszy zdobycz, teraz oblizuje się po niej, grzejąc się na słońcu. Umysł wypoczywał równie syty jak ciało. Zdawać by się mogło, że na dręczące go pytania znalazła się cudownie prosta odpowiedź.

Cała radość, wynikająca z minionej nocy, wypływała z najgłębszego wnętrza mojej istoty, rozlewała się szeroko i zraszała glebę, z której powstałem. Leżąc z zamkniętymi oczami, miałem uczucie, że słyszę trzask skorupy, z której wykluwa się rosnąc moja jaźń. Wczorajszej nocy stwierdziłem nieodparcie, że dusza też jest ciałem, może bardziej lotnym, bardziej przejrzystym i swobodniejszym, lecz jednak ciałem. I że ciało jest duszą, może bardziej senną, strudzoną wędrówką długimi

drogami, obarczoną ciężkim dziedzictwem, ale duszą, która w przełomowych chwilach budzi się, mężnieje i rozpościera szeroko jak skrzydła wszystkie swoje pięć zmysłów.

Poczułem, że pada na mnie jakiś cień. Otworzyłem oczy: w drzwiach stał Zorba i spoglądał na mnie z zadowoleniem.

— Śpij, szefie! Śpij, mój chłopcze... — powiedział cicho z istic matczyną czułością. — Dzisiaj jeszcze jest dzień święta, śpij!

— Wyspałem się już — odparłem wstając.

— Zrobię kogel-mogel — rzucił roześmiany Zorba. — Wzmocni cię to.

Bez słowa pobiegłem nad morze, skoczyłem do wody, potem osuszyłem się na słońcu. Ale ciągle czułem słodki przenikliwy zapach w nozdrzach, na wargach, na opuszkach palców. Zapach kwiatu pomarańczowego czy olejku laurowego, którym kobiety na Krecie smarują włosy.

Wczoraj wdowa zerwała naręcz kwitnących gałązek z drzewa pomarańczowego, by zanieść je wieczorem, gdy wieśniacy tańczą na placyku w cieniu srebrnych topoli i kościół jest pusty, przed ołtarz Chrystusa. Obraz nad jej łóżkiem też ozdobiony był kwieciami pomarańczy, a spośród niego wyzierało cierpiące oblicze Madonny, o wielkich oczach w kształcie migdałów.

Zorba postawił obok filizankę z utartym żółtkiem, położył dwie duże pomarańcze i mały wielkanocny placek. Usługiwał mi bezszelestnie jak matka troszcząca się o syna, który powrócił z wojny. Rzucił mi jeszcze jedno ciepłe spojrzenie i odszedł:

— Wbiję kilka słupów — powiedział.

Jadłem spokojnie, pogrążony w blasku słońca i uczuciu fizycznej rozkoszy, jakbym unosił się na falach chłodnego, zielonego morza. Nie chciałem dopuścić, żeby umysł mój zawładnął tą rozkoszą i zmeł ją w swych trybach, czyniąc z niej myśl. Pozwalałem, aby ciało od stóp aż do głów oddawało się radości jak zwierzę. Chwilami tylko w uniesieniu podziwiałem cuda tego świata wokół mnie i we mnie samym. "Jak to jest? — mówiłem sobie. — Jak to się dzieje, że świat tak doskonale harmonizuje z naszymi nogami, rękoma, łonem?" Znow zamykałem oczy i milkłem.

Nagle zerwałem się, wszedłem do baraku i wziąłem rękopis poematu o Buddzie. Kończyłem go: Budda, leżąc pod kwitnącym drzewem, podniósłszy rękę rozkazał pięciu żywiołom, z których był stworzony — ziemi, wodzie, ogniewi, powietrzu i duchowi — rozplnąć się w nicość.

Niepotrzebna mi już była ta przejmująca lękiem postać. Myśl o niej należała do przeszłości. Dobiegła kresu moja służba Buddzie. I ja podniosłem rękę, rozkazując mu rozpląnąć się we mnie.

W pośpiechu, posługując się potęgą słowa, równą czarodziejskiemu zaklęciu, unieczniewiałem jego ciało, duszę, myśl... Bezlitośnie nabazgrałem ostatnie słowa, ostatni okrzyk — i czerwonym, grubym ołówkiem nakreśliłem swoje nazwisko. Skończyłem.

Rękopis związałem mocno grubym sznurem. Doznałem dziwnej radości, jakbym spętał nogi i ręce groźnego wroga. Było to zarazem uczucie, jakiego doznają ludzie pierwotni, kiedy wiążą ciała swoich ukochanych zmarłych, aby nie mogli wyjść z mogił i przeistoczyć się w upiory.

Przybiegła bosonoga dziewczynka w żółtej sukieneczynie, ściskając mocno w rękę czerwoną pisanekę. Stanęła i spojrzała na mnie z przestraczem.

— A więc? — zapytałem z uśmiechem, aby ją ośmielić. — Czego sobie życzysz!

Nabrała tchu i zaszczebotała cieniutkim, zadyszczanym głosem:

— *Madame* mnie przysłała, żebym ci powiedziała, że masz przyjść do niej. Leży w łóżku, biedaczka. Ty jesteś Zorba?

— Dobrze — odparłem. — Idę.

Włożyłem drugą pisanekę w jej piąstkę. Zacisnęła ją i uciekła.

Podniosłem się i ruszyłem w drogę. Gwarne odgłosy ze wsi dobiegały mnie coraz wyraźniej — słodki dźwięk liry, okrzyki, wystrzały, świąteczne pieśni. Gdy dotarłem do placyku, chłopcy i dziewczęta zebrali się już pod wiosennym listowiem topoli i przygotowywali do tańca. Starcy, przyglądając się, siedzieli dookoła na ławkach, wsparłszy na swych laskach brody. Z tyłu, nieco dalej za nimi, stanęły stare kobiety. W kole tancerzy królował słynny lirnik, Fanurios, z zatkniętą za uchem kwietniową różą. Lewą ręką podtrzymywał lirę opartą na kolanie, prawą próbował smyczka, ozdobionego dzwoneczkami o silnym dźwięku.

— Chrystus zmartwychwstał! — krzyknąłem przechodząc.

— Zaiste zmartwychwstał! — odpowiedział mi wesoły chór męskich i kobiecych głosów.

Obrzuciłem tancerzy szybkim spojrzeniem: gibcy, dobrze zbudowani młodzieńcy w szerokich szarawarach, z opasującymi głowy chustkami, których frędzle spadały im na czoło i skronie niby wijące się pasma włosów, i dziewczęta ze sznurami cekinów na szyjach, w białych haftowanych chustach, spojierające na chłopców

ukradkiem spod spuszczonej rzesy i niecierpliwie się w oczekiwaniu na taniec.

— Dlaczego nie raczysz pozostać z nami, szefie? — zapytało mnie kilka głosów, ale przeszedłem obok nich.

Madame Hortensja leżała na swoim szerokim łóżku, jedynym sprzęcie, który pozostał jej wierny. Policzki jej płonęły gorączką, kaszel rozdzierał pierś.

Na mój widok od razu westchnęła płaczliwie:

— A Zorba, kumie, Zorba?...

— Zachorował: Od dnia, kiedy się rozchorowałaś, i on choruje. Trzyma twoją fotografię i patrzy na nią wzdychając.

— Mów... Mów jeszcze... — szepnęła biedna syrena, przymykając oczy ze szczęścia.

— Przesłała mi, abym zapytał, czy niczego ci nie trzeba... Przyjdzie sam dzisiejszego wieczoru, chociaż ledwo powłóczy nogami... Nie może znieść rozłąki z tobą.

— Mów... Mów... Mów jeszcze...

— Dostał depezę z Aten — ślubna suknia gotowa, wianek i pantofelki też. Wysłano je statkiem, lada dzień nadejdą... Białe woskowe świece z różowymi wstęgami też...

— Mów... Mów... Mów dalej...

Ale szybko zmorzył ją sen, oddech stał się chrapliwy, zaczęła majaczyć. Pokój wypełniała woń wody kolońskiej, amoniaku i potu, przez otwarte okienko dolatywał z podwórka ostry zapach odchodów z kurnika i króliczych klatek.

Wstałem, chcąc się wymknąć po cichu. Przy drzwiach wpadłem na Mimitosa. Był tego dnia w nowych butach i w niebieskich szarawarach. Za uchem miał zatkniętą gałązkę bazylii.

— Mimitosie — powiedziałem. — Biegnij do miasteczka i sprowadź lekarza.

Mimitos ściągnął buty, żeby ich nie zniszczyć w drodze, i wsadziwszy pod pachę, ścisnął kurczowo.

— Idź do lekarza, pozdrów go ode mnie i powiedz, żeby zaprzęgał kobyłę i niezwłocznie przyjechał. Powiedz mu, że *madame* jest ciężko chora, przeziębła się, gorączkuje biedaczka i jest bliska śmierci. To wszystko, leć!

— Już lecę!

Splunął w dłonie, klasnął uradowany, ale nie ruszał się z miejsca. Patrzył na mnie z uśmiechem.

— Zmykaj, mówię ci!

On jednak w dalszym ciągu nie ruszał się, mrugnął tylko okiem i uśmiechnął się drwiąco.

— Szefie — powiedział. — Zniosłem do twego domu butelkę perfum... To prezent.

Stał jeszcze przez chwilę, czekając, aż go zapytam, kto mi je przysłała, ja jednak milczałem.

— Nie chcesz wiedzieć, od kogo ten dar, szefie? — rzekł chichocząc. — Powiedziała, żebyś skropił swoje włosy, by pięknie pachniały.

— Milcz i leć szybko!

Zarechotał i splunął w dłonie:

— Hop! Hop! — zawołał. — Wesołego Alleluja! — i zniknął.

22.

Wielkanocna zabawa pod topolami osiągnęła swój szczyt. Rej wodził żywy, mocny dwudziestoletni brunet z policzkami pokrytymi pierwszym zarostem, nie tkniętym jeszcze brzytwą. W wycięciu koszuli widniała jego pierś, pokryta gęstym, skręconym włosiem. Głowę trzymał odchyloną do tyłu, nogi dotykały ziemi lekko, jakby frunął. Od czasu do czasu rzucał spojrzenie na którąś z dziewcząt, a wtedy na jego spalonej słońcem twarzy lśniły niepokojąco białka oczu. Patrzyłem na niego z przyjemnością, ale zarazem z przerażeniem.

Wracałem od *madame Hortensji*. Sprowadziłem jakąś kobietę i prosiłem, żeby się nią zajęła, a teraz, uspokojony, szedłem popatrzeć na tańczących Kreteńczyków. Zbliżyłem się do wuja Anagnostisa i usiadłem obok niego na ławie.

— Kim jest ten chwat, który rej wodzi w tańcu? — spytałem go szeptem.

Wuj Anagnostis zaśmiał się.

— Ten nicpoń jest jak archanioł, który łowi dusze — rzekł z uznaniem. — To pasterz Syfakas. Przez cały rok pilnuje stada w górach i tylko na Wielkanoc schodzi, aby spotkać się z ludźmi i potańczyć.

Westchnął.

— Ech, gdybym miał jego młodość! — szepnął. — Gdybym miał jego młodość, słowo honoru, że zdobyłbym szturmem Konstantynopol!

Młodzieniec potrząsnął głową i wydał przeciągły nieludzki okrzyk, przypominający głos jelenia na rykowisku.

— Jazda, Fanurios! — krzyknął. — Graj na pohybel śmierci!

Śmierć ginęła zawsze i zawsze odradzała się na nowo jak życie. Pod okrytymi wiosenną zielenią drzewami — topolami, sosnami, dębami, platanami i wysmukłymi palmami — od tysięcy lat tańczą i tańczyć będą jeszcze lat tysiące chłopcy z twarzami płonącymi pożądaniem i dziewczęta. Ciała ich zmieniają się, obracają w proch, z powrotem łączą się z ziemią, z której powstały, ale przychodzą na ich miejsce wciąż nowi. Są jak wciąż ten sam tancerz o tysiącach twarzy. Zawsze ma dwadzieścia lat. Jest nieśmiertelny!

Młodzieniec podniósł rękę, jakby chciał podkręcić wąsa, ale nie znalazł go.

— Graj mi, chłopcze! — krzyknął znowu. — Graj, Fanuriosie, bo mnie rozsadzi!

Lirnik pociągnął po strunach, lira dźwięczała, zawtórowały jej dzwonki.

A młodzieniec skoczył wysoko, trzykrotnie stuknął obcasami w powietrzu i zerwał białą chustkę z głowy swego sąsiada, strażnika Manolakasa.

— Brawo, Syfakasio! — krzyknęli wszyscy chórem, a dziewczęta drząc spuściły wstydliwie oczy.

Ale młodzieniec nie patrzył na nikogo. Tańczył teraz z hamowanym ogniem, oparłszy lewą rękę na szczupłych, ale mocnych biodrach i wbiwszy wzrok skromnie w ziemię.

Taniec zakłócił nagle stary kościelny Antrulios. Biegł wznosząc ręce do góry.

— Wdowa! Wdowa! Wdowa! — wołał zadyszany.

Strażnik Manolakas pierwszy przerwał taniec i podbiegł do niego. Z placu widać było kościół ozdobiony jeszcze mirtem i laurem. Rozochoceni tancerze zatrzymali się, starcy dźwignęli się z ław, Fanurios położył lirę na kolanach, wyciągnął zza ucha kwietniową różę i powąchał ją.

— Gdzie ona jest, Antruliosie? — wołali ogarnięci złością. — Gdzie?

— W kościele, ot, tylko co weszła ta nędznica z naręczem kwiecia pomarańczy.

— Chłopaki! Biegniemy! — wrzasnął strażnik i skoczył pierwszy.

Właśnie w tej chwili wdowa stanęła na progu kościoła. Miała na głowie czarną chustę. Przeżegnała się.

— Nędznica! Ladaczniczka! Zbrodniarka! — krzyczał tłum na placu. — Jeszcze ma czelność pokazywać się tutaj, ta zakała naszej wioski!

Jedni ruszyli za strażnikiem w stronę kościoła, inni zaczęli rzucać w nią z góry kamieniami. Jeden trafił ją w ramię. Krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła rękami twarz. Kuląc się, próbowała uciec, lecz młodzieńcy byli już przed bramą prowadzącą na dziedziniec. Manolakas wyciągnął nóż.

Wdowa cofnęła się, krzyżąc rozpaczliwie. Potykając się, padając i podnosząc biegła, aby schronić się w kościele. U wejścia stał jednak stary Mavrantonis i milcząc z roz-krzyżowanymi ramionami zagrażał jej dostęp do drzwi.

Wdowa skoczyła w lewo i przywarła do wielkiego cyprysa, rosnącego na dziedzińcu. W powietrzu znów świsnął kamień. Tym razem uderzył ją w głowę, zrywając czarną chustę. Na ramiona kobiety rozsypały się rozpuszczone włosy.

— Na miłość boską! Na miłość boską! — jęczała wdowa i coraz mocniej obejmowała cyprys.

Stojące rzędem na placu dziewczęta gryzły końce białych chustek i chciwie patrzyły. Staruchy uczezione płotów wrzeszczały przeraźliwie:

— Zabijcie ją! Zabijcie ją wreszcie!

Pierwsi dopadli jej dwaj młodzieńcy, szarpnęli, rozdzierając czarną bluzkę i obnażając śnieżnobiałą pierś. Krew z rany na głowie kobiety spływała strumieniem na czoło, policzki i szyję.

— Na miłość boską! Na miłość boską! — wołała ostatnim tchem.

Brocząca krew, bielejąca pierś — wprawiły młodych w szal. Wyciągnęli zza pasów noże.

— Stójcie — krzyknął Manolakas. — Ona należy do mnie!

Stary Mavrantonis, stojący wciąż na progu kościoła, podniósł rękę. Wszyscy znieruchomieli.

— Manolakasie — powiedział z powagą. — Krew twego kuzyna woła o pomstę. Dokonaj jej!

Zeskoczyłem z płotu, na który się przedtem wspiąłem, i pobiegłem do kościoła. W jakiejś chwili potknąłem się o kamień i runąłem jak długi na ziemię. Właśnie wtedy mijiał mnie Syfakas. Pochylił się, złapał mnie za kark jak kota i postawił na nogi.

— To nie miejsce dla ciebie — rzekł. — Zmykaj!

— Nie żal ci jej, Syfakasie, ulituj się!

Góral roześmiał mi się w twarz.

— Nie jestem babą — powiedział — żeby się litować. Jestem mężczyzną!

I jednym susem znalazł się na dziedzińcu kościelnym. Pobiegłem za nim.

Wszyscy teraz ciasno otoczyli wdowę. Panowała tak dławiąca cisza, że słychać było tylko zdyszany oddech ofiary.

Manolakas przeżegnał się i zbliżył o krok. Podniósł nóż. Staruchy uczipione płotów zawyły radośnie, dziewczęta zakryły oczy chustkami.

Wdowa podniosła wzrok i na widok noża błyskającego nad jej głową jęknęła jak prowadzona na rzeź jałówka. Uczepiona cyprysu wtuliła głowę między ramiona. Włosy jej spłynęły ku ziemi, odsłaniając lśniący bielą kark.

— Wzywam sprawiedliwości bożej! — krzyknął stary Mavrantonis i przeżegnał się.

Ale w tej właśnie chwili dał się słyszeć za nami silny głos.

— Rzuć nóż, morderco!

Wszyscy odwrócili się zaskoczeni. Manolakas podniósł głowę. Przed nim stał Zorba, wymachując wściekle rękami i krzyczał:

— Nie wstyd wam? Bohaterowie! Cała wieś zbiegła się, by zamordować jedną

kobietę! Strzeżcie się, bo okryjecie hańbą Krete!

— To nie twoja sprawa, Zorbo, nie wtrącaj się do nas! — ryknął Mavrantonis i zwracając się do siostrzeńca krzyczał:

— Manolakasie, w imię Ojca i Syna... Uderzaj!

Manolakas skoczył. Jednym uderzeniem pięści powalił wdowę na ziemię, oparł kolano o jej brzuch i podniósł nóż.

Ale Zorba błyskawicznie chwycił go za rękę i usiłował wyrwać z niej nóż drugą dłonią, owiniętą wielką chustą.

Wdowa uklękała, próbując znaleźć drogę ucieczki, ale chłopcy zatarasowali drzwi kościoła i otoczyli dziedziniec, stając nawet na ławach. Gdy spostrzegli, że chce uciec, postąpili krok naprzód, zacieśniając krąg.

Tymczasem Zorba, milcząc, walczył zwinnie i z zimną krwią. Stojąc w drzwiach, obserwowałem to z trwogą. Twarz Manolakasa zsiniała z wściekłości, Syfakas i jakiś potężny drab ruszyli mu z pomocą, jednak Manolakas, potoczywszy ze złością oczyma, krzyknął:

— Precz! Cofnijcie się! Niech nikt nie odważy się zbliżyć!

Skoczył znowu z furią na Zorbę, uderzając go głową niczym byk.

Zorba zaciął w milczeniu wargi, jak obcęgi trzymał prawą rękę strażnika, uchylając się to w lewo, to w prawo, by ochronić przed ciosami głowę. Oszalały z wściekłości Manolakas rzucił się do przodu i chwyciwszy zębami ucho Zorby, szarpnął ze wszystkich sił. Popłynęła krew.

— Zorba! — zawołałem przerażony i rzuciłem się na ratunek.

— Uciekaj, szefie! — krzyknął do mnie. — Nie wtrącaj się!

Zacisnął pięść i zadał Manolakasowi straszliwy cios w podbrzusze. Zdziczała bestia została unieszkodliwiona. Zęby rozwarły się i puściły na pół odgryzione ucho, twarz Manolakasa zszarzała. Jednym pchnięciem Zorba obalił go na ziemię, wyrwał mu nóż z dłoni i złamał go na kamieniach.

Chustą otarł ciekącą z ucha krew i twarz zlaną potem. Wyprostował się, spojrział dokoła nabiegłymi krwią oczyma.

— Wstawaj! Chodź ze mną! — zawołał do wdowy i ruszył w stronę furtki. Kobieta wyprostowała się, zebrała wszystkie siły i porwała się do skoku. Nie zdążyła. Stary Mavrantonis rzucił się na nią z szybkością błyskawicy, przewrócił ją i trzykrotnie owijając wokół swej pięści jej długie włosy, jednym cięciem odrąbał głowę.

— Ten grzech biorę na swoje sumienie! — krzyknął i rzucił głowę ofiary na próg

kościola.

Przeżegnał się.

Zorba popatrzył wokół strasznym wzrokiem. Szarpnął wąsy tak silnie, że wyrwał kłak. Podszedłem do niego i ująłem go za ramię. Pochylił się i spojrzał na mnie. Na jego rzęsach błysnęły dwie wielkie łzy.

— Chodźmy, szefie! — powiedział zdławionym głosem. Tego wieczoru nie wziął ani kęsa do ust.

— Coś mnie ściska w gardle — powiedział. — Nie przełknę nic.

Obmył ucho zimną wodą, odkaził kawałkiem waty zwilżonym wódką i obandażował. Potem siadłszy na łóżku i ukrywszy głowę w dłoniach, zadumał się głęboko.

Leżąc na podłodze oparty o ścianę, czułem ciepłe łzy, spływające mi powoli po policzkach. Umysł mój przestał pracować, nie myślałem o niczym. Płakałem jak dziecko pogrążone w głębokiej rozpacz.

Nagle Zorba podniósł głowę i wybuchnął. Zaczął krzyczeć, wyrażając na głos rozpaczliwe uczucia, które go nurtowały.

— Mówię ci, szefie, wszystko, co się dzieje na tym świecie, jest niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe! Ja, Zorba, nędzny robak, nagi ślimak, nie pogodzę się z tym! Dlaczego mają umierać młodzi, a wraki ludzkie ciągną swój żywot dalej? Dlaczego umierają małe dzieci? Miałem synka, mojego drogiego Dimitrakisa, i utraciłem go, gdy miał trzy lata. Nigdy, nigdy — słyszysz? — nigdy nie wybaczę tego Bogu! Nawet w dniu mojej śmierci, jeśli będzie miał czelność stanąć przede mną! Jeśli jest naprawdę Bogiem, powinien się wstydzić! Tak, tak, wstydzić się stanąć twarzą w twarz ze mną, najnędzniejszym ze ślimaków, Zorbą!

Usta jego wykrzywił bolesny grymas, krew znowu pociekła z rany. Zagryzł wargi, żeby nie krzyczeć.

— Poczekaj, Zorbo — uspokajałem go. — Zmienię tylko opatrunek.

Jeszcze raz obmyłem ucho wódką, sięgnąłem po leżące na moim łóżku perfumy, które przysłała mi wdowa, i namoczyłem watę.

— Perfumy o zapachu kwiatu pomarańczy — rzekł Zorba, wdychając chciwie ich woń. — Pokrop mi włosy, o tak, bardzo dobrze! I wylej mi resztę na dłoń. No, szybko!

Ożywił się. Patrzyłem na niego zdumiony.

— Wydaje mi się, że wchodzę do ogrodu wdowy — powiedział.

Ale znowu targnął nim żal.

— Ile czasu potrzeba — wyszeptał — ile czasu, żeby ziemia mogła stworzyć takie ciało! Patrząc na nią człowiek myślał: “Ach, mieć dwadzieścia lat! I pozostać tylko z nią na opustoszałej ziemi! Mieć z nią dzieci, aby znów zaludnić świat! Nie dzieci, lecz istnych bogów... A teraz...

Zerwał się. Łzy znów nabiegły mu do oczu.

— Nie wytrzymam, szefie! Muszę chodzić! Dwa czy trzy razy wspiąć się na górę i wrócić, aby zmęczyć się choć trochę. Ach, wdowo, chciałbym wyć z żalu po tobie jak płaczka żałobna!

Wypadł na zewnątrz, ruszył w stronę góry i zatonął w mroku.

Położyłem się, zgasilem lampę i od nowa zacząłem — zgodnie ze swoim nędznym, nieludzkim nawykiem — przetwarzać rzeczywistość w abstrakcję i ujmując jej krwi, ciała i kości, podciągając ją do ogólnych pojęć, aż doszedłem do tragicznego stwierdzenia, że to, co się stało, było koniecznością, i co więcej, że zgadzało się z harmonią wszechświata. W końcu znalazłem ohydną pociechę: Powinno się stać to, co się stało.

Zamordowanie wdowy wstrząsnęło moim umysłem, tym umysłem, który od kilku lat wszystkie trucizny próbował zamienić w miód. Lecz za pomocą swojej filozofii odpychałem straszliwą grozę zdarzenia, spowijałem je w sztuczne obrazy i czyniłem niegroźnym. Podobnie pszczoły unieruchamiają zgłodniałego trzmieła, który chciał zrabować im miód, oblepiając go woskiem.

Po kilku godzinach wdowa spoczęła w mej pamięci spokojna, lekko uśmiechnięta, przekształcona w symbol. Jakże szybko otoczył ją w moim sercu wosk. Myśl o niej, nurtując mój mózg, nie była już w stanie przejąć mnie grozą. Dzisiejsze straszliwe wydarzenie roztopiło się w czasie i przestrzeni i stało się tym, czym fakty mające miejsce w prastarych cywilizacjach, a te z kolei utożsamiły się z losem ziemi, losy ziemi zaś rozplynęły się w losach wszechświata — i tak, wracając myślą do wdowy, widziałem ją uległą wszechmocnym prawom, pogodzoną ze swymi mordercami, nieruchomą i pogodną.

Czas nabrał dla mnie właściwej perspektywy: wdowa umarła przed tysiącami lat, w epoce cywilizacji egejskiej, a kędzierzawe dziewczęta z Knossos — skonały dzisiejszego ranka nad brzegiem tego uśmiechniętego morza.

Sen ogarnął mnie tak, jak zapewne któregoś dnia zabierze mnie śmierć. Miętko zapadłem się w ciemność. Nie wiedziałem nawet, kiedy i czy w ogóle wrócił

Zorba. Rano spotkałem go na górze, wrzeszczącego i urągającego robotnikom. Wszystko, co zrobili, było nie po jego myśli. Przepędził trzech ludzi, którzy mu się sprzeciwiali, chwycił sam kilof i zaczął w gęstwie zarośli między skałami oczyszczać miejsce drwalom, ścinającym sosny. Jeden z nich zaśmiał się i coś mruknął, Zorba rzucił się na niego.

Wieczorem wrócił wyczerpany, w porozdzieranym ubraniu i siadł obok mnie na plaży. Rozmowę zaczynał z oporami, ale gdy już rozwiązał mu się język, mówił tylko o drewnie, budowie, linach i węglu jak chciwy przedsiębiorca, który pragnie za cenę spustoszenia okolicy osiągnąć największy zysk i odejść.

Kiedy w pewnej chwili, będąc już spokojny i pogodzony z losem, wspomniałem o wdowie, Zorba wyciągnął swoją wielką łapę i zasłonił mi usta.

— Milcz! — rozkazał stłumionym głosem.

Umilkłem zawstydzony. „Ot, co znaczy prawdziwy człowiek — mówiłem sobie, zazdroszcząc Zorbie jego bólu. — Człowiek o gorącej krwi i twardych kościach, który jeśli cierpi, pozwala płynąć szczerem, gorącym łzom, a jeśli jest szczęśliwy, to odczuwa radość nie wyrozumowaną, nie przesianą przez gęsty, metafizyczny przetak”.

Tak upłynęły trzy, cztery dni. Zorba pracował bez wytchnienia, bez odpoczynku, jadła i napoju. Nikł w oczach. Któregoś wieczoru powiedziałem mu, że Bubulina leży jeszcze chora, bez pomocy lekarskiej, że mającąc woła jego imię.

Zacisnął pięść.

— Dobrze — rzekł.

Nazajutrz o świcie poszedł do wioski i natychmiast wrócił.

— Widziałeś ją? — spytałem. — Jak się czuje?

Zorba zmarszczył brwi.

— To nie jest zwykła choroba — odparł. — Ona umiera.

I ruszył szybkimi krokami w kierunku góry.

Tego wieczoru wziął laskę i wyszedł bez kolacji.

— Dokąd, Zorbo? — spytałem. — Do wioski?

— Nie. Na krótki spacer, zaraz wracam.

Szedł wielkimi, zdecydowanymi krokami do wioski.

Byłem zmęczony, położyłem się. Umysłem próbowałem ogarnąć cały świat, wracały wspomnienia, osaczały mnie troski, myśl krążyła wokół niedosiężnych idei, aż znów spoczęła na Zorbie.

“Jeśli przypadkiem natknie się na Manolakasa — myślałem — ten

rozwścieczony kreteński olbrzym rzuci się na niego". Podobno ostatnio zamknął się w domu. Wstydzi się pokazać w wiosce i bez przerwy grozi, że gdy dopadnie Zorby, "zmiele go w zębach jak sardynkę". Wczoraj zaś jeden z robotników zobaczył go o północy krążącego w pobliżu baraku. Jeśli spotkają się dziś wieczór, nastąpi masakra.

Skoczyłem na równe nogi, ubrałem się i ruszyłem szybko drogą w kierunku wsi. Pełna czaru, wilgotna noc pachniała dziką lewkonią. Po chwili rozpoznałem w mroku Zorbę, który włókł się wolno, jakby był zmęczony. Od czasu do czasu przystawał, spoglądał na gwiazdy, nasłuchiwał, potem przyśpieszał kroku i słyszałem uderzenia jego laski o kamienie.

Zbliżał się już do ogrodu wdowy, powietrze nasycone tu było wonią kwiecica cytrynowego i kaprifolium. W tej właśnie chwili pośród drzew pomarańczowych zadźwięczał głos słowika, czysty niby szmer źródlanej wody. Śpiewał i śpiewał w ciemnościach, aż zapierało dech w piersiach. Zorba nagle zatrzymał się, przeszyty jak i ja bezmiernym urokiem tej pieśni.

Jednocześnie trzciny tworzące ogrodzenie poruszyły się, a ostre liście zastukotały niczym stalowe klingi.

— Hej, ty tam! — huknął ktoś dziko. — Nareszcie cię mam, stary łajdaku!

Skamieniałem. Poznałem ten głos.

Zorba postąpił do przodu, uniósł laskę i znów stanął. W świetle gwiazd mogłem dostrzec wyraźnie każdy jego ruch.

Zza trzciny płotu jednym susem wyskoczył rosły chłop.

— Kto tam? — zawołał Zorba, wyciągając szyję.

— Ja, Manolakas.

— Idź swoją drogą, wynoś się!

— Zhańbiłeś mnie, Zorba!

— To nie ja cię zhańbiłem, Manolakasie, to los tak zrządził. Zmykaj, mówię ci! Czy nie wiesz, że los jest ślepy?!

— Los nie los, ślepy nie ślepy! — zawołał Manolakas, zgrzytając zębami. — Muszę zmyć swoją hańbę dzisiejszego wieczoru. Masz nóż?

— Nie, tylko kij — odparł Zorba.

— Idź, przynieś swój nóż. Tu czekam na ciebie! Idź!

Zorba nie ruszał się.

— Strach cię obleciał? — zadrwił Manolakas. — Idź, mówię ci!

— Po co mi nóż? — spytał Zorba, wpadając w złość. — Nie mam tu nic z nim do

roboty. Pamiętasz, przy kościele ty miałeś nóż, ja nie. Ale chyba nieźle sobie radziłem...

— Kpisz sobie ze mnie nawet, co? — ryknął Manolakas. — Ale zły czas obrałeś na to! Jestem uzbrojony, a ty nie! Przynieś nóż, wszawy Macedończyku — i zmierzmy się!

— Odrzuć nóż, a ja laskę — i zmierzmy się! — odkrzyknął Zorba drżącym z wściekłości głosem. — No, wszawy Kreteńczyku?

Zorba szybkim ruchem ramienia odrzucił laskę. Słyszałem, jak zaszeleściła w trzcinach.

— Rzuć nóż!

Zbliżyłem się cicho na palcach. W świetle gwiazd zdążyłem uchwycić wzrokiem błysk noża, który też upadł w trzciny.

Zorba splunął w dłoń.

— Jazda! — wrzasnął i skoczył z rozpędu. Ale zanim zwarli się zaciętrzewieni, skoczyłem między nich.

— Stójcie! — zawołałem. — Manolakasie, Zorbo, nie wstyd wam!

Przeciwnicy wolno zbliżyli się do mnie. Chwyciłem prawą rękę każdego z nich.

— Podajcie sobie dłonie. Obaj jesteście dzielnymi chłopcami. Przerwijcie spór!

— Okrył mnie hańbą... — upierał się Manolakas, próbując wyrwać rękę.

— Nie tak łatwo cię zhańbić — rzekłem. — Cała wioska zna twoje męstwo, zapomnij o tym, co zdarzyło się wówczas przy kościele, bo stało się to w złą godzinę. Przeszło, minęło! I nie zapominaj, że Zorba jest obcy, pochodzi z Macedonii, a wielkim wstydem dla Kreteńczyka jest podnieść rękę na gościa... Chodź, okaż prawdziwe męstwo, uściskaj mu dłoń. A potem pójdziemy do baraku na szklanekę wina i pieczoną kielbasę, by tym przypieczętować zgodę.

Objąłem go wpół i odprowadziłem na bok.

— On jest już stary, biedaczysko! — szepnąłem mu do ucha. — Nie godzi się, żeby taki miody, silny junak bił się z nim!

Manolakas zmiękł:

— Niech będzie — rzucił. — Uczynię to dla ciebie!

Postąpił krok w stronę Zorby i wyciągnął ciężką łapę:

— Chodź, Zorbo! — powiedział. — Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Daj rękę!

— Zzarłeś mi kawał ucha — rzekł Zorba — ale niech ci będzie na zdrowie. Masz

moją rękę!

Ściskali sobie ręce długo i mocno, coraz mocniej... I patrzyli na siebie... Bałem się, że jednak dojdzie do bitki.

— Tęgo ściskasz, jesteś silny chłop, Manolakasie! — przyznał Zorba.

— Ty też nieźle. Ściśnij jeszcze mocniej, jeśli potrafisz!

— Starczy już! — zawołałem. — Chodźmy oblać naszą przyjaźń.

Stałem między nimi, z prawej strony miałem Zorbę, z lewej Manolakasa. Ruszyliśmy w kierunku naszego wybrzeża.

— Będą dobre zbiory w tym roku... — powiedziałem, chcąc zmienić temat. — Padało dużo deszczów.

Żaden jednak nie podjął rozmowy. Ciężar nie spadł im jeszcze z piersi. Całą nadzieję pokładałem więc w winie. Dotarliśmy do baraku.

— Witaj, Manolakasie, w naszych progach! — rzekłem. — Zorba, nadziewaj kielbasę na rożen i przygotuj coś do picia.

Manolakas siadł na kamieniu przed barakiem. Zorba rzucił wiązkę chrustu, nadział na rożen kielbasę i napełnił po same brzegi trzy szklanki.

— Za wasze zdrowie! — wzniosłem toast. — Twoje zdrowie, Manolakasie! Twoje zdrowie, Zorbo! Trąćcie się!

Trącili się kieliszkami, Manolakas ulał kilka kropel wina na ziemię.

— Niech moja krew tak popłynie jak to wino — powiedział uroczyście — niech tak popłynie, jeśli podniosę na ciebie rękę, Zorbo!

— Niech moja krew też popłynie jak to wino — odparł Zorba, strącając również parę kropli na ziemię — jeśli nie zapomniałem już o uchu, które mi odgryzłeś, Manolakasie!

23.

Nad ranem Zorba siadł, budząc mnie, na łóżku i zapytał:

— Śpisz, szefie?

— Co się stało, Zorbo?

— Miałem sen, dziwny sen. Wkrótce, zdaje się, czeka nas podróż. Posłuchaj, a uśmiejesz się. W naszym porcie znajdował się wielki jak miasto statek, stał pod parą, gotów do drogi. Przybiegłem z wioski, trzymając na ręku papugę. Dopadam statku, wspinam się na pokład, a tu nadchodzi kapitan i woła: "Bilet, proszę!" "Ile płacę?" — pytam i wyjmuję z kieszeni garść papierowych banknotów. "Tysiąc drachm". "A nie starczy osiemset?" "Nie, tysiąc". "Mam tylko osiemset, bierz je!" "Tysiąc, ani grosza mniej! Jeśli nie masz, wynoś się stąd, ale już!" Rozzłościłem się. "Posłuchaj, kapitanie — mówię. — Bierz w swoim własnym interesie osiemset, bo mogę się obudzić, stary, i wtedy stracisz wszystko!"

Zorba wybuchnął śmiechem.

— Widzisz, jak dziwną maszyną jest człowiek? Pakujesz w nią chleb, wino, ryby, rzodkiewki, a wychodzą z niej westchnienia, śmiech, sny. Cała fabryka! W naszych głowach mieści się zapewne takie kino, co gada.

Nagle Zorba wyskoczył z łóżka.

— Ale skąd papuga? — zaniepokoił się. — Co to znaczy, że niosłem papugę? Ojej, boję się, że...

Nie dokończył zdania, bo do baraku wpadł jak szalony jakiś niski, rudowłosy posłaniec, ciężko dysząc.

— Na litość boską! Biedna *madame* woła o lekarza! Umiera! Mówi, że umiera, tak właśnie: umiera i że wy będziecie ją mieć na sumieniu!

Zawstydziłem się. W tym całym zamieszaniu, jakie sprawiło zamordowanie wdowy, zapomnieliśmy zupełnie o starej przyjaciółce.

— Cierpi, biedaczka — ciągnął z humorem rudzielec. — Kaszle tak, aż cały sklepik się trzęsie. Tak, tak, kaszle oślim głosem, aż trzęsie się cała wioska!

— Nie śmiej się! — krzyknąłem. — Milcz!

Wziąłem skrawek papieru i napisałem na nim kilka słów.

— Zanieś szybko ten list lekarzowi i nie wracaj, dopóki nie zobaczysz na własne oczy, jak zaprzęga kobyłę! Słyszysz? Biegnij!

Chwycił list, wcisnął za pas i już go nie było.

Zorba ubierał się szybko, bez słowa.

— Poczekaj, pójdę z tobą — rzekłem.

— Śpieszę się, śpieszę... — odparł i ruszył do wioski.

Wkrótce i ja zdążyłem tą samą drogą. Opustoszały ogród wdowy wciąż roztaczał czarowną woń. Mimithos siedział przed domem, skulony jak zbity, zdziczały pies. Schudł, oczy mu zapadły i płonęły gorączką. Obejrzał się, dostrzegł mnie i podniósł kamień.

— Co tu robisz, Mimithosie? — zapytałem, obrzucając smutnym spojrzeniem ogród. Owładnęło mną wspomnienie ciepłych obejmujących mnie ramion... W powietrzu unosiła się woń kwiecia pomarańczowego i laurowego olejku. Znów ujrzałem, jak w mroku lśnią jej piękne czarne oczy, jak błyszczą wypolerowane liściem orzecha zęby, ostre i nieskazitelnie białe.

— Dlaczego mnie o to pytasz? — warknął Mimithos. — Odejdź! Zajmij się swoimi sprawami!

— Chcesz papierosa?

— Przestałem palić. Wszyscy jesteście podli! Wszyscy! Wszyscy! Wszyscy!

Urwał zdyszany, jakby szukał odpowiedniego określenia i nie mógł go znaleźć.

— Podli... Niegodziwcy... Łgarze... Mordercy!

Znalazł właściwe słowo i podskoczył, klasnąwszy w dłonie, jakby odczuł ulgę.

— Mordercy! Mordercy! Mordercy! — wrzeszczał piskliwym głosem, śmiejąc się do rozpuku. Poczulem, że serce mi się ściska.

— Masz rację, Mimithosie! Masz rację! — szepnąłem i ruszyłem spieszenie dalej.

Wchodząc do wioski ujrzałem starego Anagnostisa, który wsparty na lasce przyglądał się z uwagą dwom żółtym motyłom trzepocącym się nad wiosenną trawą. Teraz na starość, kiedy nie gnębiły go już myśli o gospodarstwie, żonie i dzieciach, miał czas na oglądanie świata obojętnym wzrokiem. Spostrzegłszy na ziemi mój cień, podniósł natychmiast głowę:

— Jakie wiatry przygnały cię tu o tak wczesnej porze? — zapytał.

Ale widząc niepokój na mojej twarzy, nie czekał na odpowiedź, tylko dodał:

— Pośpiesz się, mój synu. Nie wiem, czy zastaniesz tę biedaczkę przy życiu!

Najwierniejszy sprzęt Hortensji — szerokie łoże, wysunięte na środek pokoiku, wypełniło go bez reszty. U wezglowia z pełnym miłości niepokojem pochylała się nad nią jej główna doradczyni — papuga w zielonym fraczku i żółtej czapeczce, o

okrągłych złośliwych oczach. Spozierała z góry na jęczącą, złożoną niemocą panią i przechylała ludzką niemal głowę, żeby lepiej słyszeć.

Nie, nie, to nie były tak dobrze jej znane miłosne westchnienia, czułe, gołębie gruchania czy łaskotliwe śmieszki... Pot spływający lodowatymi kroplami po twarzy pani, nie umyte, rozczochrane włosy, kosmykami przylepione do skroni, konwulsyjne ruchy — wszystko to widziała papuga po raz pierwszy i zaniepokoiła się... Próbowwała zawołać: "Canavaro! Canavaro!", lecz nie mogła dobyć głosu ze ściśniętej krtani.

Jej biedna pani jęczała, zwiędłe, pomarszczone ręce szarpały kódrę. Nie umalowana, z obrzękłą twarzą, pachniała kwaśnym potem i psującym się mięsem. Spod łóżka wystawały jej rozdeptane, wykrzywione pantofle, na widok których ścisnęło się serce. Sprawiały jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż ich właścicielka.

Zorba siedzący u wezłowia chorej patrzył na pantofelki, nie mógł oderwać od nich wzroku, zaciskał wargi, żeby zdusić łkanie. Wszedłem, stanąłem za nim, ale on mnie nie zauważył.

Nieszczęsna oddychała z trudem, dusiła się. Zorba zerwał z gwoździa kapelusik ozdobiony sztucznymi różami i wachlował ją. Poruszał szybko i niezręcznie swoją wielką dłońią, jakby rozniecał ogień, który nie chce się jąć mokrego paliwa.

Madame otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła z przerażeniem. Przez otaczającą ją ciemność nie mogła dojrzeć nikogo, nawet Zorby poruszającego jej kapelusikiem ozdobionym sztucznymi kwiatami. Wszechogarniający mrok wypełniły unoszące się z ziemi błękitne opary, kłębiące się i zmieniające swój kształt. Raz wyglądały jak rozwarta paszcza, raz jak szponiaste łapy, a raz — jak czarne skrzydła.

Biedaczka wpiła się paznokciami w brudną, poplamioną od łez, śliny i potu poduszkę i zakrzyknęła głośno:

— Nie chcę umierać! Nie chcę!

Tymczasem, usłyszawszy o jej stanie, przybiegły dwie płaczki ze wsi. Wśliznęły się do pokoju i siadły na podłodze, oparły się plecami o ścianę.

Papuga dostrzegła je swym okrągłym okiem, rozzłościła się, wyciągnęła szyję i krzyknęła: "Canav...", lecz Zorba ze złością wyciągnął w stronę klatki rękę i papuga zamilkła.

Znowu rozległo się rozpaczliwe wołanie:

— Nie chcę umierać! Nie chcę!

W drzwiach pojawili się dwaj śniadzi chłopcy, przyjrzeni się chorej, z

zadowoleniem mrugnęli do siebie znacząco, po czym zniknęli, a na podwórzu rozległo się gdakanie i trzepotanie skrzydłami, jakby ktoś polował na kury.

Pierwsza płaczka, stara Malamatenia, zwróciła się do swojej towarzyszki:

— Widziałaś ich, ciotko Lenio? Widziałaś, jak tym głodomorom spieszno ukręcić łeb kurom, żeby je schrupać? Nicponie z całej wsi zbiegły się na podwórko, zaraz zaczną rabunek! — a zwracając się w stronę śmiertelnego łoża dodała niecierpliwie: — Umieraj no szybciej, stara! Pośpiesz się! My też chcemy coś mieć z tego!

— Jeśli mam ci powiedzieć prawdę — rzekła ciotka Lenio, ściągając wąskie, bezzębne usta. — Jeśli mam ci powiedzieć najszczerzą prawdę, matko Malamatenio, to oni mają rację! “Jeśli chcesz jeść — kradnij, jeśli chcesz coś mieć — rabuj” — radziła mi moja nieboszczka matka. Odprawmy raz-dwa swoje lamentsy, a zdążymy chwycić garść ryżu, trochę cukru, jakiś garnuszek — i będziemy mogły błogosławić jej pamięć. Przecież ona nie ma dzieci ani krewnych, któż więc zje kury i króliki? Kto wypije wino? Kto odziedziczy te wszystkie nici, grzebienie, cukierki? Powiem ci szczerze, matko Malamatenio, niech mi Bóg wybaczy, ale mam ochotę zabrać, co się da!

— Poczekaj, moja miła, nie śpiesz się tak — rzekła Malamatenia, chwytając swoją towarzyszkę za rękę. — Przysięgam ci, że chcę tego samego, ale pozwól jej najpierw wyzionąć ducha!

Tymczasem umierająca szukała czegoś nerwowo pod poduszką. Teraz, w obliczu niebezpieczeństwa, wyciągnęła ze swego kufra krucyfiks z białej, lśniącej kości i umieściła obok siebie na łóżku. Od wielu lat spoczywał zapomniany głęboko na dnie kufra wśród podartych nocnych koszul i aksamitnych gałganów, schowany na wypadek ciężkiej choroby, jak gdyby Chrystus miał być lekiem, który dopokąd się dobrze żyje, pije i kocha do woli — jest bezużyteczny.

Teraz znalazła po omacku krucyfiks i przycisnęła do spoconych piersi.

— Mój Jezusku... Mój Jezusku najmilszy... — szeptała, tuląc namiętnie do łona ostatniego kochanka.

Francuskie i greckie słowa łączyły się w pełnym uczucia i patosu wołaniu. Papuga usłyszała je, wyczuła zmianę tonu i przypomniawszy sobie minione nieprzespane noce, podskoczyła radośnie:

— Canavaro! Canavaro! — zapiiała ochryplym głosem, jakim kogut wita wschodzące słońce.

Zorba tym razem nie próbował jej uciszyć, spoglądał na płaczącą i całującą

krucyfiks kobietę, której zniszczona twarz nabrała nagle wyrazu wielkiej słodyczy.

Otworzyły się drzwi i wszedł na palcach stary Anagnostis, trzymając czapkę w ręku. Zbliżył się do chorej, pochylił i ukląkł.

— Oduść mi, pani, moje winy — powiedział — a Bóg odpuści ci twoje. Wybacz, jeśli kiedyś mówiłem do ciebie w złości. Jesteśmy przecież tylko ludźmi!

Ale Hortensja leżała teraz spokojnie, pogrążona w niewysłowionej błogości, i nie słyszała słów starego Anagnostisa. W niepamięci utonęły wszystkie jej cierpienia — nędzna starość, drwiny, bezlitosne słowa, jakimi ją obrzucano, smutne wieczory, kiedy siedziała na pustym ganku i robiła na drutach grube skarpety jak prosta, poczciwa, poważna kobiecina, ona, wytworna paryżanka, niezwyciężona uwodzicielka, przed którą na kolana padali czterej mocarze i którą pozdrawiały cztery wielkie floty!

Morze jest niepokalanie błękitne, piętrzą się spienione fale, kołyszą pływające fortece, na drzewcach trzepocą wielobarwne flagi, zapach smażonych ryb morskich i kuropatw piekących się na rożnie unosi się w powietrzu, podają jej mrożone owoce w rżniętych kryształowych kompotierach. Strzelają korki szampana.

Brody: czarna, kasztanowa, szpakowata i blond, cztery rodzaje zapachów — woda kolońska, fiołki, piżmo i paczula. Drzwi kabiny zamykają się, opada ciężka zasłona, zapalają się światła — Hortensja przymyka oczy. Mój Boże, czy całe to życie wypełnione miłością, całe życie pełne cierpień, nie było tylko chwilą?

Przechodzi z jednych kolan na drugie, obejmuje haftowane złotem bluzy, zanurza palce w gęstych, perfumowanych brodach. Nie przypomina sobie imion, tak jak jej papuga pamięta tylko jedno: Canavaro, ponieważ był najmłodszy i tylko to jedno imię papuga potrafiła wymówić. Inne, zbyt trudne, utonęły w niepamięci.

Hortensja westchnęła głęboko i mocniej przytuliła krucyfiks do łona.

— Mój Canavaro... Mój najmilszy Canavaro... — majaczyła, tuląc krzyż do mokrych od potu, obwisłych piersi.

— Zaczyna tracić przytomność — szepnęła ciotka Lenio. — Pewnie zobaczyła swego Anioła Stróża i przeraziła się... Rozwiążmy chusty i podejdźmy.

— Bój się Boga! — zawołała Malamatenia. — Mamy ją oplakiwać za życia?!

— Moja matko Malamatenio — głucho warknęła ciotka Lenio. — Trzeba pomyśleć o jej kufrach, bieliznie, o towarach w sklepiku i kurach, i królikach. Ty ględzisz mi tu o czekaniu, aż odda ducha! Tymczasem kto pierwszy, ten lepszy!

Powiedziawszy to, zerwała się energicznie na nogi, a za nią ruszyła jej towarzyska. Rozwiązały czarne chusty, rozpuściły rzadkie siwe włosy i wczepiły się w

krawędź łóżka. Pierwsza dała sygnał do lamentu ciotka Lenio, wydobywając z siebie ostry, przejmujący krzyk:

— Iiii!

Zorba zerwał się, chwycił obie staruchy za włosy i odrzucił do tyłu.

— Zamknąć gęby, stare sroki! — krzyknął, — Czy nie widzicie, że ona jeszcze żyje?

— Stary idiota! — jazgotała Malamatenia, zawiązując na powrót chustę. — Skąd go u diabła tu przyniosło, tego przybędę!

Hortensja, zmęczona życiem syrena, usłyszała przeraźliwy krzyk płaczki. Czarująca wizja rozproszyła się. Statek admirała poszedł na dno, zniknęły mięsiwa z różną, szampan i perfumowane brody, a ona znów leżała na swoim ohydny śmiertelnym łożu gdzieś na krańcu świata. Próbowwała unieść się, jakby szukając ucieczki, ale opadła i zawołała z cichą skargą:

— Nie chcę umierać... Nie chcę...

Zorba pochylił się nad nią, dotknął swoją wielką, stwardniałą dłonią jej rozpalonego czoła i odgarnął z twarzy mokre od potu włosy. Jego ptasie oczy napełniły się łzami.

— Cicho, cicho, moja pocziwino — wyszeptał. — Ja tu jestem. Ja, Zorba. Nic się nie bój!

I oto od jednego dotknięcia widzenie wróciło i jak ogromny motyl koloru morza ogarnęło swymi skrzydłami łóżko. Konająca chwyciła wielką dłoń Zorby, wyciągnęła powoli ramię i objęła jego pochyloną szyję. Jej wargi poruszyły się:

— Mój Canavaro... O, mój najmilszy Canavaro... Krucyfiks ześliznął się z poduszki, upadł na podłogę i rozbił się w kawałki. Z podwórza dochodził męski głos:

— Kładź kure, mówię ci, woda się zaraz zagotuje! Siedziałem w kącie i w moich oczach wciąż wzbierały łzy. To jest właśnie życie — różnobarwne, nieskładne, obojętne, przewrotne. Ci prymitywni kreteńscy chłopcy, otaczający starą, przybyłą tu z drugiego końca świata śpiewaczkę kabaretową, przyglądają się jej konaniu z tak pierwotną radością, jakby ona nie była istotą ludzką, jakby patrzyli na wielkiego, egzotycznego, barwnego ptaka, który spadł na ich wybrzeże i leży ze złamanym skrzydłem. Stara pawica, stara kotka, stara tłusta foka...

Zorba delikatnie wyśliznął się z uścisku Hortensji, wstał pobladły, otarł oczy wierzchem dłoni. Patrzył na chorą, lecz nic już nie rozróżniał, nic nie widział. Otarł ponownie oczy i wtedy ujrzał nieskoordynowane ruchy jej słabych opuchniętych stóp i

grymas, jaki wykrzywił jej usta. Drgnęła raz i drugi. Kołdra zsunęła się na podłogę, ukazując półnagie, mokre od potu, obrzmiałe żółtozielone ciało. Hortensja krzyknęła cieniutkim, piskliwym głosikiem zarzynanego kurczaka i znieruchomiała z szeroko otwartymi, szklistymi oczami, w których zastygła groza.

Papuga zeskoczyła na dno klatki, uczepiła się prętów, spojrzała i zobaczyła, jak Zorba kładzie swoją wielką łapę na głowie jej pani i wolno, wolniutko, z ogromną tkliwością zamyka jej powieki...

— Hej, szybko! Już wyciągnęła kopyta! — wrzasnęły płaczki, podbiegając do łóżka.

Zawyły przeciągle. Pochylając się i kołysząc, biły się w piersi zaciśniętymi pięściami. Ten żaloszny i złowrogi, monotonny, kołyszący rytm powoli wprowadził je w stan lekkiego oszołomienia. Brały je w posiadanie dawno minione troski i sącząc się jak trucizna, drażyły skorupę ich serc. Pękała i rodził się obrzędowy, żaloszny lament.

— Nie na ziemi miejsce dla ciebie, nie na ziemi łożo...

Zorba wyszedł na podwórze. Porwał go płacz, wstydział się jednak kobiet. Przypomniałem sobie jego słowa, powiedziane do mnie pewnego dnia: "Nie wstydzę się płakać, ale tylko wobec mężczyzn. My, mężczyźni, stanowimy rodzaj klanu, nieprawdaż? Dlatego nie wstydzę się. Ale wobec kobiet musimy być zawsze dzielni. Skoro my zaczniemy łkać, co się stanie z tymi biedaczkami? To byłby koniec świata".

Obmyto ciało winem, stara żalobnica otworzyła kufer, wydobyła czystą bieliznę, oblekła w nią zwłoki i wylała na nie flakonik wody kolońskiej.

Z sąsiednich ogrodów zleciały się muchy śmierci i złożyły jajka w nozdrzach, oczodołach i kącikach ust zmarłej.

Zapadał zmierzch. Niebo na zachodzie było piękne i pogodne. Strzępiaste, różowe obłoczki obrzeżone złotem unosiły się leciutko w ciemnym fiolecie wieczoru, nieustannie zmieniając kształty. Podobne były do statków, łabędzi, do fantastycznych wełnistych lub jedwabistych smoków. Między trzcunami płotu okalającego podwórko przezierało z oddali wzburzone morze.

Dwa spasioone kruki sfrunęły z figowca i siadły na płytach podwórza. Zorba rozzłościł się, złapał kamień i przepędził je.

Na przeciwległym krańcu podwórza więcej nicponie przygotowywali ucztę, co się zowie. Wytaszczyli z kuchni ogromny stół. Wyszperali chleb, talerze, noże i widelce, a ze spiżarni wynieśli gąsior wina. Ugotowali kury, a teraz jedli z apetytem i pili, trącąc się wesoło kieliszkami.

— Niech Bóg zmiłuje się nad jej duszą, niech zmaże wszystkie jej winy! Oby jej wszyscy kochankowie stali się aniołami i unieśli jej duszę do nieba.

— O, spójrzcie na starego Zorbę! — zawołał Manolakas. — Rzuca kamieniami w kruki! Owdowiał biedak, zawołajmy go, niech wypije z nami za pamięć swojej kokoszki. Hej, Zorbo, chodź tu, łaziku!

Zorba odwrócił się. Zobaczył zastawiony stół, parujące półmiski, wino skrzące się w szklankach i mocnych, opalonych chłopaków z głowami opasanymi chustkami, kipiących młodością i beztróską.

— Ej, Zorba — mruknął do siebie. — Trzymaj się! Pokaż teraz, co potrafisz!

Zbliżył się i wypił jednym haustem kielich wina, potem drugi i trzeci. Zjadł kurze udko. Zagadnięty, nie odpowiadał, jadł w milczeniu, dużymi kęsami, i pił wielkimi łykami. Spoglądał w stronę pokoju, w którym nieruchomo leżała jego zmarła przyjaciółka, i słuchał lamentów dochodzących z otwartego okna. Od czasu do czasu żałobne pienia urywały się, a ich miejsce zajmowały echa jakiejś jakby kłótni, dźwięki podobne do skrzywienia otwieranych i zamykanych szaf, stąpanie szybkich, ciężkich kroków, potem jak gdyby odgłosy bójki... I znowu wznosił się lament, monotony, beznadziejny, łagodny jak brzęczenie pszczół.

Plączki kręciły się po pokoju nieboszczki i odprawiając żałobne obrzędy, szperały zawzięcie w każdym kącie. Otworzyły szafę, znalazły w niej kilka łyżeczek, trochę cukru, puszkę kawy i pudełko rachatłukum. Ciotka Lenio skoczyła i złapała kawę oraz rachatłukum, stara Malamatenia zaś, chwyciwszy cukier i łyżeczki, wyrwała jej dwa kawałki rachatłukum i wpakowała je sobie do ust. Lament stał się teraz głuchy, zdławiony, jakby sklejonny:

— Niech sypie się na ciebie deszcz kwiatów, a jabłka niech upadną na twoje kolana...

Dwie staruchy wśliznęły się do pokoju, dopadły kufra, zanurzyły w nim kościste szpony, złapały kilka chusteczek, ręczniki, trzy pary skarpet, jedną podwiązkę i wpakowawszy wszystko w zanadrze, wróciły do łóżka nieboszczki, czyniąc znak krzyża.

Matka Malamatenia na widok staruch opróżniających kufer wpadła w złość.

— Śpiewaj no dalej, śpiewaj, zaraz wracam! — krzyknęła do ciotki Lenio i też wpakowała całą głowę w kufer.

Strzępy atlasu, wyblakła suknia buraczkowego koloru, staromodne czerwone pantofelki, połamany wachlarz, nie używana czerwona parasolka i na samym dnie

kufra — stary, trójgraniasty, admiralski kapelus — podarunek otrzymany kiedyś dawno. Gdy Hortensja była sama, kładła go na głowę, stawiała przed lustrem i poważna, pełna melancholii, patrzyła na siebie z podziwem.

Ktoś zbliżył się do drzwi. Staruszki odskoczyły, ciotka Lenio znowu uczepliła się łóżka nieboszczki, zaczęła bić się w piersi, wykrzykując:

— I niech szkarłatne goździki otoczą twoją szyję...

Wszedł Zorba i spojrzał na zmarłą, która nieruchoma, spokojna, pokryta muchami leżała ze skrzyżowanymi rękami i aksamitną wstążką wokół szyi.

“Garść prochu — myślał. — Garść prochu, która kiedyś czuła głód, śmiała się i całowała. Grudka błota, która płakała. A teraz? Co za diabeł zsyła nas na ten świat i co za diabeł zabiera?”

Splunął na podłogę i usiadł.

Na podwórzu młodzież szykowała się do tańca, zjawił się słynny lirnik Fanurios, odsunięto stół, bańki po nafcie, kubel, kosz do brudnej bielizny — i na pustym już miejscu rozpoczęto zabawę.

Przyszła starszyzna, wuj Anagnostis z wysoką zakrzywioną laską, w długiej, białej koszuli, nauczyciel z dużym, mosiężnym kałamarzem u pasa i zieloną obsadką zatkniętą za ucho, wreszcie tłusty, niechlujny Kontomanolios. Nie było tylko starego Mavrantonisa. Skrył się w odludnym miejscu.

— Cieszę się, że was widzę, chłopcy! — rzekł wuj Anagnostis, podnosząc rękę. Cieszę się, że się bawicie! Jedzcie i pijcie. Niech wam Bóg błogosławi, ale nie krzyczcie. Nieboszczka słyszy, słyszy, chłopcy!

Kotomanolios zaś wyjaśnił:

— Przyszliśmy tu spisać majątek nieboszczki i rozdzielić go między biedotę wiejską. Jedliście i piliście do woli, teraz dosyć! Nie ważcie się zagarniać wszystkiego, bo popamiętacie!

Mówiąc to, groźnie wywijał laską.

Za tymi trzema dostojnymi gospodarzami szła dziesiątka rozczochranych, bosych kobiet w łachmanach. Każda z nich trzymała pod pachą pusty worek lub dźwigała na plecach kosz. Zbliżyły się bez słowa, krok za krokiem, ukradkiem.

Wuj Anagnostis odwrócił się i na ich widok wybuchnął gniewem.

— Precz, Cyganichy! — zawołał. — Chcecie tu rabować? Spiszemy dokładnie wszystko na papierze, potem rozdzielimy sprawiedliwie i po porządku między biedaków. Precz, mówię, wam! Żeby nie musiał użyć kija!

Nauczyciel odczepił od pasa duży mosiężny kałamarz, rozwinął arkusz papieru i skierował się do sklepiku, żeby tam zacząć sporządzanie spisu.

Ale w tej chwili rozległ się ogłuszający hałas, jakby walono w żelazne bańki, jakby toczyły się szpule, spadały i tłukły się filizanki. To w kuchni z wielkim rumorem runęły garnki, talerze, łyżki i widelce.

Stary Kontomanolios zerwał się, wymachując kijem, nie wiedział, gdzie najpierw biec! Staruchy, mężczyźni, dzieci – wszyscy obiegli drzwi, wskakiwali przez okna, przeskakiwali ogrodzenie i spadali z dachów, taszcząc wszystko, co dało się ukraść: patelnie, garnki, materace, króliki... Niektórzy wrywali z zawiasów okna, drzwi i dźwigali na plecach. Nawet Mimitos ściągnął pantofle nieboszczki, związał jednym sznurowadłem i zawiesił na szyi – można było pomyśleć, że *madame Hortensja* siedzi mu okrakiem na karku i widać tylko jej buciki.

Nauczyciel zmarszczył brwi, zawiesił znowu kałamarz u pasa, złożył czysty arkusz papieru i pełen urażonej godności wyszedł bez słowa.

Nieszczęsny wuj Anagnostis krzyczał, błagał, wymachiwał laską:

– Hańba, hultaje, hańba wam, nieboszczka was słucha!

– Wezwać popa? – zapytał Mimitos.

– Jakiego popa, głupcze?! – krzyknął z pasją Kontomanolios. – Przecież ona była heretyczką wyklętą z łona kościoła, nie widziałeś, jak się zegnała? Czterema palcami! Chodźmy zakopać ją w nie poświęconej ziemi, zanim zacznie cuchnąć i ściągnie zarazę na wioskę!

– Przysięgam, że już pełno w niej robaków – odezwał się Mimitos i przeżegnał się.

Wuj Anagnostis pokiwał swoją małą głową o arystokratycznych rysach:

– Czemu cię to dziwi, głupcze? W człowieku już od urodzenia lęgną się robaki, tylko że ich nie widać. Skoro jednak poczują, że zaczyna gnić, wyłażą ze swoich kryjówek – białe, bielutkie jak robaki w serze!

Pojawiły się pierwsze gwiazdy i zawisły w powietrzu, drżące niby srebrne dzwoneczki, noc cała była jak dźwięczna pieśń.

Zorba zdjął klatkę z papugą znad łóżka nieboszczki. Osierocony ptak skrył się przerażony w kącie. Przyglądał się wszystkiemu z napięciem, ale nic nie mógł zrozumieć. Skulił się więc, chowając głowę pod skrzydło.

Gdy Zorba zdjął klatkę, papuga zerwała się, spróbowała coś zaskrzeczeć, lecz Zorba wyciągnął do niej dłoń:

— Cicho — powiedział miękko. — Cicho. Chodź ze mną.

Pochylony nad nieboszczką patrzył na nią długo ze ściśniętym gardłem. Zrobił ruch, jakby chciał ją pocałować, opamiętał się jednak.

— Niech miłosierdzie boże będzie z tobą w tej ostatniej drodze — szepnął.

Zabrał klatkę i wyszedł na podwórze. Zauważywszy mnie, zbliżył się:

— Chodź, idziemy stąd — powiedział cicho, biorąc mnie pod rękę.

Wydawał się spokojny, tylko wargi mu drżały.

— Wszyscy pójdziemy tą samą drogą — powiedziałem.

— Ładna mi pociecha! — odparł sarkastycznie. — Chodź, idziemy.

— Zaczekaj, Zorbo, właśnie ją zabierają. Powinniśmy być przy tym... Zniesiesz to?

— Zniosę — odparł zdławionym głosem.

Postawił na ziemi klatkę i skrzyżował ramiona.

Z pokoju, w którym leżała nieboszczka, wyszli wuj Anagnostis i Kontomanolios. Przeżegnali się. Za nimi kroczyli czterej tancerze, mający jeszcze zatknięte za uchem kwietniowe róże. Na pół pijani, w świetnych humorach nieśli zdjęte z zawiasów drzwi wejściowe, na których spoczywała zmarła. Za nimi szedł lirnik ze swoim instrumentem i może z dziesięciu podchmielonych chłopów, dojadających ostatnie kęsy, oraz pięć czy sześć kobiet, z których każda taszczyła garnek albo krzesło. Pochód zamykał Mimitos z zawieszonymi na szyi zniszczonymi bucikami.

— Mordercy! Mordercy! Mordercy! — wrzeszczał ze śmiechem.

Wiał ciepły, wilgotny wiatr, morze burzyło się. Lirnik nastroił swój instrument i pociągnął po nim smyczkiem. Głos liry, świeży i radosny, w tę letnią noc zabrzmiał ironią: "Nie zachodź, słoneczko, czemu ci tak spieszno..."

— Chodźmy! — powiedział Zorba. — Skończone...

24.

Szliśmy w milczeniu wąskimi wiejskimi zaułkami. Nieoświetlone domy czarnym masywem majaczyły w mroku, czasami zaszczekał gdzieś pies lub głośno sapnął wół. Powiew wiatru przynosił z daleka radosne dźwięki liry, a dzwoneczki jej brzmiały jak swawolne bulgotanie fal.

Opuściliśmy wioskę, skierowaliśmy się na nasze wybrzeże.

— Zorbo — powiedziałem, chcąc przerwać dławiące milczenie. — Co to za wiatr? Południowy?

Ale Zorba szedł przodem, trzymając klatkę z papugą niby latarkę, i nie odpowiedział. Dopiero gdy znaleźliśmy się na wybrzeżu, zagadnął:

— Czy jesteś głodny, szefie?

— Nie, Zorbo.

— Może chcesz spać?

— Nie.

— Ja też nie. Posiedźmy trochę na kamieniach, chciałbym cię o coś zapytać.

Obaj byliśmy zmęczeni, jednak sen się nas nie miał. Nie chcieliśmy uronić ani kropli z goryczy tego dnia. Zaśnięcie wydawało się nam dezercją w godzinie niebezpieczeństwa, toteż wstyd nam było udać się na spoczynek.

Siedliśmy nad brzegiem morza, Zorba postawił klatkę między kolanami i milczał przez długi czas. Spoza gór wyłonił się jakiś monstrualny gwiazdozbiór, wielooki potwór z ogonem w skrętach. Od czasu do czasu odrywała się od niego gwiazda spadająca.

Zorba spoglądał na niebo z zachwytem takim, jakby widział je po raz pierwszy.

— Co też może siedzieć tam w górze? — szepnął.

Po chwili zdecydował się zakłócić ciszę tej gorącej nocy.

— Czy możesz mi wytłumaczyć, szefie — rzekł uroczystym, pełnym wzruszenia tonem. — Czy możesz mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy? Kto to stworzył? W jakim celu? A przede wszystkim — tu głos mu zadrżał od gniewu i trwogi — dlaczego musimy umierać?

— Nie wiem, Zorbo! — odparłem i zawstydzilem się, jakby mnie zapytano o najprostszą, elementarną rzecz, a ja nie potrafiłbym jej wyjaśnić.

— Nie wiesz! — wykrzyknął Zorba i jego oczy stały się równie okrągłe, jak

tamtej nocy, kiedy mu powiedziałem, że nie umiem tańczyć.

Zamilkł na chwilę, po czym wybuchnął gwałtownie:

— W takim razie po co istnieją te wredne książki, które czytasz? Jeśli o tym nie mówią, to o czym plotą?

— Wyrażają rozterkę człowieka, który nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, które mi zadałeś — odparłem.

— Gwiżdżę na te rozterki! — huknął, tupiąc z gniewem nogami.

Papuga wzdrygnęła się na ten nagły krzyk.

— Canavaro! Canavaro! — wrzeszczała, jakby wzywając ratunku.

— Ty też zamknij dziób! — rozkazał Zorba i rąbnął pięścią w klatkę.

Następnie zwrócił się do mnie:

— Chcę, żebyś mi powiedział, skąd przychodzimy i dokąd zdążamy. Jeśli od tyłu już lat ślęczysz nad tą swoją czarną magią, przetrawiłeś z pięćdziesiąt ton papieru, to czegoś musiałeś się dowiedzieć?

W głosie Zorby było tyle przerażenia, że oddech zamarł mi w piersiach. O, jakże pragnąłem móc mu odpowiedzieć!

Byłem głęboko przekonany, że szczytem, na który może wznieść się człowiek, nie jest ani wiedza, ani cnota, ani dobroć, ani władza, lecz coś o wiele bardziej wzniosłego i wymagającego więcej heroizmu — święta w swej istocie groza.

— Nie odpowiadasz mi? — rzekł Zorba z trwogą. Próbowałem pomóc mojemu przyjacielowi zrozumieć, czym jest owa święta groza:

— Jesteśmy niczym liche robaczki na listku potężnego drzewa. Ten listek to nasza ziemia, inne liście są gwiazdami, które widzisz nocą w ich ruchu. Drepcemy na naszym listku, przypatrując mu się lękliwie, obwąchujemy, czy pachnie, czy też czuć go nieładnie, próbujemy, czy jest jadalny. Gdy go uderzyć — reaguje. Jęczy jak żywa istota.

Niektórzy ludzie, ci nieustraszeni, docierają aż do jego krawędzi i z szeroko otwartymi oczami i wytężonym słuchem pochylają się nad przepaścią. Dreszcz ich przenika, bo wyczuwają tam straszliwą otchłań. Słyszą szmer innych liści ogromnego drzewa, tętnienie soków żywotnych, które wznoszą się od korzeni do naszego liścia, wypełniają go, a z nim i nasze serca, i wtedy ciałami i duszami pochylonych nad przepaścią wstrząsa groza. W tym momencie poczyna się...

Przerwałem. Chciałem powiedzieć: "W tym momencie poczyna się poezja", ale Zorba nie rozumiałby tego, więc zamilkłem.

— Co się zaczyna? — pytał trwożnym głosem Zorba. — Dlaczego nie dokończyłeś?

— Zaczyna się wielkie niebezpieczeństwo, Zorbo. Jedni dostają zawrotu głowy i bredzą, inni, przerażeni, usiłują znaleźć odpowiedź, która by dodała im otuchy, i mówią: "Bóg", jeszcze inni spoglądają spokojnie i odważnie z krawędzi liścia w przepaść i powiadają: "To mi się podoba".

Zorba myślał długo. Męczył się, ale pragnął zrozumieć.

— Ja — powiedział wreszcie — w każdej chwili mogę spojrzeć śmierci w oczy i nie przestraszę się. Ale nigdy, przenigdy nie powiem: "To mi się podoba". Nie, nie podoba mi się wcale! Nie zgadzam się na nią. Protestuję!

Zamilkł, lecz wkrótce znów wybuchnął:

— O! Ja nigdy nie pozwolę, żeby śmierć mnie zarżnęła jak barana. Nie powiem jej: "Poderżnij mi gardło, bo chcę się szybciej dostać do nieba".

Nie odpowiedziałem. Zorba spojrzał na mnie ze złością.

— Czy nie mam wolnej woli? — krzyknął.

Słuchałem go pełen rozterki. Kim był ten mędrzec, który radził swym uczniom, by z własnej woli czynili to, co nakazuje prawo, aby aprobowali konieczność, aby przekształcili nieuchronność w wolną wolę? To jest może jedyna droga człowieka do wyzwolenia. Droga żalosna, ale innej nie ma... Chyba że bunt. Chyba że dumny, lecz daremny zapal człowieka walczącego w imię zwycięstwa nad koniecznością, w imię podporządkowania praw obiektywnych nakazowi wewnętrznemu własnej duszy. Chyba że negacja porządku wszechrzeczy w imię głosu własnego serca, które jest przeciwne nieludzkim prawom natury, które pragnie stworzenia innego, nowego świata, czystsze, uczciwsze, lepszego.

Zorba, patrząc na mnie, pojął, że nie mam mu już nic do powiedzenia. Podniósł klatkę ostrożnie, żeby nie zbudzić papugi, postawił ją u swego wezglowia i położył się.

— Dobranoc, szefie — powiedział. — Na dzisiaj dość!

Dął silny południowy wiatr z Afryki. Jego tchnienie sprzyjało dojrzewaniu jarzyn i owoców. Od niego wzbierały piersi Kretenek. Owiewał mi twarz i szyję i pod jego wpływem mój umysł również dojrzewał niczym owoc.

Nie mogłem i nie chciałem spać. Choć nie myślałem o niczym w tę ciepłą noc kreteńską, czułem, że coś nowego rodzi się w moim mózgu. Przeżywałem świadomie ten niezwykły proces. Przeistaczałem się. To, co dokonuje się zwykle głęboko w piersiach, odbywało się teraz jawnie i bez osłonek. Siedząc skulony nad brzegiem

morza, własnymi oczami obserwowałem ów cud.

Gwiazdy gasły i niebo się rozjaśniało, a na tle tej jasności ukazały się jakby nakreślone cieniutkim piórkiem góry, drzewa i mewy. Dniało.

Upłynęło wiele dni, zboża dojrzały i kłosa pochylały się ciężkie od ziarna. Cykady grały swą melodyjkę pośród drzew oliwkowych. Owady brzęcząc migotały w jarzącym słonecznym świetle. Nad morzem unosiły się opary.

Zorba każdego ranka wyruszał milcząc w góry. Budowa kolejki dobiegała końca. Słupy stały już na swych miejscach. Stalowe liny były rozciągnięte, haki umocowane. Zorba wyczerpany do kresu sił wracał z pracy po zapadnięciu nocy, rozpałał ogień i przygotowywał posiłek, który spożywaliśmy obaj. Strzeżliśmy się, by nie obudzić drzemiącego w nas demona — strachu przed śmiercią. Ani słowem nie wspominaliśmy o wdowie, Hortensji czy Bogu. W ciszy spoglądaliśmy na morze.

Wobec milczenia Zorby znów budziły się we mnie odwieczne ciche głosy. Pierś moja znów napełniała się trwogą. "Czym jest świat? — zapytywałem sam siebie. — Jaki jest cel jego trwania i jak my, efemeryczne istoty, możemy pomóc w osiągnięciu tego celu? Zorba sądzi, że celem człowieka jest folgowanie uciechom cielesnym, inni uważają, że oddawanie się rozkoszy intelektualnej. Ale oba te twierdzenia są dwiema różnymi płaszczyznami tego samego przedmiotu. Ale dlaczego? W imię czego? Bo gdy ciało w proch się obróci, czy pozostanie z nas owo coś, co nazywamy duszą? A może nie pozostaje z nas nic, a nasze nieustające pragnienie nieśmiertelności pochodzi nie stąd, że sami jesteśmy nieśmiertelni, tylko stąd, że w tej krótkiej jak tchnienie chwili naszego istnienia służymy jakiejś nieśmiertelnej sprawie".

Pewnego ranka, wstawszy i umywszy się, doznałem uczucia, że to cała ziemia obudziła się i wykąpana zajaśniała nowym blaskiem. Ruszyłem do wsi. Po lewej ręce miałem nieruchome, błękitne morze, po prawej w dali — pola okryte zbożem niby wojskiem nadstawiającym złociste klingi bagnatów. Minąłem Figowiec Paniarki z malutkimi owocami fig pośród listowia. Nie oglądając się, przeszedłem obok sadu wdowy i dotarłem do wioski. Obecnie nieduży zajazd świecił opuszczeniem i pustką, pozbawiony drzwi i okien. Pokoiki były zdemolowane i opróżnione ze sprzętów. Pomieszczenie, w którym zmarła Bubulina, ograbiono z łóżka, kufra, krzesła... Tylko w jednym z kątów poniewierał się wykrzywiony, podarty pantofel z czerwonym pomponem. Wiernie jeszcze zachował kształt jej stopy. Ten nędzny pantofelek, wierniejszy niż pamięć ludzka, jeszcze nie zapomniał tej tak udręczonej nogi.

Późno wróciłem do domu, Zorba rozpałił już ogień i szykował wszystko do gotowania. Zaledwie spojrzał na mnie, domyślił się, skąd przychodzę. Zmarszczył brwi i po tylu dniach milczenia znów otworzył przede mną duszę:

— Każdy ból, szefie — rzekł, jakby się tłumaczył — rozdziera mi serce na dwoje, ale ono, zdruzgotane i poranione, goi się od razu i nie ma śladu po ranie. Cały jestem pokryty bliznami, dlatego wytrzymuję tyle.

— Szybko zapomniałeś, Zorbo, o biednej Bubulinie — powiedziałem tonem, który zabrzmiał brutalnie wbrew moim intencjom.

Uraziło to Zorbę, więc podniósł głos:

— Zmiana życia — zmiana planów! Przestałem wspominać, co było wczoraj, przestałem myśleć, co będzie jutro! Interesuje mnie tylko to, co się dzieje dziś, teraz! Pytam siebie: "Co właśnie robisz, Zorbo?" "Śpię". "Więc śpij dobrze!" "A co robisz obecnie, Zorbo?" "Pracuję". "Więc pracuj dobrze!" "Co robisz teraz, Zorbo?" "Całuję kobietę". "Więc całuj ją mocno, Zorbo, zapomnij o wszystkim, nic więcej nie istnieje na świecie, tylko ona i ty!"

Po chwili dodał:

— Żaden Canavaro nie dał naszej Bubulinie tyle rozkoszy co ja, twój rozmówca, stary, obdarty Zorba. Zapytasz: dlaczego? Bo wszyscy Canavarowie świata, całując ją, myśleli jednocześnie o swojej flocie, o Krecie, swoich królach, własnych szlifach lub żonach. Tylko ja zapomniałem wtedy o wszystkim, a ona, ta niecnota, dobrze o tym wiedziała — i pamiętaj, mój uczony przyjacielu, że dla kobiety nie ma większej rozkoszy! Prawdziwej kobiecie większą przyjemność sprawia dawanie szczęścia mężczyźnie niż doznawanie go. Zapamiętaj to sobie na przyszłość.

Pochylił się, dorzucił drzewa do piecyka i umilkł. Spoglądając na niego czułem się szczęśliwy. Te chwile, przeżyte na pustynnym wybrzeżu, wypełnione były prostotą, a zarazem bogate w ludzkie wartości. Nasz codzienny wieczorny posiłek zaś podobny był do strawy, jaką szykują sobie żeglarze rzućeni na bezludny ląd, kładąc w jeden garnek ryby, ostrygi, cebulę i mnóstwo pieprzu, strawy smaczniejszej niż każda inna i niezmiernie krzepiącej. Tu, na końcu świata, i my byliśmy podobni dwóm rozbitkom.

— Pojutrze uruchamiamy kolejkę — rzekł Zorba, przejęty tą jedną myślą. — Już nie chodzę po ziemi, tylko unoszę się w powietrzu. Czuję się tak, jakbym miał haki zamiast ramion.

— Pamiętasz, Zorbo, na jaką przynętę złapałeś mnie w kawiarni w Pireusie? Chwaliłeś się, że gotujesz jakieś niezwykle zupy. I trafiłeś. Takie właśnie potrawy lubię

najbardziej. Jak na to wpadłeś?

Zorba pokiwał głową:

— Czy ja wiem, szefie? Tak sobie pomyślałem, kiedy zobaczyłem, jak siedzisz spokojnie w kącie kafejki i z powagą pochylasz się nad książeczką ze złożonym grzbietem... Nie wiem, dlaczego wydało mi się, że lubisz zupy. To przyszło samo z siebie i mówię ci, że nie trzeba starać się tego zrozumieć.

Zamilkł, nasłuchując.

— Cicho — rzekł. — Ktoś idzie!

Usłyszeliśmy szybkie kroki i zdyszany oddech biegnącego człowieka. Nagle w blasku płomieni wyłonił się przed nami jakiś mnich w poszarpanym habicie, z gołą głową i osmaloną brodą. Wyraźnie czuć było od niego naftę.

— O, witaj, ojcze Zachariaszu! Witaj, Józefie! — krzyknął Zorba. — Co się stało, że tak wyglądasz?

Mnich skulił się na ziemi przy ogniu. Drżał.

Zorba nachylił się i mrugnął do niego porozumiewawczo.

— Tak — powiedział zakonnik.

Zorba podskoczył rozpromieniony:

— Brawo, mnichu! Teraz już na pewno dostaniesz się do raj. To cię nie minie! Wstąpisz tam z bańką nafty w rękę.

— Amen! — szepnął mnich i przeżegnał się.

— Jak to się stało? Kiedy? Gadaj!

— Bracie Canavaro, ukazał mi się Michał Archanioł. To on mi dał rozkaz. Łuskałem właśnie w kuchni zielony groszek, byłem całkiem sam i drzwi były zamknięte. Ojcowie poszli na nieszpory! Wszędzie zupełna cisza! Słysząc tylko świergot ptaków jak anielskie pienia. Byłem spokojny w swoim sumieniu, przygotowałem wszystko i czekałem. Bańkę z naftą ukryłem pod świętym obrazem Ostatniej Wieczerzy, żeby Michał Archanioł ją pobłogosławił...

Łuskałem więc wczorajszego wieczoru groch i widziałem w myślach wrota raj. Powtarzałem sobie: "Słodki Jezu, spraw, abym i ja stał się godny królestwa niebieskiego, a zgodzę się wiecznie łuskać groch w rajszej kuchni!" Tak myślałem i łzy mi płynęły. Nagle słyszę nad sobą szum skrzydeł. Zrozumiałem natychmiast, co to znaczy, i drżąc spuściłem głowę. Wtedy rozległ się głos: "Zachariaszu, podnieś oczy, nie lękaj się!" Ja jednak trzęsąc się padłem na ziemię. "Podnieś oczy, Zachariaszu!" — zabrzmiał znów głos. Uniosłem wzrok i zobaczyłem stojącego w otwartych drzwiach

Michała Archanioła zupełnie takiego samego jak namalowany na drzwiach kaplicy – skrzydlatego, w czerwonych sandałach i złocistej przyłbicy. Tylko zamiast miecza trzymał płonąca pochodnię. “Witaj, Zachariaszu!” – powiedział. “Otom ja, sługa boży – odrzekłem. – Rozkazuj!” “Bierz płonąca pochodnię i niech Bóg będzie z tobą!” Wyciągnąłem rękę i poczułem, że dłoń moja płonie. Archanioł zniknął. Przez uchylone drzwi widziałem tylko na niebie ognisty ślad jak od spadającej gwiazdy.

Zakonnik otarł pot z czoła. Zbladł jak płótno. Zęby mu szczękały febrycznie.

– I co dalej? – spytał Zorba. – Odwagi! Mów, mnichu!

– W tym czasie ojcowie wrócili z niesporów i wchodzili do jadalni. Opat przechodząc dał mi kopniaka jak psu, a inni zaczęli się śmiać. Nie rzekłem ni słowa. W powietrzu po przejściu archanioła unosił się jeszcze zapach siarki, ale nikt tego nie zauważył. Usiedli w jadalni. “Zachariaszu – zapytał ochmistrz. – Nie chcesz jeść?” A ja nic. Gęba na kłódkę. “Nasycił się anielskim chlebem” – zadrwił obleśny Dometios. Ojcowie znowu zarechotali. Podniosłem się i poszedłem na cmentarz, padłem na twarz przed archaniołem i poczułem na karku ciężar jego stopy. Czas szybko uciekał, tak będą mijać godziny i wieki w raju. Wreszcie nadeszła północ. Była cisza, mnisi poszli spać. Wstałem, przeżegnałem się, ucałowałem stopę archanioła. “Niech się stanie wola Twoja!” – powiedziałem, chwyciłem bańkę z naftą i otworzyłem ją. Pod habitem miałem ukryte gałgany. Wyszedłem. Noc była czarna jak smoła. Księżyc nie ukazał się jeszcze na niebie. Klasztor tonął w piekielnych ciemnościach. Zakradłem się na dziedziniec i po drabinie wdrapałem się do celi opata. Obląłem naftą drzwi, okna i ściany. Potem pobiegłem do celi Dometiosa i zgodnie z twoim planem do innych cel. Obląłem naftą wszystkie drzwi i długi korytarz. Wtedy wszedłem do kościoła, zapaliłem świecę od wiecznej lampki przed obrazem Chrystusa i podpaliłem klasztor...

Mnich umilkł i dyszał ciężko, w jego oczach gorzał płomień.

– Niech będzie pochwalony! – wrzasnął, żegnając się. – Niech będzie pochwalony! Klasztor natychmiast stanął w ogniu. “Niech was piekło pochłonie!” – krzyknąłem głośno i wziąłem nogi za pas. Uciekałem ze wszystkich sił, a za mną rozlegało się bicie dzwonów i krzyk mnichów.

Dniało. Ukryłem się w lesie. Drżałem jak w febrze. Słońce wstało. Usłyszałem głosy zakonników przeszukujących krzaki. Ale Bóg w dobroci swojej otulił mnie mgłą i nie dostrzegli mnie. Pod wieczór znowu usłyszałem, głos: “Uciekaj na wybrzeże!” “Prowadź, archaniele!” – zawołałem i ruszyłem w drogę. Nie wiedziałem, dokąd

zdażam, wiódl mnie archanioł raz pod postacią błyskawicy, raz jako czarny ptak ukryty wśród gałęzi, a niekiedy jako biegnąca w dół ścieżka. Biegłem i biegłem za nim ufny i oto w swej niezmierzonej dobroci zaprowadził mnie do ciebie, mój Canavaro. Jestem ocalony.

Zorba milczał. Na całej jego twarzy rozlał się szeroki, zmysłowy uśmiech. Kąciki ust rozciągnęły się aż do włochatych, wielkich jak u osła uszu.

Zdjął z ognia ugotowaną już strawę.

— Zachariaszu — zapytał. — Co to jest “anielski chleb”?

— Duch Święty — odparł mnich i przeżegnał się.

— Duch, czyli innymi słowy powietrze? Nie nasycisz się tym, mój stary. Zjedz więc chleb, zupę rybną i kawał mięsa. Dość się dziś napracowałeś, podjedz sobie teraz...

— Nie jestem głodny — odrzekł mnich.

— Ty, Zachariaszu, może nie, ale Józef? Czy on też nie jest głodny?

— Józef — wyznał mnich po cichu, jakby odkrywał jakąś wielką tajemnicę, przeklęty Józef spłonął, Bogu niech będzie chwała!

— Spłonął! — zawołał ze śmiechem Zorba. — Jak to się stało? Kiedy? Widziałeś go?

— Bracie Canavaro, spłonął w chwili, gdy zapalałem świecę od wiecznej lampki przed obrazem Chrystusa. Na własne oczy widziałem, jak wychodził z moich ust niby czarna wstęga z ognistymi literami. Objął go płomień świecy, w którym zwinął się jak wąż i spopielił. Jakaż to ulga! Wydaje mi się, że jedną nogą już jestem w raju.

Podniósł się z kącika przy ogniu, gdzie przedtem przycupnął skulony.

— Pójdę, położę się na brzegu, bo tak mi jest nakazane — powiedział.

Zrobił kilka kroków w stronę morza i zniknął w ciemnościach.

— Masz go na sumieniu, Zorbo — powiedziałem. — Jeśli mnisi go znajdą, zginą.

— Nie znajdą go, bądź spokojny, szefie. Znam się trochę na tych sprawach. Jutro o świcie ogolę go, ubiorę po ludzku i wsadzę na statek. Nie przejmuj się, szefie, to drobiazg. Dobra zupa? Jedz ze smakiem chleb ludzki, a nie anielski, i nie psuj sobie krwi.

Zorba podjadł z apetytem, napił się, otarł wąsy. Nabrał chętki do rozmowy.

— Słyszałeś? — powiedział. — Jego diabeł zdechł. Teraz biedak jest pusty, zupełnie pusty! Stał się taki jak wszyscy inni.

Pomyślał chwilę i nieoczekiwanie zapytał:

— Czy nie uważasz, szefie, że ten diabeł to był...

— Na pewno — przerwałem mu. — Pomysł spalenia klasztoru wyszedł od niego. Spalił go i uspokoił się. Ta istota pragnęła jeść mięso, pić wino, dlatego dojrzała i dokonała czynu. Ten inny Zachariasz dojrzewał, właśnie poszcząc.

Zorba długo obracał to w myślach.

— Do diabła! Masz chyba rację, szefie — rzekł. — Sądzę, że we mnie siedzi przynajmniej pięć czy sześć diabłów!

— Nie bój się, Zorbo, wszyscy ich mamy w sobie! I im więcej, tym lepiej. Najważniejsze, żeby osiągały w końcu swój cel, nawet jeśli dążą do niego różnymi drogami.

Te słowa wstrząsnęły Zorbą. Oparł swój wielki łeb o kolana i rozmyślał.

— Jaki cel? — spytał wreszcie podnosząc wzrok.

— Nie wiem, Zorbo. Pytasz o zbyt trudne rzeczy. Jak ci to wyjaśnić?

— Powiedz po prostu, tak żebym zrozumiał. Dotąd pozwalałem swoim diablom na wszystko, co im się podoba. Zostawiałem im wolność. Chodziły własnymi drogami — dlatego jedni nazywali mnie oszustem, inni uczciwym, jeszcze inni stukniętym, a jeszcze inni — mędrce Salomonem. Zresztą jest we mnie to wszystko i jeszcze coś ponadto, istny groch z kapustą. Ale jeśli możesz, powiedz mi, do jakiego celu zdąża człowiek.

— Mogę się mylić, Zorbo, ale myślę, że istnieją trzy rodzaje ludzi: ci, którzy za cel uważają korzystanie z życia, dobre jedzenie, picie, bogactwo i sławę. Następnie tacy, którzy za cel biorą nie własny byt, ale dobro wszystkich ludzi, czują bowiem, że wszyscy ludzie stanowią jedność, próbują ich więc oświecić i uczynić szczęśliwymi; kochają ich. Wreszcie są i tacy, których celem jest żyć pełnym życiem wszechświata. Wszyscy i wszystko, ludzie, zwierzęta, rośliny i gwiazdy stanowimy jedność. Jesteśmy tą samą istotą toczącą straszliwą walkę. Walkę o to, by materia stała się duchem.

Wziąwszy koc i nożyczki, Zorba śmiejąc się poszedł wzdłuż wybrzeża. Wszedł księżyc i rzucał na ziemię jakieś blade, chorobliwe światło.

Samotny, przy wygasłym już ogniu rozważałem słowa Zorby — były bogate w treść i tchnęły gorącym oddechem ziemi. Rodząc się w głębi jego serca, zachowywały człowiecze ciepło. Moje słowa, zrodzone w mózgu, ledwo muśnięte kroplą krwi, szeleściły papierem. Jeśli posiadały jakąś wartość, to zawdzięczały ją tylko tej jednej

kropli.

Leżałem na brzuchu, rozgrzebując ciepły popiół, gdy nagle wrócił Zorba. Opuścił bezwładnie ręce, a na jego twarzy widniało pełne trwogi zdumienie.

— Szefie — powiedział. — Nie przeraż się...

Drgnąłem.

— Mnich zmarł.

— Zmarł?!

— Znalazłem go leżącego na skale. Padał nań blask księżyca. Uklęknąłem przy nim i zacząłem mu strzyc brodę. Strzygłem, goliłem — ani drgnął. W rozpędzie obciąłem mu nawet włosy do zera. Zebrałem ich chyba z pół kilograma... A kiedy spojrzałem na niego tak ostrzyżonego jak owcę, zachciało mi się śmiać. “Hej, panie Zachariaszu — zawołałem, trącając go. — Obudź się, a zobaczysz cud, jaki uczyniła Przenajświętsza Panienska!” Ale on ani drgnął. Potrząsnąłem nim jeszcze raz — nie! “Czyżby biedaczyna aż tak się pospieszył do raj?” — pomyślałem. Rozpiąłem habit, obnażyłem piersi i położyłem rękę na sercu. Nie biło. Żadnego “puk-puk”. Cisza. Maszyna już stanęła.

W miarę jak Zorba mówił, odzyskiwał ducha. Śmierć oszołomiła go na chwilę. Szybko jednak wrócił do siebie.

— Co teraz zrobimy, szefie? Uważam, że powinniśmy go spalić. Kto naftą wojuje, od nafty ginie, tak przecież mówi Pismo święte! A on ma habit tak przesiąknięty naftą, że aż sztywny, zajmie się łatwo i spłonie jak kukła Judasza w Wielki Czwartek!

— Rób, co chcesz — powiedziałem, czując jakiś niesmak.

Zorba zamyślił się głęboko.

— Kłopot tylko — rzekł — że jak go podpale, to habit na nim spłonie jak smolna żagiew, ale on sam, biedaczyna, to tylko skóra i kości. Minie sporo czasu, nim taki chudzielec obróci się w popiół. Nie ma na sobie ani grama tłuszczu, co by podtrzymał ogień — i kiwając głową, dodał: — Czy nie sądzisz, że gdyby istniał Bóg, przewidziałby to wszystko i stworzył go dość pulchnym, by nam nie sprawiać kłopotów?

— Nie mieszaj mnie do tego, mówię ci! Rób, co chcesz, byle szybko.

— Najlepiej byłoby, gdyby z tego dało się wykombinować jakiś cud. Mnisi powinni uwierzyć, że sam Bóg został fryzjerem, ostrzygł go, a w końcu, karząc za zniszczenie klasztoru, zabił.

Podrapał się znów w głowę.

— Ale jaki cud? Jaki cud? Pokaż teraz, co potrafisz, Zorbo!

Sierp księżycy zachodząc lśnił na horyzoncie złotem i purpurą jak rozżarzony w ogniu kawałek żelaza.

Zmęczony położyłem się spać. Nad ranem zobaczyłem obok siebie Zorbę przygotowującego kawę. Był bardzo blady, miał spuchnięte i czerwone od bezsenności oczy, tylko grube, koźle wargi uśmiechały się chytrze.

— Nie zmrużyłem oka, szefie, odwaliłem kawał roboty.

— Jakiej roboty, łobuzie?

— Dokonałem cudu.

Zaśmiał się i położył palec na wargach:

— Nic ci więcej nie powiem! Jutro czeka nas uroczystość uruchomienia kolejki. Grube wieprze przyjdą z błogosławieństwem i wtedy dopiero objawi się nowy cud Matki Boskiej Karzącej!

Podał kawę.

— Mówię ci, stary, że ze mnie byłby dopiero opat! — oświadczył. — Gdybym otworzył klasztor, to o co zakład, że wszystkie inne musiałyby się zamknąć? Zabrałbym im całą klientelę! Życzysz sobie widzieć, jak święci płaczą? Kładę gąbkę za ikonę i już lecą ciurkiem święte łzy. Chcesz grzmotów? Instaluję pod wizerunkiem Ostatniej Wieczerzy odpowiednią maszynę, która jęczy i grzmi. Pragniesz duchów? Dwaj zaufani mnisi chodzą przez całą noc po dachu owinięci w prześcieradła. I co roku przygotowywałbym na święto Matki Boskiej gromady kulawych, ślepców i paralityków, którzy odzyskiwaliby wzrok lub zrywali się na nogi, aby pójść w taniec. Czego się śmiejesz, szefie?

Miałem wujka, który znalazł muła zdychającego już prawie. Porzucono go w górach, żeby tam skończył, a wuj przygarnął go i codziennie wyprowadzał na pastwisko. Gdy wieczorem brał go do domu, wieśniacy pytali: "Hej, ojcie Haralambosie, czego się spodziewasz po tej starej chabecie?" "Służy mi jako wytwórnia nawozu!" — odpowiada wuj. A ja, szefie, miałbym klasztor, który by mi służył jako wytwórnia cudów.

25.

Ten dzień przed pierwszym maja zachowam w swojej pamięci na całe życie. Kolejka była gotowa, słupy, liny i haki błyszcząły w porannym słońcu. Stos ogromnych, ociosanych pni sosnowych leżał na szczycie góry. Robotnicy czekali tylko na znak, by umocować je na linach i spuścić w kierunku morza.

Wielka grecka flaga trzepotała na szczycie pierwszego filaru na górze, a druga na wierzchołku ostatniego słupa a wybrzeżu. Przed wejściem do baraku Zorba ustawił beczkę wina, obok jeden z robotników piekł na rożnie tłuste jagnię. Po poświęceniu i dokonaniu oficjalnego otwarcia goście mieli być zaproszeni na pieczeń i do wychylenia szklanki wina za naszą pomyślność.

Zorba zdjął ze ściany klatkę z papugą i postawił ją na wysokim głazie w pobliżu pierwszego filaru.

— To tak, jakbym widział jej panią — szepnął spoglądając tkliwie na papugę i karmiąc ją fistaszkami, które wyjmował z kieszeni.

Był odświętnie ubrany w białą koszulę, zieloną marynarkę, szare spodnie i eleganckie buty na gumowych podszewkach. Ponadto przyciemnił wąsy, z których zaczęła już schodzić farba.

Wyszedł na spotkanie wiejskiej starszyny niby udzielny książe, który wita wielkich panów, i wyjaśniał zasadę działania kolejki, wskazując na pożytek, jaki przyniesie ona całej okolicy, i opowiadając, jak to Matka Boska oświeciła go i błogosławiła mu w tym wielkim dziele.

— To jest sprawa ogromnej wagi — mówił. — Należało znaleźć tylko odpowiedni kąt nachylenia, ale to wymaga prawdziwej wiedzy. Miesiącami łamałem sobie głowę, wszystko na nic. Rozum ludzki nie wystarczy wobec tak wielkich poczynań. Potrzebna jest jeszcze wiara i pomoc boska. Widziała więc Przenajświętsza Panienska mój trud i mózół i ulitowała się nade mną. “Ten Zorba, biedaczysko — powiedziała — to dzielny człowiek, działa dla dobra wsi, trzeba mu pomóc”. I oto stał się cud. — Zorba przystanął, czyniąc trzykrotnie znak krzyża. — I to jaki cud! Którejś nocy zjawia mi się we śnie czarno ubrana postać. Była to Przenajświętsza Panienska. Trzyma w ręku mały, ot taki, modelik kolejki i powiada: “Zorbo, przynoszę ci wzór. Trzymaj się tego kąta nachylenia i przyjmij moje błogosławieństwo”. Powiedziawszy to zniknęła. Obudziłem się. Wskoczyłem szybko z łóżka, pobiegłem na miejsce, gdzie

przeprowadzałem próby, i co ujrzałem? Lina była naciągnięta pod właściwym kątem i pachniała kadzidłem na dowód, że dotknęła ją ręka Matki Boskiej.

Kotomanolios otworzył usta, żeby o coś zapytać, ale właśnie na kamienistej ścieżce pojawiło się pięciu mnichów jadących na mułach. Szósty biegł na przedzie z wielkim drewnianym krzyżem na ramieniu i krzyczał coś głośno. Nie mogliśmy zrozumieć, co.

Słychać jednak było psalmy, mnisi machali rękami, czyniąc znak krzyża, a kopyta mułów krzesaly iskry na kamieniach.

Mnich, idący przodem, zbliżył się do nas zlany potem, podniósł wysoko krzyż i zawołał:

— Chrześcijanie, cud! Chrześcijanie, cud! Ojcowie niosą cudowną Przenajświętszą Marię Pannę... Padnijcie na kolana i módlcie się.

Zbiegli się zdjęci wzruszeniem chłopci — starszyzna i robotnicy — i otoczyli, żegnając się, zakonnika. Stałem na uboczu, Zorba rzucił mi szybkie spojrzenie. Oczy mu błyszczały.

— Zbliż się, szefie — powiedział. — Posłuchaj o cudzie Przenajświętszej Marii Panny.

Zadyszany mnich zaczął szybko opowiadać:

— Na kolana, chrześcijanie, i słuchajcie o cudzie, który sprawił Bóg w swej sprawiedliwości. Posłuchajcie. Diabeł opętał duszę przeklętego Zachariasza i skusił go przedwczoraj, aby oblał naftą klasztor. O północy ujrzeliśmy płomienie. Zerwaliśmy się. Kościół klasztorny, korytarze i cele stały w ogniu. Uderzyliśmy w dzwony, wołając: "Pomocy, Matko Boska Karząca!" Spiesznie nosiliśmy wodę wiadrami i dzbanami. Za Jej sprawą nad ranem ogień został ugaszony.

Poszliśmy do kapliczki, gdzie króluje Jej obraz cudowny, i padliśmy na kolana, błagając: "Ugodź zbrodniarza swą włócznią, Matko Boska Karząca!" Kiedy zebraliśmy się na dziedzińcu, spostrzegliśmy, że nie ma Zachariasza, który okazał się Judaszem. "On to podpalił! On!" — zakrzyknęliśmy zgodnie i ruszyliśmy na poszukiwania. Szukaliśmy go cały dzień — bezskutecznie, całą noc — na próżno. Dziś o świcie znów poszliśmy do kapliczki i oto jaki widok przedstawił się naszym oczom, bracia chrześcijanie, straszliwy cud: Zachariasz leżał martwy przed świętym obrazem, a na ostrzu włóczni Marii Panny zakrzepła wielka kropla krwi.

— Boże, zmiłuj się nad nami! — szeptali klęczący chłopci, ogarnięci nabożnym przerażeniem.

— Ale stało się jeszcze coś straszniejszego — ciągnął mnich, przełknąwszy ślinę.
— Pochyliliśmy się, żeby unieść przekłętą Zachariasza, i stanęliśmy wszyscy jak wryci: Madonna zgoliła mu włosy, wąsy i brodę niby katolickiemu księdzu.

Powstrzymując z trudem śmiech, spojrzałem na Zorbę:

— Łotr! — powiedziałem ściszym głosem.

Ale on patrzył na mnicha wytrzeszczonymi, pełnymi pokory oczami i na dowód całkowitego osłupienia zęgnął się nieustannie.

— Jakże wielki jesteś, o Panie! Jak wspaniałe są Twoje czcigodne dzieła! — mruczał.

Tymczasem przybyli pozostali mnisi i zsiadli z mułów. Ojciec ochmistrz dzierżył w ramionach cudowny obraz. Wspiął się na jedną ze skał, a wszyscy tłocząc się pobiegli, aby upaść na twarz przed Najświętszą Panią. Dometios, idący w tyle, niósł tacę, zbierał datki i machając kropidłem zraszał obficie święconą wodą chłopskie czoła. Trzej mnisi, stanąwszy wokół i splótłszy owłosione ręce na brzuchach, zaczęli śpiewać kantyczki, pocąc się obficie.

— Obejdziemy pobliskie wioski na Krecie — powiedział gruby Dometios — aby wierni mogli ukorzyć się przed widomą oznaką Jej miłosierdzia i zaofiarować, co łaska... Musimy mieć pieniądze, dużo pieniędzy na odbudowę świętego klasztoru.

— Opasłe wieprze! — warknął Zorba. — Zarobią jeszcze na tym!

Zbliżył się do opata.

— Ojcie święty — powiedział. — Wszystko przygotowane do ceremonii. Niech Święta Dziewica pobłogosławi nasze dzieło.

Słońce wzniosło się już wysoko, powietrza nie mącił nawet najłżejszy powiew, panował upał nie do zniesienia. Mnisi skupili się wokół pierwszego filaru, na którym powiewała grecka flaga, otarli czoła szerokimi rękawami habitów i zaintonowali pieśń nabożną na intencję wznoszenia budynków: "Wzniosłeś, Panie, tę twierdzę na mocnej skale i ani wiatr, ani woda nie skruszą jej..."

Zanurzyli kropidło w dzbanie z brązu, poświęcili słupy, liny, bloki, Zorbę, mnie, a potem chłopów, robotników i morze.

Ostrożnie niby chorą kobietę podnieśli potem ikonę, ustawili na wysokim kamieniu tuż obok papugi i stanęli dookoła. Z drugiej strony słupa zajęła miejsca wiejska starszyzna z Zorbą pośrodku. Wycofałem się w stronę morza i czekałem.

Na początek postanowiliśmy spuścić trzy pnie dla uczczenia Świętej Trójcy. Potem dołożyliśmy jednak czwarty jako dowód wdzięczności wobec Matki Boskiej

Karzącej.

Mnisi, wieśniacy i robotnicy przeżegnali się:

— W imię Trójcy Świętej i Przenajświętszej Marii Panny — szeptali.

— Zorba jednym susem znalazł się przy pierwszym filarze, pociągnął linę i opuścił flagę. Był to sygnał dla robotników czekających wysoko na górze. Odsunęliśmy się wszyscy i skierowaliśmy wzrok w stronę szczytu.

— W imię Ojca... — zawołał opat.

Trudno opisać, co się później działo. Katastrofa uderzyła w nas jak grom, ledwo zdołaliśmy ująć z życiem. Cały wyciąg zadrżał. Sosna, którą robotnicy umocowali na linie, pędziła z demoniczną siłą w dół, jarząc się iskrami od tarcia. Wielkie szczapy odrywały się i rozpryskiwały w powietrzu, a po kilku sekundach pozostała już tylko mała, na pół spalona głownia.

Zorba spojrzał na mnie jak zbity pies, mnisi i mieszkańcy wioski odsunęli się przezornie, uwiązane muły zaczęły wierzgać. Gruby Dometios przypadł sapiąc do ziemi.

— O, Panie! Zmiłuj się nade mną — jęczał przerażony.

Zorba podniósł rękę.

— To nic — powiedział. — Zawsze tak jest za pierwszym razem, teraz się wyreguluje. Patrzcie. Wzniósł flagę, dał znak i odbiegł na bok.

— ...i Syna! — zawołał opat drżącym głosem.

Spuszczono drugi pień. Słupy zakołysały się, drzewo nabrało rozpędu, skakało jak delfin, toczyło się prosto na nas, lecz nie dotarło zbyt daleko, roztrzaskało się w drzazgi w połowie góry.

— Do diabła! — mruknął Zorba, przygryzając wąsa. — Ten przeklęty kąt nachylenia jeszcze nie jest w porządku.

Skoczył z pasją do słupa i opuścił flagę, dając w ten sposób sygnał do trzeciej próby. Mnisi, ukryci za grzbietami mułów, żegnali się z lękiem. Goście czekali, gotowi do ucieczki.

— ...i Ducha Świętego! — wykrztusił przez ściśnięte gardło opat, unosząc habit.

Trzeci pień był ogromnych rozmiarów. Zaraz po spuszczeniu go rozległ się potężny huk.

— Padnijcie, na litość boską! — wrzasnął Zorba, uciekając.

Mnisi padli na twarz, wieśniacy wzięli nogi za pas.

Pień to unosił się w górę, to znów opadał na linę z takim impetem, że sypały się

iskry, i nim zdążyliśmy się obejrzeć, wyprysnął ponad wybrzeże i wpadł daleko w morze, wzbijając wysokie, spienione fale. Słupy chwiały się niepokojąco. Muły uciekły, zerwawszy krępujące je pęta.

— To nic! To nic! — zawołał Zorba, wyskakując niemal ze skóry. — Teraz pójdzie gładko. Jazda!

Znowu uniósł flagę. Czuło się, że jest zrezygnowany i pragnie tylko, żeby to wszystko się już skończyło.

— ...i Matki Boskiej Karzącej — bełkotał opat, kryjąc się pośpiesznie za skałę.

Ruszył czwarty pień. "Trach!" — rozległ się straszliwy huk, jeszcze raz: "Trrrach!" — i wszystko runęło jak domek z kart.

— Panie, zmiłuj się nad nami! — rozpaczliwie jęczyli robotnicy, wieśniacy i mnisi, uciekając w popłochu.

Jedna drzazga zraniła Dometiosa w udo, niewiele brakowało, by inna wybiła oko opatowi. Po mieszkańcach wioski nie było już śladu, tylko Najświętsza Panienska stała na głazie i wyprostowana, z włócznią w dłoni, spozierała surowym wzrokiem na ludzi. Obok trzepotała się na wpół żywa ze strachu papuga z nastroszonymi zielonymi piórami.

Mnisi uczepili się świętego obrazu, który ściskali w ramionach, podnieśli jęczącego z bólu Dometiosa, schwytali muły, dosiedli ich i rozpoczęli odwrót. Robotnik, obracający rożen, zmykał w popłochu, porzuciwszy jagnię, które właśnie zaczynało się przypalać.

— Jagnię upiecze mi się na węgiel! — zawołał z niepokojem Zorba i pobiegł, aby przekreślić rożen.

Siadłem obok niego. Wybrzeże już opustoszało, pozostaliśmy zupełnie sami. Odwrócił się, spojrzał na mnie niepewnie i z wahaniem... Nie wiedział, jak potraktuję katastrofę i jak się skończy cała ta historia. Chwycił nóż, pochylił się znowu nad jagnięciem, ukroił kawał mięsa, spróbował. Zdjął pieczeń z ognia i oparł rożen pionowo o drzewo.

— W sam raz — powiedział. — Delicje, szefie! Chcesz spróbować?

— Przynieś wino i chleb! Jestem głodny.

Zorba skoczył, zwinnie przytoczył beczułkę i postawił w pobliżu jagnięcia, przyniósł duży bochen pszennego chleba i dwie szklanki. Każdy z nas ujął nóż, ukroiliśmy dwa duże plastry mięsa, dwie grube pajdy chleba i wzięliśmy się z apetytem do jedzenia.

— Widzisz, jakie to smaczne, szefie! — odezwał się Zorba. — W ustach się rozpływa. Tu nie ma tłustej gleby, zwierzęta pasą się suchą trawą na skalistych terenach, dlatego ich mięso jest tak smaczne. Raz tylko jadłem równie soczyste. Pamiętam, że było to w czasach, kiedy wyhaftowałem własnymi włosami bazylikę Świętej Zofii... Opowiadałem ci już o tym. Stare dzieje...

— Opowiedz coś jeszcze...

— Stare dzieje, mówię ci, szefie. Zwariowane pomysły Greków.

— Ale opowiedz, Zorbo, to mnie bardzo interesuje.

— Otóż tamtego wieczora otoczyli nas Bułgarzy. Widzieliśmy, jak dokoła nas na zboczach gór rozpalali ognie, bili w bębny, wyli jak wilki, żeby nas przerazić. Było ich chyba ze trzystu, a nas dwudziestu ośmiu pod wodzą *kapetana* Ruvasa. Wspaniały chłop! Niech mu Bóg będzie miłosierny, jeśli już umarł. “Hej, Zorba! — zawołał. — Przyrządź no jagnię na rożnie!” “Jest o wiele smaczniejsze, kapelanie — odpowiedziałem — jeśli je upiec w ziemi”. “Rób, jak chcesz, byle szybko, bo jesteśmy głodni”. Wykopaliśmy dół, włożyliśmy tam jagnię nie odarte ze skóry, na wierzch nasypaliśmy grubą warstwę żarzącego się węgla, wyjęliśmy chleb z plecaków i siedliśmy dookoła. “Może to nasz ostatni posiłek — rzekł *kapetan* Ruvas. — Czy któryś z was się boi, chłopaki?” — Roześmieliśmy się tylko na to. Wszyscy uznali, że odpowiedź jest niepotrzebna. Odkorkowaliśmy manierki. “Twoje zdrowie, kapelanie”. Pociągnęliśmy łyk i drugi, a potem wydobyliśmy jagnię. Ach, szefie, co za jagnię! Na samo wspomnienie jeszcze dziś ślinka mi cieknie. Rozpływało się w ustach, jak rachatlukum. Rzuciliśmy się na nie żarłocznie. “Nigdy jeszcze nie jadłem smaczniejszego mięsa — powiedział dowódca. — Świadcę się Bogiem”. I on, który nigdy nie pił, wychylił do dna manierkę. — “Zaśpiewajcie, chłopcy, jakąś pieśń klefetycką. Tamci wyją jak wilki, my zaśpiewajmy jak ludzie. Może o starcu Dimosie”. Przelknęliśmy w pośpiechu ostatnie kęsy, pociągnęliśmy jeszcze jeden łyk i rozległa się pieśń tak potężna, że aż echo zawtórowało w wąwozach. “Już lat czterdzieści jestem, chłopcy, klefetyjskim junakiem...” — śpiewaliśmy coraz głośniejsze. Ogarnął nas zapal. “Nie traćcie ducha. Uratujemy się z bożą pomocą — powiedział dowódca. — A teraz spójrz, Aleksy, na baranią łopatkę. Co wróży?” Oczyszczyłem scyzorykiem łopatkę jagnięcia i zbliżyłem się do ognia, żeby lepiej widzieć. — “Nie widzę grobów, *kapetanie*, ani śmierci. Tym razem jeszcze się uratujemy, chłopaki!” “Oby twoje słowa były święte! — zawołał nasz sierżant, młody żonkoś. — Najpierw muszę mieć syna, a potem niech się dzieje, co chce”.

Zorba odkroił duży kawał mięsa znad nerki.

— Tamto jagnię było wyśmienite — rzekł — ale to pocziwe maleństwo w niczym mu nie ustępuje.

— Nalej, Zorbo! Napełnij kielichy po brzegi. Wychylimy je do dna.

Tręciliśmy się i napiliśmy wspaniałego kreteńskiego wina, szkarłatnego niby krew zająca. Była to jakby komunia, obrzęd przelewania w swe żyły krwi płynącej z głębi ziemi. Człowiek stawał się olbrzymem. Jego ściegna wzbierały siłą. Jagnię przeistaczało się w lwa. W niepamięci ginęły drobne codzienne troski, przestawały istnieć ciasne granice. Utożsamiając się z innymi ludźmi, z wszelkim stworzeniem i Bogiem, osiągałeś jedność z wszechświatem.

— Może i my zobaczymy, co powiedzą kości barana — zaproponowałem. — Chodź, powróż, Zorbo.

Ogryzł dokładnie kości, oskrobał swoim nożem, zbliżył do światła i uważnie im się przyjrzał.

— W porządku, szefie, pożyczmy z tysiąc lat. Serce ze stali!

Znowu nachylił się.

— Widzę podróż — powiedział. — Daleką podróż, a u jej kresu ogromny dom z mnóstwem drzwi. To chyba stolica jakiegoś królestwa, szefie, a może ów klasztor, w którym jako odzwierzytny będę robił te machlojki, o jakich ci mówiłem.

— Nalej wina, Zorbo, i skończ wróżby. Ja ci powiem, co oznacza ten wielki dom z niezliczoną ilością drzwi. To ziemia usiana grobami, kres podróży. Twoje zdrowie, łobuzie!

— Twoje zdrowie, szefie! Mówią, że los jest ślepy, nie wie, dokąd dąży, potyka się o przechodniów, a tego, na kogo padnie, nazywają szczęściarzem. Do diabła z takim szczęściem! Nie chcemy go, szefie. Prawda?

— Nie chcemy, Zorbo. Twoje zdrowie!

Piliśmy i pałaszowaliśmy resztki jagnięcia, świat stawał się jakby lżejszy, morze było roześmiane, ziemia kołysała się jak pokład okrętu, dwie mewy człapiąc po kamykach przyglądały się sobie jak ludzie.

Wstałem.

— Chodź, Zorbo! — zawołałem. — Naucz mnie tańczyć!

Zorba podskoczył, jego twarz zajaśniała.

— Tańczyć, szefie? — krzyknął. — Tańczyć! Chodź!

— Jazda, Zorbo! Moje życie odmieniło się. Śmiało!

— Na początek nauczę cię *zebekiko*. To taniec wojenny. My, tam w górach, tańczyliśmy go przed bitwą.

Zdjął buty i skarpetki buraczkowego koloru. Został tylko w spodniach i koszuli, ale i ona go dusiła, więc po chwili zerwał ją z siebie.

— Patrz na moje nogi, szefie — komenderował. — Uważaj!

Wyciągnął stopę, delikatnie dotknął nią ziemi, wyciągnął drugą, kroki łączyły się z sobą w dzikich, radosnych podskokach, aż ziemia zadudniła.

Chwycił mnie za ramię:

— Chodź, chłopcze, teraz razem!

Poszliśmy w taniec. Zorba poprawiał mnie delikatnie, poważny i cierpliwy. Nabierałem odwagi, miałem uczucie, jakby moim ciężkim stopom przyprawiono skrzydła.

— Brawo, jesteś asem! — krzyknął Zorba, klaszcząc w ręce, aby utrzymać tempo. — Brawo, mój chłopcze! Precz z papierzyskami i atramentem! Precz z majątkiem i zyskiem! Precz z kopalniami i klasztorami! Teraz, kiedy możesz tańczyć, znasz moją mowę. Nareszcie będziemy mogli pogadać.

Żwir prysnął spod jego nagich stóp. Klasnął w dłonie.

— Szefie! — zawołał. — Mam ci wiele do powiedzenia. Żadnego człowieka jeszcze nie pokochałem tak jak ciebie. Mam ci dużo do powiedzenia, ale język mój temu nie podola... Pozwól, abym to odtańczył. Stań trochę dalej, żebym cię nie potrącił. Hola! Hop, hop!

Dał susa, jego nogi i ręce zamieniły się w skrzydła, kiedy wyprostowany skakał wysoko nad ziemię. Na tle morza i nieba wydawał się starym zbuntowanym archaniołem, ponieważ ten taniec Zorby był cały zwątpieniem, uporem i walką. Zda się, że wołał: "Co możesz mi zrobić? Ty — Wszechmocny! Nic, najwyżej zabić! Zabij! Gwiżdżę na to! Ulżyłem sobie, wygarnąłem ci, co mnie gnębiło. Zdążyłem zatańczyć i teraz już cię nie potrzebuję".

Patrząc na tańczącego Zorbę po raz pierwszy zrozumiałem potworny wysiłek człowieka, pragnącego przezwyciężyć ciężar ciała. Podziwiałem jego wytrwałość, zwinność i dumę. Mocne i zręczne kroki Zorby rzeźbiły na kamieniach opętającą historię ludzkości.

Zatrzymał się, spojrzął na kolejkę, która już była tylko kupą drewna. Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie stawały się coraz dłuższe. Zorba wytrzeszczył oczy, jakby nagle coś sobie przypomniał. Odwrócił się do mnie i swoim zwykłym gestem

zakrył dłonią usta.

— Oj, oj, szefie! — rzekł. — Widziałeś, jak szelma sypał iskrami?

Wybuchnęliśmy śmiechem. Zorba rzucił się do mnie, chwycił w objęcia i zaczął całować.

— Śmiejesz się, szefie? — zawołał serdecznie. — Ty też się śmiejesz? Brawo, chłopie!

Ryjąc ze śmiechu, długo mocowaliśmy się dla żartu na kamieniach. Wreszcie padliśmy na nadbrzeżny piasek i obejmując się ramionami zasnęliśmy.

Wstałem o świcie i z mocno bijącym sercem poszedłem szybko wybrzeżem do wioski. Rzadko w swoim życiu odczuwałem tak wielką wesołość. Właściwie nawet nie wesołość, lecz podniosłe, nieuchwytnie, niczym nie usprawiedliwione uczucie radości. Zresztą nie tyle nie usprawiedliwione, ile wbrew wszelkim racjom. Tym razem straciłem cały majątek: pieniądze, liny, kolejkę. Odeszli również ludzie. Przystań zbudowana specjalnie, aby wywozić stąd węgiel, nie będzie teraz służyła niczemu. Przepadło wszystko.

I w tej chwili doznałem niespodziewanego uczucia wyzwolenia. Jakbym zamknięty w ponurym, ciężkim więzieniu konieczności znalazł w małym kąciku igrającą swawolnie wolność i wraz z nią oddał się zabawie.

W momencie kiedy wszystko dzieje się na opak, wielkim szczęściem jest sprawdzenie, iż własne serce — wystawione na próbę — ma hart i wytrzymałość. Gdy wydaje się, że jakiś niewidzialny, wszechmocny wróg, którego jedni nazywają Bogiem, inni diabłem, dopada nas, usiłuje powalić, a my trwamy nieugięci, mając wewnętrzną świadomość odniesionego zwycięstwa, odczuwamy radość i dumę w pełnym znaczeniu tego słowa, mimo iż pozornie los nas powalił. Poniesiona obiektywnie klęska staje się wtedy źródłem wielkiej, choć niełatwej satysfakcji.

Przypomniałem sobie to, co pewnego wieczoru opowiedział mi Zorba:

— Było to w Macedonii. Nad górami pokrytymi śniegiem zerwał się nocą straszliwy wicher. Wstrząsał mizerną chałupą, w której się schroniłem, próbując ją przewrócić. Ale ja ją dobrze umocniłem. Siedziałem samotnie przed kominem, w którym płonął ogień, i ze śmiechem wyzywałem wicher, krzycząc do niej: "Nie uda ci się wcisnąć do mojej chaty, nie otworzę ci drzwi, nie zgasisz mojego ognia, nie obalisz mnie!"

Te słowa Zorby pokazały mi, jak powinien zachowywać się człowiek i jakim

językiem przemawiać do ślepej potęgi konieczności. Toteż idąc szybko wzdłuż brzegu i ja przemawiałem do niewidzialnego wroga. "Nie uda ci się wtargnąć do mojej duszy, nie otworzę ci drzwi, nie zgasisz mojego ognia, nie obalisz mnie!" — wołałem.

Słońce nie wyjrzało jeszcze spoza gór. Niebo i morze mieniły się niebieskimi, zielonymi, różowymi i perłowymi barwami, a gdzieś wśród drzew oliwkowych zbudziły się i zaczęły szczebiotać upojone światłem ptaszki.

Poszedłem wzdłuż morza, bo chciałem pożegnać to samotne wybrzeże, wyryc jego obraz w pamięci i unieść ze sobą. Doznałem tutaj wiele radości. Obcowanie z Zorbą wzbogaciło moje serce, niektóre jego słowa dały ukojenie duszy, rozświetlając nurtujące ją problemy. Ten człowiek ze swoim nieomylnym pierwotnym instynktem, orlim wzrokiem wypatrywał najkrótszych dróg i tamtędy kierując swój lot, osiągał szczyt swych dążeń, mało tego — starczało mu jeszcze tchu, by iść dalej.

Minęła mnie grupka ludzi. Mężczyźni i kobiety z pełnymi koszami, z butlami wina szli święcić w ogrodach dzień 1 Maja. Nagle jak fontanna wytrysnął dziewczęcy głos i zaśpiewał. Obok mnie przebiegła zdyszana dziewczynka o przedwcześnie rozwiniętych piersiach i wspięła się na wysoki głaz. Gonił ją blady z wściekłości, czarnobrody mężczyzna.

— Zejdź... Zejdź... — wołał do niej ochryple.

Jednak mała z wypiekami na policzkach podniosła ręce, splotła je nad głową i powoli kołysząc całym ciałem, śpiewała dalej swą piosenkę:

*Wyznaj słowami,
napomknij żartem,
że mnie nie kochasz.
Dla mnie to niewiele warte.*

— Zejdź... Zejdź... — krzyczał czarnobrody, a jego ochrypy głos błagał i groził zarazem.

Nagle jednym susem znalazł się przy niej, uchwycił za nogę i ścisnął silnie, a dziewczynka, jakby tylko czekając na to, wybuchnęła płaczem.

Przyśpieszyłem kroku. Wszystkie te zabawy odbijały się w moim sercu bolesnym echem. W mojej wyobraźni ożyła pulchna, wyperfumowana stara syrena, syta pocałunków, spoczywająca pod mogilną darnią. Z jej rozdętego, pozieleniałego, popękanego ciała wypłynęły już zapewne wszystkie soki żywotne i wpełzły tam robaki.

Potrząsnąłem głową pełen grozy. Niekiedy ziemia staje się przezroczysta, a

wtedy widzimy wielkiego przedsiębiorcę — Robaka, pracującego dniem i nocą w swoich podziemnych przetwórnich, szybko jednak odwracamy oczy. Człowiek zniesie wszystko, tylko nie widok tego malutkiego, białego robaczka.

Wchodząc do wsi, spotkałem listonosza, dmącego w swą trąbkę.

— List, szefie! — zawołał, wręczając mi niebieską kopertę.

Rozpoznawszy drobniutkie, staranne pismo poderwałem się z radością, szybko przebyłem wioskę i siadłszy w gaju oliwnym, niecierpliwie otworzyłem list. Treść jego była krótka, pisana w pośpiechu.

“Dotarliśmy do granic Gruzji, uciekliśmy przed Kurdami. Wszystko w porządku. Nareszcie wiem, co to znaczy szczęście.

Szczęście to pełnienie obowiązku, a im obowiązek cięższy, tym ono większe — tę bardzo starą formułę zrozumiałem dopiero teraz, bo na własnym przykładzie przekonałem się o jej prawdzie.

Za kilka dni te tropione, znajdujące się o włos od śmierci istoty będą w Batumi. Dzisiaj otrzymałem depezę: «Przybyły już pierwsze statki».

Tysiące tych mądrych i pracowitych Greków, ich szerokobiodre żony i płomiennookie dzieci zostaną wkrótce przewiezione do Macedonii oraz Tracji. Przetoczymy świeżą krew męźnych do starych żył Grecji.

Przyznaję, że trochę się zmęczyłem, ale to nic. Walczyliśmy, mój Mistrzu, i zwyciężyliśmy. Jestem szczęśliwy”.

Schowałem list i ruszyłem szybko naprzód. Ja też byłem szczęśliwy. Wspinałem się wąską ścieżką pod górę, krusząc w palcach wonne źdźbło kwitnącego tymianku. Zbliżało się południe. Czarny cień kładł się u mych stóp. Wysoko na niebie szybował jastrząb, jego skrzydła uderzały tak szybko, że sprawiały wrażenie nieruchomych. Spłoszona mymi krokami, wyskoczyła zza krzaków kuropatwa i przecięła powietrze z metalicznym warkotem.

Byłem szczęśliwy. Gdybym potrafił śpiewać, zaśpiewałbym, aby to wyrazić, ale wydawałem tylko jakieś nieartykułowane okrzyki. “Co ci się stało? — pytałem siebie drwiąco. — Czyżbyś, nie wiedząc o tym, był aż tak wielkim patriotą? A może tak bardzo kochasz swego przyjaciela? Opanuj się! Jak ci nie wstyd?” I dalej w porywie radości pokrzykiwałem, wspinając się pod górę.

Szeroko rozlał się głos dzwonek. Na skałach błysnęły w słońcu sylwetki czarnych, brązowych i szarych kóz. Przodem szedł ciężki kozioł, sztywno niosąc głowę. Jego zapach zatrul powietrze.

Na jedną ze skał wskoczył pastuch, włożył palce do ust i zagwizdał.

— Hej, przyjacielu! Dokąd idziesz? Kogo gonisz? — krzyknął do mnie.

— Nie mam czasu! — odparłem, pnąc się wciąż wyżej.

— Poczekaj, napij się mleka dla ochłody! — zawołał pastuch, przeskakując z jednej skały na drugą, żeby się zbliżyć.

— Nie mam czasu! — obstawałem przy swoim, nie chcąc aby czcza gadanina położyła kres mej radości.

— A więc gardzisz moim mlekiem? — rzekł pastuch urażony. — To trudno. Szczęśliwej drogi.

Włożył znów palce do ust, gwizdnał na stado i po chwili wszystko — kozy, psy i pastuch — zniknęło za skalną ścianą.

Wkrótce byłem na wierzchołku i jakby ten szczyt stanowił ostateczny cel mojej wędrówki, uspokoiłem się. Siadłem w cieniu skały i patrzyłem z dala na bezkres morza. Wdychałem głęboko powietrze nasycone wonią szaławii i tymianku.

Zebrałem naręcza szaławii i kładąc je zamiast poduszki pod głowę, wyciągnąłem się, przymykając oczy. Myśli moje na chwilę uleciały tam, na płaską wyżynę, pokrytą śniegiem. Próbowałem w wyobraźni odtworzyć tłum mężczyzn i kobiet ciągnących z wołami na północ i postać mego przyjaciela, idącego na czele niby przewodnik stada. Szybko jednak obrazy te stały się mgliste. Poczulem nieodparte pragnienie snu.

Próbowałem się bronić, nie chciałem spać, siłą otwierałem oczy. Naprzeciwno na skale, na samym wierzchołku góry, przysiadł kruk. W słońcu lśniły granatowoczarne skrzydła. Mogłem wyraźnie rozróżnić wielki, żółty dziób. Ogarnął mnie gniew, kruk wydał mi się złą wróżbą. Porwałem kamień i rzuciłem w niego. Kruk wolno i dostojnie rozpostarł skrzydła.

Znów zamknąłem oczy i nie potrafiąc już się opierać, zaraz zapadłem w sen.

Nie mogłem spać dłużej niż kilka chwil, bo kiedy krzyknąwszy, zerwałem się na nogi, kruk przelatywał właśnie nad moją głową. Drżąc cały, oparłem się o skałę. Straszliwy sen jak cięcie miecza rozdarł moją świadomość.

Byłem w Atenach, samotnie szedłem ulicą Hermesa. Słońce doskwierało, a ulica była pusta i sklepy pozamykane. Panowała cmentarna cisza. Mijając ulicę Kapnikarea, dostrzegłem mego przyjaciela biegnącego od placu Konstytucji. Błady, zdyszany, ubrany w swój galowy mundur dyplomaty podążał za jakimś bardzo wysokim i niezwykle chudym mężczyzną. Spozrzegł mnie i krzyknął z daleka:

— Jak się czujesz, mistrzu? Nie widziałem cię od wieków. Przyjdź dziś wieczór

na pogawędkę!

— Dokąd? — zawołałem głośno, jakby mój przyjaciel znajdował się gdzieś bardzo daleko i jakbym musiał krzyżeć ze wszystkich sił, aby mnie mógł usłyszeć.

— Plac Zgody, dziś wieczór, o szóstej, w kawiarni "Fontanna Raju".

— Dobrze — odrzekłem. — Przyjdę.

— Mówisz tak tylko — powiedział z wyrzutem. — Mówisz tak, ale nie przyjdiesz.

— Na pewno przyjdę! — zawołałem. — Podaj mi rękę.

— Śpieszę się.

— Dlaczego się śpieszysz? Podaj mi rękę.

Wyciągnął rękę, która w tejże chwili oderwała się od jego ramienia i lecąc w powietrzu dopadła mnie i chwyciła za dłoń.

To lodowate dotknięcie przejęło mnie grozą. Krzyknąłem przeraźliwie i zerwałem się ze snu.

Zobaczyłem kruka, wciąż krążącego nad moją głową. Czulem na wargach gorzycz trucizny.

Zwróciwszy się na wschód, wpatrzyłem się w odległy horyzont, jakbym chciał przebić wzrokiem dzielącą nas przestrzeń i zobaczyć... Wiedziałem, że mój przyjaciel jest w niebezpieczeństwie. Trzykrotnie zawołałem go, jakbym chciał dodać mu otuchy:

— Stavridakis! Stavridakis! Stavridakis!

Ale mój głos ginął w powietrzu.

Wracałem. Biegłem z góry, usiłując zmęczeniem fizycznym osłabić ból. Umysł mój daremnie próbował drwić z tajemniczych znaków, które jakoby zdolne są, bez udziału zmysłów, przeniknąć wprost do duszy. Jakaś zwierzęca, pierwotna pewność w głębi mej istoty przejmowała mnie grozą. Była to ta sama świadomość, jaka przed trzęsieniem ziemi przejmują niektóre zwierzęta, na przykład owce czy szczury. Zbudziła się we mnie dusza pierwotnego człowieka, taka, jaką była, gdy nie oderwała się jeszcze od otaczającego świata, gdy wolna od zniekształcającego pryzmatu rozsądku bezpośrednio wyczuwała prawdę.

— Jest w niebezpieczeństwie... W niebezpieczeństwie... — szeptałem. — Umrze... Może on sam nie domyśla się jeszcze tego, ale ja wiem o tym, jestem pewien.

Zbiegając w dół, upadłem na stos kamieni i stoczyłem się razem z nimi. Wstałem z pokaleczonymi rękami i nogami, w podartej koszuli.

– Umrze... Umrze... – powtarzałem i skurcz chwycił mnie za gardło.

Nieszczęsny człowiek wznosił wokół swego małego nędznego bytu wysoką, niezdobytą – jak mu się wydaje – twierdzę. Schronił się tam, usiłując wnieść ze sobą choć trochę ładu i bezpieczeństwa, trochę szczęścia. Wszystko winno się tam toczyć wedle utartych, przyjętych powszechnie zwyczajów, podlegać prostym i niezachwianym prawom. Jest tam tylko jeden potężny nieprzyjaciel, śmiertelnie znienawidzony i budzący śmiertelny lęk – Wielka Pewność. W tej chwili właśnie ta Wielka Pewność zdobyła mury chroniącej mnie twierdzy i rzuciła się na moją duszę.

Gdy dotarłem do naszego wybrzeża, zatrzymałem się na chwilę, aby odetchnąć.

“Wszystkie te znaki, przeczucia – pomyślałem – są płodem naszego własnego niepokoju, a we śnie oblekają się we wspaniałą kształt symbolu. Ale to my sami je tworzymy...”

Uspokoilem się trochę. Rozsądek przywrócił znowu ład w moim sercu, odciął skrzydła dziwaczному, potwornemu nietoperzowi, kroił go i nicował, aż uczynił z niego zwykłą, dobrze znaną myszkę.

Toteż kiedy dotarłem do baraku, śmiałem się ze swej naiwności i wstydzilem paniki, której tak szybko poddał się mój umysł. Wróciwszy do uświęconej, zwykłej codzienności, poczułem głód, pragnienie i wyczerpanie. Piekły mnie zadrapania i rany, ale nade wszystko odczuwałem ogromną ulgę: straszliwy wróg, który przekroczył mury mojej twierdzy, zatrzymany został na drugiej linii obronnej mojej duszy.

26.

To był już koniec. Zorba pozbiierał liny, narzędzia, żelastwo, deski, ułożył je w stos na brzegu i oczekiwał łódki, która miała je zabrać.

— Darowuję ci to wszystko — powiedziałem — i życzę powodzenia, Zorbo.

Zorba przycisnął ręką gardło, jakby chciał zdławić łkanie.

— Rozstajemy się — szepnął. — Dokąd pójdziesz, szefie?

— Wyjeżdżam za granicę. Mól, jaki we mnie siedzi, ma jeszcze mnóstwo papierów do gryzienia.

— Nie zmądrzałeś jeszcze, szefie?

— Tak, Zorbo. Dzięki tobie zmądrzałem. Podążę twoją drogą i zrobię z książkami to, co ty z czereśniami. Pochłonę tyle papieru, że stanie mi w gardle, dostanę torsji i będę wyzwolony.

— A co ja zrobię bez ciebie, szefie?

— Nie smuć się, Zorbo. Spotkamy się jeszcze. Siły człowieka są niezmierzone, więc — kto wie — może zrealizujemy pewnego dnia nasz wielki plan. Zbudujemy nasz własny klasztor, bez Boga i bez diabła, dla wolnych ludzi, a ty, Zorbo, staniesz u jego wrót, dzierżąc wielki klucz, i jak święty Piotr będziesz otwierał i zamykał bramę.

Zorba siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę, napelniał raz za razem szklanekę i popijał w milczeniu.

Zapadła noc, byliśmy już po kolacji i po raz ostatni gawędziliśmy przy winie. Nazajutrz, wczesnym rankiem mieliśmy się rozstać — ja wyjeżdżałem do Kastellionu.

— Tak... Tak... — mrucał Zorba, szarpiąc wąsy i siorbiąc wino.

Niebo usiane było gwiazdami, opływała nas błękitna noc, serca nasze pragnęły znaleźć ukojenie we łzach, ale nie pozwalaliśmy im na to.

“Pożegnasz go na zawsze — myślałem. — Przyjrzyj mu się dobrze, nigdy już twoje oczy nie ujrzą Zorby”.

Zapragnałem przytulić się do tej starej piersi i zapłakać, ale wstyd mi było. Próbowałem śmiać się, aby pokryć wzruszenie, lecz nie mogłem. Miałem ściśnięte gardło.

Patrzyłem na Zorbę, który wyciągał swoją szyję drapieżnego ptaka i pił bez przerwy w milczeniu. Patrzyłem na niego i mgła przesłaniała mi oczy. Myślałem, jaką okrutną zagadką jest życie. Ludzie spotykają się i rozstają ze sobą niby jesienne liście

pędzone wiatrem. Daremnie wzrok usiłuje zachować w pamięci twarz, sylwetkę, ruchy ukochanej istoty — po kilku latach nie pamięta się już, czy oczy miała niebieskie, czy czarne...

“Dusza człowieka — powtarzałem sobie — powinna być twarda jak stal, wykuta z brązu, a nie utkana z wiatru”.

Zorba pił. Uniósł swoją wielką głowę i nie poruszał nią. Wydawało się, że nasłuchuje wśród nocy jakichś kroków, które to zbliżają się, to oddalają w głębi jego istoty.

— O czym myślisz, Zorbo?

— O czym mam myśleć, szefie? Doprawdy o niczym. O niczym nie myślę.

Po chwili napełnił szklankę.

— Twoje zdrowie, szefie! — powiedział.

Trąciliśmy się. Zrozumieliśmy obaj, że ten gorzki smutek nie może już dłużej trwać. Trzeba wybuchnąć łkaniem albo rzucić się w obłądny taniec.

— Zagraj, Zorbo! — poprosiłem.

— Powiedziałem ci już, że *santuri* trzeba radosnego serca, zagram dopiero za miesiąc, za dwa, może za dwa lata, czy ja wiem? Zaśpiewam wtedy o dwóch ludziach, którzy rozstają się na zawsze.

— Na zawsze! — krzyknąłem przerażony.

Powtarzałem w myśli to ostateczne słowo, ale nie słyszałem go. Teraz chwycił mnie strach.

— Na zawsze! — powtórzył Zorba, z trudem przelękając ślinę. — Na zawsze! To, że spotkamy się znowu, że zbudujemy klasztor, jest tylko pociechą, niegodną pociechą. Nie chcę jej. Cóż to? Czyż jesteśmy słabymi kobietami, które trzeba pocieszać? Tak. Żegnamy się na zawsze.

— Może zostanę tu z tobą — powiedziałem przerażony żarliwym uczuciem Zorby. — Może pójdę z tobą, jestem wolny.

Zorba potrząsnął głową:

— Nie, nie jesteś wolny. Powróż, który cię więzi, jest tylko trochę dłuższy niż u innych. To wszystko. Tylko dzięki temu, szefie, że masz długi powróż, możesz oddalać się i wracać. Zdaje ci się, że jesteś wolny, ale nie przecinasz powroza. A jeśli człowiek nie przetnie swych więzów...

— Pewnego dnia przetnę je! — powiedziałem, sam w to nie wierząc, gdyż słowa Zorby dotknęły otwartej we mnie rany i sprawiły mi ból.

— To jest trudne, szefie, bardzo trudne. Do tego potrzeba odrobiny szaleństwa. Szaleństwa. Słyszysz? Trzeba wszystko postawić na jedną kartę, a ty masz rozum i on weźmie górę. Rozum jest jak sklepikarz, prowadzi rachunki, notuje przychód i rozchód, zysk i stratę. To jest rozważny drobny kupiec, nie stawia wszystkiego na jedną kartę. Zawsze pilnuje swych oszczędności i nie zrywa sznura, o nie! Trzyma go, szelma, mocno w garści. Gdyby mu się wymknął, biedak przepadłby z kretesem. Ale jeśli nie przetniesz sznura, powiedz, jaki smak może mieć twoje życie? Smak rumianku, mdławego rumianku. To nie rum, który pozwala widzieć świat do góry nogami!

Zamilkł, sięgnął po wino, ale rozmyślił się.

— Wybacz mi, szefie, jestem prostak. Słowa przylepiają mi się do zębów jak błoto do nóg, nie potrafię owijać ich w bawełnę i prawić duserów. Nie potrafię, ale ty mnie rozumiesz.

Opróżnił szklanekę i spojrzał na mnie.

— Rozumiesz! — krzyknął, jakby wpadł nagle w złość. — Rozumiesz i to cię zgubi! Byłbyś szczęśliwy, gdybyś nie rozumiał. Czego ci brak? Jesteś młody, masz forszę i zdrowie, jesteś fajny chłop, niczego ci nie brak, u diabła! Jednego tylko ci trzeba. Odrobiny fantazji. Bo jeśli tego brak, szefie... — pokiwał wielką głową i znowu zamilkł.

O mały włos nie zapłakałem. Wszystko, co mówił Zorba, było słuszne... Jako dziecko byłem pełen fantazji. Marzenia moje przekraczały wtedy ludzką miarę. Nie mieściłem się w granicach istniejącego świata.

Stopniowo z upływem czasu stawałem się rozsądniejszy. Wytyczałem granice, zacząłem odróżniać możliwe od niemożliwego, ludzkie od boskiego, trzymałem się mocno mego powroza, żeby mi się nie wymknął.

Wielka spadająca gwiazda przecięła niebo. Zorba podskoczył, wytrzeszczył oczy i spojrzał przerażony, jakby po raz pierwszy zobaczył meteor.

— Widziałeś gwiazdę? — zwrócił się do mnie.

— Tak.

Zamilkliśmy.

Nagle Zorba uniósł wysoko głowę osadzoną na chudej, żylastej szyi, zaczerpnął tchu w piersi i krzyknął dziko, rozpaczliwie, a ten okrzyk przekształcił się po chwili w ludzką mowę. To, co kryło się w głębokościach jaźni Zorby, wydarło się na świat starą, monotonna, pełną smutku i goryczy samotności turecką melodią. Otworło się łono

ziemi, emanując urokliwą słodycz trucizny Wschodu. Czułem, jak wiotczeją we mnie wszystkie włókna, łączące mnie jeszcze z wiarą i nadzieją.

*Iki kiklik bir tepende otiyor,
Otme de, kiklik, bemin dertim jetiyor.
Aman! Aman!*

Pustynia, bezkres miękkiego piasku, gdzie okiem sięgnąć. Powietrze mieni się różowo, niebiesko i złociście. W skroniach łomoce puls, a z głębi duszy wyrывa się oszalały krzyk, radując się tym, że żaden inny głos mu nie odpowiada. Pustka... Pustka... I nagle do mych oczu napłynęły łzy.

*Na pagórku dwie kuropatwy żałośnie zaśpiewały,
Nie śpiewaj, kuropatwo, mój własny smutek niemały.
Aman! Aman!*

Zorba zamilkł, szybkim ruchem ręki otarł pot z czoła. Pochylony, utkwiał wzrok w ziemi.

— Co to za piosenka? — spytałem go po dłuższej chwili.

— Pieśń wielbłądnika. Śpiewa się ją zwykle na pustyni. Przez całe lata nie mogłem sobie jej przypomnieć. Dopiero tego wieczoru...

Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Głos jego zabrzmiał głucho w zdławionym gardle.

— Szefie — powiedział. — Czas ci spać. Jutro musisz wstać o świcie i jechać do Kastellionu, żeby zdążyć na statek. Dobranoc.

— Nie chce mi się spać — odparłem. — Chcę być z tobą. To ostatni wieczór, jaki spędzamy razem.

— Właśnie dlatego musimy szybko go zakończyć! — zawołał Zorba i odwrócił pustą szklankę do góry dnem na znak, że nie będzie więcej pił. — Zrobić to zaraz, natychmiast, jak prawdziwi mężczyźni, którzy w jednej chwili wyrzekają się papierosów, wina czy kart.

Musisz wiedzieć, że mój ojciec był dzielny jak nikt. Nie patrz na mnie, ja przy nim jestem szczeniak, nie dorastam mu do pięt. On był jak dawni Grecy! Kiedy ścisnął ci dłoń, miażdżył kości. Ja czasem przemawiam jak zwyczajni ludzie, a on grzmiał

albo śpiewał. Rzadko z jego ust mogłeś usłyszeć cichy, ludzki głos. Otóż on miał nałogi, ale umiał się ich pozbyć, uciąć jak mieczem. Na przykład, kopcił jak komin. Pewnego dnia o świcie poszedł orać w pole. Przychodzi, opiera się o płot i wsuwa rękę za pas, żeby wyjąć woreczek z machorką i skrócić papierosa. Ale woreczek jest pusty, ojciec zapomniał go napełnić. Zapienił się ze złości, ryknął i pobiegł w stronę wsi. Był opętany nałogiem. Ale nagle — powtarzam ci zresztą stale, że człowiek jest zagadką — stanął zawstydzony, wyciągnął woreczek, podarł go zębami na tysiąc strzępów i podeptał wściekle nogami. "Ścierwo, ścierwo!" — ryczał. Od tej pory do końca życia nie włożył papierosa do ust. Tak robią prawdziwi mężczyźni, szefie. Dobranoc.

Wstał szybko i nie oglądając się ruszył wzdłuż wybrzeża. Doszedł do krańca plaży i położył się na skale.

Nie widziałem go więcej. Przed pierwszym pianiem kogutów przyprowadzono mi muła, dosiadłem go i odjechałem. Podejrzewam, choć może się mylę, że tego ranka spoglądał na mój odjazd z ukrycia, ponieważ nie było go już na skale. Nie przyszedł jednak, aby powiedzieć mi zwykłe słowa pożegnania, popłakać ze wzruszenia, pomachać ręką, powiać za mną chustką.

Rozstanie nasze było jak cięcie mieczem.

W Kastellionie wręczono mi depezę. Wziąłem ją drżącą ręką i spozierałem na nią dłuższą chwilę. Wiedziałem, co mi przynosi. Z przeraźliwą dokładnością zdawałem sobie sprawę z tego, co zawiera, z ilu liter się składa. Zapragnąłem podrzeć ją, nie czytając. Ale niestety nie mamy jeszcze tyle zaufania do własnej duszy. Nasz rozsądek, ten nędzny sklepikarz, kpi sobie z niej, jak my kpimy ze starych znachorek i wiedźm, które rzucają uroki. Otworzyłem telegram, pochodził z Tbilisi. Przez chwilę litery skakały mi przed oczami; niczego nie rozróżniałem, powoli jednak znieruchomiały i wtedy przeczytałem: "Wczoraj po południu Stavridakis zmarł na zapalenie płuc".

Przeszło pięć długich, straszliwych lat, w ciągu których czas pędził niepohamowanie, a geograficzne granice rozpoczęły dziki pływ; państwa rozszerzały się i kurczyły niby harmonijka. Nawałnica dziejowa porwała zarówno mnie, jak i Zorbę. Głód i lęk stanęły między nami. W ciągu pierwszych trzech lat otrzymywałem od czasu do czasu jakąś lakoniczną kartkę od niego.

Raz — z góry Athos, z wizerunkiem Najświętszej Marii Panny Strażniczki Wrót, o dużych, smutnych oczach i mocnym, władczym podbródku. Nad postacią Matki Boskiej Zorba napisał grubą stalówką, która darła papier: "Tu, Szefie, nie można

zarobić. Mnisi potrafią nawet pchły podkuć. Pójdę sobie!" A po paru dniach nadeszła jeszcze jedna wiadomość: "Nie mogę krążyć po klasztorach jak kataryniarz z papugą w rękę. Podarowałem ją pewnemu dziwnemu mnichowi, który swego drozda nauczył śpiewać: «Kyrie eleison». Ten łobuz śpiewa jak prawdziwy zakonnik. To nie do wiary! A więc nauczy też psalmów naszą biedną papugę. Ech, ileż ta bestia w swoim życiu widziała... A oto została wielebny ojcem. Całuję Cię serdecznie. Ojciec Aleksy, świątobliwy pustelnik".

Po pół roku czy też po siedmiu miesiącach otrzymałem z Rumunii kartę przedstawiającą przysadzistą kobietę z odkrytymi piersiami: "Jeszcze żyję, jem mamałygę, piję piwo, pracuję w rafinerii nafty, brudny i śmierdzący jak szczur z rynsztoka. Ale to nic. Tu znajdziesz wszystko, czego brzuch i serce zapragną, raj dla takich starych wygów jak ja. Rozumiesz mnie, Szefie, żyć nie umierać, kury i kokoszki. Całuję Cię mocno. Szczur z rynsztoka, Aleksy Zorbesco".

Minęły dwa lata, znów dostałem kartkę, tym razem z Serbii. "Jeszcze żyję, diabelnie tu zimno, zostałem więc zmuszony do żeniaczki. Odwróć kartkę, a zobaczysz jej pyszczek. Wcale ładny kawałek kobiety. Brzuch ma trochę wydęty, bo szykuje mi małe Zorbiątko. U jej boku jestem ja. Noszę garnitur, który dostałem od Ciebie w prezencie, a pierścionek na moim palcu jest od starej, biednej Bubuliny (wszystko jest możliwe), niech spoczywa w spokoju. Ta nazywa się Luba. Płaszcz z lisim kołnierzem, który mam na sobie, to posag mojej żony. Wniosła mi też maciorę z siedmioma prosiętami — zabawna gromadka — i dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, gdyż zapomniałem Ci powiedzieć, że była wdową. W jednej z pobliskich gór odkryłem pokłady miedzi i znowu przygadałem sobie pewnego kapitalistę. Wiedzie mi się dobrze. Żyję jak pasza. Całuję Cię mocno. Były wdowiec, Aleksy Zorbić".

Na odwrocie karty widniała fotografia Zorby. Był w kwitnym stanie. Ubrany modnie w futrzaną czapkę i długi płaszcz, w rękę trzymał laseczkę. U jego ramienia wisiała piękna kobieta o słowiańskiej urodzie, mogąca mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, dzikuska o rasowych biodrach, kusząca i filuterna, z kształtną piersią. Ubrana była w wysokie kozaczki. Pod fotografią topornymi literami Zorba nakreślił podpis: "Ja, Zorba, i odwieczna sprawa: kobieta. Tym razem nazywa się Luba".

Przez wszystkie te lata podróżowałem za granicą. Ja też miałem swoją odwieczną sprawę, tylko że ona nie posiadała kształtnego biustu ani płaszcza do zaofiarowania, ani maciory. Pewnego dnia odebrałem w Berlinie telegram: "Znalazłem piękny zielony kamień. Przyjeżdżaj natychmiast — Zorba".

Był rok 1923. W Niemczech panował potworny głód. Wartość marki spadła tak bardzo, że aby kupić najmniejszy drobiazg — na przykład znaczek pocztowy — trzeba było dźwigać walizę pełną pieniędzy. Głód, zimno, ubrania w strzępach, znoszone obuwie — pobladły rumiane z natury policzki Niemców. Silniejszy wiatr rzucał ludźmi o ziemię jak zwiędłymi liśćmi. Matki kładły niemowlętom do buzi kawałki gumy do żucia, by nie krzyczały. W nocy policja musiała strzec mostów przed zrozpaczonymi kobietami, które z dziećmi w ramionach chciały się rzucać do rzeki.

Nadeszła zima. Spadł śnieg. W pokoju, przyległym do mojego, pewien niemiecki profesor, orientalista, przepisywał stare poematy chińskie lub sentencje Konfucjusza, aby się rozgrzać. Robił to pędzelkiem według zwyczaju chińskiego, w myśl którego uniesiony łokieć, koniuszek pędzla i serce uczonego tworzyć winny trójkąt.

— Po kilku minutach — mówił do mnie z zadowoleniem — pot spływa mi po ramionach. W ten sposób robi mi się ciepło.

Właśnie w tych pełnych goryczy dniach otrzymałem ów telegram od Zorby. W pierwszej chwili wpadłem w gniew. Kiedy głód upadła i łamie miliony ludzi, nie mających nawet kromki chleba dla pokrzepienia, ja otrzymuję depezę, naglącą mnie do przebycia tysięcy kilometrów, abym zobaczył piękny zielony kamień. "Do diabła z pięknem! — wołałem. — Ono nie ma serca, nie może się przejąć ludzkim cierpieniem!"

Ale rychło ogarnęło mnie przerażenie. Gdy gniew minął, ze zgrozą zrozumiałem, że moje serce odpowiada na nieludzkie wezwanie Zorby. Dziki ptak bił w mojej piersi skrzydłami, chcąc wyrwać się na świat.

Nie wyjechałem jednak. Pozostałem głuchy na boski, okrutny klangor w mej piersi. Nie dokonałem tego bezsensownego czynu. Posłuchałem chłodnego, rozsądnego głosu logiki. Wziąłem pióro i napisałem do Zorby, tłumacząc mu to wszystko.

Odpisał:

"Nie obrażając Cię, Szefie, jesteś gryziopiórką. Mogłeś i Ty, biedaku, raz w życiu zobaczyć piękny zielony kamień, ale nie zobaczyłeś. Słowo daję, nieraz, kiedy nie miałem nic lepszego do roboty, pytałem sam siebie, czy istnieje piekło. Ale wczoraj, kiedy przyszedł Twój list, rzekłem sobie: «Z całą pewnością musi istnieć piekło dla paru takich gryziopiórków jak szef»".

Od tego czasu nie pisał już do mnie. Znów rozdzieliły nas straszliwe

wydarzenia, świat zataczał się jak człowiek zraniony lub pijany. Sprawy osobiste, uczucia przyjaźni musiały ustąpić na plan dalszy.

Często jednak opowiadałem moim przyjaciołom o wielkoduszności Zorby. Podziwialiśmy postawę życiową tego niewykształconego człowieka, przekraczającą granice rozsądku, ale pełną dumy i wierności. Wyżyny ducha, na które my wspinaliśmy się przez wiele lat z ogromnym wysiłkiem, on osiągał jednym skokiem. I mówiliśmy: "Zorba jest wielkoduszny". Albo gdy przekraczał te wyżyny, mówiliśmy: "Zorba jest szalony".

Tak mijał czas przepojony słodką trucizną wspomnień. Na duszę mą padał również inny cień — cień zmarłego przyjaciela — i ciążył na niej. Nie opuszczał mnie, bo ja nie opuszczałem jego.

O tym cieniu nie mówiłem jednak nikomu. Gwarzyłem z nim po kryjomu i dzięki niemu jednałem się ze śmiercią. Miałem swój tajemny most, wiodący na drugi brzeg. Gdy dusza mego przyjaciela przekraczała go, czułem, że jest wątpa i blada, zbyt słaba, by uścisnąć mi dłoń.

Czasem myślałem z przerażeniem: "Może mój przyjaciel nie zdążył na ziemi oswobodzić się z niewolniczych pęt ciała, ukształtować i zahartować swojej duszy tak, by w ostatecznej chwili nie uległa grozie śmierci i by trwoga nie unicestwiła jej. Może nie zdążył utrwalić tego, co było w nim nieśmiertelne".

Niekiedy odzyskiwał jednak siły — lub może to ja wspominałem go cieplej — i przybywał odmłodzony, pełen pragnień; wydawało mi się niemal, że słyszę na schodach jego kroki.

Tej zimy wybrałem się na samotną wycieczkę w zaśnieżone góry Szwajcarii, gdzie wiele lat temu przeżyliśmy z nim razem i z ukochaną przez nas obu kobietą niezapomniane godziny.

Spałem w tym samym hotelu, w którym się wówczas zatrzymaliśmy. Księżyc świecił przez otwarte okno, uśpionym mózgiem czułem obecność gór, srebrnych od szronu sosen, i łagodny błękit nocy. Przenikała mnie niewysłowiona radość, jakbym śnił na głębokim, spokojnym, przejrzystym bezmiarze morza, jakbym spoczywał na jego dnie szczęśliwy i nieruchomy. Wrażliwość moja była tak ogromna, że maleńki statek, przepływający o tysiące mil nade mną, mógłby zranić moje ciało.

Niespodziewanie padł na mnie jakiś cień, zrozumiałem, kto to. Zabrzmiął jego pełen żalu głos:

— Śpisz?

A ja odparłem takim samym tonem:

— Kazesz czekać na siebie. Przez całe miesiące nie słyszałem twego głosu...
Gdzie się błąkasz?

— Jestem przy tobie, ale to ty zapominasz o mnie. Nie zawsze mam dość siły, by cię zawołać, a ty usiłujesz mnie opuścić. Piękne jest światło księżyca, ośnieżone drzewa i życie na ziemskim padole — ale błagam cię, nie zapominaj o mnie.

— Nigdy o tobie nie zapominam, wiesz o tym dobrze. W pierwszych dniach po tym, jak mnie opuściłeś, błądziłem po górskich pustkowiach, umartwiałem ciało, całe noce leżałem bezsennie, oplakując cię. Pisałem nawet poematy, by dać ujście moim uczuciom. Zbyt jednak mierne były, by ukoić mój ból. Jeden z nich zaczyna się tak:

*Gdy szedłeś obok Śmierci po stromym wzniesieniu,
Lekkość waszych postaci chłonąc w uniesieniu,
Widziałem w was przyjaciół, co o bladym świcie
Trudzą się i w dal idą, porzucając życie.*

W innej zaś, nie ukończonej pieśni wołam do ciebie:

*Zaciśnij mocniej zęby, o mój ukochany,
Nie pozwól duszy swojej ulecieć w przestworza...*

Uśmiechnął się gorzko i pochylił nade mną twarz, a ja zadrżałem, widząc jej przeraźliwą bladość.

Wpatrywał się we mnie długo oczodołami, w których nie było już oczu, tylko dwie grudki ziemi.

— O czym myślisz? — szepnąłem. — Czemu milczysz? I znowu głos jego zabrzmiał niby dalekie westchnienie:

— Cóż pozostało z duszy, której nie mieścił świat? Kilka napisanych przez kogoś, kalekich, urwanych wierszy, nie tworzących nawet strof. Błądzą po ziemi. Odwiedzam tych, którzy byli mi drodzy, ale serca ich się zamknęły. Którędy wrócić do życia? Krążę wokół domu o zaryglowanych drzwiach niczym pies... Och, żebym mógł żyć niezależny, nie chwytając się jak topielec waszych żywych ciał.

Z oczodołów trysnęły łzy, grudki ziemi w nich zamieniły się w błoto. Po chwili jednak głos jego nabrał siły.

— Największą radość sprawiłeś mi — rzekł — kiedy w dniu moich imienin w Zurychu wzniosłeś kielich wina za moje zdrowie. Czy pamiętasz? Towarzyszył nam wtedy jeszcze ktoś...

— Pamiętam — odpowiedziałem. — To była ona, ta, którą nazywaliśmy naszą panią...

Umilkliśmy. Zdawało się, że wieki minęły od tego czasu. Zurych zasypany śniegiem. Imieninowy stół udekorowany kwiatami — i nas troje...

— O czym myślisz, mistrzu? — spytał cień z ironią.

— O wielu rzeczach. O wszystkim...

— Ja myślę o twoich ostatnich słowach. Wzniosłeś kielich i drżącym głosem rzekłeś: "Przyjacielu, kiedy byłeś dzieckiem, twój sędziwy dziadek trzymał cię na jednym kolanie, a o drugie opierał kreteńską lirę i grał bohaterские pieśni helleńskich bojowników o wolność. Piję dzisiejszego wieczoru twoje zdrowie: niech los sprawi, abyś zawsze spoczywał na boskich kolanach!" Bóg szybko wysłuchał twojej modlitwy.

— To nic — odparłem. — Miłość jest silniejsza niż śmierć.

Uśmiechnął się gorzko i nie odpowiedział. Czułem, jak jego ciało rozwiewa się w mroku, stając się tylko łkaniem, westchnieniem i drwiną...

Przez wiele dni pozostał na mych wargach smak śmierci. Ale serce doznało ulgi. Śmierć weszła w moje życie pod postacią znajomej, ukochanej twarzy niby przyjaciel, który przyszedł i czeka cierpliwie, aż zakończymy pracę.

Lecz zazdrosny cień Zorby wciąż krążył wokół mnie. Pewnej nocy samotnie przebywałem w mojej willi na brzegu morza na wyspie Eginie. Czułem się szczęśliwy. Przez szeroko otwarte okno świecił łagodnie księżyc. Morze oddychało radością. Spałem, rozkosznie zmęczony zbyt długim pływaniem. W takiej to chwili szczęścia Zorba zjawił się w moim śnie.

Nie przypominam sobie, co mówił ani po co przyszedł. Gdy się obudziłem, czułem, jakby serce miało mi wyskoczyć z piersi, do oczu nabiegły łzy.

Opanowało mnie nieprzeparte pragnienie, aby w pamięci odtworzyć nasze życie na kreteńskim wybrzeżu, aby zmusić umysł do skrzętnego przywołania wszystkich powiedzeń, okrzyków, gestów, śmiechu, łez, tańców Zorby, aby ocalić je od zapomnienia.

To pragnienie było tak gwałtowne, iż z trwogą zacząłem upatrywać w nim znaku. Może tego dnia gdzieś na krańcu świata umiera Zorba... Dusza moja tak silnie związana była z jego duszą, że czułem: niemożliwe, by jeden z nas umarł, a drugiego

nie przeszył dreszcz.

Długo nie mogłem się zdecydować na zebranie wszystkich wspomnień o Zorbie, aby utrwalić je na piśmie. Ogarnął mnie dziecięcy lęk: Jeśli uczynię to, znaczy, że Zorba naprawdę znajduje się w niebezpieczeństwie. Powinienem oprzeć się tej ręce, która popycha moją dłoń.

Opierałem się dwa, trzy dni, tydzień. Zająłem się jakąś inną pisaniną, chodziłem na wycieczki, dużo czytałem. Takimi wybiegami usiłowałem zmylić niewidzialną siłę, ale wszystkie moje myśli krążyły niespokojnie wokół Zorby.

Pewnego dnia siedziałem na tarasie swej nadmorskiej willi. Było południe, prażyło słońce, a ja spoglądałem na nagie urocze brzegi Salaminy, piętrzące się przede mną. Nagle pchnięty niewidzialną ręką chwyciłem papier, wyciągnąłem się na rozpalonych płytach tarasu i zacząłem spisywać słowa i czyny Zorby.

Pisałem w uniesieniu, z pośpiechem wskrzeszałem przeszłość. Starłem się przypomnieć sobie i utrwalić Zorbę takim, jakim był. Można by pomyśleć, że to ja ponoszę odpowiedzialność za to, by nie odszedł w niepamięć. Pracowałem dniem i nocą nad nakreśleniem jego oblicza w nie zmienionym, wiernym kształcie.

Tworzyłem jak czarownicy z dzikich afrykańskich plemion, malujący na ścianach swych chat wizerunek przodka, którego ujrzeni we śnie, i starają się odtworzyć go tak, aby dusza mogła rozpoznać własne ciało i powrócić doń.

Po paru tygodniach moja kronika życia Zorby była zakończona.

Tego dnia późnym popołudniem siedziałem znów na tarasie i patrzyłem na morze. Na kolanach mych leżał gotowy rękopis. Czułem ogromną radość i ulgę, jakbym zrzucił z siebie jakiś ciężar, jak kobieta, która właśnie urodziła i teraz tuli niemowlę w objęciach.

Słońce, płonąca, ognista kula, zachodziło za szczyty Peloponezu. Na taras weszła Sula, wiejska dziewczynka, która przynosiła mi z miasta pocztę. Wręczyła list i szybko uciekła... Zrozumiałem. Wydawać by się mogło, że znam jego treść, bo kiedy otworzyłem go i przeczytałem, nie krzyknąłem, nie zerwałem się zdjęty przerażeniem. Miałem pewność. Wiedziałem, że właśnie w tej chwili, gdy będę trzymał na kolanach ukończony rękopis i patrzył na zachód słońca, dostanę ten list.

Przeczytałem go spokojnie, powoli, bez łez. Nadszedł z jakiejś serbskiej wioski położonej w pobliżu Skopje. Napisany był złą niemczyzną. Przetłumaczyłem go sobie.

“Jestem nauczycielem w tej wiosce i piszę do Pana, aby przekazać smutną wiadomość. Aleksy Zorba, właściciel miejscowych pokładów miedzi, zmarł w ubiegłą

niedzielę o szóstej po południu. Wezwał mnie w chwili konania.

«Mam w Grecji przyjaciela — powiedział. — Jeśli umrę, napisz mu, że do ostatniej chwili zachowałem przytomność i myślałem o nim. Nie żałuję niczego, co zrobiłem. Powiedz mu, że życzę mu wszystkiego najlepszego i że już najwyższy czas, aby nabrał rozumu. Posłuchaj jeszcze: jeśli przyjdzie pop wypowiadać mnie i udzielić ostatniego namaszczenia, każ mu szybko odejść. Niech mnie obłoży klątwą. Zrobiłem w życiu kupę rzeczy, ale jeszcze nie dosyć. Tacy ludzie jak ja powinni żyć tysiąc lat. Dobranoc».

To były jego ostatnie słowa. Potem uniósł się na poduszce, odrzucił kołdrę i spróbował stanąć na nogi. Podbiegliśmy, aby go podtrzymać, Luba — jego żona, ja i kilku silniejszych sąsiadów. On jednak odsunął nas szorstko wstał z łóżka i podszedł do okna. Kurczowo trzymając się parapetu, spoglądał w dal, w stronę gór. Wytrzeszczył oczy i zaczął się śmiać, a potem rzeć jak koń. Tak właśnie umarł, stojąc i wpijając się palcami w okienną ramę.

Jego żona, Luba, prosi, żebym napisał, że przesyła Panu pozdrowienia. Nieboszczyk często opowiadał o Panu i kazał oddać Panu po swojej śmierci *santuri*, by miał Pan po nim pamiątkę.

Wdowa prosi więc — jeśli przypadkiem będzie Pan przejazdem w naszej wiosce — aby zechciał Pan zanocować u niej i wyjeżdżając rankiem, zabrać ze sobą *santuri*”.